



ADRIANNA  
ROZBICKA

# Uwertura

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

Adrianna Rozbicka

Uwertura

*Jeśli chcesz coś robić, po prostu rób to.  
Nie ma innej drogi.*

## Prolog

Miał poobgryzane do krwi skórki u paznokci i nieświeży oddech. Pocierał co chwila zarost, który najwyraźniej od długiego czasu pozostawił samemu sobie, jak zarośnięty chwastami ogródek przed domem. Siedział lekko skulony po drugiej stronie knajpowego stołu, a mnie najzwyczajniej przeszła ochota, żeby mu sprać gębę. Już nawet nie wiedziałem, po co się zgodziłem na to spotkanie. Może dlatego, że nadal nie rozumiałem, co się wydarzyło.

— A wiesz, co w niej jest najbardziej niesamowitego? — spytał wreszcie, zawieszając wzrok w próżni.

— Jasne — stwierdziłem z pewnością. — Oczywiście. Coś niebywałego...

— Nie. — Potrząsnął głową jakby zawiedziony moją odpowiedzią. — Wrażliwość. Ta jej beznadziejna drażliwość na otaczający świat. I nie tylko to, w jak niezwykle sposób widzi zwykłe rzeczy, ale fakt, że widzi zwykłe rzeczy takie, jakie są naprawdę.

Spojrzałem na niego pytająco. Był urzeczony, kompletnie wkręcony w jakiś nieznan mi świat. Zauważył jednak moje zmieszanie.

— Też wtedy nie rozumiałem — odparł i ciągnął dalej: — Wracaliśmy przez park. Zmęczeni. Ona po próbie jak zawsze. Spocona i rozgrzana. Ja jak zwykle wpatrzony w nią. Było późno, a niebo pochmurne jak teraz. Szła z zadartą głową i lekko rozchyłonymi ustami. Pomyślałem, że zaraz powie coś w rodzaju: „Za chwilę zacznie padać, a my nie mamy parasola”. No bo czego innego można się spodziewać po dziewczynie w takiej sytuacji? A ona... wiesz, co powiedziała?

Pokręciłem przecząco głową.

— „O Boże, to niebo jest zbyt piękne”. Była dziwna, inna, a jej słowa stały się dla mnie objawieniem. Nie tak od razu, rzecz jasna. — Uśmiechnął się smutno i zamyślił przez chwilę. — Nagle z drzew zerwały się ptaki. Przyspieszyłem kroku, bo burza deptała nam po piętach, a ona szła zbyt wolno, nadal z zadartą głową, śledząc ich lot i zastanawiając się na głos, co to za ptaki, dokąd lecą, jak fantastycznie pikują na tle spęczniałych obłoków i jaki bajkowy odcień skrzydeł mają. Takich właśnie słów używając. Rozumiesz? Oblęd!

Zastanowiłem się nad tym, co mówił. Dziewczyny, z którymi spotykałem się na co dzień, a zwłaszcza te na jedną noc albo i na krócej, paplały o pracy, o modzie, o podróżach i nawet jeśli dotyczyły ciekawych lub ważnych tematów, to mówiły o nich w raczej banalny sposób, bo albo poprzez pryzmat czyichś doświadczeń, albo bez najmniejszego zaangażowania osobistego. Faktycznie. Kto dzisiaj zachwyca się niebem? Kto dostrzega kształt drzew? Drganie czyichś ust? Kto ma ochotę słuchać śpiewu ptaków?

— Kto w ogóle ma czas na te bzdury? — wyrwało mi się na głos.

— No kto? — spytał z wyrzutem. — Ludzie nie patrzą już w gwiazdy, już nawet nie patrzą sobie w oczy! Tylko w płaskie tafle multimedialnych gadżetów. Ot, cała prawda! — Dopił piwo, pozostawiając malownicze resztki pianki na dnie pół-litrowego kufła.

Spytałem, czy chce jeszcze jedno. Przytaknął.

Kelnerka o zaczepnym spojrzeniu i okrągłościach wylewających się z dekoltu przyjęła zamówienie, opierając się biodrem o krawędź stolika. Nawet na nią nie zerknął.

— A więc kiedy doszliśmy do wyjścia z parku, tam przy bramie rosły młode klony, i ona w taki rozbijający sposób powiedziała, że takie same są też przed moim domem, tylko pokryte mchem. „Żółty — zaznaczyła — czy to nie cudowne?” Widziałeś kiedyś żółty mech? — spytał i nie czekając na odpowiedź, kontynuował: — Spojrzałem na tę twarz pełną autentycznego wzruszenia i pomyślałem: Boże, ale ona jest równo pokręcona. I te oczy! Może przez te złote

tęczówki widzi jakoś inaczej — przeszło mi przez myśl. Wiem, to głupie, ale nie rozumiałem jej zachwytu nad każdym pospolitym detalem: drzewem, ptakiem, niebem, staruszką. No wiesz... I tak następnego dnia, wychodząc z domu, poczułem się jak ostatni kretyn. Stały tam. Takie same małe kloniki z korą pokrytą mchem. Zgadnij jakim. Tak, żółtym! Podszedłem, pochyliłem się nad pnem i dotknąłem go, aby mieć pewność. Mech pachniał lasem i słońcem, był delikatny i ekstremalnie miękki, i dotykając go koniuszkami palców, poczułem coś ekstazyjnego.

Przez chwilę jakbym patrzył jej oczami. Czuł być może to, co ona czuje nieprzerwanie. Bo wrażliwość, jaką jest obdarzona, to w dzisiejszym świecie głupi żart losu. Kula u nogi. Wiesz, co mam na myśli. I to właśnie wtedy się zakochałem. O rany. Wzięło mnie jak nigdy, człowieku. Musiałem znaleźć sposób, aby nie odeszła, bo od tamtego momentu każdego dnia budziłem się ze strachem, że ktoś mógłby mi odebrać coś tak niepowtarzalnego. Poznaliśmy się lepiej. Szybko staliśmy się parą, a nawet wspólnie wynajęliśmy mieszkanie. Było tak, jakbym mieszkał z jakąś pieprzoną czarownicą. Omotała mnie. Potrafiła słuchać i dawać celne, nieingerujące rady. Potrafiła milczeć, gdy potrzebowałem samotności. Kiedy śmiała się z czegoś, zarażała śmiechem otoczenie. Gdy gotowała, tańczyła między garnkami, gdy się kąpała po całym dniu prób, jęczała z rozkoszy na cały dom, kiedy sprzątała, rozmawiała z meblami, i nawet kiedy była smutna lub płakała, ja czułem się pobudzony jak po nieznanym narkotyku; czułem, jak serce mi łomocze i jak mi staje po każdym jej spojrzeniu. Byłem w siódmym niebie, a ona nigdy się nie skarżyła, ale wiedziałem, że nie jest szczęśliwa. Była jak kanarek zamknięty w klatce zmontowanej z oczekiwań innych i mogła rozpostrzeć skrzydła tylko wtedy, gdy była na scenie. Z czasem, gdy nabrała więcej zaufania do mnie, zaspokajała moją ciekawość i opowiadała. O swojej rodzinie, o tym, co się wydarzyło, i o największej miłości jej życia, o moim rywalu.

Tańcu.

Uwierz mi, nie chciałem, by to tego doszło. Gdybym mógł cofnąć czas... Choć pewnie nic by to nie pomogło, bo kochać ją to jak bliskie spotkanie trzeciego stopnia. Życie po nim nigdy już nie jest takie samo.

Zamyślił się na chwilę, a gdy kufle pełne piwa rozświetliły nasz stół, opowiedział mi o Alicji, której nie znałem.

Chwycił ją i jednym szarpnięciem przywiódł ku sobie. Giętkie ciało dziewczyny poddało się rękóm mężczyzny. Migocący w skąpych światłach skrawek sukienki odstąpił lśniące od potu uda. W odpowiedzi zacisnęła nogę na jego ramieniu, odrzucając w tył ciało. Pochwycił ją w pasie i z lekkością uniósł. Wyzwoliła się. Niezdecydowana, odwracała się z zamiarem ucieczki, ale wracała w tej samej sekundzie. Podbiegała tak, by mógł ją pochwycić, uskakiwała, kiedy był zbyt blisko. On obejmował jej nogi, a za chwilę ona leżała u jego stóp.

Kusiła tancerza, kokietowała. Ich niewinne uczucie przerodziło się w ekscytującą grę młodych kochanków. Tańczyli opętani pożądaniem, jakby ten pierwszy raz miał być ich ostatnim. Wtem reflektory pociemniały i scenę zalała czerwień. Ręce solistów, splątane i poszukujące, wyłaniały się z fali światła. Drgali jak serce zakochanej dziewczyny, która całuje po raz pierwszy.

Spadł deszcz oklasków, zagłuszając muzykę. Mrok skrył w objęciach łoże. Z ciemności w głębi sceny wysypali się tancerze w błyszczących kostiumach. Jeden za drugim, jak perły z zerwanego naszyjnika. Krok, piruet, piruet, piruet. Jeden, drugi, trzeci...

Bogatymi ozdobami strojów pochłaniali skąpe światła ramp. Połyskiwali w ciemności niczym rozdzierające niebo pioruny. Blask kreacji, wilgotnych oczu i spoconych ciał wessał oniemiałych obserwatorów niczym wir. Przeniósł ich nudną egzystencję w sam środek cyklonu. Stali się nie tylko świadkami, ale i uczestnikami ekscytującego wydarzenia.

Zbliżał się finał.

Mimo to wszystkie oczy skierowane były tylko na nią. Alicja mknęła po scenie jak wiatr po pustyni. Już nic nie było w stanie jej zatrzymać. Taniec mieszkał w jej sercu, odkąd zaczęło bić, i jemu składała cześć każdym przedstawieniem. Z jej ruchów emanowały energia, talent i pasja. To wszystko, co czyni tancerza wyjątkowym. Oblizując wargi, czuła na języku smak potu, który wprowadzał ją w stan rosnącej euforii. Chwilami przymykała oczy i dawała się kompletnie ponieść. Wtedy obnażała publiczności temperament skrywany poza sceną. Teraz i tylko w tym momencie czuła się spełniona i prawdziwa. Jedyna, niepowtarzalna, bezwstydna.

Wreszcie mogła być sobą.

Muzyka wypełniała każdy centymetr przestrzeni i choć wszechobecna, nie zdołała zagłuszyć bicia jej serca. Wiedziała, że musi rygorystycznie trzymać się choreografii, bo nie ma już władzy nad własnym ciałem. Emocje rządziły nią, dając upust najgłębszym artystycznym fantazjom. Stała się ich narzędziem, łącznikiem między jej intymnym światem a rzeczywistością. Widzowie w pierwszych rzędach wpatrywali się w nią z otwartymi ustami. Gięła ciało i upadała na kolana, zamiatając burzą włosów drobinki brokatu ze sceny. Prężyła się niczym struna muskana przez wprawne palce. Delikatnie przesuwiała się na koniuszkach palców, a jej ręce falowały w powietrzu jak dwie wstęgi na wietrze. Światło jej jasnozielonych oczu dostrzegali nawet widzowie w ostatnich rzędach. I choć nie była ani najwyższa spośród tancerek, ani najszcuplejsza, jej wyrzeźbionego latami ćwiczeń, acz kobiecego ciała i niepokojącej urody nie sposób było ignorować. Odkąd pamiętała, ludzie się jej przyglądali, nawet gdy była mała. Lekarze podejrzewali anomalię w melaninie w tęczówce albo w genetyce, psychologowie doszukiwali się problemów z głową. Dzieci w szkole zazdrościły odmienności, ale trzymały się od niej z daleka, uważały ją bowiem za dziwną. W liceum wszyscy zgodnie stwierdzili, że nosi kolorowe szkła kontaktowe, i nikt więcej nie zadawał pytań. Mogła odetchnąć.

Alicja zdarła błyszczącą połę z talii, jak gdyby ją parzyła, i kręcąc piruety, rzuciła w kierunku widowni. Muzyka zaczęła wzmacniać się i przyspieszać jak koła rozpędzającego się

pociągu. Oświetlenie w teatrze zbladło, ustępując miejsca reflektorom punktowym, które uwięziły solistów w samym centrum sceny. Mężczyzna odwrócił się od tancerki, zwinnie wykonał salto w przód, pokonując kilka metrów, po czym opadł na kolana ze zwieszoną głową.

Alicja z sercem w gardle czekała na jego sygnał. Wreszcie odwrócił się w jej kierunku z wyciągniętymi rękami. Na ten znak wspięła się na palce, jak gdyby biorąc głęboki wdech przed skokiem z trampoliny, i rzuciła się biegiem w jego stronę. Poczowała silne i twarde palce wbijające się w jej biodra i przez ułamki sekund, prężąc ciało nad jego głową, miała wrażenie, jakby czas się zatrzymał.

Fundamenty drżały, gdy wśród iskier fajerwerków Alicja opadała w ramiona partnera, aby finałową figurą porwać widownię z krzesel.

Owacjom nie było końca.

Głuchy i tępy odgłos, podobny do trzasku gałęzi, rozniósł się po scenie. Muzyka ucichła nagle, tak jak wszystko inne, i jedyną rzeczą, którą mogła dostrzec, była biała plama wibrująca nad jej twarzą. Wypełniała głowę i pęczniejący do granic żołądek. Czuła, że zaraz pęknie niczym mydlana bańka nad wanną z gorącą wodą. Natarczywa mdłość targnęła jej ciałem. Fala wzburzonego soku żołądkowego wdarła się do jej ust i wytrysnęła.

— Biegnij! Biegnij! Skacz! Alicja!... — Jedne drzwi, drugie, trzecie! Gdzie to było?!

Sól z kropel potu utworzyła ranki na powierzchni zaschniętych warg. Zdrętwiały od kwasu język uwierał niczym wiór. Słyszała wołania gdzieś z oddali, ale fala była tak potężna, że zmiotła ją z powierzchni. Poczowała zimno, tak ekstremalne, że aż parzące. Ogarnęło ją.

Stojąc nad przepaścią, wreszcie otworzyła oczy.

Nie!!!

Żyrandol był przesadnie żółty i jakby nadąsany, taki jak w mieszkaniu, które wynajmowała od dwóch lat. Wpatrywała się w niego z niepokojem, oczekując, że spadnie albo wybuchnie. Nie była pewna, gdzie jest ani co się stało. Szumiało jej w głowie, a w ustach czuła metaliczny posmak nie do końca zaschniętej krwi. Rozejrzała się po pokoju, monochromatycznym pomieszczeniu, gdzie szafa i krzesło, jedyni protagoniści, niemo przyglądali się jej przebudzeniu. Na szafeczce obok łóżka budzik odliczał ostatnie sekundy do godziny trzynastej. Powoli rozluźniła dłonie ściskające wilgotne prześcieradło. Próbowwała zebrać myśli i przypomnieć sobie, jak się tu znalazła. Przez otwarte okno dolatywał zapach właśnie serwowanego obiadu. Swojski aromat gotowanych ziemniaków i woń zbyt mocno przyprawionej pieczeni mieszały się z powietrzem letniego popołudnia. Alicja dostała lekkich mdłości i jej czoło zrosił pot. Nagle oprzytomniała.

Nogi!

Próbowwała unieść się i chwycić za uda. Oklepując je gorączkowo, upewniała się, że istnieją. Atak dłoni rozbudził ból w prawym kolanie i świdrowanie zaczęło narastać.

Twarz dziewczyny wykrzywił grymas. Jednym pociągnięciem zerwała prześcieradło z nóg. Tkanina z impetem spadła na podłogę. Oczy i usta Alicji przybrały formę koła i na chwilę dziewczyna przestała oddychać. Lewa noga przypominała bakłażan. Wylew był ogromny i pełen odcieni. Prawej nogi w ogóle nie było widać. Od kostki aż po miednicę pokrywał ją gips, zakończony metalową szyną. Alicja nigdy nie widziała tak długiego gipsu, choć lata spędzone wśród nieobliczalnych street dancerów pokazały jej, że nagminnie ktoś sobie coś łamał. Kontuzje były nieodłącznym elementem jej codzienności, ryzyka zawodowego, które podejmował każdy tancerz. Przecież przywykła. Tak sobie powtarzała, wpatrując się bez mrugnięcia w metalowe elementy wystające spod gipsu.

To nic takiego. Zdarza się — szeptała do siebie, ale to nie bólu się bała najbardziej. Nieoczekiwane drzwi cichutko zaskrzypiały i w szczelinie ujrzała głowę matki. Na widok wybudzonej Alicji twarz kobiety rozjaśnił radosny, acz niepewny uśmiech.

— Nie śpisz już, córciu? — Kobieta wsunęła się do pokoju jak ktoś, kto czuje, że przeszkadza, i usiadła na skraju łóżka. — Nie chciałam cię budzić, dostałaś tyle leków... — Umilkła.

— Mamo, co się stało? — Alicja przymrużyła oczy, gdyż resztki narkozy jeszcze szalały w jej ciele, a każdy ruch pogarszał sytuację.

— Nie denerwuj się, dziecko. Dostałaś narkozę... Teraz odpoczywaj i zdrowiej, to jest najważniejsze. — Twarz kobiety wydała się starsza o kilka lat.

— Narkoza? To przecież tylko gips. — Zniecierpliwiła się.

— Ała, wszystko będzie dobrze. — Kobieta położyła rękę na dłoni córki.

Alicja spojrzała podejrzliwie na matkę.

— Rozmawiałaś z lekarzem?

— Oj, córciu — chlipnęła. — Widzisz, nie trzeba było rezygnować ze studiów. Teraz miałabyś dyplom i stałą pracę... — rozżaliła się.

— Mamo, proszę cię, nie zaczynaj! Nie teraz! Co powiedział lekarz?.

Od lat słyszała te same wyrzuty. Najpierw poddawała się i szła drogą wskazywaną jej przez tych, którzy zawsze wiedzieli lepiej, co jest dla niej dobre, tylko dlatego że się o nią martwili i ją kochali. Później zrozumiała, że dorosłość to także próby bycia sobą, decydowanie o własnym losie, branie odpowiedzialności za wybory i ryzyko, jakie trzeba podejmować, aby do



czegoś dojść. Coraz częściej miała wrażenie, że nikt nie podziela jej teorii dojrzałości. Od śmierci babci wszystko nabrało ciężaru. Straciła przyjaciół, zerwała z narzeczonym, ale najgorsze, co zdaniem matki mogła zrobić — porzuciła uniwersytet. Alicja widziała to wszystko zupełnie inaczej. W rezultacie opuściły ją osoby, którym było najwyraźniej obojętne to, co czuła. Zerwała relację z człowiekiem, którego jedynym pragnieniem było, aby ona się zmieniła.

— Mniej bym się wtedy o ciebie i o twoją przyszłość martwiła. Zresztą co to za przeszłość ten taniec — lamentowała kobieta.

— Mamo, nie chcę teraz tego wysłuchiwać. Powiesz mi wreszcie, co z tą nogą, czy sama mam iść do lekarza? — Wzięła głęboki oddech i przymknęła oczy.

Kolano świdrowało w najlepsze.

— Nie możesz. — Kobieta spuściła głowę.

— Jak to nie mogę? — Alicja przewróciła oczami. — Jak chcesz, mamo, pójdę jutro. — Opadła zrezygnowana na dwie wysoko ułożone poduszki.

— Jutro też nie będziesz mogła, kochanie... — ściszyła głos matka. — Musisz teraz leżeć.

Alicja podniosła głowę i wbiła wzrok w kobietę.

— Jak zwykle przesadzasz — westchnęła. — Z gipsem można się poruszać, mamo, to nie średniowiecze.

— Przez trzy tygodnie...

— Jak to trzy tygodnie?! — przerwała jej, energicznie unosząc się na rękach. — Nie mogę wstawać przez trzy tygodnie? To absurdalne! Jeśli nie powiesz mi natychmiast prawdy, to poczekam do jutra, lekarz sam przyjdzie, a jak nie przyjdzie, to, jak taniec kocham, wstanę i sama do niego pójdę! Choćby na czworakach! — Poczzerwieniała i zaciskając usta, złapała za pulsującą nogę.

Do pokoju weszła pielęgniarka. Jej biały kitel pachniał spirytusem i nikotyną. Nie zwracając uwagi na Alicję, pstryknęła palcami w plastikowy woreczek kroplówki i wsunęła dłonie w kieszenie.

— Zapraszam do pana ordynatora — zwróciła się do matki Alicji.

— Przepraszam bardzo, ale może i ja się czegoś dowiem! — zaprotestowała dziewczyna, lecz nie zdążyła dokończyć. Wymiociny wypełniły jej usta, po czym przyozdobiły gips i prześcieradło żółtopomarańczowymi kleksami. Obie kobiety podskoczyły do łóżka: matka, aby podtrzymać Alicję, która wyczerpana osunęła się na łóżko, a pielęgniarka, aby podkreślić kroplówkę.

— Później zmienię pościel i podam jej coś na uspokojenie. Proszę się nie martwić — zapewniła. — Zapraszam ze mną, pan ordynator czeka.

Gdy Alicja oprzytomniała, w pokoju nie było nikogo. Czuła się nieco lepiej, a młodości zelżały. Spojrzała na budzik. Dochodziła czternasta. Czas wydawał się wlec niczym ślimak pod górkę. Zapragnęła niezwłocznie wybudzić się z tego koszmaru. Nie wyobrażała sobie leżenia, a co dopiero leżenia nieustannie przez trzy tygodnie. Co z teatrem? Straci rolę. Wyjdzie z formy. Wyrzucą ją. W najlepszym razie zwariuje! Musi coś zrobić. Cokolwiek. Przecież nie może leżeć jak kłoda! W przyływie adrenaliny wyciągnęła igłę z przegubu i owinęła go chusteczką. Czerwona kropka rozprzestrzeniała się w zaskakującym tempie. Spojrzała na gipsową statuetkę, niewzruszenie wyciągniętą tuż przed nią. Nabrała powietrza w płuca i przysunęła się do lewej krawędzi materaca. Powoli postawiła nogę na podłodze. Zimno posadzki sprawiło jej ulgę. Kończyna była całkiem pozbawiona siły. Obiema rękami chwyciła gipsową zbroję i zsuwając się z prześcieradła, ułokowała ją pionowo na metalowym kikucie. Spływająca do odrętwiałych kończyn krew oraz brak anestetyku spowodowały kompletną rewolucję w jej ciele. Szum

w uszach, zawroty głowy, powracające mdłości i co najgorsze, piekący do granic wytrzymałości ból w nodze. Zagryzła pełne strupków wargi i wstała. Zmiana ciśnienia prawie zwała ją na podłogę. W ostatniej chwili oparła się o ścianę i przymknęła oczy.

— To nic, dam radę — szepnęła.

Ostatnie lata pracy w teatrach i występy zagraniczne były okresem wycieńczającej, ale bardzo owocnej pracy. Nawet bez snu, jedzenia i z bólem wszystkiego potrafiła brnąć przez kolejne wielogodzinne próby, przedstawienia i długie podróże pomiędzy nimi. Liczyła się butelka wody, sproszkowany żeń-szeń, który kiedyś suszyła i ucierała babcia, oraz saszetki z miodem lipowym, zawsze znajdujące się w zasięgu jej ręki. Wyciskała go bezpośrednio na język i popijała. Energia powracała niemal natychmiast. Wiedziała, że jej siła napędowa drzemie w emocjach, które często skrywała, właściwie odkąd zginął Szymon. Jedyne muzyka, światła reflektorów i scena potrafiły je z niej ponownie wydobyć, a taniec ukazać prawdę. W takich chwilach jak ta zmęczenie i ból traciły swoją istotę, stając się mało znaczącym, nienazwanym odczuciem. Odczuciem, które znała. Ciało tancerza jest jak zbroja. Odporne na zadrapania, stłuczenia, ciosy, wygięcia, pchnięcia i przegięcia. Niestraszne mu są drzazgi z drewnianej podłogi, po której sobą pomiata. Niestraszna jest mu zimna, twarda, marmurowa posadzka, na którą pada jego prawie nagie ciało, ani chropowate, betonowe nawierzchnie, rwące kostium i skórę. Ciało tancerki nie boi się wbijanych paznokci, torturujących kostiumów i ekstremalnych temperatur. Ciało jest narzędziem pracy. Musi być sprawne, elastyczne i wytrzymałe. Ale nie tylko. Musi się również prezentować. A im piękniejsze, tym większe szanse na pracę ma tancerz. Nauczyła się akceptować fakt, iż podczas castingów najpierw oceniane jest narzędzie pracy, a dopiero potem praca. Przynajmniej tam, gdzie dostawała role. Bycie tancerzem to praca fizyczna. Wyczerpuje, eksploatuje ciało. Mikrourazy mięśni, nawarstwiające się latami. Wytarte chrzęści, pęknięcia w łakotkach, zwyrodnienia kręgosłupa, wypadające rotule ze stawów. Zwichnięcia, skręcenia, złamania... Rok po roku, systematycznie i skutecznie, tancerz zbliża się do końca kariery. Kto pracuje ponad miarę i za małe pieniądze, zbyt ciężko lub jest mniej wytrzymały, w wieku trzydziestu lat przechodzi na emeryturę. Nawet jeśli nie chce, często metryka nie pozostawia mu innego wyboru, musi poszukać sobie innego zajęcia. Tymczasem zbroja tancerza jest twarda i błyszcząca. Jej blask w światłach reflektorów oślepia widownię, mami. I tancerz walczy w swej zbroi piękny, dumny, bo wie, że nie zostało mu wiele czasu.

Ona wiedziała. Łza zawisała na jej rzęsie. Przetarła ją zakrwawionym przegubem i powoli wychyliła głowę za drzwi. Rozejrzała się po korytarzu. Na jego końcu dostrzegła grupkę osób. Bez namysłu ruszyła w ich stronę, podskakując na lewej nodze.

— Przepraszam... — Oddychała szybko i ciężko, próbując nie zwracać uwagi na uporczywy ból. — Szukam ordynatora.

Paniusie koło sześćdziesiątki, w bawełnianych sukienkach do pół łydki, z torebkami zawieszonymi na przedramionach, zmierzyły ją od stóp do głów z nieukrywanym mieszanym. Ich wzrok spoczął na fioletowej nodze, gipsie i skąpych szortach, skromnie osłaniających pośladki. Widząc ich zgorszenie, zorientowała się, że ma na sobie jedynie szorty i koszulkę. Zestaw pooperacyjny.

— Nie czuję się najlepiej — sapła, próbując wytłumaczyć swój wygląd. — Muszę iść niezwłocznie do ordynatora. — Skierowała prosiące spojrzenie na wychudzonego staruszka o smutnych oczach. Mężczyzna bez zbędnych pytań wskazał kościstym palcem koniec korytarza.

— Czwartą pokój na lewo.

Rysując gipsem podłogę, czuła, jak siły ją opuszczają. Będąc tuż przy trzecim gabinecie, usłyszała kroki na schodach. Przyłgnęła do ściany. Dwie pielęgniarki głośno rozprawiające między sobą zatrzymały się przy windzie. Za zasuwającymi się drzwiami cichły śmiechy. Bez

zastanowienia otworzyła pierwsze napotkane drzwi i ukryła się tuż za nimi. Pomieszczenie było duże, pełne pudeł i odoru leków. Coś w rodzaju magazynu szpitalnego. Jedyne światło dochodziło z głębi. Szurając gipsem, skierowała się ku niemu, aż wyrosły przed nią podwójne ciężkie drzwi z kwadratowym okienkiem pośrodku, które przywodziły na myśl więzienną celę.

Poczuła się nieswojo.

Wyciągnęła rękę, aby je pchnąć, gdy nagle usłyszała głosy dochodzące ze środka. Jeden z nich wydał się jej znajomy. Mama?

Przycisnęła ucho do zimnej powierzchni, zza której dobiegały zniekształcone dźwięki. Przybliżyła więc głowę do matowego szkła w górnej części wejścia i przytulając się do ściany, wreszcie mogła rozróżnić słowa.

— Panie doktorze, jest pan pewien? — Rozpoznała głos matki.

— Przykro mi. — Głos mężczyzny był spokojny, ale stanowczy.

— To co ja jej teraz powiem? — Słowa kobiety załamały się i nastąpiła cisza.

Alicja poczuła pętlę na gardle.

— Prawdę — oznajmił mężczyzna. — Że już nigdy nie będzie tańczyć.

*Dwa lata później*

Przebieralnię wypełniał zapach tanich perfum, talku i potu. Długie drewniane ławy podpierały ściany, nadając pomieszczeniu głębi. Wypłowiwała i miejscami podrapana tapeta w pasy przeglądała się w ustawionych naprzeciw lustrach. Okalające je żarówki migotały co jakiś czas i blakły, gdy w gmachu teatru rozbrzmiewała muzyka.

Wszędzie leżały porzucane koszulki, bawełniane rajtuzy z lycrą, dresy, getry, elastyczne bandaże, buty, kosmetyki i kipiące torby sportowe. Torby. Garb tancerza, często jedyny majątek, na który składały się buty. Te nadające się do czegokolwiek, w cenie całorocznego abonamentu na siłownię lub bonu na śniadania w mensie uniwersyteckiej. Te z wyższej półki, wartości prawie miesięcznego czynszu lub czterech zaległych rachunków. Cykl masaży u jednego z lepszych rehabilitantów albo dwie nowe opony do auta, które Alicji wystarczałyby na wiele lat. Na butach nie warto oszczędzać. Kto chce tańczyć zawodowo, tańczyć lepiej, wygodniej, a przede wszystkim bezpiecznie, musi wydać sporo pieniędzy. Buty mają za zadanie pomóc w przyczepności i utrzymaniu równowagi. Umożliwić odbicia i ułatwić kręcenie piruetów i choć niekoniecznie muszą być ładne, ten aspekt jest wbrew pozorom istotny.

Jedną z licznych niewiadomych w zawodzie tancerza jest nawierzchnia, na której przyjdzie mu pracować. But nie może zawieść. Musi sprawdzić się w każdych warunkach. Musi objąć stopę z uczuciem i jak rodzic dać jej poczucie bezpieczeństwa. Musi chronić podbicie, kostki i kolana. Spełniać funkcję amortyzatora. I nie śmierdzieć. Tancerz poci się obficie, często cały dzień, i jego stopy też, a buty są drugą skórą i jak o własną skórę trzeba o nie dbać. Dziesiątki przesłuchań, edycji i pokazów, setki godzin prób czasem bez osiągnięcia zamierzonego rezultatu, a buty mogą przeżyć średnio sześć miesięcy intensywnej pracy. Starzejąc się, zmieniają kształt, przyczepność i nie spełniają więcej swojego zadania. To moment poważnych wydatków.

Rzadko się zdarza, że tancerz wyrzuca swoje „przepracowane” baletki, jazzówki czy sneakersy. Buty są częścią wspólnie przetańczonej drogi, przechodzą na emeryturę i zajmują honorowe miejsce w skrzyni na poddaszu (jeśli je mamy) wraz z innymi, tworzącymi historię krótkiej, ale pięknej kariery, przedmiotami: kostiumem do pierwszego w życiu przedstawienia, czarno-białym plakatem Maurice’a Bójarta i kasetą magnetofonową z *Dirty Dancing*. Alicja przepawiła się przez środek garderoby, odgarnęła przykrywające ławkę ubrania i usiadła w kącie. Deska zaskrzypiała żałośnie.

„Co ja tu właściwie robię” — pomyślała. „Nawet nie wiem, jak się tańczy rewie”. W Paryżu była przejazdem, Moulin -Rouge widziała tylko w telewizji — z dezaprobatą pokręciła głową. Czuła się nieswojo. Nie przywykła do pracy z tancerzami klasycznymi, modelkami i pozbawionymi skrupułów debiutantkami. Kiedyś studiowała klasykę, bo jej potrzebowała jak alfabetu, by móc zacząć czytać, ale wybrała inną drogę. Taniec nowoczesny, contemporary, street dance, te style szybko odnalazły miejsce w jej duszy, a ona na deskach musicali. Przez lata ciężko pracowała, aby swoją pasję i serce zaprowadzić przed publiczność. I była blisko. Jednak tym razem wszystko wyglądało inaczej. Ona czuła inaczej. Chciałaby natychmiast wybiec z ponurych sal teatru, ale nie miała wyboru. Ostatnie wydarzenia zmusiły ją do zmian. Potrzebowała tej pracy. Była jak kopciuszek w zapoconym podkoszulku, który z tanecznych slumsów przez pomyłkę trafił do bawialni dla bogatych, błocąc salony o lśniących podłogach, po których z egzaltacją sunęły długonogie barbie. Tancerki mające bogatych rodziców i dyplomy elitarnych uczelni w miejsce talentu. Idealne ciała, puste głowy i wysuszone serca.

Jej myśli przerwała muzyka. Ściany zadrżały, a światło migotało rytmicznie. Rozpoczęły się nabory. Przelknęła ślinę. Pospiesznie zrzuciła kurtkę, zdjęła spodnie i otworzyła torbę. Naciągnęła czarne getry, buty do jazzu — jedyne buty z obcasem, jakie miała — i wsunęła torbę pod ławkę. Spojrzała na prawą nogę. Wyglądała tak samo jak lewa, ale Alicja widziała ją inaczej.

Już zawsze tak będzie. Oparła stopę na podwyższeniu i przyciągnęła klatkę piersiową do kolana. Ściągną były nieco sztywne, ale nie bolały. Oddychała głęboko i regularnie, masując delikatnie udo.

Do przebieralni wbiegła młoda dziewczyna.

— Ty na przesłuchanie? — spytała zadyszana.

Alicja kiwnęła głową.

— No to chodź! Zaczynają! — rzuciła między jednym łykiem wody a drugim i wybiegła.

Z bijącym sercem Alicja ruszyła za nią. Zeszła po schodach i podążyła w kierunku muzyki. Korytarz pochłaniała ciemność, ale idąc w stronę narastającego hałasu, zdołała dostrzec welurowe zasłony. Odsunęła połę. Kurz zakręcił jej w nosie i kichając, weszła na scenę.

Na pierwszy rzut oka teatr robił wrażenie. Sala była duża, o nisko podwieszonym suficie, bogato rzeźbionym i inkrustowanym masą perłową. Małe światełka w formie gwiazdek migotały natarczywie, a nieco większe kameralnie rozświetlały dwu-, cztero- i sześciuosobowe stoliki. Obite rubinowym welurem podłogi zachęcały do zdjęcia butów i spacerowania na bosaka. Na każdym stoliku leżał złożony koronkowy obrus i stała lampka. Scena, półokrągła i drewniana, przyozdobiona ogromnymi, czerwono-złotymi kotarami, imitowała siedemnastowieczną operę. Tego typu miejsc Alicja widziała na tyle dużo, by odgadnąć, iż teatr w świetle dnia jest śmierdzącą tłuszcem z kotletów i bez gustu knajpą, która tylko po zmroku, dzięki odrobinie iluminacji i dekoracjom, zamienia się w ekskluzywną rewię.

Na sali panował gwar. Było już dwadzieścia po szóstej i nadszedł czas na ostateczne decyzje, typu „nogi za pas”, „kryć się, kto może” lub „niech się dzieje, co chce”. Jednak żadna z opcji nie przekonywała Alicji. Stała w ukryciu, pełna wątpliwości. Wzrokiem prześledziła tłumek osób, zgromadzony przed sceną, w poszukiwaniu wsparcia, kogoś, kogo mogła znać, komu mogłaby zaufać. Choć jednej znajomej twarzy.

Nadaremnie.

Przy barku rozgrzewały się trzy baletnice, jakby żywcem wyrwane z kolorowego magazynu o balecie. Ubrane w jasnoszare trykoty, czarne lub blad różowe getry i drogie baletki od Capezio, nieoficjalnego wyznacznika lukratywnej aktywności zawodowej tancerza lub, częściej, jego rodziców. Zauważyła ich wymalowane ładne i wredne buzie. Lalki. Nie mogła liczyć na nikogo. Jej być może zbyt oryginalna uroda wprawiała ludzi w zakłopotanie i nigdy nie mijali jej obojętnie, jednak fakt, że nie była ani bogata, ani zarozumiała, ani pewna siebie i — co najbardziej ją w tej chwili deprymowało — nie była baletnicą, w przedbiegach wykluczał ją ze środowiska. Tancerka bez dyplomu szkoły baletowej — dla wielu tancerzy znaczyło to tyle samo co nieistnienie na rynku pracy. Co prawda Alicja nie narzekała na brak ofert, dopóki miała dwadzieścia pięć lat, ale po wypadku wszystko zaczęło się komplikować. Talent i miłość do tańca były jej paszportem, z którym przekraczała wszystkie granice. Przynajmniej do tej pory. Dlaczego tym razem miałyby być inaczej? „Bo tym razem wszystko jest inaczej” — pomyślała. Zaciśnęła usta i stanowczo ruszyła przed siebie.

Przy zewnętrznym stoliku w głębi widowni siedział chłopak. W zamyśleniu obserwował przygotowania przed sceną. Jasnozłociste włosy dodawały szlachetności jego rysom, a bardzo gładka, oliwkowa skóra z pewnością odejmowała lat. Sprawiał wrażenie zamyślnego i wyglądał, jakby był zmieszany, więc pewnie dlatego zdecydowała się podejść. Ona też tak się czuła. Poza tym jako jedyny na sali nie wyginał rąk i nóg we wszystkie strony.

— Cześć. Mogę? — Położyła ręcznik na krześle obok.

— Tak, oczywiście proszę, proszę.

Nie patrząc na nią, przesunął kurtkę na blacie stolika, robiąc aż nadto wolnego miejsca. Coś znajomego emanowało z chłopaka, co dodawało jej otuchy. Nie mogła oderwać wzroku od harmonijnego profilu. Zapatrzone na podekscytowanych tancerzy, co jakiś czas przeganiał natarczywy kosmyk z twarzy. Nie odzywał się.

Alicja zrzuciła bluzę i zaczęła rozgrzewać nogi.

Zawsze błyskawicznie przygotowywała się do próby. Przynajmniej w tym nie miała sobie równych. Lata pracy w kraju i za granicą nauczyły ją autodyscypliny. Poniekąd każdy tancerz ją miał, ale ona знаła swoje braki i zawsze starała się nadrobić je w inny sposób. Zaraz za miłością do tańca i pasją podążała sumiennie. Zwykły dzień prób przewidywał dwie, czasem trzy rozgrzewki, ale bywały i takie okresy, jak tournée z musicalem po Azji, gdzie częściej przebierała się i rozgrzewała, niż występowała. Gdyby płacono jej wtedy za samo zmienianie ubrań, być może dołączyłaby do setki najbogatszych Polaków.

— Ty na casting? Jasne! Głupie pytanie... Skąd jesteś? — Cichy jak dotąd współużytkownik stolika wyciągnął rękę w jej stronę, nadal nie odrywając wzroku od gwarzącego tłumku przy scenie. Pytanie przywołało Alicję do rzeczywistości, gdzieś, gdzie niekoniecznie chciała być. — Mateusz. Ja z Malborka — dodał, uśmiechając się uprzejmie, lecz bez zaangażowania. Od razu zauważyła, że nie pochodzi stąd. Brak sztuczności, snobizmu, bez lokalnie przyjętego nadęcia — to go zdradzało po kilku minutach znajomości. Ciągnął, nie czekając na odpowiedź, jakby ciężar jego przemyśleń był nie do udźwignięcia dla jednej głowy. — Nie wiem, czy zostanę. Nie tak to miało wyglądać. — Pokręcił głową. — Zupełnie nie tak. — Mówił, jakby rozmawiał sam ze sobą. W rozkoszny sposób dmuchał przez lekko zaciśnięte usta, aby się pozbyć z prawego oka bujnego blond kosmyka. — Tańczysz? Śpiewasz? Po jakiej szkole jesteś? Już z nimi pracowałaś?

— Nie przebierasz się? — Przerwała lawinę pytań.

Po raz pierwszy spojrzał na nią z uwagą.

— O Boże! — Machnął ręką, jak gdyby przeganiał muchę. — Gdzie moje maniery!

Mateusz — przedstawił się ponownie, zeskakując z krzesła na równe nogi. — Ale mów mi Mati — dodał, ukazując szereg nieskazitelnie białych zębów.

— Alicja. — Wyciągnęła rękę szczerze rozbawiona zachowaniem chłopaka. „Jeśli wszyscy są tak uprzejmi i zabawni w Malborku, to chyba się tam przeprowadzę” — pomyślała.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. W końcu dziewczyna puściła jego spoconą dłoń.

— Masz zamiar tańczyć w dżinsach i marynarce? — spytała.

Mateusz wpatrywał się w nią nieprzerwanie. Jedna brew wspięła się na środek czoła.

— Ej, Mati! — Roześmiała się.

Potrząsnął głową, lekko zażenowany. Nagle zapomniał o przesłuchaniu, teatrze i nawet przestał interesować się zamieszaniem wśród artystów. Patrzył na nią i znów mówił. Dużo.

— Boże, ale masz nieziemskie oczy!

Teraz przyglądał się Alicji z ciekawością, skanując dziewczynę od stóp po czubek głowy i śledząc każdy jej ruch.

— Powaga, nigdy takich nie widziałem! — oznajmił ze szczerością pięcioletniego dziecka.

Nie zareagowała. Uśmiechała się jedynie, dociągając nogę do ucha. Przywykła do podobnych reakcji i z czasem przestała na nie zwracać uwagę. Jej myśli krążyły po scenie.

— Rozumiem! Świetne posunięcie! Że też sam na to nie wpadłem! — Ożywił się, celując palcem wskazującym ku górze. — Trudno zostać niezauważonym z takim fosforyzującym

spojrzeniem — przyznał. Ściszył głos i przysunął się do niej przymilnie. — Zdradzisz mi, gdzie kupiłaś takie odlotowe soczewki?

— Wszyscy na scenę! — rozległo się między łozami.

Alicji zeszywniały mięśnie. Ściągnęła gumką ciemne, wiśniowe włosy w ogon i puściła oko do Mateusza.

— Powodzenia!

Artyści zgromadzili się w objęciach kurtyny. Nikt nie rozmawiał z nikim ani się nie uśmiechał, wszyscy nerwowo rozgrzewali kostki, kręcąc nimi niczym śrubo-krętami.

W powietrzu rozniosła się woń potu. Ściśnięci jeden przy drugim, jak sardynki w puszcze, z uwagą śledzili każdy ruch przy stoliku w pierwszym rzędzie w oczekiwaniu, aż padnie ich nazwisko. Na ciężkich sofach ze skóry siedziało trzech mężczyzn. Wymieniając krótkie informacje i porozumiewawcze spojrzenia, co chwila zerkali na zegarki. Dziś to oni mieli zdecydować o najbliższej przyszłości przybyłych na rekrutację. Obejrzeć ich, wysłuchać i ocenić — nie zawsze sprawiedliwie. Jeden z członków jury cisnął plikiem kartek o stół i wstał, rozglądając się nerwowo. Trudno było usłyszeć z tej odległości, o czym mówił, ale jego twarz zmarszczyła się w grymasie niezadowolenia. W tym samym momencie drzwi teatru otworzyły się z impetem i z półmroku wyłoniła się smukła sylwetka. Wkroczyła zamasyście i widowiskowo, stukając spiczastymi szpilkami. Lejący płaszcz z miękkiej skóry powiewał za jej plecami niczym flaga zwiastująca sztorm. Po wnętrzach teatru rozniósł się ciężki aromat perfum Poison.

— Iza! — Jeden z mężczyzn siedzących przy stoliku skoczył na równe nogi. — Wreszcie!

Pozostali zmierzili ją wzrokiem, jak gdyby uznali milczenie za jedyny sposób umożliwiający rozpoczęcie przesłuchania. Kobieta z nonszalancją uwolniła ramiona z objęć płaszcza, pozwalając, by powoli ześlizgnął się po nich. Jej głęboko czarne, proste i nieskazitelnie ułożone za ucho włosy odbijały światła z ramp, do złudzenia przypominając perukę. Uporczywie zagryzała dolną wargę, całkowicie pozbawiając usta krwistoczerwonej szminki. Nikt nie miał pojęcia, co chodzi jej po głowie. Zmroziła wszystkich spojrzeniem, któremu nic nigdy nie umyka, i zanim się odezwała, wyjęła papierosa i go zapaliła. Zaciągała się powoli, jakby za pierwszym wdechem chciała go pozbawić całej nikotyny.

— A więc? — Uniosła brwi. — Na co czekamy?

Tancerze rozproszyli się po parkiecie, wyprostowali plecy i ustawili się na wcześniej wskazanych miejscach.

— Pokażę wam fragment choreografii. Najpierw spróbujemy razem z muzyką, a później wy sami. Czy to jest jasne? — Nie czekając na pytania, a tym bardziej na odpowiedzi, odwróciła się plecami do tancerzy. Potok francuskich komend zalał scenę, gdyż kobieta tylko częściowo demonstrowała kroki. Na coś bardziej skomplikowanego od układania rąk nie pozwalała jej krępująca sukienka i szpilki.

Alicja poczuła się jak na musztrze.

— Pozycja, dwa kroki w przód, *soutenu. Pas de bourrée, rond de jambe*, dwa piruety, ale w ten sposób. Ręka w bok, obrót, *battement*... — Czerwone lakierowane szpilki połyskiwały w rytm płynnych ruchów. Alicja wodziła za nimi oczami, próbując skupić się na krokach. Minęło zbyt wiele czasu, odkąd pobierała prywatne lekcje baletu po francusku. Pamiętała nazwy podstawowych pozycji, ale w tempie po prostu nie nadążała z ich odtwarzaniem.

— Raz, dwa, trzy... dynamicznie! — rozbrzmiewało, odbijając się echem od ścian pamiętających PRL-owskie uroczystości.

Kilkadziesiąt osób synchronicznie powtarzało kroki, co jakiś czas gubiąc się i tym samym

wprowadzając lekki zamęt. Z każdą chwilą ruchy tancerzy nabierały pewności. Można było dostrzec, że nie liczą już sumiennie taktów i nie myślą o poszczególnych figurach, tylko dają się ponieść muzyce. A ponieważ poziom techniczny i temperament tańczących różniły się drastycznie i brakowało tego, co artyści nazywają zgraniem, możliwym do osiągnięcia jedynie długotrwałą współpracą, efekt pozostawiał wiele do życzenia. Ktoś jęczał nadepnięty ostrym obcasem charakterki. Inny kłął pod nosem, trzymając się za załzawione oko. Ktoś inny leżał pomiędzy błędzącymi nogami tancerzy, krzywiąc się po widowiskowym upadku.

Doprawdy przedstawienie przed przedstawieniem.

Wtem muzyka umilkła.

Iza wkroczyła na środek sceny i obrzuciła parujących jeszcze tancerzy pogardliwym spojrzeniem.

— Ale się zataczacie! Jak banda amatorów! — Okrzyki przecięły ciszę jak sztyletem. — Co to ma być, do cholery! Więcej lekkości, wdzięku! To jest rewia, na litość boską — wycedziła. — Jeszcze raz!

I znów rozbrzmiały francuskie kabaretowe hity.

Tancerze przyjęli pozy, wyciągając szyje i wypinając piersi. Wraz z pierwszymi akordami ruszyli pewniej, aż kurz uniósł się nad parkietem. W wielkim skupieniu śledzili każdy ruch kobiety, próbując zająć miejsce jej cienia. Ich ciała, naznaczone sztuką wieloletniego wysiłku, falowały niczym sprężyste jodły na wietrze, jedynie twarze pozostały ściągnięte skupieniem i nieruchome. Nie minęło dwadzieścia minutach, a pojawiła się na nich gruba warstwa potu odbijająca światła. Bez względu na rodzaj cery czy użytego podkładu wszyscy świecili się jednakowo. W powietrzu gromadziła się wilgoć nadmiernie wydzielanego potu i ciepło bijące od coraz dynamiczniej poruszających się ciał.

Alicja lubiła ten zapach i atmosferę, jaka towarzyszyła długim, intensywnym próbom. Uwielbiała się pocić, tańcząc aż do wyczerpania sił, i czuć mokry kostium przylegający do skóry. Jednak jej twarz tym razem była zroszona potem nie tyle z powodu wysiłku, ile dręczącego ją stresu.

— Stop, stop, stop! Wystarczy! — Iza poderwała się od stolika „sędziowskiego”, potrząsając z dezaprobatą głową. — Widać, że większość z was nie miała nigdy do czynienia z tańcem rewiowym — stwierdziła. — Muszę wam zatem uświadomić, że rewia to nie tylko pióra wpięte w tyłek, wysokie obcasy i parada po scenie. — Zatrzymała się i znów zapaliła papierosa, pozbawiając sapiących tancerzy resztek tlenu. — To także wdzięk, gracia i styl. To bardzo ciężka praca — podkreśliła. „Prężenie się i pozowanie w piętnastocentymetrowych szpilach, z gigantycznym pierzastym kuprem, to faktycznie ciężka praca” — pomyślała Alicja.

Iza spacerowała tam i z powrotem.

— Czeka was mnóstwo pracy, choć osobiście uważam, że tancerze z doskonałym przygotowaniem technicznym nie powinni mieć większych problemów z opanowaniem mojej choreo-grafii. — Wydmuchała dym wprost na scenę, niknąc w szarych kłębach. — A teraz czas na kankana! Nie ma rewii bez kankana. A ponieważ ja, Kacper i pan Witek — mówiąc to, skierowała się w stronę mężczyzn siedzących przy stoliku — mamy taką ambicję, aby przenieść choć namiastkę oryginalnej, paryskiej rewii do tego lokalu, dlatego nie tylko zatrudniliśmy -Pierre’a, jednego z najlepszych francuskich choreografów — wskazała ręką łysego mężczyznę, samotnie siedzącego na kanapie — ale także podpiszemy kontrakt wyłącznie z tymi tancerzami, którzy zatańczą go po parysku. Pięć minut przerwy!

Odwróciła się na pięcie i sięgnęła po zapalniczkę leżącą na stoliku. Podgrzała dogorywającego papierosa, sama kompletnie znikając za chmurą siwego dymu. Zasapani tancerze przez moment stali w bezruchu, spoglądając po sobie pytająco i prawdopodobnie



rozważając możliwość niezwłocznego skierowania się do wyjścia. Inni uzupełniali płyny z plastikowych butelek z dzióbkiem, opierając nogi o ściany, tapczany, poręczę i praktycznie, o co się dało. Rozmasowując łydki i osuszając mokrą skórę, starali się zapanować nad swoimi ciałami, myślami, a właściwie nad najbliższym życiem. Po chwili wrócili na scenę, jeszcze bardziej skoncentrowani, a żwawa, skoczna muzyka porwała ich do tańca. Nogi poleciały w górę. Z początku wyglądało to tak, jak gdyby ścigali się z muzyką. Nieubłagane tempo kankana wycisnęło z nich ostatnie krople potu. Oddychali ustami, a policzki tancerzy zabarwiły się na czerwono. Kiedy wreszcie zapamiętali kroki, Iza oznajmiła, że każdy zatańczy sam. W ten sposób będzie mogła dokonać ostatecznej selekcji.

Alicję przebiegł dreszcz. Po drugiej, krótkiej przerwie kolejne osoby wspinały się na środek sceny, aby zmierzyć się z własnymi słabościami i szaloną kompozycją Offenbacha. Nawet ci doskonale przygotowani technicznie często znajdowali się w opałach, gdy muzyka w tempie galopu nie dawała im czasu do namysłu. Kroki, na pierwszy rzut oka proste, wymagały nie tylko ekstremalnego rozciągnięcia, ale dosłownie dynamitu w nogach. Producentka komentowała każde wystąpienie, rzadko znajdując mocne punkty tancerzy, po czym odsyłała ich pod ścianę, trzymając w niepewności.

W końcu wyczytano Alicję. Weszła na scenę ze spuszczonego wzrokiem. Chciała, aby komisja skupiła się tylko na jej tańcu, choć dla niej kankan przypominał bardziej gimnastykę artystyczną albo maraton. Dano znak i muzyka wpadła na scenę w miejscu, w którym ją przerwano. Alicja zatańczyła pierwszą linię, lekko chwiejąc się na palcach, gdy wyrzucała nogi raz za razem, nie dając rytmowi za wygraną. Nieoczekiwanie dla wszystkich rozległo się gromkie „Stop!”. Alicja wykręciła piruet i zdążyła jeszcze machnąć nogą, zanim się zorientowała, że tańczy bez akompaniamentu. Zatrzymała się i wtopiła pytający wzrok w producentkę.

Iza siedziała pochylona nad stolikiem. Przeglądała plik arkuszy, jakby czegoś szukała, a wszystkie oczy śledziły w milczeniu ruch przerzucanych kartek. Chwila ta trwała nieskończenie długo, nie na żarty terroryzując Alicję.

— Nie widzę... — mamrotała pod nosem kobieta, nie odrywając oczu od kwestionariusza. — Jaką szkołę baletową ukończyłaś? — Uniosła spojrzenie znad kartki i przywaliła nim Alicję. Na sali słychać było jedynie nierówne oddechy tancerzy, ale jej się zdawało, że wszyscy wsłuchują się w bicie jej serca, w nierówny oddech. Nie mogła zebrać myśli, nie umiała dobrze „sprzedać się” ani powiedzieć czegoś sensownego na zawołanie. Poczula, jak się kurczy na opustoszałej scenie.

— Nie dosłyszałam, mówiłaś coś?

— Ukończyłam dwuletnie studium tańca Emèlie Leroux, letnie konserwatorium w Luksemburgu, roczną akademię tańca nowoczesnego w Gdyni i...

— Chyba nie rozumiałaś pytania. — Iza przerwała jej, głośno stukając długim paznokciem o szklany stolik.

Alicja poczuła, jak śniadanie skutecznie wędruje z jej żołądka do przełyku, a każdy oddech pogarsza sytuację.

— Interesuje mnie twoje wykształcenie klasyczne, a nie pozaszkolne kursy.

Znów zapanowała nienaturalna cisza. Nawet oddechy umilkły. Alicja nie miała odwagi spojrzeć w stronę kolegów. Czula na sobie ciężar ich wyczekujących spojrzeń. Atmosfera gęstniała jak kisiel, a ona zapragnęła zapaść się pod scenę. Próbowwała się skupić, odpowiedzieć coś właściwego i chciała, aby chwila ta wreszcie minęła, ale czas jak na złość właśnie teraz przestał biec.

Organizatorzy zaczęli szeptać między sobą.

— Ja ją chcę — oznajmił zniżonym głosem Pierre, przysiadając się do głównego stolika.

— Za niska i nie jest klasyczką, odpada — zaprotestowała Iza, nie racząc go spojrzeniem.  
— To nie balet w Teatrze Wielkim, tylko rewia. — Kacper czuł, że musi zainterweniować.

— Moim zdaniem rusza się świetnie — kontynuował -Pierre. — No i spójrzcie na te oczy. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem.

— Ona ma tańczyć, a nie trzepotać rzęsami!

— Także trzepotać rzęsami. I to sztucznymi. Czyżbyś zapomniała, kochanie, że to jest rewia, a nie *Jeziro labędzie*? — Kacper po dwudziestu latach małżeństwa czuł, że nadal nie ma nad nią najmniejszej kontroli.

— Jak chcesz — ucięła. — W każdym razie szukamy zawodowych tancerek, a nie amatorów, czyż nie? — skierowała te słowa w stronę pulchnego mężczyzny siedzącego obok Kacpra.

— Iza ma rację. Jest za niska. — Chrząknął Witold. — Chcę wszystkie tancerki wysokie i długonogie. — Jego głos, kompletnie pozbawiony emocji, rozdrażnił Kacpra, który uniósł leżący przed Izą kwestionariusz i przeczytał na głos:

— Sto sześćdziesiąt sześć centymetrów. Owszem, trochę niska. Damy jej wyższe buty.

— Ja chcę tę dziewczynę w głównym składzie — przerwał im -Pierre, nieco zaskoczony dziwnym rozumowaniem. — Chcecie, żebym stworzył wam choreografię na miarę paryskiej rewii? Czyż nie po to mnie zatrudniliście? *Va bien!* — Wstał od stolika, zrobił dwa kroki, po czym wrócił i nachylił się nad nimi. — Potrzebuję stymulacji twórczej, muzy, odmienności. Nazywajcie to, jak chcecie, ale ona tym z pewnością jest! *Mon Dieu!* Jest inna! — Jego twarz poczerwieniała aż po łyse czoło.

— Owszem, Pierre. — Iza podeszła bliżej, ścisząc głos. — Zatrudniłszy właśnie ciebie, bo jesteś jednym z najlepszych paryskich choreografów, a nie dlatego, że umiesz rozpoznać talent. To zostaw mnie.

Na twarzy -Pierre'a malował się surowy rys. Kiedy patrzył na Izę z tak bliska, drgała mu powieka. Słowa kobiety potrafiły ranić wszystkich, tylko nie jego.

— Talent... — Objął dłonią brodę i uniósł głowę, po czym spojrzał w stronę Alicji, kobiecej, za niskiej, wyłamującej palec za plecami. — Rzeczywiście nie tańczy klasycznie, ale z temperamentem. W jej tańcu widać serce, ale cóż, kto go sam nie ma, u innych tym bardziej go nie zobaczy.

Iza spojrzała na niego, zaciskając wargi.

— Spójrzcie na pozostałe tancerki. — Bez oglądania się za siebie wskazał grupę tancerzy, śledzących każdy ich ruch. — Wszystkie są takie same! Równiutkie jak odrysowane od linijki. Przewidywalne w ruchach. Nudne!

Kacper kiwał głową, aprobując każde słowo. Iza splotła ręce na piersi. Jej nozdrza się powiększyły. Witold beznamiętnie studiował nogi tancerek.

— Zgodnie z wymogami rewii — skwitowała Iza i utkwiała w Kacprze wyczekujące spojrzenie. — To ja miałam zdecydować o składzie, pamiętasz?

Kacper wywrócił oczami i uniósł brwi aż do samych włosów. Nie umiał przeciwstawić się żonie, nawet gdy nie miała racji. Już dawno temu się poddał. Jego chude i długie ciało zwiślało na krześle zrezygnowane. Właściwie wszystko miał długie. Nogi i ręce, zgrabne i lekkie w ruchach, zdające się nic nie ważyć. Długie włosy, lekko srebrzyście przyprószone za uszami, zebrane w koński ogon, snujący się na plecach jak trzciny wąż. Z twarzy mężczyzny wyrastał nos z charakterem i garbem, oczywiście długi. Palcami zaś, jakie miał, mógłby zdobyć sławę niejeden pianista. Pamięć także miał wystarczająco długą, aby nie zapomnieć o tym, że szalona miłość do żony zrujnowała jego rozkwitającą karierę baletmistrza i unieszczęśliwiła go pewnego

szarego jesiennego dnia w Paryżu.

Tymczasem Pierre zdążył się zorientować, kto w teatrze pociąga za sznurki. Pieniądze nalanego osobnika bez pojęcia, jaka jest różnica między obrotem a piruetem i co to jest puenta, miały jak zwykle ostatnie słowo. „Kacper, cóż, właściwie nie ma tu najwyraźniej nic do powiedzenia” — pomyślał. To dopiero pierwsza próba, a już powróciły stare wspomnienia. Niewiele się zmieniło od czasów, kiedy to on żył od przesłuchania do przesłuchania, przemierzając niejednokrotnie setki kilometrów dziennie. Śpiąc w samochodzie i jedząc wyłącznie *baguette*, dawał poniżać się ważniakom z wypchanymi kieszeniami, aby udowodnić swój talent. Usiadł obok Witolda i patrząc mu prosto w krągłą twarz, spytał:

— Długie nogi? Hmm. Chcecie zorganizować pokaz mody z udziałem szkolnego baleciku czy nowatorskie przedstawienie rewiiowe pełne dynamizmu, wyobraźni i pasji?

— Niby ona ma pasję? Dajże spokój, Pierre! — wzburzyła się Iza.

Pierre kompletnie nie zwracał na nią uwagi. Próbował odwołać się do wątpliwej wrażliwości twórczej Witolda. Przybliżył się do sponsora. Zapach potu i wody kolońskiej wypełnił jego nozdrza. Skrzywił się.

— To tak, jakby do nudnego, klasycznego dania wrzucić orientalne przyprawy. Coś zaczyna się dziać! Powstaje nowatorskie danie. Nie mówię, że lepsze, ale ciekawe! A rewia, *mes chers amis* — spojrzął na Kacpra i Izę — jest taką właśnie miksturą klasyki i nowoczesności. Jej komponenty muszą wyróżniać się niczym czarne róże w kolorowym bukacie! — Zbliżył się do Witolda. — Na innowacyjności się zarabia.

Witold, obły jegomość koło pięćdziesiątki, cudem wciśnięty w czarny, elegancki garnitur, nawet nie próbował ukryć, że spostrzeżenia -Pierre'a są mu kompletnie obce. Nie miał pojęcia ani o tańcu, ani o garniturach, ale miał rewię, piękne, długonogie tancerki i jednego z najlepszych paryskich choreografów w kieszeni. Wodził ruchliwymi, lekko zapadniętymi oczkami po sali, a raczej po skąpo odzianych tancerkach, i jego milczenie przesiąkało atmosferę obojętnością. Na argumenty -Pierre'a cmoknęła tylko pod nosem:

— Ja wolę schabowego.

Francuz spojrzął na sponsora z nieukrywaną chęcią zrzucenia jego tłustego zadka z fotela i skopania go, zdawał sobie jednak sprawę, że pokrzyżowałoby to jego plany.

Zanim ponownie otworzył usta, Iza sprytnie przejęła kontrolę nad sytuacją. Odwróciła się do sceny i rzekła:

— W razie co oddzwonimy. Na chwilę obecną dziękujemy. — Wstała i schyliła się po zapalniczkę, ale zanim zapaliła papierosa, rzuciła jeszcze w stronę znieruchomiałej Alicji: — Ach, i jeszcze jedno! Na przyszłość, wypełniaj kwestionariusz do końca. Brakuje daty urodzenia. — Przypaliła papierosa i ostentacyjnie wydmuchała dym w kierunku sceny. Alicja poczuła, jak pieką ją policzki. Stała nieruchomo, jakby wrosła w ziemię, nie mogąc zrobić kroku, aż wywołano kolejną osobę. Nie żegnając się z nikim, opuściła teatr.

W trakcie dłuższej przerwy wszyscy rozeszli się po teatrze, jedni, by pójść do toalety lub rozprostować kości, inni przed gmach, żeby sobie zapalić i rozładować stres. Pierre został sam. Rozsiadł się wygodnie na sofie, wyciągając nogi i splótł ręce za głowę. Lekko wytarta czarna skóra zatrzęszczała pod nim. Przymknął oczy. Sprawy nie toczyły się po jego myśli, ale przywykł, że życie jest niekończącą się walką. „To mogłoby pomóc sprawie” — pomyślał. Spojrzął na porozrzucane na stoliku kartki.

Białe arkusze przykrywały blat i tylko jeden spośród nich był wyraźnie pogięty. Nie zmieniając pozycji, wyciągnął rękę i przysunął podanie bliżej. Przeczytał zawartość wielokrotnie, po czym jego wzrok zatrzymał się na lewym rogu kartki. Przymknął ponownie oczy i powtórzył numer w pamięci.



Obudziła się o jedenastej z podkrążonymi oczami i koszulką przyklejoną do ciała. Na sponiewieranej poduszce pozostawiła cały żal poprzedniego dnia. Plamy z resztek makijażu zatopionego w łzach i pocie zdobiły jasną poszewkę intrygującymi wzorami. Obróciła się do okna i utkwiała wzrok w firance. Kremowa, przezroczysta tkanina, co chwila podrywana przez letni wiatr, objawiła się w jej złotych oczach jako para tańczących kochanków. Rozgoryczenie zacisnęło jej gardło, chwyciła wilgotny jasiek i cisnęła w stronę okna.

„Dosyć! Koniec z tańcem!” — krzyczała w głębi serca, ale jej usta milczały.

Jak się czuła? Oszukana? Upokorzona? Pokonana? Tak. Z pewnością pokonana.

Po raz pierwszy. Jedyne szansa powrotu na scenę rozprysła się na milion kawałeczków jak szklanka upadająca z dużej wysokości. Ona była tą szklanką. Pustą i potłuczoną.

Nie powinna rozdrapywać starych ran. Pomimo tylu lat są nadal zbyt świeże i bolą.

Jej życie już nigdy nie było takie jak wcześniej. Wraz z Szymonem umarli radość, ciekawość i chęć tworzenia. Kolory blakły z dnia na dzień, aż zupełnie potraciły barwy. Wszystko stało się szare i pełne smutku. Matka płakała po nocach, a za dnia przesiadywała w pokoju Szymona, układając wciąż na nowo rzeczy syna. Jej włosy posiwiwały u nasady w ciągu kilku miesięcy i zachowywała się tak, jak gdyby straciła jedyne dziecko. Ojciec zaraz po pogrzebie zamknął się w swoim gabinecie i Alicja prawie go nie widywała. Po kilku miesiącach znikł. Nikt nie wiedział, co się z nim stało. Nigdy nie spakował walizki, nie pożegnał się, nikt nie widział, jak wychodził z domu. Minęło osiemnaście lat i nadal nie było o nim wieści. Policja umorzyła śledztwo, wprowadzając go na stałe do rejestru osób zaginionych. Jeszcze po wielu latach ludzie opowiadali sobie tę historię jak zwykły żart o facecie, któremu wreszcie wyszła magiczna sztuczka.

Alicja pozostawiona samej sobie snuła się między szkołą a domem, jadła coraz mniej i przestała miesiączkować.

Znienawidziła taniec. Tak jej się przynajmniej wydawało. Na prośbę nauczycieli i babci Halinki, poważnie zaniepokojonej jej stanem, zaczęła uczęszczać do szkolnego psychologa. Matka Alicji dopiero po siedmiu latach przypomniała sobie, że ma jeszcze córkę. Dorosłą. I to chyba tylko po to, aby utrudniać jej życie swymi niekończącymi się nakazami, zakazami i niechcianymi radami.

Jedynym światłem w tunelu w tym wyniszczającym okresie okazała się babcia. Babcia Halinka była jej mentorem, jeśli nie aniołem stróżem. Gdyby nie różnica wieku, byłaby z pewnością jej najlepszą przyjaciółką. Być może jedyną. Dowcipna i otwarta na życie. Miała odpowiedź na każde, nawet najdziwniejsze pytanie, potrafiła słuchać z uwagą i prawdziwym zainteresowaniem. Nigdy nie dziwiła się urodzie wnuczki. Uważała ją za dar. Tak samo jak talent dziewczynki do tańca i odczuwania. Bo wrażliwość na otaczający świat babcia nazywała darem od Boga. Staruszka prowadziła małą zielarnię, nieprzynoszącą co prawda profitów, ale za to mającą duże grono stałych klientów, szacunek ludzi i zaufanie. A tego, zdaniem babci, nie można było kupić. Alicja odwiedzała ją każdego wieczoru i pomagała mieszać zioła. Słuchała opowieści o sile przyrody, wojnie i pasji, która — jak twierdziła staruszka — jest siłą napędową wszechświata. Po śmierci brata zielarnia stała się prawdziwym domem Alicji, a babcia linią ratunkową w wirze ciemności, który każdego dnia pochłaniał ją coraz głębiej. Zdławiła w sobie miłość do tańca, zamykając ją szczelnie za kratami tragicznych wspomnień. Taniec stał się zwierciadłem, odbijającym zakrwawione ciało Szymona, plecy ojca i wykrzywioną w bólu twarz matki. Targana wyrzutami sumienia i niezrozumiałym poczuciem winy miotała się niczym

zmora, znajdując spokój jedynie w aromatycznym zaciszu zielarni. Trzy lata później przeznaczenie zapukało do drzwi, aby upomnieć się o swoje. Do zielarni przybyła nowa klientka: szczupła, elegancka kobieta po czterdziestce o długiej szyi i uśmiechu osoby zadowolonej z siebie. Szybko nawiązała nić porozumienia z babcią Halinką i jak większość osób, które raz przekroczyły próg jej sklepu, dołączyła do stałych bywalców. Alicja instynktownie unikała kobiety. Umiała bezbłędnie rozpoznać tancerkę. Sposób poruszania się, stawiania stóp, przekręcania głowy czy wyciągania ręki. Wykręcone biodra. Każdy ruch i gest przemawiały do Alicji. Czytała ze smukłych dłoni kobiety gładzących powietrze, gdy ta o czymś entuzjastycznie opowiadała babci. Wsłuchiwała się w jej kroki, ciche i miękkie, gdyż rozpoczynane od koniuszków palców. Obserwowała, jak zwykle obracanie się na pięcie rozkwitało niczym dyskretny piruet. Nienawidziła piękna, które roztaczała swym ruchem nowa klientka. Uciekała na zaplecze, gdy tylko kobieta pojawiała się w drzwiach zielarni. Nie chciała więcej w swoim życiu tańca. Zerwała ten burzliwy związek i zdecydowała znormalnieć, postępując tak jak każda normalna nastolatka, jak sobie tego życzyli inni. Zadowolili cały świat, a zwłaszcza matkę, która zapomniała o jej istnieniu: pójść na studia, znaleźć chłopaka, kiedyś wyjść za mąż i mieć dzieci. Codziennie dozowała sobie te myśli niczym porcję trucizny na uodpornienie, ale jedyne, co czuła, to pustka w sercu. Na pocieszenie tłumaczyła sobie, że czas jest jej jedynym sprzymierzeńcem. Chciała ufać w jego moc uleczenia i czekała. Jednak z każdym dniem głos podświadomości z niewyraźnego szeptu przeistaczał się w desperackie nawoływanie.

— Nasza nowa klientka pytała dziś o ciebie — oznajmiła pewnego dnia babcia, sumiennie ucierając zioła.

— O mnie? — Alicja podniosła głowę znad książki i spojrzała na kobietę zaskoczona. — I co chciała, babciu?

— Pytała, czemu przestałaś tańczyć.

— A skąd wiedziała? Chyba jej nie opowiadałaś o mnie? — Zamknęła książkę z impetem.

— Nazwała cię „niespokojnym duchem w ciele głodnym tańca”. — Babcia uśmiechnęła się z zadowoleniem, gdyż trudno było trafniej opisać to, co wyrażała sobą zbłąkana Alicja. Umilkła i czekała, aż wnuczka sama zdecyduje, czy chce o tym rozmawiać. Uważała, że na wszystko przychodzi odpowiedni czas, i nie zamierzała ponaglać tego, co i tak było nieuniknione. Alicja zerknęła na nią z niecierpliwością, ale cisza nadal wypełniała zielarnię.

— I co jeszcze mówiła, babciu? — Próbowała ukryć zniecierpliwienie.

— No, na przykład — uśmiechnęła się kobieta — pytała, czy chciałabyś przyjść na próbę. Otworzyła szkołę niedaleko parku. Przygotowuje tancerzy do przesłuchań i... i jak to się mówi, kwiatuśku... — Zmarszczyła czoło, nie przerywając pracy. — Castingów! — wykrzyknęła zadowolona. Alicja milczała. Wpatrzona w okładkę książki, zdawała się ją czytać, ale trzepot serca dziewczyny rozczulił babcię. Odłożyła papierową torebkę z suszonymi listkami, ceremonialnie odsunęła krzesło na środek pomieszczenia i usiadła, wyciągając ręce ku wnuczce. Alicja z ulgą zareagowała na ten gest. Podbiegła i rzuciła się kobiecie w objęcia.

— Babciu... — jęknęła.

Staruszka odsunęła wnuczkę od siebie i spojrzała w jej złote oczy.

— Już czas, kochanie — oznajmiła z czułością. — Porozmawiajmy.

— Babciu, kiedy będę wiedziała, że podjęta decyzja jest słuszna?

— Kiedy po jej podjęciu odczujesz ulgę, ale nie ulgę uwolnienia się od ciężaru odpowiedzialności, tylko uczucie lekkości na duszy.

— Myślisz, że tato czuje teraz ulgę? — Spojrzała pytająco na babcię.

Twarz kobiety owiał smutek. Ona także poniosła stratę. Podwójną. Jej wnuk zginął, a syn

przepadł bez wieści. Jedynie wiara w wyższy cel istnienia i miłość pozwalały jej okiełznać ból.

— Myślę, że twój ojciec się obwinia i taką dla siebie wymyślił karę. — Przytuliła wnuczkę. — Wiem, że zrobił to z miłości do was, zwłaszcza do ciebie, Alicjo, ale zapomniał, że miłość to odwaga. — Jej oczy na nowo zabłyśły światłem. — Kochanie, teraz cierpisz — ujęła dłoń dziewczyny — ale twoje życie dopiero się zaczyna. Unieś głowę i wejdź w nie z godnością, wiarą i odwagą, i podążaj w kierunku tego, czego pragniesz. Jeszcze nie raz będziesz cierpieć i wiele decyzji będziesz musiała podjąć. Może nie zawsze będą słuszne, ale ważne, że będą twoje. I ja cię zawsze poprę, ilekroć podążysz za swoim sercem. Będę z tobą. — Objęła wnuczkę i przycisnęła do siebie jak bezcenny skarb.

Kolejne dni nie obyły się bez łez, nocy wypełnionych snami i nagminnego braku apetytu. Są takie momenty w życiu, kiedy wydaje się nam, że każda droga prowadzi donikąd. Siadamy na rozstaju i ze zwieszoną głową pozostajemy tam, dopóki coś lub ktoś nie zmusi nas do postawienia pierwszego kroku. Życie jest wielkim dywanem uplecionym z wyborów. Podążamy za nitkami naszych drobnych, codziennych decyzji, które nieodmiennie prowadzą do tego samego supła — przeznaczenia. Szkoła okazała się profesjonalnym, prywatnym studium tańca dla zawodowych tancerzy — i nie tylko — którzy uczęszczali do niej po szkole, studiach lub pracy, aby rozwijać swój talent i szlifować go niczym szlachetny kamień. W rzeczywistości byli niczym klejnoty, wyłowione przez Emèlie Leroux z dna życiowych niepowodzeń. Nie każdy mógł stać się jej uczniem. Była primabalerina selekcjonowała swoich podopiecznych, poświęcając czas tylko wybranym. Poszukiwała zapomnianych, marnujących się albo po prostu niezrealizowanych jeszcze talentów, proponując naukę pod kątem ich osobistych zdolności. Okazje takie jak ta nie zdarzały się często, o ile w ogóle się trafiały, i z pewnością nie każdemu. Babcia Halinka postarała się, aby wnuczka, żyjąca w poczuciu winy i w cieniu tych, którzy ją opuścili, nie zmarnowała być może ostatniej szansy na szczęście. Matka nigdy nie poparła entuzjazmu teściowej, dlatego dziewczyna podjęła studia i z czasem znalazła sobie chłopaka, ale tylko wieczorami mogła sobie pozwolić na bycie sobą, poczuć się naprawdę wolna. Jej życie trwało te kilka wieczornych godzin. Zostawała po zajęciach na opustoszałej sali i szukała w zaporowanych lustrach swojego odbicia, aby kolejny raz zadać to samo pytanie.

Kim tak naprawdę jest?

Telefon podskoczył jak oparzony i myśli Alicji uleciały gwałtownie niczym stado spłoszonych ptaków. Zatrzepotała rzęsami, gubiąc resztki wspomnień spod powiek. Przymykała je jeszcze w nadziei, że przyśnie, ignorując dzwonek, ale natrętne ujadanie telefonu nie ustępowało. Nie odwracając się w stronę komody, wyciągnęła leniwie rękę.

— Słucham.

— Alicjo! — Okrzyk wystrzelił z impetem wprost w jej zrelaksowane ucho. Oddaliła telefon na bezpieczną odległość. — Cały dzień do ciebie dzwonię! Dlaczego nie odbierasz?

— Spałam, mamó. Obudziłaś mnie.

— Dziecko, jest pierwsza! Co robisz o tej porze w łóżku? Źle się czujesz?

— To nic — odparła zdawkowo. — Zdrzemnęłam się.

— Och, córciu, a potem w nocy spać nie możesz! — westchnęła kobieta. Alicja wyobraziła sobie, jak matka potrząsa głową z dezaprobatą. Zawsze tak robiła. I ta dezaprobata...

— Wybacz, mamó, ale jeśli to nic pilnego, to oddzwonię później, dobrze? — Czuła, że musi skończyć tę rozmowę. Nie chciała złościć się na matkę, ale zawsze kończyło się tak samo. Kobieta nie rozumiała jej. Może nie chciała, a może nie była w stanie. Już dawno temu Alicja przestała zadawać sobie to pytanie, dręczące ją od lat. Teraz zastanawiała się nad tym, jak matka mogła poślubić jej ojca. Przecież mieli tak niewiele wspólnego...

— Oczywiście, że pilne, Alicjo! Wojtek do mnie dzwonił. Wielokrotnie. Wypytywał

o ciebie. — Jej głos zmiękł. — Widzisz, jak mu na tobie zależy. To już tyle czasu minęło, a on wciąż o ciebie zabiega. Powinnaś dać mu szansę — ciągnęła bez oddechu — to dobry chłopak...

— Mamo! — Przerwała raptownie i usiadła na łóżku. — A kto powiedział, że nie jest dobry? On po prostu nie jest odpowiedni dla mnie! Nie rozumiesz?

— Kochanie, nie unos się. — Ton kobiety złagodniał. — Nie rozumiem, co ci się w nim nie podoba. Poza tym — dodała nieśmiało — masz już trzydzieści trzy lata. Kiedy wreszcie się usatkuje? Przerwałaś studia, odprawiłaś Wojtka, potem ten wypadek... I co teraz? — Umilkła. Alicja też milczała. Nie miała siły ani ochoty walczyć z matką. Tłumaczyć jej, że żyje własnym życiem, czy jej się to podoba, czy nie. Znała to wszystko na pamięć. Ciągłe narzekania na to, jak chce żyć i co zamierza robić, pouczanie i krytykowanie wyborów. Fakt pozostawał jednak faktem. Nie miała niczego. Ani mieszkania, ani stałej pracy, ani pełnego konta w banku. Żadnego męża ani dzieci. Nieskończone studia. Podążała za pasją i swoim sercem. Żyła chwilą i była szczęśliwa. Sowa nie może być łabędziem, a paw jastrzębiem. Ona nie może być tym, kim nie jest i kim nie chce być.

— Mamo, nie jestem złą ani straconą osobą tylko dlatego, że nie robię tego, co ty uważasz za właściwe. Zaakceptuj to wreszcie. Proszę. Oddzwonię. — Rozłączyła się. Wyciszyła telefon i rzuciła go na łóżko. Objęła kolana i oparła na nich głowę. Po rozmowach z matką zawsze czuła się nikim. Gdy pierwszy raz sobie to uświadomiła, rozboleła ją serce, ale to był wiele lat temu. Gdy zmarł Szymon. Teraz czuła tylko smutek, ciężar i ogromną tęsknotę za tymi, którzy ją rozumieli i popierali, a potem opuścili.

Musiała podjąć jakąś decyzję. Może dla odmiany dorosnąć? Miała w końcu trzydzieści trzy lata. Ale co to znaczy? Że jej życie się skończyło? Że nie ma prawa walczyć o swoje marzenia, robić to, co kocha i co robi najlepiej? Więziła łzy za ściśniętymi powiekami, próbując odnaleźć odpowiedzi i rozwiązania, które nie przychodziły. Czuła się dorosła, była kobietą i osobą odpowiedzialną, ale jednocześnie w jej wnętrzu szlochała opuszczona i niezaakceptowana Alicja. Być może to ta dziewczynka nie pozwalała jej odnaleźć spokoju. Zagubiła się w jej wnętrzu i nikt nie wyciągał pomocnej dłoni, by ją stamtąd wyciągnąć. Przytulić, pochwalić, porozmawiać. Tak jak zawsze robiła to babcia Halinka, jak potrafił Szymon i do czego zdolny był jej ojciec, zanim postanowił ją porzucić.

Podskoczyła. Telefon wibrował, łaskocząc jej stopę. Nerwowo wygrzebała go z pościeli.

— Na litość boską, mammo! Powiedziałam, że oddzwonię.

— Witam. Alicja? — Kompletnie zaskoczona nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż niski męski głos o charakterystycznym akcencie kontynuował z przekonaniem: — Nazywam się Pierre. Pierre Bourite — podkreślił — i chciałem cię poinformować, że jeśli nie masz nic lepszego do roboty, jutro zaczynasz próby do największej rewii w Polsce.



Zręcznie i szybko zrobiła lekki, ale wyrazisty makijaż. Roztarta palcem kredka w kolorze ciemnej czekolady, policzki muśnięte różem i glicerynowa pomadka „efekt mokrych ust” w zupełności wystarczały, by nikt nie pytał ją o wiek. Zbliżyła twarz do lustra, zaglądając odbiciu prosto w oczy. Dwa promieniste słońca rozświetlały jej pobladłą twarz. Jaskrawa żółć tęczywek pociemniała za sprawą drobnych plamek, przypominających piegi na nosie rudowłosej dziewczynki. Wcześniej tego nie zauważyła. Może po prostu nie poświęcała sobie wystarczającej uwagi.

Zmieniała się. Nie tylko wewnątrz. Chociaż przyjechała dobrą godzinę wcześniej, po teatrze kręciło się już kilka osób.

Stoliki zepchnięto w głąb sali, robiąc sporo miejsca przed sceną. Do sceny dostawiono dwie pary bocznych schodków, co miało zapewne umożliwić tancerzom przemieszczanie się podczas przedstawienia w stronę pierwszych rzędów. Dzięki tym drobnym zabiegom estrada nabrała oddechu i sprawiała wrażenie większej, niż była w rzeczywistości. Rewia. Nigdy wcześniej jej nie tańczyła, a teraz ten specyficzny, nieco niemodny, choć bardzo kobiecy taniec miał przywrócić ją bijącemu sercu estrady. Musiała poznać przeciwnika, aby go poskromić. Wielokrotnie obejrzała na DVD przedstawienia rewiowe z Francji, Brazylii i USA. Zanim zdecydowała się zgłosić na przesłuchanie, spędziła długie godziny na studiowaniu detali. Kroki, choreografia, gestykulacja, wyraz twarzy. Długonogie tancerki, niektóre w toplesie, dzwigające na plecach gigantyczne stelaże z piór, spacerujące po scenie, to tylko powierzchowny wizerunek rewii. Błędne wyobrażenie. Nie każda tancerka, bez względu na szkołę, pochodzenie i umiejętności, miała szansę wejścia w skład zespołu rewiowego. Aby dostać się do zespołu we francuskiej czy amerykańskiej rewii, nie wystarcza nieprzeciętna uroda, długie nogi, konkretny wzrost i szkoła baletowa z wyróżnieniem. Castingi do zagranicznych rewii są jednymi z trudniejszych. Liczą się technika, kondycja i to „coś”, co przyciągnie uwagę publiczności, co ją oczaruje, oraz silny charakter, bo rewia to twarda szkoła życia, przygoda nie każdemu tancerzowi pisana. Tyle się dowiedziała od pewnej angielskiej tancerki na kontrakcie. Teraz sama miała szansę zobaczyć, jak jest naprawdę. Zrzuciła bluzę, zmieniła buty i zgięła się wpół. Obejmując kostki, docisnęła czoło do kolan i naprężyła nogi. Poczwała przyjemny impuls przebiegający przez jej ciało od łydek aż po barki. Oddychała równomiernie, dotleniając wszystkie komórki ciała. Nie czuła żadnego dyskomfortu, jedynie dziwną niemoc w prawym kolanie i trudno jej było ocenić, czy wrażenie to jest realne. Zjechała do szpagatu i położyła się na przedniej nodze. Po chwili wyprostowała tułów i przegięła w tył. Lewą ręką złapała stopę za podbicie i dociągnęła do pośladka. Przymknęła oczy, czuła, jak ciepło wypełnia jej ciało.

— Uważaj, bo przysniesz! A za pół godziny ciężko cię będzie oderwać od podłogi! — Gromki, zaraźliwy śmiech dobiegł zza jej pleców. Zanim się odwróciła, kolorowa, mocno zużyta torba przeleciała nad jej głową i padła nieforemnie zbyt blisko kolana.

Tego kolana.

— Ups! — chichotała dziewczyna. — Masz jakieś imię?

Alicja obróciła się w jej stronę, powstrzymując na końcu języka kąśliwe komentarze. Stała przed nią filigranowa, żeby nie powiedzieć chuda tancerka o ciemnych, uwieczonych w ścisłym koczku włosach. Dołeczki w jej policzkach wielkością dościgały oczy, które z kolei zdawały się konkurować o miejsce na twarzy z uśmiechem zawieszonym między jednym uchem a drugim. Te oczy, brązowe kulki, błyszczały wilgocią, a zęby, malutkie i równe, co tu dużo mówić, rozbrajały. Nie była w stanie odczytać wieku dziewczyny. Na pewno była od niej

młodsza, ale pytanie, ile mogła mieć lat, pozostało bez odpowiedzi. Miała w sobie coś dojrzałego, przeżytego, ale jednocześnie zachowywała się jak postrzelona nastolatka, co trochę irytowało Alicję. Jej lekko zszarzała cera i pożółkłe zęby klóciły się z blaskiem oczu i nieschodzącym z ust, zadziornym, acz szczerym uśmiechem.

Nie podnosząc się z podłogi, wyciągnęła rękę.

— Alicja.

— Wow! Co za maniere! Kaśka. — Jej uścisk był przesadnie mocny. — Witaj w krainie czarów! — Znów zachichotała. — Jesteś od Witolda?

— Witolda? — zdziwiła się Alicja. — Nie jestem od nikogo. Dowiedziałam się o castingu i przyszłam — rzuciła.

— A tak — Kaśka przeleciała ją wzrokiem bez cienia zażenowania — byłam wtedy. A jednak po ciebie zadzwonili... — Uśmiechnęła się, szybko jednak zmieniła temat. — Rozmawiałaś już z Izką?

— Nie, niedawno przyszłam — skłamała Alicja.

— Lepiej się pokaż. — Dziewczyna spoważniała. Porozrzucała rzeczy wkoło torby, wciągnęła getry i wygięła się tak, że Alicję na sam widok rozbolały stawy. Instynkt jej podpowiadał, by najpierw odnaleźć -Pierre'a, zanim będzie musiała zmierzyć się z producentką. To w końcu on do niej zadzwonił. Rozejrzała się po sali. Stał pod sceną, nieruchomy i opanowany jak statuetka tybetańskiego mnicha. Jego perfekcyjnie rzeźbione ramiona i nogi zdradzały długie lata ciężkiej i zawziętej pracy. Głowa, okrągła, zgrabna i idealnie ogolona, odbijała światła ramp. Silną dłonią obejmował brodę, przybierając wygląd osoby czytanej, i przenikliwym, jasnym spojrzeniem śledził ożywiony monolog Izy.

Ciało producentki poruszało się energicznie w rytm wypowiedzanych słów i najwyraźniej była czymś rozdrażniona. Piętnaście minut wcześniej, przekraczając próg teatru, napotkała wzrokiem burzę nieokiełzanych, wiśniowych włosów i złość rozproszyła jej spokój.

— Co ona tu robi?! — spytała Iza, gdy tylko dopadła choreografa, bezceremonialnie wskazując palcem w stronę widowni.

— Zadzwoniłem po osoby z listy rezerwowej — odparł spokojnie, nie udając nawet, że nie wie, o kogo chodzi. — Brakuje nam tancerek.

— Ona była na końcu tej listy — wycodziła przez zaciśnięte wargi.

— I tam właśnie dotarłem — przyznał. — Dwie pierwsze tancerki przyjęły kontrakty zagraniczne, jedna dostała angaż w Narodowym, a ta blondynka, twoja faworytka, jak jej tam? — Potarł błyszczące czoło. — Cóż, rozmyśliła się.

— Gdzie jest Witold?! Chcę z nim natychmiast rozmawiać!

— Wyjechał wczoraj w interesach. Myślałem, że wiesz. Zaczynamy? — dodał i nie czekając na odpowiedź, skierował się w stronę biura. Właśnie w tej chwili Alicja zbliżała się do rozmawiającej pary. Była tuż za plecami -Pierre'a, kiedy ten się oddalił. Nieoczekiwanie znalazła się twarzą w twarz z producentką. Jej czarne nozdrza pulsowały, a oczy świdrowały Alicję, przyprawiając o ból głowy. Pod ostrzałem jej spojrzenia wymamrotała:

— Dzień dobry. Mam na imię Alicja. Wczoraj...

— Wiem, kim jesteś — przerwała jej. — Tą amatorką z naborów.

— Słucham? — Alicja ściszyła głos i przeszło jej przez myśl, że może się przestyszała.

— To słuchaj dobrze. — Kobieta zrobiła krok w jej stronę, znajdując się niezręcznie blisko jak na nieznające się osoby. — Mnie nie nabierzesz na te żółte soczewki i przefarbowane włosy. — Wycelowała palec prosto między piersi Alicji. — Znam takie jak ty. Chcecie nadrobić zaległości tanimi sztuczkami. — Kącik jej ust uniośł się w zawistnym uśmieszku. — Uroda wiele ci nie pomoże, lalcia. Nie wiem, jakim cudem się tutaj znalazłaś, ale w moim zespole długo nie

zabawisz.

Opuściła palec i Alicja wreszcie mogła nabrać swobodnie powietrza. Producentka cofnęła się i sięgnęła po torbę. Jej smukła dłoń zanurkowała w głębi i wynurzyła się z paczką papierosów. Alicja stała z rozchylonymi ustami, nie wiedząc, jak się zachować. Jej serce pompowało adrenalinę w zawrotnym tempie. Iza rozsiadła się wygodnie na skórzanej sofie, zakładając nogę na nogę. Zaciągnęła się łapczywie. Jej czerwone szpilki agresywnie połyskiwały, a dym szczypał Alicję w oczy.

— Wyjaśnimy tę sprawę, jak wróci Witold — odezwała się wreszcie. — A tymczasem dobrze ci radzę — podniosła wzrok i spojrzała złowrogo — nie wchodź mi w drogę.

— Cześć, piękna! Szukałem cię! — Mateusz chwycił Alicję pod rękę i pociągnął w stronę sceny, nie zwracając zupełnie uwagi na wciąż mówiącą Izę. — Chcę ci coś pokazać — oznajmił. — Chodź!

Z brązowej skórzanej torby wydobył małe pudełeczko i podsunął je pod nos dziewczynie.

— Zamówiłem przez internet. W dziale przeznaczonym dla wampirów. — Jego uśmiech rozjaśnił ponure wnętrze teatru. — I co powiesz?

Otworzyła plastikowe pudełko pełne drobnych napisów i jej oczom ukazały się dwie przezroczyste soczewki o złotym zabarwieniu. Uniosła brwi. Mężczyzna, widząc tę reakcję, spoważniał.

— Och nie! Wiedziałem! — Jego ramiona zwiędły. — Przeplącałem, tak? Czy kolor nie ten? Nie mieli twojego. Nigdzie takich nie ma — poskarżył się.

Alicja bez cienia zainteresowania odłożyła opakowanie na stół i spuściła głowę. Musiała z kimś porozmawiać.

— Ona mnie nienawidzi — szepnęła.

— O czym ty mówisz? — spytał niepewnie.

— Nie wiem, co robić. — Ukryła twarz w dłoniach. Czują łzy rozpychające się pod powiekami. Bezsilność. Nienawidziła jej. Mateusz zastygł kompletnie zdezorientowany. Od wieku przedszkolnego, praktycznie odkąd zaczął śpiewać, przebywał głównie w damskim towarzystwie, czerpiąc niewyobrażalną rozkosz z komplementów, którymi zasypywały go od rana do wieczora. Rozumiał kobiety i zazdrość, która nimi kierowała. Wiedział, kiedy mają swoje dni i kiedy nie należy ich niepokoić. Z tancerkami było znacznie gorzej. Wiecznie z siebie niezadowolone. Zawsze za grube i niewystarczająco dobre. Chorobliwie zakompleksione lub chorobliwie zapatrzone w siebie. W każdym razie nie sposób takim dogodzić. Tym razem jednak nie miał bladego pojęcia, o co chodzi. Choć nie znał tej dziewczyny, przebywanie z nią było najnaturalniejszą rzeczą na świecie. Ukucnął przed Alicją i delikatnie objął jej kolana.

Uniosła głowę.

— Nie gniewaj się. Jeśli ci to przeszkadza, oddam je.

— Absolutnie. Będzie ci w nich świetnie. — Zmusiła się do lekkiego uśmiechu.

Jego twarz była blisko, czuła ciepły oddech na skórze.

— Czyli nie jesteś zazdrosna o soczewki? — spytał całkiem zbity z tropu.

— To nie są soczewki, Mati. — Westchnęła i oddaliła twarz na bezpieczną odległość.

— Jak to nie są? Wkręcasz mnie.

Zrobił niedowierzającą minę i zdmuchnął kosmyk włosów z twarzy, po czym otworzył szeroko oczy, jakby się czegoś przestraszył. Wielokrotnie przybliżał się do Alicji i oddalał od niej, zmieniając kierunek i kąt.

— Niech to... — pokiwał znacząco głową — jesteś wyjątkowa.

Alicja poczuła ulgę, że na tym się skończyło, i przyjęła komplement bez zbędnych komentarzy. Właściwie tego teraz potrzebowała. Odrobiny pozytywnego podejścia.

Towarzystwa. Wsparcia. Zapragnęła opowiedzieć koledze o swoich obawach, gdy na sali zrobiło się szumnie. Większość tancerzy stała już na scenie, gotowa do próby. Iza kręciła się nerwowo jak osa, wydając polecenia. Musieli się zbierać. Mateusz podał Alicji rękę i pomógł wstać.

Wymienili spojrzenia jak dwie osoby związane sekretem i bez słowa dołączyli do reszty grupy.

— Jeśli są już wszyscy, to proszę o uwagę — stanowczo rozpoczęła Iza. — Nie będę się powtarzać — przesyłabizowała, bombardując wzrokiem nadal szepczące między sobą tancerki.

Zapanowała pesząca cisza. Iza przedstawiła się oficjalnie, opowiadając krótką historię o sobie i o tym, jak pod okiem wielkich mistrzów tańczyła w najlepszych przedstawieniach rewiowych w Europie. Wspominając niektóre miejsca lub osoby, uśmiechała się prawie niewidocznie, jej oczy zachodziły lekką mgłą, a twarz w ułamku sekundy nabierała świeżości, ukazując oblicze młodej i pełnej marzeń dziewczyny, która zbłądziła gdzieś po drodze, potykając się o konkurentki w bezkompromisowym biegu do sławy. Długimi krokami przemieszczała się z jednego końca sceny w drugi, a cisza na sali dodawała jej pewności i poczucia władzy, o którą walczyła bez skrupołów przez ostatnie dwadzieścia lat.

— Oferujemy wam profesjonalne przygotowanie, kostiumy warte majątek i udział w pierwszym prestiżowym przedstawieniu rewiowym w Polsce. — Uniosła dumnie głowę, robiąc krótką przerwę. — Choreografię przygotowuje dla nas jeden z najlepszych paryskich choreografów, pan Bourite. — Nie odwracając wzroku, wskazała ręką wpatzonego w nią --Pierre'a. — Ja i pan Kacper zajmujemy się reżyserią spektaklu, a pan Witold, obecnie przebywający w interesach za granicą, jest naszym głównym sponsorem. Zanim rozpoczniemy, dodam jeszcze, że nie toleruję spóźnień i lenistwa. Jeśli zauważę, że ktoś nie daje rady, pożegnamy się. Nie będziemy w żadnym wypadku akceptować amatorstwa i braku przygotowania. Mamy tylko trzy miesiące do premiery i liczę, że poświęcicie wszystko, aby było to najznakomitsze przedstawienie roku. — Rozejrzała się po scenie i jej wzrok całym swoim ciężarem spoczął na dziewczynie o żółtych oczach.

Alicja wiedziała, że te słowa skierowane są do niej. Zgrzała się. Drobną strużką potu spłynęła spod pachy i zawisła na łokciu. Czowała negatywne nastawienie producentki, choć ta wcześniej już jej to demonstrowała. Resztkami silnej woli udźwignęła ołowiane spojrzenie i zacisnęła zęby. Starła się myśleć o tym, co ważne. O energii płynącej z tańca, miłości, którą czuła i potrafiła przekazać, gdy tańczyła. O sensie własnych wyborów, bo płynących z serca. O wierze we właściwą drogę i o babci, która zawsze ją wspierała. Bezskutecznie. Bała się ośmieszenia i pogardy innych, co zawsze boli, zwłaszcza kiedy rośnie na glebie zawiści i niezrozumienia.

Ale najbardziej lękała się ostatecznego rozstania ze sceną.

Zdawała sobie sprawę, że dla każdego tancerza nadchodzi finał, lecz ona nie dała jeszcze ostatniego przedstawienia. Nie była na to gotowa, choć podświadomie wiedziała, że nigdy ten moment nie nadejdzie. Ryzykowała zakończenie kariery, która do tej pory nie miała szansy rozkwitnąć w pełni, ale prawda była taka, że nic innego jej nie pozostało, jak walczyć. Musiała dać z siebie wszystko.

Głośne uderzenie basów agresywnie przywołało ją do rzeczywistości.

— *Un, deux, trois...* — padło niespodziewanie. Pierre wskoczył na scenę, wymachując rękami niczym dyrygent orkiestry. Ten egocentryzm zupełnie nie pasował do jego dotychczasowego wizerunku uważnego obserwatora, który Alicja mu nadała, ale scena odmieniała wszystkich.

— Żwawo, kochani! Utwórzcie trzy rzędziki, tak żebyśmy was wszystkich dobrze widział. — Tybetański mnich przeistoczył się w wesołego i energicznego Francuzika, zgrabnie zarządzającego sporą grupą tancerzy. Stał tyłem do zespołu w odległości kilku kroków od pierwszej linii. — Pokażę wam fragment uwertury. Powtarzajcie — zarządził. — *Pas marché, rond de jambe, sautenu* i teraz ręce, o tak, dobrze... Więcej gracji, powoli, zachęcająco! — Zabarwienie jego głosu zmieniało się wraz z intensywnością wykonywanych kroków. — *Chaînes, chaînes* i teraz wolniej. *Bien!* Długi ruch, w ten sposób. O tak! Zalotnie!

Potok francuskich słów kompletnie rozkojarzył Alicję. I zamiast dać z siebie wszystko, jak zamierzała, intensywnie wyteżała umysł w poszukiwaniu wyblakłej terminologii baletowej.

Zupełnie jak na przesłuchaniu.

Adrenalina ponaglała jej ruchy, czyniąc z nich niezgrabne gesty. Opóźniała każdą pozę, wypadając z tempa i nadto wyróżniając się z tłumu. Nie chciała, aby producentka to zauważyła. Zimna rosa pokryła jej czoło i górną wargę. W rzędzie tuż przed nią tańczyła wysoka i bardzo chuda baletnica. Poruszała się płynnie, z gracją i zupełnie pospolicie jak na gust Alicji. Na szczęście zdawała się znać francuskie terminy na pamięć, gdyż rozpoczynała każdy krok w tym samym momencie, w którym Pierre otwierał usta. Alicja, kręcąc piruet, skorzystała z okazji i wzięła mocniejszy zamach, aby w ten sposób znaleźć się tuż za dziewczyną. Odetchnęła z ulgą. Nie spuszczać tancerki z oczu, powtarzała każdy jej ruch i już po kilku minutach oddech zwolnił, a zdenerwowanie ustąpiło miejsca przyjemności. Płynęła po paryskich zaułkach, wsłuchując się w opowieść uwertury i charyzmatyczny głos choreografa. Mniej więcej po półgodzinie zarządzono przerwę, a po niej Iza poprosiła na scenę solistów. Już na przesłuchaniu wytypowała swoich faworytów, absolwentów szkół baletowych, wysokie, długonogie klasyczki i barczystych tancerzy o zarozumiałych twarzach. Zespół rozproszył się, robiąc miejsce na środku parkietu. Tancerze wciąż ssali wodę, uzupełniając płyny i bacznie obserwując znad butelek, kto pojawi się pierwszy.

Ku zaskoczeniu Alicji na scenę weszła Kaśka. Poważna i skupiona. Wbita w czarny, jednocześnie bawełniany kombinezon wydawała się o dziesięć lat starsza. Patrząc na nią, Alicja próbowała doszukać się roześmianej dziewczyny, którą poznała wcześniej. Tuż za nią na deski wkroczył mężczyzna. Stąpał z palców, miękko, ale pewnie, z lekko zadartą głową, bez ukrywania satysfakcji z bycia tym, kim był. Szara cienka koszulka na ramiączkach i przylegające, elastyczne dresy nabierały sensu na jego idealnie proporcjonalnym i wyrzeźbionym ciele. Skóra w kolorze mlecznej czekolady lśniła, naciągnięta naporem mięśni. Czarne włosy, modnie postawione do góry, nadawały mu młodzieńczy wygląd, a czarne wąskie oczy przebiegłości. Kąciki pełnych ust solisty rozciągnął lekki uśmiech, a kiedy podchodził do Kaśki od tyłu, niemalże dało się odczuć erotyczne napięcie w powietrzu. Przynajmniej Alicja poczuła. Dreszcz zbiegający po plecach i wypieki na twarzy. Zdała sobie sprawę, że upłynęło mnóstwo czasu, odkąd uprawiała seks. Nie pamiętała nawet kiedy. Nie należała do kobiet, które mają swój wymarzony typ lub kochają się w sławnych i bogatych. Tym bardziej speszyła ją własna reakcja i nie chcąc zwrócić niczyjej uwagi, wtopiła się w podłużne cienie kulis. Iza, intensywnie gestykulując, wskazywała miejsca i kierunki, naświetlała solistom własną koncepcję duetu. Zaleciła im symulowanie wyniesień i skomplikowanych figur, dodając, że osobiście zajmie się ich przygotowaniem. „A co z choreografem?” — pomyślała Alicja. Spojrzała na Francuza. Siedział na krześle z nogami wyciągniętymi do przodu, zamyślony i jakby nieobecny. Jego brwi spotykały się nad nosem, ściągnięte grubą bruzdą skupienia. Obserwował.

Dziwny. Nieprzeciętny. Ciekawy. Patrząc na niego, w pewien sposób poczuła się różnie. Tak jak wtedy, gdy będąc w grupie zupełnie obcych osób, udaje się nawiązać znajomość z kimś bardzo do nas podobnym. Mówią, że ludzie są dla siebie nawzajem lustrami. Faktycznie wystarczy spojrzeć na drugą osobę przez pryzmat własnych doświadczeń i uczuć, aby zobaczyć w niej znajome odbicie. Nieco krzywe i niezadowolające, ale genialnie prawdziwe.

— Przejdźmy do kankana. — Dobiegł ją pretensjonalny ton producentki. — Kto został początkowo wyznaczony?

Tancerze rozglądali się po sobie i po chwili z tłumu wyłoniło się dwóch mężczyzn o szerokich plecach i kamiennych pośladkach oraz wysoka, koścista baletnica. Zatrzymali się na środku w oczekiwaniu na wskazówki. Iza podwinęła rękawy jedwabnej koszuli i przez chwilę obserwowała ich w milczeniu. Następnie wyjaśniła tancerzom, jak mają wykonać kołowrotek w kankanie. Wskazała kierunek, z którego wybiegną, i pod jakim kątem mają się ustawić.

Wyjaśniła dynamikę solówki i rozliczyła cały fragment choreografii na ósemki. Po czym dała znak, aby spróbowali, licząc powoli takty na głos.

Dziewczyna stanęła pomiędzy mężczyznami, rozpościerając ramiona na boki. Oni, z szeroko rozstawionymi nogami, chwycili ją oburącz za nadgarstki. Cała trójka ruszyła trzy kroki przed siebie, po czym na cztery tancerka zamachnęła się prawą nogą w przód i wyskoczyła ku górze, rozdzierając nogi w odwróconym szpagacie z głową skierowaną w dół. Dzięki silnym ramionom kolegów opadła dość miękko, dopełniając kołowrotek.

— Mniej więcej — skwitowała Iza. — Powtórzcie z muzyką — zaleciła, machając do operatora w okienku przy scenie. Uderzenie basów wbiło kurz z głośników. Opadał lekko i ospale w świetle reflektorów. Tancerze ponownie odliczyli do czterech i z rozmachem wyrzucili dziewczynę w powietrze. Baletnica bezbłędnie powtórzyła wcześniejszą próbę. Imponujące rozwarcie jej niekończących się nóg robiło zamierzone wrażenie, niestety nie mieściło się w żwawym rytmie paryskiego przeboju.

Iza nie dawała za wygraną, poprawiała, ponaglała, niecierp-liwiła się.

— Jest za długa i za bardzo rozciągnięta, nie zdoła pozbierać nóg w tym tempie. — Pierre stał tuż za nią. Wszystkie oczy skierowały się na niego. Solistka zacisnęła wargi.

— Będzie ćwiczyć, aż się nauczy — skwitowała Iza.

— Nie dynamiki. Nie ma jej. Przecież sama widzisz — westchnął zniechęcony.

Nie odpowiedziała. Wywracając oczami, skinęła ręką, aby wyłączono muzykę, i kazała ponowić próbę bez akompaniamentu.

— Ale wiem, kto da radę — brnął Pierre.

Iza uśmiechnęła się ironicznie, przechylając głowę w jego stronę.

— Ach tak? Cieszę się, że już wypatrzyłeś kolejny talent w naszym zespole. I kto to taki?

— Nie ukrywała ciekawości.

Pierre znacząco wysunął brodę do przodu, wskazując róg sceny.

— Ona.

Alicja zupełnie nie zorientowała się, kogo wskazał choreograf. Przestała śledzić próbę i siedząc w półcieniu kotary, wyobrażała sobie solistów wbitych w kostiumy, błyszczących w światłach ramp i długie, żyłaste nogi baletnicy, rysujące niczym cyrkiel ogromne koła w powietrzu.

— No proszę cię, bądź poważny!

— Jestem poważny — podkreślił. — I chcę, żeby spróbowała.

Producentka wbiła w niego wzrok jak ktoś oczekujący natychmiastowych wyjaśnień. Oparła dłonie na biodrach i wybałuszając oczy, czekała. Nie doczekała się jednak. Pierre nawet nie drgnął. Stał przed nią jak słup soli.

Po raz pierwszy patrzyła na niego z uwagą. Irytacja mieszała się z zainteresowaniem.

— Doskonale. — Splotła ręce na piersiach. — Zmarnujmy jeszcze trochę czasu, aby zobaczyć żenującą porażkę — dodała, po czym obróciła się w stronę sceny. — Ty!

Na te słowa wszyscy zwrócili się w stronę zascenia i przechylając się na boki, próbowali dojrzeć, kogo skrywają kotary. Alicję zaniepokoiło to nagłe poruszenie. Nie miała pojęcia, o co chodzi, a teraz cała ekipa patrzyła na nią w oczekiwaniu. Na wszelki wypadek podniosła się i otrzepała czarne trykoty. Któraś z tancerek dawała jej znaki głową, a ktoś inny szeptał „No idź”...

— Tak, ty, śpiąca królowno! — ponagliła ją zniecierpliwiona producentka. Nie mogła się doczekać, by udowodnić -Pierre'owi, jak bardzo się pomylił. — Spróbuj z chłopcami ten sam kawałek. Tylko nie połam im ręk — rzuciła.

Serce Alicji przyspieszyło jak auto pościgowe. Stanęła na środku sceny, w miejscu, gdzie

doświadczyła najszcześniejszych chwil w swoim życiu i gdzie pięć minut wcześniej marzyła, aby się znaleźć. Teraz jednak pocierała spocone dłonie, próbując powstrzymać ich drżenie. Teatr kurczył się w zastraszającym tempie i coraz mniej tlenu docierało do jej płuc. Wiedziała, że mogłaby nauczyć się przerzutu, ale próbować tak z biegu uważała za czyste szaleństwo albo zwykłą głupotę.

Wspomnienie wypadku wróciło, a strach przed upadkiem odebrał jej siłę w nogach.

— *Courage, mon cheri* — szepnął Pierre i pociągnął ją w stronę dwóch zdezorientowanych solistów. — Dasz radę. Pokażę ci jak.

Chuda baletnica, zanim wycofała się ze swojego miejsca, popatrzyła Alicji głęboko w oczy, uśmiechając się drwiąco. Alicja dziękowała w duchu za opanowanie i życzliwość -Pierre'a, która wydobyła z niej resztki pewności siebie. Spojrzała porozumiewawczo na tancerzy, ale tylko jeden z nich odwzajemnił spojrzenie. Drugi obserwował -Pierre'a, ignorując obecność Alicji.

— Posłuchaj. — Ciepłe dłonie choreografa spoczęły na jej ramionach, a jego głos zmienił się w szept. — Zrób krok na cztery, a nie na raz, jak tamta dziewczyna. Na raz natomiast *grand battement* — tłumaczył. — Machnij nogą tak mocno, jak dasz radę, i jak będziesz w powietrzu głową w dół, wyprostuj mocno nogi. I pamiętaj, nie spuszczaaj z oczu prawej stopy. Rozumiesz?

Pokiwała głową, wiedząc, że wszystko będzie trwać zbyt krótko, aby mogła myśleć o tym, co robić, a czego nie. Potrzebowała próby. Potrzebowała zaufania ze strony partnerów, którzy będą ją asekurować. Tymczasem znów musiała coś udowodnić. Kolejny egzamin, a zważywszy na stan nogi, raczej kaskaderski wybryk. Była jednak wdzięczna za pomoc i cenne porady Francuza, inaczej już by siedziała w garderobie, pakując swoje rzeczy.

— Chłopcy — Pierre odwrócił się do zniecierpliwionych tancerzy — to będzie jak bułka z masłem — stwierdził. — Trzymajcie ją mocno i wyrzucicie wysoko, *comme cela!* — Wykonał rękami zamaszty ruch ku górze. — Miejcie jednak na uwadze, że jest niższa od wcześniejszej tancerki, ale niekoniecznie lżejsza. — Uśmiechnął się żartobliwie, spoglądając kątem oka na Alicję. — Do dzieła!

Alicja chwyciła tancerzy za nadgarstki, próbując objąć je od dołu. Żyłaste, spocone i twarde przeguby ślizgały się w jej dłoniach jak dwa węże. Uchwyt był niewygodny i mało skuteczny, ale to w końcu oni mieli ją trzymać, pocieszała się w duchu. Miliony małych bębenków rozpoczęły koncert w jej brzuchu. Starła się wyłączyć głowę, ale przebłyski pamięci uporczywie projektowały przed jej oczami tę samą scenę: strach na bladej twarzy partnera, błyskawicznie zbliżający się parkiet, ból wdzierający się szponami w kości, metaliczny smak w ustach. Chłód. Trzy razy symulowała krok i wyrzut nogi i chciała jeszcze skonsultować z partnerami siłę wyrzutu i powrót, ale cierpliwość producentki dobiegła końca.

— Słuchaj, lalcia — rzuciła Iza — albo próbujesz, albo wracaj pod kotarę. Nie mam czasu na twoje prywatne doszkalanie! Muzyka!

Znów kurz zawirował w powietrzu. Głośnie brzmienie dzwonków i fortepianu pozbawiło otoczenie wszelkich dźwięków, namawiając do podróży po paryskich lokalach.

Alicja zacisnęła zęby, zrobiła przygotowujący krok w tył i spojrzała na skupionych kolegów.

— Raz, dwa, trzy...

Kwadratowy obcas jazzówki uderzył z impetem w parkiet jak młot kowalski w żelazo. Krew z głowy zawróciła, ściągnięta grawitacją, powodując chwilowy szum w uszach. Gwar zagłuszył muzykę, zanim ucichła. Tancerze komentowali między sobą obie próby. Zrobiło się lekkie zamieszanie.

Alicja odwróciła głowę w stronę Izy i -Pierre'a.



Słowa nie były potrzebne. Pierre patrzył na nią. Iza coś mu tłumaczyła, aż zorientowała się, że wcale jej nie słucha. Podążając za jego wzrokiem, skrzyżowała spojrzenie z Alicją. Dziewczyna zamrugła speszona, ale nie spuściła oczu. Zmęczenie dawało się we znaki. Z każdą sekundą nasilało się ogniste pieczenie nadgarstków i silne klucie w kolanie. Choć próba jeszcze nie rozpoczęła się na dobre, siły opuszczały ją z bólu i napiętej do granic atmosfery. Nigdy dotąd nie spotkała się z tak negatywnym nastawieniem. Owszem, konkurowanie między tancerkami o miejsce na scenie było powszechne, zwyczajne przecieranie dróg do kariery, ale jadowitość producentki była niepokojąca. Zwłaszcza teraz, kiedy Alicja potrzebowała dopingu, los rzucał jej kolejne kłody pod nogi. Nie zamierzała tracić energii na czyjaś zawiść. Niestety sytuacja przybierała nieprzewidywalny obrót. Im mocniej się starała i trzymała cicho z boku, tym bardziej okoliczności prowadziły ją do konfrontacji.

Przymknęła powieki.

— Jeszcze raz! — usłyszała.

Muzyka rozpedziła się. Pozycja, wdech, krok, wymach...

Ból.

Ułga.

— *Bravo!* — krzyknął Pierre z nieukrywanym entuzjazmem.

— Od nowa! — przerwała mu Iza.

Alicja posłała jej pytające spojrzenie, lecz żwawa melodia ponownie wypłynęła z głośników, zalewając każdy najmniejszy szmer teatru.

Tym razem nie było śladu kurzu.

I teraz też musiała zagryźć wargi. Zamachnęła się jeszcze mocniej i wylądowała dużo wcześniej. Gburowaty tancerz tym razem pokiwał głową z aprobatą.

Stała na lewej nodze. Prawe kolano pulsowało. Zgięła się w pół i zaczęła masować udo tuż nad nim.

Dwa białe buty na krzykliwych obcasach upadły ciężko na parkiet.

— Zakładaj — usłyszała.

Wyprostowała się.

— Jesteś za niska jak na solistkę rewii. — Iza, nerwowo pociągając papierosa, kopnęła jedną ze szpilek w jej stronę. But niezgrabnie przekoziółkował wprost pod nogi Alicji.

— Zróbmy najpierw krótką przerwę — zaproponował Pierre.

— Nie mam czasu na przerwę. — Producentka oparła się o ścianę, nie spuszczać dziewczyny z oka. — To był w końcu twój pomysł — burknęła.

Alicja z trudem wcisnęła buty i wstała. Noski bezlitośnie więziły palce, a paski wbijały się w ciało, odbierając czucie stopom. Miała wrażenie, jakby chodziła na szrudłach i z każdym krokiem jej łydki coraz bardziej drętwiały. Myślała o nadwyrężonym kolanie i konsekwencjach tej absurdałnej groteski, której stała się marionetką.

Mogła wyjść, nie oglądając się za siebie, i zapomnieć o tym całym cyrku. Zaśmiać się producentce w twarz, wypluć żalę, wyrzyczyć skumulowaną złość i po prostu uciec.

Nie mogła. Babcia ją nauczyła, że o to, co kochamy i w co wierzymy, trzeba walczyć do końca. Podała tancerzom drżące ręce. Ich twarze pokrywały kropelki potu. Już nie patrzyli na nią z góry. Wyższa o dobre piętnaście centymetrów, mogła śmiało spojrzeć im w oczy i pomimo strachu i rozpalonego czoła udowodnić, że stanie na wysokości zadania.

— Zaczynamy — szepnęła. — Raz, dwa, trzy...

Powiew powietrza na twarzy. Pożar w kolanie.

— Dobrze się czujesz? — Jeden z tancerzy nachylił się do niej.

Prawie nie dosłyszała pytania. Wśród zamieszania, pokrzykiwań i oklasków jedyną

rzeczą, jaką była w stanie słyszeć, był jej własny oddech. Wyprostowała się i cały ciężar ciała przeniosła na lewą nogę. Prawą rozdzierał pulsujący ból. Silny i zawzięty. „Już dawno nie było tak źle” — pomyślała.

Dopadł ją Pierre.

— *Fantastic!* — Złapał Alicję za obie dłonie i uwięził w swoich. Na jego ustach malował się euforyczny uśmiech. Pochłaniał ją wzrokiem, błędząc oczami po twarzy dziewczyny i potrząsając w uścisku za ręce. Syknęła, wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby. — *O mon Dieu!* — Spojrzał na jej nadgarstki. Białe bibułki pozdieranej skóry odkrywały różowe obręcze. — Wybacz, powinienem cię uprzedzić, żebyś czymś je zawinęła. — Zmartwił się. — Pierwsze próby zawsze się tak kończą. Pot, uścisk, tarcie...

— Nic jej nie będzie. — Iza stała tuż przy nich, wydymając zaczerwienione usta. — Mój Boże, jaka delikatna!

Choreograf nie słuchał. Pociągnął Alicję w stronę łoży, gdzie leżały jego rzeczy. Z bocznej kieszonki torby wyjął skórzaną saszetkę wielkości męskiej dłoni i wysypał zawartość na stolik. Na blacie pojawiły się harcerski przyborek pierwszej pomocy, opaska uciskowa, mała buteleczka z fioletowym płynem, plastry, bandaż, maść rozgrzewająca i gumy do żucia.

Alicja uśmiechnęła się przez zaszkłone oczy.

— Nic mi nie będzie, naprawdę. — Uwolniła dłonie. — Mogłam je czymś zawiąć, tylko nie miałam czasu o tym pomyśleć. — W tej chwili jedyne, czego pragnęła, to wrócić do domu i zatopić się w wannie. Cała.

Pierre patrzył na Alicję przenikliwym wzrokiem, jakby chciał przeświecić jej myśli. Niepokoiło go własne zachowanie. Powinien trzymać się planu. Żadnego prywatnego zaangażowania. Przy niej jednak jego nabyta obojętność ulatniała się gdzieś niczym wolnolotny gaz. Z trudem ignorował obecność dziewczyny.

— Już szósta — zauważyła. — Właściwie powinniśmy kończyć. Za pół godziny rozpoczynają przygotowania do wieczornego spektaklu. — Podniosła się, naciągając rękawy na pościerane przeguby. Pierre nie odpowiedział, tylko przytaknął skinieniem głowy. Jednym ruchem zgarnął ze stolika porozrzucone przedmioty i wrzucił do torby. W milczeniu dołączyli do grupy i gdy Alicja się odwróciła, aby podziękować mu za pomoc, już go nie było. Zniknął w ciemnym holu teatru. Większość tancerzy, już poprzebierana, szykowała się do wyjścia, inni siedzieli w łożach, żywo wymieniając spostrzeżenia po próbie. Iza stała tyłem oparta o stolik, z telefonem przyciśniętym do ucha. Coś szeptała, od czasu do czasu podnosząc głos.

Alicja zebrała swoje rzeczy i próbując nie kuleć, skierowała się w stronę garderoby. Przechodząc obok producentki, usłyszała:

— ...do jasnej cholery, potrzebuję cię tutaj! Mamy problem.

W życiu trzeba w coś wierzyć, inaczej staje się ono bezużyteczną egzystencją, marnowaniem czasu, materii i energii, pasmem zdarzeń bez większego znaczenia, konsekwentnie prowadzących do nieuniknionego końca zwanego śmiercią. Alicja wierzyła, że nic nie dzieje się bez przyczyny, a wszystko to, co się wydarzyło w jej życiu, niesło jakieś przesłanie, naukę albo po prostu było kolejnym etapem zbliżającym ją do celu. W przeciwnym razie nigdy więcej nie pojawiłaby się w teatrze przy ulicy Jaśminowej.

Z samego rana, zanim dośniła kolejny, powtarzający się sen, zadzwonił Mati. Słodko zaświergolił do telefonu, tłumacząc, że właśnie idzie po bułki do sklepu i tak sobie pomyślał, czy nie wyskoczyłaby z nim na obiad przed wieczorną próbą.

— Jest taka fajna knajpka koło teatru. — Z tonu jego głosu wyczytała, że się uśmiecha. — Lubisz kuchnię fusion? — spytał zachęcająco.

Alicja opadła na poduszkę. Pewnie, że lubiła, ale nie mogła sobie po prostu pozwolić na posiłki w drogich, modnych restauracyjkach. Już nie. Nie teraz. Nawet nie była pewna, czy starczy jej na czynsz w tym miesiącu.

— Mati... — zaczęła, zastanawiając się nad wymówką.

— Ja stawiam! — przerwał jej bez namysłu. — Nie przyjmuję odmowy. Ty zapraszasz następnym razem! To co, o trzynastej na skrzyżowaniu przy Jaśminowej?

— Okej! — poddała się. — Do zobaczenia!

Jak zwykle o tej porze dnia w tramwaju brakowało wolnych miejsc i tlenu. Pasażerowie milczeli zmęczeni upałem, wpatrując się w uciekające za oknem, rozleniwione latem pejzaże miasta. W powietrzu wirowała miejska woń spalin i przepoconych ubrań. Alicja zajęła miejsce na samym końcu wagonu i trzymając się metalowej poręczy, napinała mięśnie nóg i pośladków. Jej kompletnie nieruchomy tułów i naturalny wyraz twarzy nigdy nie zdradzały nieprzerwanie pracujących nóg. Nawyk ćwiczenia pozycji baletowych, wykręcania stóp i bioder pozostał jej z dzieciństwa, kiedy to marzyła o karierze primabaleriny na wielkiej scenie. Może gdyby tata nie odszedł, namówiłby matkę, aby zgodziła się zapisać Alicję do szkoły baletowej. Może. Ale odszedł, a mama, cóż, taniec od zawsze uważała za stratę czasu lub zbędną rozrywkę. Od tamtej pory Alicja trenowała pozycje wszędzie i o każdej porze: szczotkując zęby, stojąc w kolejce do kasy czy jadąc w zatłoczonym ogonie środków komunikacji miejskiej. Tym razem nogi robiły swoje, podczas gdy Alicja myślami była zupełnie gdzie indziej. Przez całą drogę zastanawiała się, czy aby przypadkiem Mateusz nie próbuje jej poderwać. Głowę miała pełną problematycznych kwestii do rozwiązania, które ostatnio zagmatwały się całkowicie, i ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała w tym momencie, był śliczny i dużo młodszy zalotnik. Zwiesiła ręce. Jedyna miła i przychylnie nastawiona osoba w zespole oczywiście musi być facetem. „Dlaczego to nie może po prostu być jakaś dziewczyna, nawet najslabsza tancerka w teatrze” — pomyślała, wyskakując z tramwaju.

Restauracja okazała się małym, ale bardzo popularnym miejscem. Przed wejściem kłębili się studenci z pobliskiego uniwersytetu i elegancko ubrani biznesmeni. Klientela różniła się stylem, wiekiem i prawdopodobnie poziomem życia, ale najwyraźniej kuchnia, bazująca na fuzji orientalnych smaków i barowego jedzenia, zdołała zjednoczyć wszystkich pod jednym dachem. Weszła do środka i rozejrzała się po sali. Wnętrze emanowało ciepłem i spokojem. Bordowe ściany i podłoga z ciemnego, lakierowanego drewna łagodniały w delikatnym świetle lamp i ogromnych świec. Niskie stoliki stały, a raczej leżały w sporej odległości jeden od drugiego, dając poczucie intymności i przestrzeni. Przy każdym z nich znajdował się pękaty, gliniany

wazon wypełniony gałązkami jasnozielonej roślinności przypominającej bambus. Pozytywną atmosferę wznagala radosna, nie za głośna muzyka chilloutowa oraz zapach orientalnych przypraw dobiegający z kuchni. Harmonię wnętrza zmałyły dwie ruchliwe ręce, energicznie wymachujące znad bambusowego lasku. Tuż za nimi pojawiła się blond grzywka i szeroki uśmiech niczym z reklamy pasty do zębów. Alicja nie miała wątpliwości.

Mati.

— No i? — Rozpostarł ramiona jak ksiądz nad wiernymi. — Co powiesz?

Zanim odpowiedziała, ugrzęzła w jego uścisku, po czym została usadowiona z otwartym menu w rękach.

Zamówili napoje i przystawki. Alicja w wyborze kierowała się bardziej ceną niż podniebieniem. Mateusz, nie mogąc się zdecydować, zamówił wszystkiego po trochu.

— Tak się cieszę, że przyszedłeś! — Rozsiadł się wygodnie. Uśmiech nie zniknął z jego ust, nawet gdy milczał. „Ciekawe, jak będzie jadł” — pomyślała z sympatią o towarzyszu. — Wiesz, jak jest — kontynuował — przyjechałem tu niedawno. Nie znam ludzi, a to całe towarzystwo z rewii... — Zrobił wymowną minę. — Na szczęście poznałem ciebie! — Przyniósł się, opierając na łokciach w połowie stolika i penetrując jej oczy. — Jesteś inna od reszty tancerek, które dotąd poznałem.

„Pewnie sporo ich było” — pomyślała przekornie i natychmiast skarciła się za to.

— Jak zwykle za dużo gadam. — Wycofał się na swoją stronę stolika i wyciągnął na pokrytym lnem krzesło. — Co myślisz o naszym przedstawieniu, podoba ci się rewia? — spytał.

— Jest dobry choreograf — przyznała bez namysłu — i całkiem wygórowany poziom. Ale nie wiem, czy dam radę — dodała szczerze.

— Co ty opowiadasz. Niby dlaczego? — zaprotestował. — Już zapomniałaś, jak na ostatniej próbie szybowałaś dwa metry nad parkietem? — roześmiał się. — Pierwsza próba, a ty już solówkę dostałaś! Więcej wiary we własne możliwości, kochana!

— Dzięki, Mati. — Rozluźniła się nieco. — Masz rację, ale nie chcę się oszukiwać.

Patrzył na nią, nie za bardzo rozumiejąc.

— Tylko ja tu nie jestem baletnicą — ściszyła głos. Chłopak otworzył usta, żeby jej przerwać, ale kontynuowała. — Wiem, co powiesz, ale to nie wszystko. — Zagryzła wargi. — Wiek, wzrost, okoliczności... — zawahała się. Zdawała sobie sprawę, że nie może nikomu powiedzieć o nodze. Nikomu bez wyjątku. — Nie jestem w formie i nigdy nie tańczyłam rewii, a do tego producentka mnie nie znosi. — Opadła na siedzenie. Resztę wolała przemilczeć. Prawdą było, że pływała na dziurawej tratwie po wzburzonym morzu. Nie miała pieniędzy ani wsparcia, a do tego masę problemów. Już nawet nie wiedziała, gdzie się one zaczynały, a gdzie kończyły.

— Kobiety! — Uniósł dłonie w teatralnym geście. — Nienawidzi cię tak samo, jak wszystkie inne tancerki z naszego zespołu. Poza tym — pochylił się w jej stronę — nie wiem, ile masz lat, ale na tyle nie wyglądasz.

Oboje wybuchnęli śmiechem. Kelnerka przyniosła kolorowe egzotyczne sałatki z pulchnymi od farszu pierożkami, różowe, mięsiste krewetki zasypane świeżą kolendrą i bambusowy koszyczek z razowym chlebem. Zapach jedzenia oderwał ich od rozmowy. Delektowali się w ciszy potrawą, a znad talerzy unosił się słodkawy zapach sosu sojowego i parującego farszu. Ich uszy pieściła chilloutowa wersja kawałka Jamiego Woono *Spirits*, subtelnie wypełniająca pomieszczenie jak woń wnoszonych potraw. Mateusz, żując powoli, zaciskał powieki, kręcąc głową jak Stevie Wonder. Alicja z wyrazem błogości na twarzy studiowała kolorowe składniki potrawy, artystycznie rozrzucone po talerzu. Wyczułone — zwłaszcza na dźwięki, zapachy i kolory — zmysły stymulowały, a jej stopy poruszały się w rytm

muzyki. Czowała ogromną ochotę, żeby zatańczyć. Potrafiła czerpać radość z drobiazgów i moment jak ten — przyjemne towarzystwo, inspirująca muzyka, bogactwo smaków i zapachów — sprawił, że po raz pierwszy od bardzo dawna zrelaksowała się i przestała zamartwiać się problemami. Przez chwilę pomyślała o Szymonie. Jak by to było, gdyby żył i siedział tu zamiast Mateusza. Albo razem z nimi... W tym momencie poczuła na dłoni ciepły dotyk. Zaskoczona uniosła wzrok.

Mateusz wpatrywał się w nią jak w obraz. Jego gęsta i bogata w słoneczne refleksy grzywka kompletnie przykryła lewe oko.

— Dobrze mi tu z tobą. — Uśmiechnął się nieśmiało. — Co ty na to, żebyśmy częściej razem wychodzili? — spytał z nieukrywanym entuzjazmem i natychmiast wrócił do selekcjonowania widelcem składników sałatki. Alicja usztywniła się na dźwięk tej deklaracji. Stopy i zuchwa znieruchomiły i przez moment nie wiedziała, co powiedzieć. Jej też było dobrze. Czowała się swobodnie w towarzystwie Mateusza i był on jedyną osobą, której miałyby ochotę się zwierzyć. I chociaż nie była z nikim od dłuższego czasu, nie była gotowa na rozpoczynanie związku ani nawet na przelotny romans. Zresztą, o czym tu mówić. Postrzegала Mateusza jak pięknego i niezwykle pozytywnego młodego mężczyznę, jak brata, ale nie czuła do niego żadnej chemii, nic poza ogromną sympatią — i choć ogromną, to w dalszym ciągu tylko sympatią. I lepiej dla wszystkich, żeby od razu przyjął to do wiadomości.

— Mati, posłuchaj. — Wyzwolila dłoń z uścisku. — Ja też lubię z tobą przebywać i nie chciałabym utracić naszej znajomości, ale jeśli myślisz o czymś więcej, to będę z tobą szczerą... — Zauważyła, że twarz chłopaka się zmieniła. — To nie jest dla mnie najlepszy moment. Nie zrozum mnie źle — błędziła wzrokiem po stoliku, szukając odpowiednich słów — bardzo mi się podobasz i lubię cię, ale...

Twarc Mateusza rozpromieniła się. Jego uśmiech pęczniał, aż przeistoczył się w żywy i ujmujący śmiech. Bujał się na krześle, jak w fotelu na biegunach, rozbawiony, jakby właśnie usłyszał najlepszy w życiu kawał.

Alicja zmarszczyła czoło. Zachowanie chłopaka kompletnie zbiło ją z tropu.

Przejechał palcami złoty kosmyk nad czołem, oblizał wargi i poprawił koszulkę jakby przed publicznym wystąpieniem.

— Kochana, uwielbiam twoje oczy i masz nieziemską urodę, ale... — próbował powstrzymać rozbawienie — ale nie jesteś w moim typie! — chichotał. Nagle coś przyciągnęło jego uwagę. Wychylił się i pomachał energicznie w stronę wejścia. Jego oczy błyszczały, a ruchy nabrały uroczystej formy. Zupełnie spoważniał i wskazując przed siebie kiwnięciem głowy, rzekł:

— On jest.

Alicja odwróciła głowę. W drzwiach stała Kaśka. I Oskar.

— Co za spotkanie. — Słowa Oskara sprowadziły ją na twarde krzesło przy zwykłym stoliku. Jeszcze przed chwilą oddawała się przyjemności, konsumując w spokoju i w doskonałym towarzystwie pyszną sałatkę z krewetkami. Wraz z nadejściem Oskara i Kaśki błogość gdzieś się ulotniła. — Wy też tu jadacie? — Oskar zrzucił lekką wiatrówkę, odsłaniając imponujące ramiona. — No to już nie jesteśmy tacy oryginalni — zwrócił się do Kaśki.

Mati od razu zareagował:

— Ali, skarbie, co ty na to, żebyśmy zrobili nieco miejsca i dokończyli obiad we czworo? — Nie czekając na odpowiedź, przesunął się w róg stolika.

Kelnerka dostawiła dwa siedzenia i przyjęła zamówienia. Siedzieli w dość intymnej odległości jedno koło drugiego. Mateusz nie odrywał oczu od Oskara, Oskar od dekoltu Alicji. Alicja zaś zauważyła, że Kaśka jest dziwnie małowówna i przygaszona, w każdym razie nie taka,

jak na próbie, jaką wcześniej znała. Przygarbiona i zapatrzona w blat stolika nie wykazywała najmniejszego zainteresowania otoczeniem.

— Ej, wszystko w porządku? — spytała Alicja.

Kaśka wzruszyła ramionami.

— Źle się poczuła na naszej porannej próbie, więc zawiozłem ją na pogotowie — pospiesznie wytłumaczył Oskar.

— Mam nadzieję, że to nic poważnego? — zainteresowała się Alicja, ale Kaśka nadal milczała. — Nie wiedziałam, że macie próby dwa razy dziennie — zmieniła temat.

Oskar uśmiechnął się kącikiem ust. Był niemożliwie przystojny. Przesadny. W wyglądzie i w zachowaniu. Dobrze wiedział, że nie pozostawia otoczenia obojętnym. Jego uroda wprawiała w zakłopotanie nie tylko kobiety, także mężczyźni patrzyli na niego z zainteresowaniem. Tak jak Mati w tym momencie.

— Wielu rzeczy jeszcze nie wiesz. — Oskar przybliżył się do Alicji. — Ale w wolnej chwili mogę zdradzić ci kilka sekretów.

Był tak blisko, że czuła jego ciepły, miętowy oddech.

— Przestań strugać idiotę, Oskar. — Kaśka uniosła głowę. Na jej bladej twarzy pojawił się grymas złości.

— A jak poszła próba? — przerwał im Mateusz. — Jakieś nowości?

— Izka daje nam w kość, jest ciężko — westchnął solista. — Pierre jest dobry, cholernie dobry, ale i tak mamy za mało czasu na to, co chcą przygotować. Nabory trwały zbyt długo i wciąż te zmiany w składzie... — Pokręcił głową z dezaprobatą. Stolik wypełniły kolorowe miseczki z przystawkami, a przed Kaśką wyrosła wysoka szklanka z grubego szkła, ozdobiona owocami i z kolorową słomką. Dziewczyna przyssała się do rurki, nie zwracając uwagi na apetyczne dania i aromaty.

— Przecież na przesłuchaniach pojawiły się dziesiątki profesjonalnych tancerek — zdziwiła się Alicja. — Dlaczego do tej pory nie utworzyli zespołu? — spytała.

Oskar nałożył sobie obfitą porcję na talerz i pochłaniając każdy kęs z wyrazistym apetytem, kontynuował:

— Większość tancerek nie zgodziła się tańczyć w toplesie — odparł bez emocji — a Witold się uparł, że jak ma bulić kupę kasy na paryską rewię, to chce mieć prawdziwą paryską rewię. — Uniósł głowę znad talerza i uśmiechnął się.

— A o tym to nie wiedziałem — zachnął się Mati.

— Bo ty też jesteś nowy — odparł Oskar. — My pracujemy z nimi już od jakiegoś czasu. Przyzwyczailiśmy się do ciągłych zmian.

— Interesujące — zauważyła Alicja. — I która z dziewczyn miałaby występować toples?

— Ty na przykład — odparł z pełnymi ustami. — Osobiście uważam, że jako jedyna w zespole masz predyspozycje.

— Och, zamknij się, Oskar. — Kaśka odstawiła pustą szklankę z brzdękiem. — Nie tobie przyjdzie o tym decydować. — Jej twarz nabrała nienaturalnych rumieńców.

Alicja zignorowała temat. Niepokoiła ją kwestia toplesu, o ile istniała, ale nie miała ochoty na rozprawianie o wielkości jej piersi.

— Ciekawe, ile jeszcze niespodzianek nas czeka — zainteresował się Mati.

— Chcesz dotrzeć do premiery, to trzymaj się mocno. — Słowa Kaśki przepelniała ironia.

— Widzę, że lepiej się czujesz — zauważył solista. — Nie ma to jak pożywny obiadek.

— Roześmiał się, za co otrzymał porządnego kopniaka pod stołem.

— A kwestia umów? Stawki? — dociekała Alicja. — Rozumiem, że i o tym wiecie

więcej od nas.

Solistka wybuchnęła głośnym, histerycznym śmiechem.

— Nie rozumiem cię, Kaśka. — Alicja straciła cierpliwość. — Rozmawiamy o istotnych sprawach, które dotyczą też ciebie, a ty traktujesz to tak niepoważnie.

— Bo życie jest niepoważne. — Dziewczyna uniosła głos, a jej oczy wyraźnie zaszyły łzami. Prawdopodobnie zdała sobie z tego sprawę, gdyż ostentacyjnie odrzuciła włosy na plecy, wyciągnęła nogi pod stół, a na jej ustach pojawił się sztuczny uśmiech. — Na przykład spójrz na siebie. — Kiwnęła głową w stronę Alicji. — Taka jak ty bez baletówki w rewii. Trudno tu o powagę.

Nastała cisza. Ta charakterystyczna cisza.

Mateusz wyprostował się na krześle. Oskar kończył swój gyros, uśmiechając się do talerza.

— Tańczysz niczego sobie — kontynuowała Kaśka — ale nie jesteś klasyczną tancerką, jesteś za niska i chyba najstarsza w grupie i moim zdaniem ani ten, ani żaden inny teatr nie podpisze z tobą umowy. Nie wiem, co ty właściwie robisz w naszym zespole, i jak znam Izkę, to pozbędzie się ciebie tak szybko, jak dostałaś solówkę.

Alicja przełknęła ostatni kęs z wielkim trudem. Apetyt minął bezpowrotnie. Kaśka chwyciła szklankę i głośno wysssała rozpuszczony lód przez słomkę, po czym zebrała swoje rzeczy.

— Idę do teatru. Spotkamy się na miejscu — rzuciła w stronę Oskara i wstała od stołu. Zanim wyszła, nachyliła się nad Alicją i dodała: — Chyba życie zrobiło ci kawał. Nadal uważasz, że warto traktować wszystko tak poważnie?

Jej słowa pachniały żalem i alkoholem.

Próby do przedstawienia okazały się wielkim wyzwaniem. Walką. Ruską szkołą życia, jak żartobliwie określał Mati próby zespołu z Izą. Alicja nie tylko musiała się zmagać ze swoimi słabościami, które na dobrą sprawę okazały się najmniejszym problemem. Musiała też się nauczyć, jak zaciskać zęby i z pokorą przyjmować każdą złośliwą krytykę producentki. I to dałaby radę znieść, w końcu krytyka jest potrzebna do rozwoju. Ta pozytywna. Natomiast w zachowaniu producentki nie było niczego pozytywnego. Alicja coraz gorzej znosiła poniżający ton, obraźliwe uwagi, którymi ośmieszała ją przed zespołem, a przede wszystkim utrudnienia, do wymyślania których Iza miała nie lada talent.

Alicja, jak na tancerkę bez szkoły baletowej, radziła sobie całkiem nieźle. Jej wszechstronność stylu pomagała w interpretacji choreografii, dzięki niej była otwarta na zmiany, modyfikacje i wszelkiego rodzaju odstępstwa od reguły, miała zalety, których pozbawione były klasyczki, zwłaszcza te świeżo po dyplomie. Lekkie jazzowe kawałki, modern czy kankan sprawiały jej wiele przyjemności, a świadomość tańczenia ich lepiej od wielu baletnic stanowiła źródło prawdziwej satysfakcji. Niestety znacznie odstawała w klasycznych choreografiach i braki w technice były jej słabym punktem, nieustannie wytykanym przez Izę. Producentka nie zostawiała suchej nitki na Alicji, doprowadzając ją za każdym razem do bólu kolana, głowy i żołądka. Była zdolna rozbudzić w dziewczynie wszelkie wątpliwości co do wyboru zawodu, decyzji, jakie podjęła w życiu, wyliczając jej braki w przygotowaniu, w wyglądzie i niestrudzenie upokarzając. Robiła wszystko, aby Alicja poddała się i odeszła.

„Kiedy idziesz drogą dyktowaną przez serce, nie zawsze pada na nią słońce” — mawiała babcia. „Masz już trzydzieści trzy lata. Wyobrażasz sobie czterdziestoletnią tancerkę na scenie? To żenujące” — powtarzała do upadłego matka. „Kim jesteś i dokąd zmierzasz?” — słyszała głos dochodzący ze środka. Tak więc nauczyła się zaciskać zęby i trwać, chociaż coraz częściej wątpiła w swoje wybory. Czuła rozpychanie w piersiach, uczucie niosące nadzieję, że prawda kielkuje i prędzej czy później prawdziwa Alicja ujrzy światło dzienne. Tymczasem w życiu musiała grać, bo tylko na scenie umiała być sobą.

W przerwie Mati wsiąkł jak woda w bibułkę, co wywołało figlarny uśmieszek na ustach Alicji. Już od kilku dni każdą wolną chwilę podczas prób spędzał w garderobie solisty, a nie razem z nią, jak zazwyczaj. Usiadła na miękkiej, nieco wytartej wykładzinie, zdjęła buty i wyciągając nogi, westchnęła z ulgą. Próbowała rozmasować uda, zatapiając palce głęboko w ciele, ale ból odbierał jej oddech.

Pierre zawsze pojawiał się niespodziewanie. Tak było i tym razem. Oparł się o ścianę w półcieniu i splótł ręce na piersi. Obserwował ją.

— Chyba tylko my tu nie palimy — stwierdził, siadając przy stoliku na wprost Alicji. — Jak się czujesz?

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Od dwóch tygodni Iza gnębiła ją codziennie i nie chodziło wyłącznie o klasykę. Wiedział dobrze, że to tylko początek.

— Mam znajomą — zaczął. — Francuzka. Wyszła za mąż za Polaka. Świetnie wyciąga technikę. Mogę ci dać namiar. Nie weźmie dużo — podkreślił.

— Mam spore braki, wiem.

— Nie tak duże, żeby nie móc tańczyć rewii...

— Chciałabym, ale nie mogę. — Zacisnęła zęby. — Ledwo starcza mi na mieszkanie — rzuciła pospiesznie.



— Jak wielu tancerzom — odparł. Pomyślał, że coś mu to przypomina. — Słuchaj. — Potarł brodę. — Mateusz, ten od piosenek, powiedział, że mieszkasz sama.

— Jeśli myślisz o współlokatorce, to nic z tego — uprzedziła. — Już to przerabiałam dwa razy. Na początku myślałam, że mieszkanie z drugą tancerką to będzie frajda! Wspólna pasja, ćwiczenia, oglądanie filmów o tańcu i tak dalej. — Pokręciła głową. — Ale tak jest chyba tylko w filmach. — Uśmiechnęła się. — Ja miałam niechcianych gości o drugiej w nocy, palenie po kątach, upijanie się na umór, wykłady na temat absurdalnych diet i jeszcze dziwniejsze teorie na temat robienia kariery. Ciuchy latające po domu i sprzątanie włosów w zlewie po nerwowych chyba próbach zebrania ścisłego koczka. Mówię ci, koszmar!

Pierre słuchał.

— A gdyby to był ktoś znajomy? — spytał. — Kto mówi, że musisz mieszkać z tancerką? Racja?

Czy miał rację? Ostatnia współlokatorka pozostawiła po sobie nie tylko bałagan i nieopłacone rachunki, ale też niemiłe wspomnienia. To wystarczy, aby nie pomyślała już o nikim innym. A przecież są jeszcze studentki matematyki i filozofii albo ktoś, kto pracuje...

— Miałbym kogoś — przerwał jej rozmyślania.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

— Osoba z pasją, ale nie tancerka. Pracuje, nie wchodzi nikomu w drogę. Myślę, że nie pali i poszukuje pokoju od przyszłego tygodnia

— Brzmi idealnie — odparła. — Jesteś pewien, że ktoś taki istnieje?

Roześmiali się.

— Pierre — spoważniała nagle — ale ja nie mam pokoju do wynajęcia, zostaje salon... — Zamyśliła się. — Choć gdybym wstawiła coś w stylu parawanu albo wysoką szafkę, odgradząc kąt z kanapą od kuchni... Jak myślisz, czy to miałoby sens?

— Jeśli będzie można swobodnie się poruszać — przytaknął. — To od kiedy miejsce jest wolne?

— Przemebuję salon nawet dziś wieczorem. Daj mi dwa dni — oznajmiła, zupełnie zapominając o bólu.

— Umowa stoi.

Z mroków foyer wybiegła jasna czuprynka. Nawet z odległości kilkunastu metrów mowa ciała bezbłędnie zdradzała tożsamość. Mati, podskakując w nieposkromionym przypiływie radości, biegł wprost na nią i pokrzykiwał z daleka:

— Ali, muszę ci coś powiedzieć! Muszę ci coś powiedzieć! Nie uwierzysz! — Splótł przedramiona na klatce, jakby przyciskał coś do siebie, i obrócił się na nodze. W tym momencie zauważył choreografa. — Ups! Cześć, Pierre... — Opuścił ręce i wsunął dłonie głęboko w kieszenie. — Ładnie ci w niebieskim — dodał. Pierre ściągnął brwi, spoglądając to na rozbawioną Alicję, to na poważnego Mateusza. Na twarzy choreografa pojawiła się rutynowa obojętność.

Zauważyła tę zmianę.

— *Bien* — mruknął, prostując szerokie plecy. — Bawcie się dobrze, *enfants*.

Przez chwilę odprowadzali go wzrokiem, a gdy tylko zniknął w półcieniu kurtyny, Mati padł przed Alicją na kolana.

— Kochanie, nie uwierzysz! Jestem taki szczęśliwy! — Ujął jej ręce, jakby miał się za chwilę oświadczyć. — Oskar zgodził się pójść ze mną na kolację!

— Kto? — Chciała się upewnić, że chodzi mu właśnie o tego Oskara.

— No, nasz Oskar, boski solista! — wykrzyknął.

Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Nie chciała urazić uczuć Mateusza, ale co za

kanalia z tego tancerza! Bezcelnie pogrywać na uczuciach innych. I pomyśleć, że tak bardzo się jej podobał. I nadal podoba...

— To wspaniale, Mati — odpowiedziała. — Ale uważaj, wiesz, jacy oni są...

— No chyba nie chcesz mi robić za mamusię! — Roześmiał się głośno.

— Absolutnie!

W sali teatralnej zrobiło się gwarnie. Powracający z przerwy tancerze ciągnęli za sobą woń letniego powietrza i dymu papierosowego. Pojedyncze, acz silne światła ramp rozbłysły, demaskując prawdziwe oblicze wnętrza. Zdeformowane skórzane sofy, dywany powycierane wokół stolików, przyprószone kurzem kryształowe żyrandole. Alicja rozmasowała energicznie łydki, wykonała kilka głębokich skłonów i dołączyła do grupy. Stres i zmęczenie dawały się we znaki, ale pierwszy raz od długiego czasu czuła budujące uczucie. Jak światełko zapaliło się w jej sercu i świat pełen problemów, choć nie zniknął, wydał się miejscem o wiele przystępniejszym.

Pierre rozpoczął rozgrzewkę. Padło żwawe *un deux trois* i ożywiająca, jazzowa muzyka zjednoczyła tancerzy. Uwolniła się adrenalina. Mięśnie odzyskały elastyczność, a twarze pokryła zdrowa czerwień. Choreograf pokrzykiwał zachęcająco, czasem ktoś roześmiał się gromko, ale nogi tancerzy nie traciły rytmu.

Wtem muzyka zamilkła.

— Dziękuję, Pierre, zrób sobie przerwę. — Iza odprawiła mężczyznę gestem ręki.

Pozbyła się skózanego płaszcza i rzuciła na stół torebkę z wężowej skóry. Podeszła bliżej sceny.

Atmosfera zeszytniała błyskawicznie, tak jak plecy Alicji.

— Właśnie wracam z zebrania — rozpoczęła — i mam do zakomunikowania kilka spraw. Po pierwsze, przez kilka dni solistka będzie nieobecna, co w żaden sposób nie może wpłynąć na naszą dotychczasową pracę. Po drugie — ciągnęła — w przyszłym tygodniu macie dostarczyć do biura zaświadczenia od lekarza sportowego o zdolności do wykonywania zawodu. Bez tego nie dostaniecie umów.

Podniósł się gwar.

— Cisza! To nie wszystko. — Oparła ręce na biodrach i rozejrzała się po spoconych twarzach. — Zamówiłam część kostiumów z Paryża. Dla tancerek rozmiary S i M. Tak więc uprzedzam, drogie panie, żadnych lodów. — Spojrzała na Alicję, po czym zaklaskała w dłonie. — A teraz wracajcie do roboty. Muzyka!

Gdy skończyli, za oknami garderoby czał się zmrok. Latarnie rzucały smukłe pasma światła na mknące po jezdni auta. Alicja usiadła po turecku na ławeczce koło pryszniców. Wszystkie były już zajęte. Zdjęła buty i zaczęła masować stopy. Co jakiś czas marszczyła brwi i zamykała oczy, gdy palce napotykały odciski, otarcia i nabrzmiałe tkanki.

Siwe jęzory pary lizały podłogę, leniwie wymykając się spod kabin. Po kilku minutach wewnątrz spowiła ciepła mgła.

— Ali! Jesteś tam? — Relaks przerwało dobijanie się do drzwi. — Czekam na ciebie w hallu, pojedziemy razem. Okej?

— Okej!

\*

Maszerowali w ciszy. Alicja wykończona, a Mati zamyślony. Wiatr plątał wiśniowe pasma jej włosów. Nie protestowała.

— Czemu dziś nie było Kaśki? — spytała nagle.

— Pojęcia nie mam. — Wzruszył ramionami.

— A Oskar nic ci nie mówił?

— No przestań, mamy ciekawsze tematy — skomentował. — Ale dziwne to wszystko...

— Co takiego?

— Dziś rano miałem próbę z muzykami i chórem. Przychodzę wcześniej, żeby się rozgrzać, bo jak raz próbowałem w autobusie, to jedna staruszka nawymyślała mi od niewychowanych gówniarzy. — Na to wspomnienie wydał usta. — No i wiesz, mam garderobę koło biura Izki. I ona była w środku, chyba z Kaśką i kimś jeszcze. Słyszałem kilka głosów, więc poszedłem się przywitać i byłem już na progu, kiedy Iza odwróciła się i zatrasnęła drzwi. O tyle od twarzy! — Spłaszczyl nos otwartą dłonią.

Alicja się roześmiała. Objęła go ramieniem, tak jak robią to kumple w szkole podstawowej.

— Nie uważasz, że dziwnie się zachowuje? Zawsze była dla mnie taka miła.

— Nie, Mati, nie uważam. Do mnie jest zawsze wrogo nastawiona. — Spoważniała. — Nie wiem, czy w ogóle dotrwam do premiery.

Mateusz spojrział na nią pytająco, ale nie odpowiedziała. Po wcześniejszym optymizmie nie zostało śladu. Jej myśli zaprzętnął kolejny problem.

„Kto, do jasnej cholery, wyda mi zaświadczenie, że mogę tańczyć?”

W pośpiechu upięła włosy w koński ogon. Gumka nie wytrzymała i pacnęła o podłogę w drugim kącie pokoju.

— Co za... — wycedziła przez zęby Alicja.

Budzik nie zadzwonił, komórka rozładowała się przez noc, a lekarz, w drodze wyjątku, zgodził się przyjąć ją piętnaście minut przed wszystkimi pacjentami. Jedyne lekarz, który ma w nosie jej nogę.

Jak nie zdąży na autobus, to wszystko legnie w gruzach. Ściągnęła włosy dwoma gumkami. Linia czoła powędrowała kilka milimetrów wyżej, naciągając skórę. „Lifting gratis”. Uśmiechnęła się ponuro. Wsuwając adidasy bez rozwiązywania sznurówek, kartkowała zawartość teczki, aby się upewnić, że ma wszystkie zdjęcia rentgenowskie i wcześniejsze badania. „To bez sensu” — pomyślała. „Na podstawie tych świstków nikt nie odważy się wystawić zaświadczenia. Nawet za kasę”. Rozległ się dzwonek do drzwi. Zastygła. Błędząc oczami po pokoju, rozważała wszelkie możliwości. Zalegała z czynszem, ale umówiła się na rozliczenie pod koniec miesiąca, a był dopiero początek. Mama nigdy nie wpadała bez zapowiedzi, najpierw dzwoniła tysiąc razy. Wojtek nie wie, dokąd się przeprowadziła, no, chyba że mama się wygadała. Z nikim się na dziś nie umawiała i nie zamówiła pizzy, więc kto to, do licha? Stąpając na palcach, podeszła do drzwi. Na szczęście podłoga z wyrobionych desek nie zajęczała. Wstrzymała oddech i przycisnęła oko do wizjera. W półmroku typowym dla starej klatki schodowej dojrzała sylwetkę mężczyzny. „A ten to kto?” Dzwonek ponownie zapiszczał. Drgnęła, uderzając czołem w drzwi. Oko nieznanego przywarło do otworka i tym razem rozległo się pukanie. Zarzuciła sportową torbę na ramię, szarpnęła za klamkę i stanęła na progu drzwi.

— Tak?

Mężczyzna patrzył na nią w milczeniu, jak ktoś dotknięty amnezją. Alicja poczuła, że traci cierpliwość. Ucieknie jej autobus!

— Cześć. Ja w sprawie ogłoszenia — mówił powoli, jakby nie pamiętał, po co przyszedł.

Alicja odruchowo chciała zmarszczyć brwi, ale napotkała opór naciągniętej skóry czoła. Westchnęła.

— To pomyłka. Nie dawałam żadnego ogłoszenia. — Zanurzyła ręce w otchłani torby w poszukiwaniu kluczy.

— Ty jesteś Alicja?

— I owszem, ale bardzo się spieszę, wybaczysz? — Zrobiła kolejny krok z nadzieją, że nieznamy się przesunie.

— Nie chciałbym zabierać ci czasu, ale...

— To nie zabieraj, bo mi ucieknie autobus. — Nie była w stanie myśleć już o niczym innym.

— ...ale dostałem ten adres od -Pierre'a — dokończył. — To może wpadnę później.

Nastąpiła krępująca cisza. Alicja zrobiła minę, jakby właśnie ugryzła cytrynę. Wycofała się. Torba powędrowała w dół razem z ramionami.

— Przepraszam... Kompletnie zdziczałam ostatnio. — Spuściła wzrok. — Proszę, wejdź. — Zrobiła krok w tył, robiąc miejsce mężczyźnie.

— Faktycznie, oczy masz jak dziki kot! — uśmiechnął się. — Pierre mówił mi o rewii, ale nie sądziłem, że to coś w rodzaju *Cats*.

Wszedł do środka i rozejrzał się po salonie. Czekoladowe i śliwkowe ściany

kontrastowały z meblami z jasnego drewna i tapczanem w kolorze fuksji. Cylindryczne świece oraz książki stanowiły główne wyposażenie pokoju. Aneks kuchenny przypominał ogródek botaniczny. Gliniane doniczki pęczniały od ziół i krzaczków, wszędzie piętrzyły się słoiczki z przyprawami i znowu świece.

Alicja wskazała mu tapczan. Na niskim stoliku tliło się jeszcze kadzidelko.

— Napijesz się herbaty? — spytała. — Mam tylko zieloną — dodała.

— Ładnie tu — oznajmił, rozglądając się dookoła. — Tak... inaczej.

— Tak czy nie?

Spojrzał na nią nieco rozbawiony.

— Rozumiem, że się spieszysz. Nie chcę zabierać ci czasu.

— Powtarzasz się — odparła. Pierwszy raz na jej twarzy pojawił się uśmiech. Opadła na tapczan. Nabrała powietrza do oporu i wypuściła je z całą siłą niczym odpowietrzający się parowóz. Leniwie uwolniła szyję od okalającego ją jak mgiełka szala.

— Posłuchaj — zaczęła powoli, jak gdyby chciała dobrać właściwe słowa. — Pierre powiedział mi, że ma kogoś zaufanego — uniosła wzrok — ale nie powiedział, że chodzi o mężczyznę.

Gość usiadł z szeroko rozstawionymi nogami w fotelu obok. Nie wykazywał najmniejszego zmartwienia tą wiadomością. Światło przedzierające się przez szparę między zasłonami padało bezpośrednio na jego twarz. Wyraźnie malował się na niej wyraz zadowolenia. Nie potrafiłaby chyba opisać dokładnej barwy włosów mężczyzny. Mieniły się naprzemiennie wieloma kolorami. Doszła do wniosku, że są po prostu jasne.

— Rozumiem. — Pokiwał głową. — Mnie też wielu rzeczy nie powiedział, ale podoba mi się to miejsce.

— Jest tylko jeden pokój, a poza tym... — zawahała się. — Ja ciebie nawet nie znam. Nie jestem pewna, czy mi odpowiada mieszkanie z facetem. To zrobię herbaty. — Wstała i podeszła do kuchennego blatu. Wyjęła z szafki dwa pękate kubki. Czerwony i zielony. Czerwony z odpryskami, piękny w swojej prostocie.

— Nie potrzebuję wiele miejsca, właściwie od rana do późnego wieczora jestem poza domem — dodał. — Więc wystarczy mi łóżko, prysznic i... kubek herbaty.

Odwróciła się i splotła ręce na piersi.

— Właściwie to czemu ci tak zależy? — spytała. — Nie brakuje pokoi i kawalerek do wynajęcia.

Podszedł do okna i rozsunął zasłony. Pokój zalało poranne światło. Dopiero teraz zauważyła nieskazitelnie białą bawełnianą bluzę, podkreślającą kolor wypoczętej opalenizny. Rękawy miał podciągnięte prawie do łokci i przez cały czas trzymał dłonie w kieszeniach. „Może nie wie, co z nimi zrobić” — przeszło jej przez myśl. Po drugiej stronie dwupasmowej i ruchliwej jezdni, vis-à-vis jej okien wznosił się zimny wieżowiec. Piętnaście pięter szkła i metalu codziennie okradało ją ze słońca i widoku na park, ale z tego i innych podobnych powodów czynsz za mieszkanie był niski. Nad wejściem szklanego pudła niewinnie rozpościerał się szyld. „Spring Music Sound”.

Wskazał wejście skinieniem głowy.

— Bo nie znajdę niczego bliżej pracy.

Obiecała, że się zastanowi. Kolejny problem. Współlokator. Nie wyobrażała sobie latających po mieszkaniu skarpetek, stale podniesionej deski klozetowej i braku możliwości spacerowania po domu w majtkach. Perspektywa comiesięcznego wsparcia finansowego nie pozwalała jednak ignorować zaistniałej możliwości. Postanowiła, że najpierw porozmawia z -Pierre'em. Na razie nie miała zaświadczenia ani szans na to, aby je ktoś wystawił jej z czystym

sumieniem. Wizyta w przychodni przepadła i do końca przyszłego tygodnia nie było wolnych miejsc do ortopedy, znajomego pewnego znajomego, co służył z przymykaniem oka, a certyfikat był potrzebny na dniach. Mogłaby podzwonić po starych znajomych i w taki czy inny sposób otrzymać zaświadczenie. Był tylko jeden problem — to kosztowało. Za próby nie dostawała grosza. Czas mijał, wydatki się nawarstwiały, a konto w banku można było praktycznie zamknąć.

Na popołudniową próbę szła, jakby miała buty wypełnione ołowiem. Iza kazała jej się zgłosić przed próbą do biura. Niby nic, a jednak czuła, że niczego dobrego to nie wróży. Na sali panowała zwyczajowa duchota, pachniało mieszaniną męskich perfum, nagminnie nadużywanych przez muzyków, a atmosfera w niczym nie przypominała tej z prób baletu. Oświetlenie boczne sali, podsycane małutkimi żaróweczkami spod sceny, przemieniło niemodne, kiczowate wnętrza w nastrojowy lokal. Kiedy zatrzasnęły się drzwi za ostatnim muzykiem, została sama na samą ze sceną. W tak akustycznym miejscu jedyne, co zdołała usłyszeć, to jej własny oddech, choć lubiła myśleć, że to teatr oddycha. Odczuwała nieodpartą ochotę, aby zatańczyć. Poczuć scenę pod stopami, zmierzyć piruetami jej przestrzeń i przez chwilę mieć teatr tylko dla siebie. Któryś ze starych kawałków jazzowych albo modern, którego nie dokończyła w dniu wypadku, nadawał się idealnie, ale lada chwila mogli się pojawić Witold albo Iza. Przebrała się i wyszła z garderoby na bosaka, pozwalając odetchnąć stopom przed wciśnięciem szpileczek do tortur. Postanowiła poczekać pod biurem, chciała mieć to spotkanie już za sobą, zanim pojawi się zespół. Ruszyła wzdłuż korytarza, stąpając po miękkiej, choć zbitej wykładzinie. Czuła przyjemne igielki włókien pod stopami.

Wszystkie pomieszczenia były zamknięte poza biurem Witolda. Przez uchylone drzwi usłyszała szmery i niewyraźne głosy. Ktoś był w środku. Ucieszyła się, że nie będzie musiała czekać. Podeszła bliżej i wyciągnęła rękę, by zapukać, gdy przez szparę dostrzegła czerwone błyszczące szpilki w nieco nienaturalnej pozycji. W pierwszej chwili nie rozumiała tego, co widzi. Karminowe lakierki, gołe uda, owłosione mięsiste łydki, czarne skarpetki i wszystko w poziomie, na wysokości biurka...

W tej samej sekundzie rozległo się głośnie sapanie.

— Cholera... — szepnęła. Wstrzymując oddech i stąpając na palcach, oddaliła się w głąb korytarza.

Wpadła do garderoby wprost na jedną z najmłodszych tancerek w grupie. Dziewczyny chichotały niestrudzenie, jak zawsze w garderobie przed próbą, a w trakcie próby milczały pobladłe i zeszywniałe pod surowym okiem Izy. Zgodnie z podanym schematem.

— A tobie co się stało? Ducha zobaczyłaś? — roześmiała się Dagmara, jedyna sympatyczna z całego stadka. Nie czekając na odpowiedź, popychana przez rechoczące koleżanki, wypadła z garderoby.

— Przyjechały kostiumy! — pokrzykiwały absolwentki szkół baletowych, biegnąc korytarzem jak gromadka przedszkolaków za wózkiem z lodami. Alicja przeciągnęła dłońmi po gładko zebranych włosach. Przed oczami wciąż miała niecodzienny obraz. Przygryzając wargi, raz górną, raz dolną, dopięła paski tortur na kostkach i wróciła na scenę. Pierwsze łoże okrywały puszyste, wielobarwne pióra, a spod nich uderzał blask cekinów i brokatu. Tancerki, zwłaszcza te najmłodsze, szeroko otwierały oczy, kiedy ich dłonie dotykały miękkich struktur.

— Powoli z tymi rękami! — Producentka wyłoniła się z ciemności, otoczona serpentynami z białych jak śnieg strusich boa. Włosy miała zwichrzone i o dziwo nie trzymała w ustach papierosa. Z delikatnością matki ułożyła pióra na skórzanej kanapie i skinęła na jedną z debutantek. Okręcała ją, studiowała i coś tłumaczyła. Zdawała się niezadowolona. W końcu rzuciła wzrokiem po sali i napotkała przyglądającą się jej Alicję.

— A ty co tak sterczysz? — Wygrzebała coś z plastikowej torby. — Masz, przymierzaj

— poleciała, wyciągając w jej stronę rękę z czerwonym błyszczącym kostiumem.

Alicja zeszła ze sceny i podeszła bliżej. Rozpostarła kostium i jej oczom ukazało się elastyczne body nabijane czerwonymi kamyczkami, z usztywnieniem z fiszbinów pod biustem. Stanik nie posiadał miseczek, tylko dwie okrągłe dziury.

— Ale co to jest...

Iza nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się leniwie.

— Byłaś już u Witolda?

— Właśnie szłam, jak mnie zawołałaś.

— No to migiem, na co czekasz?

Stała pod gabinetem i tym razem drzwi były zamknięte. Czuła, jak ciśnienie rozsadza jej żyły. Napadły ją mdłości. To, co widziała kwadrans wcześniej przez uchylone drzwi, to w sumie nie jej sprawa, jakoś to strawi, zresztą jak każdy gorzki kąsek serwowany przez ten teatr, ale nakłaniać ją do występowania w toplesie... Z trudem powstrzymywała drżenie rąk i napływającą złość. I na co jej to było? Naiwność pchała ją w objęcia tańca, tego skomplikowanego związku, w którym bez przerwy tkwiła. Poświęciła wszystko, pozwoliła się poniżać, a teraz powinna jeszcze wystawić na pokaz piersi, usztywnione na drucianym stelażyku, tylko dlatego że nie ma za co zapłacić rachunków? Tylko czyja to wina? Mogła winić wyłącznie siebie, bo przecież matka ostrzegала ją, że taniec to nie praca, nie dorosłe życie. Zastukała siną pięścią i szarpnęła za klamkę, nie czekając na odpowiedź. To samo biurko, na którym przed chwilą leżeli, stało w prawym rogu pokoju. W pomieszczeniu panował półmrok a jedyne światło skromnie wydzielala długa i wąska lampa. W jej jasnych smugach leniwie unosiły się aureole cygarowego dymu. Witold siedział za biurkiem w wielkim czarnym fotelu, przeglądając papierzyska. Układał usta w idiotyczny dzióbek jak mali chłopcy, kiedy z zamkniętymi oczami całują dziewczynki w policzek. Na dźwięk otwieranych z impetem drzwi uniósł oczy znad papierów. Nie zmieniając pozycji, przypatrywał się Alicji i przez kilka sekund bezczelnie studiował poszczególne partie jej ciała. W końcu leniwie przeniósł ciężar pleców na oparcie fotela i uśmiechnął się nieszczerze.

— Słucham, kotku.

— Nie będę tańczyć w toplesie — wystrzeżiła i poczuła, jak powoli się uspokaja.

Uśmiech znikł z puciołowatej twarzy Witolda.

— Masz dla mnie zaświadczenie od lekarza? — spytał, ignorując jej deklarację.

— Nie było lekarza. — Znów się spięła. — Mam wizytę w przyszłym tygodniu — dodała pospiesznie.

— No to będziesz tańczyć w toplesie do przyszłego tygodnia — odparł z nutką znudzenia, wracając do swojego zajęcia.

Alicja zacisnęła zęby, aż zabolala ją szczeka. Gdyby mogła, zdzieliłaby Witolda w twarz.

— Nie, nie będę. — „Chrzanić wszystko” — pomyślała. — Przyszłam tu, żeby tańczyć, a nie żeby się rozbierać.

Producent odłożył papiery i westchnął głęboko. Jego twarz nabrała wrednych rysów.

— Moja droga — oparł się o gładki i mocny blat biurka — to moja rewia i ja decyduję o tym, kto, kiedy i czym się będzie zajmować.

Poczuła, jak skóra na jej plecach się kurczy.

— Nie masz nóg ani wzrostu do pierwszej linii, nie masz dyplomu szkoły baletowej, a teraz nie masz nawet zaświadczenia lekarskiego. — Pokręcił głową. — Ale za to masz egzotyczne oczy i duży biust, który bardzo chętnie zobaczę.

— Co pan sobie wyobraża! — Czuła, że traci nad sobą kontrolę. Z trudnością powstrzymywała język i pięści.

Ton jego głosu zmiękł.

— Zapewniam cię, tancerki w toplesie dostają u mnie wyższe gaże, że nie wspomnę o zainteresowaniu ze strony mediów i sponsorów, które je czeka. — Wtopił tłuste ciało w miękką skórę fotela. Jego dziewięciomiesięczny brzuch powędrował ku górze. — Jeśli nie interesuje cię kariera tutaj, to drzwi do moich klubów są dla ciebie otwarte. — Rozłożył ramiona w przyjaznym geście. — Tam zachowasz anonimowość, żadnej telewizji, gazet i wielkiej publiczności. Jestem pewien, że zarobilibyśmy mnóstwo kasy. Ja i ty. — Puścił oczko.

Znieruchomiała. Nie była w stanie wydobyć słowa. Jej serce galopowało w stronę przepaści.

Witold dźwignął brzuch i wyszedł zza biurka. Pomimo wagi i zbitego ciała poruszał się jak leniwy kocur. Podszedł niebezpiecznie blisko.

— Albo możemy jeszcze inaczej to wszystko załatwić... — zrobił wymowną pauzę.

Krew uderzyła jej do twarzy.

— Ty sku...

W tej samej sekundzie otworzyły się drzwi i do środka z wrzaskiem wpadł Pierre.

— Co to jest, do cholery! — Trzymał w ręku czerwone brokatowe body z przypiętą karteczką. Na etykietce widniał napis „Alicja”. — Przecież wybrałem ci tancerki do linii toples. — Cisnął kostiumem na biurko, rozwalając papierzyska.

Witold przewrócił oczami i wrócił za biurko.

— Gdzie twoje maniery, Pierre? We Francji się nie puka? — Chrząknął pod nosem. — Omawialiśmy właśnie naszą umowę. — Pierre spojrzał na Alicję pytająco. Miała rozpaloną twarz. — Ona dołączy do linii toples. Płacę i wymagam — dodał oschle.

— No właśnie. Płacisz mi, abym wykonywał swoją pracę. — Choreograf nie dawał za wygraną. — A decydowanie, kto i do czego się nadaje, należy do moich kompetencji.

— Już postanowiłem.

— Bez mojej zgody! Jeśli nie będziesz traktował poważnie moich wskazówek, to cały ten cyrk pójdzie z torbami! — uniósł się Francuz.

— Znów piłeś, Pierre? To też mam akceptować?

— O czym ty mówisz, na litość boską!

— Śmierdzisz na odległość. — Sponsor skrzywił się, zatykając nos. — A ona nie ma zaświadczenia i zanim mi go nie przyniesie, będzie pieprzoną hostessą w toplesie, jasne?

Alicja nigdy wcześniej nie widziała -Pierre'a w takim stanie. Choreograf zamilkł. Zrobił dwa kroki w stronę drzwi i wrócił, przejechał dłońmi po błyszczącej od potu, łysej, okrągłej głowie.

— *Va bien*, zacznijmy od nowa — mówił powoli, jakby przejął kontrolę nad emocjami. — Jeśli nie potrzebujesz najlepszych z branży, to znaczy, że mógłbyś zaoszczędzić mnóstwo szmalu i przygotować rewię sam. Po co przepłacać?

Chomicze policzki Witolda nagle nabrały koloru.

— Czy ty mi grozisz? — spytał z nieskazitelną dykcją.

Pierre kontynuował, jakby nie usłyszał pytania:

— Jeśli natomiast twoim zamiarem jest odniesienie ogromnego sukcesu na skalę nie tylko krajową, ale też międzynarodową, to musisz dać mi wolną rękę i trochę zaufania, Witold, bo wiem doskonale, co robię.

Sponsor pocierał palce, jak gdyby przeliczał niewidzialne banknoty. Pierre podszedł do biurka i pochylił się nad nim.

— Oto co proponuję — ciągnął. — Skład tancerek w toples zostaje taki, jak ja ustaliłem, Alicja zastąpi Kaśkę na czas jej nieobecności, a potem wróci do linii kankana i jazzowych wariacji. Linia klasycek zostanie bez zmian. Będziesz miał swój pieprzony sukces. Gwarantuję.



— W przeciwnym razie?

Twarz -Pierre'a wykrzywiła agresja. Cofnął się o krok i wbił oczekujące spojrzenie w sponsora. Nastąpiła cisza regularnie przerywana pukaniem palca o blat biurka jak krople kapiące z rynny po burzy. W rzeczywistości była to tylko cisza przed sztormem. W drzwiach pojawiła się Iza.

— Czy mogę wiedzieć, co tu się dzieje? — Wparadowała do gabinetu, rozglądając się po wszystkich. — Ile mam na ciebie czekać! — rzuciła pretensjonalnie w stronę Alicji.

Nie odpowiedziała. Nie miała już siły. Ani ochoty. Czowała się jak balonik, z którego uszło powietrze.

— Dobrze, Pierre — odezwał się wreszcie Witold, nie patrząc na napiętego jak struna choreografa. — Zobaczmy, ile jesteś wart. I chcę ten certyfikat do końca tygodnia — zwrócił się do Alicji. — A teraz zostawcie nas samych. — Wstał od biurka, wskazując krzesło producentce. Iza spojrzała na niego pytająco i, choć niechętnie, usiadła.

Alicja wyszła na korytarz, trzaskając za sobą drzwiami. Z trudem powstrzymywała łzy. Nie była w stanie myśleć. Tylko czuła. Czowała się podeptana. Jedyne, czego chciała teraz, to być sama. Przez chwilę błąkała się po zapleczu niczym oszołomione zwierzę. Wzburzone emocje jak fale zatapiały resztki jej silnej woli. Pchnęła drzwi garderoby. Wewnątrz panował nierealny spokój. Swojski zapach mieszających się woni sprowadził ją do rzeczywistości.

Zawahała się. A może obrócić to wszystko w żart? Co właściwie powinna teraz zrobić? To, czego chce, nigdy nie dogaduje się z tym, co dostaje. Wzięła głęboki oddech i kolejny, ale bez skutku. Nie potrafiła zatrzymać drżenia rąk. Szarpnęła torbę za uszy, jakby ta była wszystkim winna, i bezładu i składu upchała w niej swoje rzeczy. Była już w głównym holu, gdy Pierre zastąpił jej drogę. Próbowwała go ominąć, ale chwycił ją za przedramię.

— Alicjo, nie — powiedział cicho przez zaciśnięte zęby. Pomimo znieczulającego potopu adrenaliny jego ucisk palił jak diabli.

— Puść mnie. — Zbliżyła twarz do jego twarzy.

Zauważył, jak czerwone niteczki naczynek wpychają się do złotych tęczówek. Ciepło jej wilgotnego oddechu i rozpalonej skóry nie było mu obojętne, ale stłumił swoje reakcje. Nie znał jej takiej.

— To koniec. Rezygnuję.

Zacisnął mocniej dłoń na jej przegubie. Twarz Alicji poczerwieniała.

— Nie teraz — mówił wolno poprzez nieruchome wargi. — Zmarnujesz wszystko, na co tak ciężko pracowałaś.

— Masz rację! Daję z siebie wszystko i nigdy nie wystarczy. A ja chcę tylko tańczyć. Tylko tańczyć, rozumiesz!? Nigdy nie pragnęłam niczego innego. I oto gdzie jestem! — Jej głos się załamał. — Wygrali, Pierre. Ona wygrała... — Szarpnęła ramię i ruszyła stanowczo w kierunku drzwi.

— Nie rób tego, Alicjo — zawołał za nią.

Nie odpowiedziała.

— Do jasnej cholery, dziewczyno!

Przyspieszyła kroku. Czowała rytmiczne pulsowanie skroni, nasilało się. Stado powodowanych instynktem koni galopowało przez jej głowę. Pędziły, by rzucić się w przepaść — a może, żeby ocaleć?

Sama chciała to wiedzieć.

W ciągu jednej godziny telefon dzwonił osiemnaście razy, za dziewiętnastym dzwonkiem wyłączyła go i zakopała pod poduszkami. Usnęła na tapczanie. Wybudził ją zapach słodkiej mięty, taki sam, jaki unosił się w zielarni babci. Otworzyła oczy z nadzieją, która ulotniła się tak samo szybko, jak orzeźwiająca woń majaków sennych. Poszurała do łazienki, odkręciła kran i napuściła wody do wanny. Nasypała morskiej soli z lawendą tuż pod gorącą kaskadę. Pomieszczenie wypełniła aromatyczna para. Wślizgnęła się do wody i ukryła pod powierzchnią tafli.

Czasem lepiej zniknąć i zapomnieć. Nawet na jeden dzień.

Czuła, jak jej istnienie powoli się rozpuszcza i przez chwilę zapragnęła, aby tak stało się naprawdę. Wtem niemy szmer wody zmałowało irytujące pobrzękiwanie do drzwi. Ciało Alicji odzyskało atletyczny zarys mięśni, a na twarzy zarysowała się wcześniej ledwo dostrzegalna szczeka. Czekala, aż dźwięk zamilknie, wiedziała, że prędzej czy później ktoś da za wygraną, a jej uda się wreszcie zrelaksować i pogłaskać nastroszone myśli. Kiedy znów nastała cisza, przymknęła oczy. Para wodna skraplała się na jej twarzy, zlepiając rzęsy i kapiąc ciężkimi kroplami w małe solne morze.

„Brak decyzji to pewna przegrana” — przypomniała sobie słowa babci. Owinęła mokre ciało szlafrokiem i wygrzebała telefon. Włączyła go. Po powitalnym sygnale na ekranie pojawiło się sześć nieodczytanych wiadomości. Wszystkie od -Pierre’a. Później się odezwie. Teraz musiała zadzwonić. Odnalazła wzrokiem jaskrawozieloną karteczkę przyklejoną do lodówki. Zauważyła ją już wcześniej, po powrocie z próby, kiedy szukała butelki białego wina na pocieszenie. Podeszła, oderwała ją od białej, lakierowanej powierzchni i wystukała numer. Po kilku sygnałach usłyszała zrelaksowany głos. Rozpoznała go.

— Cześć. To ja, Alicja. Ta od mieszkania... — wyjaśniła pospiesznie.

— Alicja, ta od mieszkania... — powtórzyło echo.

— O rany, aż tyle znasz Alicji od mieszkania?! — zniecierpliwiała się. Odpowiedział jej śmiech.

— Tylko jedną i to o kocich oczach — odparł z nutką przekory w głosie. — A właściwie to nie znam żadnej poza tobą.

— To świetnie. Nadal interesuje cię pokój?

— Czyżbyś zmieniła zdanie?

— Dokładnie — odparła. — Chciałabym ustalić szczegóły. Wpadniesz?

— Pracuję do późna, ale mogę przyjść po pracy z walizkami i butelką wina.

— A dasz radę przez pięć minut być poważny? — Ogarnęło ją zważenie.

— Masz rację. Przyjdę bez wina.

— Wynajmę ci pokój na trzy miesiące. Nie zgadzam się na schadzki z panienkami, kiedy jestem w domu. Lubię spać w ciszy. Zakupy każdy robi swoje. Rachunki płacimy na połowę. Mój pokój jest tylko moim pokojem, a ja nie jestem sprzątaczką. — Zrobiła krótką przerwę, gdyby chciał coś wtrącić, ale odpowiedziała jej cisza. — Jeśli pasują ci warunki, to do reszty jakoś się dogadamy.

— Po dziesiątej jestem u ciebie. To znaczy u nas. — Jego ton wreszcie spoważniał pierwszy raz od ich porannego spotkania.

— A, i jeszcze jedno — dodała pospiesznie, zanim się rozłączyła. — Przynies zaliczkę za ten miesiąc.

— Przyniosę za całość i spokojna głowa, za trzy miesiące już mnie nie będzie.

Kiedy się rozłączyli, chciała zapisać numer, ale uzmysłowiła sobie, że znów nie zapytała, jak mu na imię. Zapisała go jako „Współlokator muzyk” i natychmiast zapragnęła, aby trzy miesiące zleciały jak najszybciej. Poczula ogromną potrzebę wygadania się. Od pewnego czasu dławiała w sobie każdy przejaw życia i ludzkich odruchów. Zdeptała własne ambicje i czekała z założonymi rękami. Tak, już za długo czekała. „Właściwie, co mam jeszcze do stracenia?” — pomyślała. Napisała do Mateusza: „Masz ochotę na drinka? Ja mam ochotę na więcej niż jednego”. Zrzuciła szlafrok z wilgotnego jeszcze ciała i poszła doprowadzić się do porządku.

Mateusz poważnie zaniepokojony chciał znać wszystkie detale i miał jej tyle do powiedzenia, że umówili się w knajpcie przy stacji metra zaraz po jego próbie. Alicja ubrała się w to, co miała pod ręką, wykradła sobie samej z ostatniego tomu dziesięciotomowej encyklopedii sztuki kilka banknotów i wyszła dużo wcześniej przed umówionym spotkaniem. Potrzebowała przestrzeni. Oddechu. A potem rozmowy.

W Cocco Bello czas płynął wolno. Zajęła ostatni wolny stolik z kanapą zamiast krzeseł, tuż przy samym wejściu, i zamówiła setkę rumu. Przechyliła kieliszek i jednym haustem wypijała jego zawartość. Poczula, jak ognisty płyn przemierza kolejne odcinki jej przetyku. Oparła plecy o poduszki i przez chwilę się zastanawiała, ile to już lat nie piła nic mocnego. Kiedy po wykładach na uniwerku wszyscy szli celebrować wolność i studenckie życie, Alicja biegła na wieczorną próbę. Na kontraktach zdarzyło jej się wznieść toast za udany występ, ale wyłącznie symbolicznie.

W drzwiach pojawił się Mateusz, jakiś niewyraźny na twarzy, choć Alicja nie była pewna, czy przypadkiem nie widzi go tak za sprawą wypitego alkoholu.

— Co zamawiasz? — spytała wprost, machając do kelnera w końcu sali. — Ja stawiam.

— Al! Kochanie, co wyprawiasz!?! Pisałem, dzwoniłem, gdzie się podziewałaś? — Mateusz padł na kanapę całym ciężarem, wydychając powietrze ustami jak kobieta przy porodzie.

Alicja podciągnęła nogę pod siebie i obróciła się w jego stronę. Cieszyła się, że przyszedł.

Kelner z kucykiem, w kolorowej koszulce z napisem „Cocco Bello”, wymachując nowiutkim tabletem, pojawił się jakby znikąd. Czarnym patyczkiem wystukał coś na wyświetlaczu.

— Dla mnie to samo — oznajmiła Alicja.

Mati spojrzał na nią, wybałuszając oczy.

— No, piękna, widzę, że zapowiada się pracowity wieczór. Dwa razy to samo!

Kiedy zamówienie dotarło na stolik i zostali sami, wznieśli-li toast, krzywiąc się przy każdym łyku. Oczy Alicji nabrały blasku, a Mati się rozgadał, jakby spotkał starego kumpla po piętnastu latach. Zrelacjonował wydarzenia wieczoru, nie ukrywając, jak bardzo irytuje go nerwowa atmosfera zespołu. Opowiedział Alicji, jak przyjechał na swoją wieczorną próbę z muzykami całą godzinę wcześniej, bo miał nadzieję z nią pogadać i oczywiście zobaczyć Oskara. W teatrze nie było już nikogo, a ze sceny dochodziły odgłosy kłótni. Skrył się zatem na widowni w ostatnich rzędach, do których nie dociera światło reflektorów. Witold z --Pierre'em stali na scenie, a Iza, wykrzykując swoje racje, chodziła tam i z powrotem jak dzikie zwierzę w klatce. W pewnym momencie Pierre zbliżył się do niej, coś powiedział, rzucił ręcznikiem o scenę i wyszedł. Witold wrzasnął coś niezrozumiałego za nim, a potem dyskutował nerwowo z Izą. Wtem głównym wejściem weszło dwóch muzyków z instrumentami, z ożywieniem dyskutując i śmiejąc na całe gardło, czym nieświadomie wypłoszyli sprzeczącą się parę. Witold wraz z Izą zeszli ze sceny, udając się w stronę garderoby. Mateusz podążył za nimi bocznym wejściem i już w ciemnym korytarzu mógł wyraźnie słyszeć burzliwą wymianę zdań.

— Ona podniesionym głosem zapewniała, że znajdzie mu kogoś innego, bo w końcu mają

tyłe znajomości w Paryżu, a on na to wyraźnie wkurzony, żeby — jak to pięknie ujął — „nie pieprzyła głupot” i że już od ponad dwóch miesięcy robi reklamę z nazwiskiem -Pierre’a, i że wyszedł artykuł o twórcach rewii, i że ten idiota przyjął jednorazowo psie pieniądze przez bzdurne sentymenty, ale nie bierze żadnego wynagrodzenia, a za taką kasę to może tylko jakiś mizerny choreograf spod Łodzi przyjdzie współpracować z nimi, no, chyba że Iza zamierza zrezygnować ze swojego honorarium, bo on nie dołoży już ani grosza do gaż. — Mateusz klepnął się dłonią w czoło, jakby przyłapał komara na żerowaniu. — Mówię ci, kochana, no taki zamęt, taki zamęt!

— Chcesz powiedzieć, że Pierre odszedł? — Poczucie winy spłynęło na nią jak zimny prysznic.

— Poczekaj, poczekaj, to nie koniec! — Mateusz rozmachał się na dobre, ciągnąc relację. Pierre był jeszcze w teatrze, pewnie pakował swoje manatki, bo poszli do jego garderoby. Mati odczekał chwilę, aby go nie zauważyli, a potem udał się za nimi. Postanowił bezczelnie podsłuchiwać pod drzwiami, bo stwierdził, że dość już ma tej niewiedzy.

Po tym wyznaniu zmarszczył czoło i z wymalowaną na twarzy przykrością oznajmił, że się nie spodziewał aż takiej zawiści ze strony Izy. Zrelacjonował Alicji, jak producentka źle się o niej wyrażała, jak się żaliła, że jej obecność zaniża poziom rewii i ile to z nią jest problemów. Upierała się, żeby usunąć dziewczynę, a ona znajdzie dobrą i wysoką baletnicę na jej miejsce. Pierre zażądał głównego składu przedstawienia bez zmian, razem z Alicją w solówce kołowrotka. Witold uciszył oboje, oznajmiając, że decyzję już podjął wcześniej i jeśli Alicja nie przyniesie zaświadczenia lekarskiego, to albo stanie w linii toples, albo zostanie usunięta z przedstawienia raz na zawsze. Po chwili zaczęli schodzić się wokaliści i muzycy na próbę i Mateusz nie zdążył usłyszeć ostatnich słów -Pierre’a, bo ten szarpnął za klamkę i chłopak praktycznie wpadł do środka, tłumacząc się gęsto, że właśnie przechodził obok, kiedy drzwi się otworzyły i stracił równowagę.

Alicja milczała, jej uszy zaróżowiły się na koniuszkach. Skinęła na kelnera, zamówiła następną kolejkę i podparła coraz to cięższą głowę na rękach.

— Al, będzie dobrze. — Objął ją ramieniem. — Izka zostawi cię w spokoju. Zobaczysz. Przynieś jutro zaświadczenie i będzie po sprawie.

— W tym problem, że ja nie mam tego zaświadczenia i do jutra go nie zdobędę, o ile w ogóle... — Czowała, jak jej głowa zamienia się w betonową kulę, nie tylko za sprawą procentowego napoju.

— Jak to w ogóle? — spytał.

— Miałam kontuzję, Mati... — urwała, bo nie czuła się na siłach, aby ciągnąć ten temat. Setny raz opowiadać, jak prawie została kaleką, i przeżywać ponownie wypadek.

— Kontuzje w tym zawodzie to chyba normalna sprawa, zresztą widziałem, jak wymiatasz na scenie. — Roześmiał się i dopił bursztynowy płyn.

— Nie zmienia to faktu, że jutro nie dostarczę im tego, czego chcą — przerwała mu, osuwając się na blat stołu. W głębi duszy było jej przykro, że producentka aż tak jej nienawidziła. Przecież wszystko, co mówiła na jej temat, było subiektywnym i jakże bezpodstawnym osądem kogoś, kto zupełnie jej nie znał. Ale czy ona sama знаła siebie wystarczająco? Pierwszy raz zastanowiła się nad tym, jak mogli postrzegać ją ludzie. W końcu nie miała zbyt wielu przyjaciół.

Zamówili kawę w dzbanku i dwie duże filiżanki. Aromatyczna para unosiła się nad stolikiem, tworząc tycjanowskie smugi w świetle zachodzącego słońca. Mati dmuchał w taflę czarnego płynu, przesadnie wydymając policzki, Alicja wzniewiała łyżeczką tornado w filiżance, zapatrzona we własne myśli. Nie tylko rum ją zmęczył, ale też relacja przyjaciela, za którego w rzeczy samej uważała Mateusza. Poczowała jego dłoń na ramieniu.

— I co zamierzasz? Co teraz będzie? — spytał.  
— Cóż, myślę, że to już koniec mojej przygody z rewią. — Uśmiechnęła się smutno.  
— Al, przecież to nie może się tak skończyć! Będzie mi ciebie brakowało, a poza tym to nie fair! — Padł całym ciężarem na oparcie kanapy.

Alicja wsparła głowę na jego ramieniu, jakby była zbyt ciężka tylko dla niej.

— Dzięki, Mati. Dziękuję, że jesteś — wybełkotała.

— Masz niezmierną urodę, ogromny talent, a oni tak cię traktują! — Złapał się za głowę, odwracając się energicznie w jej stronę, aż prawie wpadła w przerwę między jego plecami a oparciem. — Załatwię ci to zaświadczenie — oznajmił.

Uśmiechnęła się z wyraźnym ładunkiem sympatii w oczach.

— Przyniosę ci je rano na próbę, tylko masz być!

— Mati, ale jak? — powątpiewała, pokładając się na blacie.

— Mój znajomy jest chirurgiem ortopedą. Ma praktykę w Warszawie. Pojadę do kliniki z samego rana — wyjaśnił. — Jest mi winien przysługę — dodał.

— Żartujesz? — Usiadła prosto. Jego słowa podziałały lepiej niż kofeina. Chciała rzucić mu się na szyję, ale nie trafiła. — Nie chcę, żebyś ładował się w kłopoty, rozumiesz? — Pogroziła palcem.

— Tak, mam — przytaknął poważnie, po czym oboje wybuchnęli niekontrolowanym śmiechem, jak to po kilku głębszych bywa.

Odprowadziła przyjaciela na stację metra i kiedy ogon wagonu zniknął w tunelu, przyspieszyła kroku, aby nowy współlokator nie spędził pierwszego wieczoru na schodach swojego nowego mieszkania. Nie przestawała ani na sekundę myśleć o tym, co jej obiecał Mateusz, i nie była pewna, czy powinna była się zgadzać na tę hojną propozycję. Czuła, jak myśli kotłują się w jej głowie, ale świadomość, że to jednak nie koniec, unosiła ją kilka milimetrów nad chodnikiem. W jednej chwili przestała istnieć zawistna Iza, bezczelny Witold i podłości, jakim zmuszona była co dzień stawiać czoło.

Szansa powrotu na scenę, choć majacząca, nadal istniała.

A ona pragnęła tylko jednego.

Tańczyć.

Wbiegła po schodach, odtwarzając w myślach kroki choreo-grafii, aby się upewnić, że pamięta dotychczasowe fragmenty.

Muzyk siedział na pudle od gitary pod drzwiami mieszkania. Pochylony czytał książkę rozłożoną na nogach, a palcami wybijał rytm na czarnym futerale. Na widok Alicji przerwał stukanie.

— Nie byłem pewien, czy nie zmieniłaś zdania, choć nie traciłem nadziei — oznajmił, zamykając książkę z trzaskiem.

— Przepraszam, musiałam coś załatwić. Pomogę ci z bagażami. Chyba dużo tego nie ma?  
— Przekręciła klucz w zamku i zapaliła wszystkie światła w salonie, czyniąc atmosferę, której brakowało za dnia.

— Resztę przyniosę na dniach — oznajmił. — Nie chciałem zwałać się ze wszystkim naraz.

Spojrzała na niego badawczo. Wszedł do środka z gitarą, średniej wielkości torbą i jednym ruchem stopy zamknął drzwi za sobą. Przez chwilę stali na środku, on unosząc wymownie brwi, ona spoglądając na niego, zdziwiona, że stoi, po czym zerkając dookoła, uświadomiła sobie, że nie przygotowała pokoju na jego przybycie. Poczuli się podle, więc jednym susem dopadła kanapy i zaczęła ściągać z niej koce oraz porzrzucone przedmioty.

— Jutro rano mam próbę, ale jak tylko wrócę, zrobię ci miejsce w szafie i w łazience. —

Wygładziła obicie dłońmi i strzepała energicznie poduszki. — Przykro mi, że nie jest gotowe dziś wieczorem. — Odwróciła się w jego stronę. Patrzył na nią bez słowa. Łagodnie. Po prostu patrzył. — Rozgość się. Zaraz ci przyniosę pościel.

Zamknęła się w łazience i odkręciła kurek. Czuła się nieswojo na myśl, że tej nocy nie będzie w domu sama. Przebiegła wzrokiem wewnątrz i przesuwałając buteleczki oraz pojemniczki, próbowała zorganizować nieco wolnego miejsca. Zdjęła znad wanny bieliznę i wepchnęła do kieszeni szlafroka. Spięła włosy na czubku głowy, opłukała twarz lodowatą wodą i wyciągnęła z wiklinowego kredensiku ostatni zapas pościeli. Gdy wróciła do salonu, zrozumiała, że nie mieszka już sama. Koło knapy na podłodze wyrosła kolumna książek i partytur, a muzyk w dresach, koszulce i na bosaka siedział sobie jak gdyby nigdy nic obok. Tylko jedna lampa oświetlała pomieszczenie, ta sama co zawsze, ale jakoś inaczej tym razem. Bardzo cicha, spokojna muzyka wydobywała się z komputera, ustawionego na stoliku obok kanapy.

— Chyba nie macz nic przeciwko? — spytał. Chwycił kopertę ze stolika i wyciągnął rękę w jej stronę. — To kasa za trzy miesiące, przelicz. Jeśli za mało, powiedz, ile trzeba. Dogadamy się.

Stała przez chwilę, adaptując się do nowej sytuacji, po czym usiadła w fotelu i rozchyliła palcami kopertę.

— Jest więcej, niżbym prosiła — stwierdziła.

— Zaprosisz mnie kilka razy na kolację i jesteście kwita — odpowiedział.

— Albo zrobię większe zakupy. — Lekki uśmiech pojawił się na jej ustach. — Rano zostawię ci klucze, wychodzę wcześnie. Jakbyś czegoś potrzebował — przerwała, rozglądając się po salonie — to chyba sam sobie poradzisz. — Wstała i ruszyła w stronę łazienki, świadoma, że za chwilę może być zajęta.

— Będzie nam się dobrze mieszkało razem, Alicjo. — Usłyszała za plecami. Bez odwracania się odpowiedziała:

— Dobranoc.

Po szybkim prysznicu padła na łóżko. Czuła się, jakby coś ją przejechało, po ciele krążył jeszcze rum, na skórze czuła drżenie, a głowa nie była w stanie pomieścić wszystkich spraw jednocześnie. To był długi i intensywny dzień i chociaż nadal była niechcianą w rewii i jej powrót na scenę wciąż wisiał na włosku, to miała wrażenie, że coś powoli zaczyna się krystalizować w jej życiu. Będzie miała zaświadczenie, nie grozi jej już parada bez stanika, no i zdobyła część pieniędzy na pokrycie długu za czynsz. „W dużej mierze to zasługa -Pierre'a” — pomyślała. „Cholera” — uniosła się na łokciach, wygrzebując z pościeli telefon. Zdała sobie sprawę, że nie odebrała ani jednego połączenia i nie odczytała żadnej wiadomości, które od niego dostała. Choć senność pchała ją na poduszkę, przeczytała wszystkie. „Odbierz, to ja, Pierre”, „Alicjo, to twoja szansa, nie bądź niemądra, nie marnuj jej”, „To ja, Pierre. Jestem pod twoimi drzwiami, otwórz”, „Wszystko OK???” „Posłuchaj, rozumiem cię lepiej, niż ci się zdaje. Wiem, do czego ci ludzie są zdolni. Uwierz mi. Jak poddasz się teraz, to już nie będzie powrotu. Nie daj im tej satysfakcji”, „Do jutra”. Senność w jednej chwili ulotniła się całkowicie. Tych kilka zdań, napisanych przez kompletnie obcą jej osobę, nagle stało się swoistym memento mori. Pamiętaj o czymś, co jest nieuniknione. Świadomość śmierci pcha nas w objęcia życia. Jakikolwiek były intencje tego człowieka, jednego była pewna. Miał rację. Co się stało z dawną Alicją, wytrwałą, silną, jak strzała pędzącą do celu? Czyżby lata niepowodzeń złamały ją do tego stopnia, że stała się tym, kim zawsze bała się być?

Cieniem własnych marzeń?

Poczuła narastającą złość.

Tak, to ostatnia szansa. Wiedziała o tym dobrze. I jeśli ma ją wykorzystać, to będzie

musiała stwardnieć. Schować dumę i wrażliwość, zacisnąć zęby i pięści. I trwać. Ile da radę.

Czy się uda?

Tego nie wiedziała, wiedziała natomiast, czego pragnie.

Chwyciła telefon. „Przepraszam za dziś. Spróbuję. Do jutra” — wpisała i wysłała.

Zgasiła światło i długo jeszcze nie mogła zasnąć.

Tak jak kiedyś mówiła babcia, poczuła ulgę na duszy.

Pierwszy raz od wielu lat.

„Gdzie jesteś?!” — brzmiała wiadomość, którą w końcu wysłała po kolejnym nieodebranym przez Mateusza telefonie. Próba trwała już dobre dwadzieścia minut i z każdą kolejną czuła, że jej sytuacja się pogarsza. Czekala w garderobie, nerwowo spoglądając na telefon. Mateusz powinien już tu być. Przemknęła się bocznymi korytarzami do sali teatralnej i ukryła w ostatnich rzędach widowni, skrytych gęstą zasłoną mroku. W ten sposób, wiedziała, co się dzieje na próbie. Nie przypominała sobie, aby kiedykolwiek patrzyła na scenę z tej perspektywy. Oczywiście jako widz obejrzała niezliczoną ilość przedstawień, na niektóre chodziła co sezon albo kiedy zmieniała się obsada, ale podczas prób, gdziekolwiek pracowała, zawsze była na scenie. Teraz leżała wyciągnięta w dość niewygodnym zamśzowanym fotelu, urzeczona niezwykłym widokiem. Usiana gwiazdami reflektorów scena, była niczym centrum wszechświata, drzwiami do Krainy Czarów, oknem na słoneczny dzień z mrocznej i szarej rzeczywistości. Wiernie śledziła każdy ruch tancerzy, idealną linię pleców Oskara i perfekcję w ruchach Kaśki. Siłę demonstrowaną z gracją i techniką pełną kobiecości. Z tej perspektywy dziewczyna wyglądała jak primadonna. Alicja nie sądziła, że są aż tak dobrzy. Iza przerywała im co chwilę i poprawiała Kaśkę, zajmując jej miejsce w ramionach tancerza. Ton jej głosu brzmiał na pograniczu irytacji i zniecierpliwienia. Wzrokiem odnalazła -Pierre’a. Siedział przy pierwszym stoliku oparty łokciami o kolana, pocierał intensywnie czoło. Wydawał się nie uczestniczyć zupełnie w próbie, zatopiony we własnych myślach, gdyż nawet nie uniół głowy, gdy solistka upadła na deski.

— Na litość boską, Kaśka! Co się z tobą dzieje! — zagrziała producentka.

Oskar schylił się i uniół przelewające się przez ręce ciało dziewczyny. Nawet z tak daleka można było dostrzec bladeść jej twarzy przypominającą maskę z teatru kabuki. Stała o własnych siłach, ale jej postura przypominała wieżę z kart, która w każdej chwili groziła zawaleniem.

— Mam zrobić przerwę? — spytała szorstko Iza. Kaśka pokręciła głową. — No to skup się wreszcie i patrz, jak to ma wyglądać!

Owinęła się w pasie ręką mężczyzny i okręciła na czubkach palców jednej nogi. Oskar uniół ją na wysokość swojej twarzy, co kosztowało go wiele wysiłku, ale w oczach widza jedynie podrzucał istotę z puchu w isticie naturalny i najprostszy ze sposobów. Obrócił partnerkę w powietrzu twarzą do siebie, a ona zsunęła się powoli po ciele tancerza, pozwalając, aby odchylił ją ku ziemi. Ujął jej biodra niczym kosz pełen dobroci, przycisnął do swoich. Przeciągając dłoń po jej udzie, uniół nogę kobiety pionowo nad swoją głową. Perfekcja, z jaką wykonali ten fragment, sprawiła, że Alicja poczuła skurcz w żołądku. Wzięła głęboki oddech i wyrzuciła powietrze z ulgą. Widowisko odebrało jej poczucie czasu. Owszem, przyznała sama przed sobą, że w ruchach Izy brakowało delikatności, a jej dłonie nie pieściły powietrza, tak jak potrafiła to robić Kaśka, ale technika, z jaką odtworzyła ten duet, była nadzwyczajna.

Drzwi do foyer zaskrzypiały i na widownię wlało się natarczywe światło poranka. Alicja skoczyła na równe nogi.

— A ty co tutaj robisz? Dlaczego nie jesteś na scenie? — Witold zmarszczył brwi, chrząkając pomiędzy jednym pytaniem a drugim. Zapach mocnych i zbyt słodkich perfum mieszał się z zapachem potu i teatralnego kurzu.

— Ja... to znaczy... zostawiłam gdzieś tu moje charakterki! — odpowiedziała na poczekaniu, chwytając torbę z podłogi.

Świdrujące oczka przebiegły po niej badawczo i nieufnie, zatrzymując się na torbie.



— Masz zaświadczenie?

Alicja czuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

— Oczywiście — odpowiedziała bez namysłu.

— Doskonale. — Chrząknął i ruszył lekkim jak na swą tuszę krokiem wzdłuż czerwonego dywanu prowadzącego ku scenie.

Alicja wyszła z rzędu i ruszyła bokiem, skrywając się w półmroku kotar.

Iza patrzyła w stronę widowni, mrużąc oczy i osłaniając je dłonią od rażących reflektorów. Na widok maszerującego ku niej sponsora uśmiechnęła się niewinnie.

Witold umieścił skórzaną teczkę na stoliku tuż przed twarzą -Pierre'a i zdjął przesiąkniętą ciężkim zapachem marynarkę. Choreograf przesiadł się do kolejnej łoży.

— Zróbmy przerwę, moja droga — polecił sponsor. — Potrzebuję wszystkich pozostałych zaświadczeń lekarskich. Zaraz mam spotkanie z księgowym. — Odpiął aktówkę i wyjął z niej plastikową teczkę. — Moi drodzy — zwrócił się do rozsianych po kątach sceny tancerzy — kto jeszcze nie dostarczył certyfikatu, niech teraz idzie do garderoby i go przyniesie. — Kilkoro tancerzy wstało i zniknęło za kotarami. — Tymczasem poproszę o twoje. — Odwrócił się w bok, przygważdżając wzrokiem wymykającą się z sali Alicję.

Iza spojrzała w jej stronę. Dziurki jej nozdrzy powiększyły się natychmiast.

— Myślisz, że możesz tu przychodzić, kiedy ci się żywnie podoba? — Zeszła ze sceny i oparła dłonie na biodrach. — Co za tupet! Widziałeś, Witoldzie, mamy gwiazdę!

— No właśnie — mruknął — i nie wiem, co robiła w ostatnim rzędzie, zamiast ćwiczyć, ale skoro umówiliśmy się z --Pierre'em, że ma czas do dziś... — Skinął na nieruchomą Alicję, aby podeszła.

Zerknęła na ekran komórki, ale nadal nie było wieści od Mateusza. Jej nogi miękły. Podeszła niepewnie w ich stronę, kurczowo ściskając torbę. „I znowu wszyscy się na mnie gapią” — pomyślała. „Co teraz!?”

— Przepraszam za spóźnienie, ale byłam rano u lekarza — powiedziała bez namysłu i zacisnęła zęby, zdając sobie sprawę, że tylko pogarsza sytuację.

— To świetnie — skwitowała Iza. — Chciałam ci jednak przypomnieć, że nie jesteś diwą tego przedstawienia i jeśli musisz się spóźnić, to masz kogoś z nas o tym poinformować. — Wyciągnęła rękę. Alicja stała w bezruchu, próbując pozyskać cenne sekundy, jak gdyby czekała na cud. Nie miała pojęcia, jak wybrnąć z tej sytuacji. Rozpięła torbę i opierając ją na kolanie, zaczęła nerwowo szperać we wnętrzu. Zmarszczyła czoło i przykucnęła, stawiając ją na podłodze. Przerzucała getry, buty i kosmetyki w poszukiwaniu czegoś, czego nie posiadała.

— Widzisz, mówiłam ci. — Iza zwróciła się do Witolda. — Tylko marnuje nasz czas.

Sponsor wyjął usta i przypatrywał się przykucniętej nad torbą Alicji. Po cichu liczył, że nie znajdzie tego, czego szuka. Pierre obserwował zajście wyraźnie przejęty. Zespół milczał.

Alicja poczuła mdłości.

— Alicja, Alicja! — rozległo się wołanie, niesione nie najgorszą akustyką wnętrza.

Wszystkie oczy skierowały się w tę samą stronę. Złota grzywka podskakiwała wraz z jej właścicielem.

— To chyba twoje! — Mocno zasapany Mateusz wymachiwał świstkiem w powietrzu. — Znalazłem na schodach! — Zatrzymał się tuż przy przerażonej Alicji, wręczając jej kartkę złożoną na pół. — Pewnie wypadła ci z torby. Przeczytałem twoje imię i pomyślałem, że tu cię znajduję. — Spojrzał po zaskoczonych twarzach i uśmiechnął się zalotnie do Izy. — Przepraszam za najście, pani Izo.

Kobieta spojrzała raz na Mateusza, raz na Alicję, a potem na kartkę.

— To chyba jest dla mnie — odezwał się Witold, wyciągając rękę w jego stronę.

— Ależ oczywiście! — Mateusz pokiwał grzecznie głową, wręczając mu zaświadczenie, po czym spojrział na bladą Alicję. — To ja już pójdę, nie będę przeszkadzał. Muszę przygotować się do mojej próby. — Znow się uśmiechnął do Izy. — Do widzenia, moja droga.

Witold wsunął świstek do transparentnej teczki, przyjął jeszcze kilka zaświadczeń od pozostałych tancerzy i zwrócił się do Izy:

— Byłbym ci wdzięczny za pomoc w segregowaniu dokumentów. Znasz wszystkich tancerzy. Zrobisz to szybciej. — Zebrał swoje rzeczy i ruszył w stronę korytarza przy scenie.

Producentka odwróciła się do Oskara.

— To gdzie skończyliśmy?

— Iza, teraz. — Usłyszała za oddalającym się sponsorem. — Pierre cię zastąpi.

Kobieta zagryzła wargę. Spojrzała na purpurową tym razem Alicję, ponownie upychając wszystko w torbie.

— A z tobą jeszcze nie skończyłam — rzuciła i wyszła z sali teatralnej.

Alicja popatrzyła na -Pierre'a. Odniosła wrażenie, że się uśmiecha. Zarzuciła torbę na ramię i podeszła do niego. Jeszcze paliła ją skóra na policzkach, ale adrenalina powoli rozchodziła się po ciele.

— Przepraszam za wczoraj — powiedziała. — To był trudny dzień.

— Cieszę się, że jesteś.

— Dużo mnie ominęło? — spytała.

— Zostań po próbie, to podgonimy — odparł i wskoczył na podest przy scenie. Ściągnął czarną bluzę i cisnął ją w róg sceny. Biała koszulka na ramiączkach ledwo skrywała kompletnie pozbawione tłuszczu, żylaste ciało i duży czarno-szary tatuaż na piersi. Wzlatujący Feniks. Pierre, żwawo klaszcząc w dłonie, zachęcał tancerzy do powrotu na parkiet.

Alicja włożyła buty i ustawiła się na swoim dotychczasowym miejscu, z radością zauważając, że nie zostało jeszcze przez nikogo zajęte.

— *Et c'est parti!* — pokrzykiwał choreograf. — Zaczynamy od preludium! Wszyscy na miejsca. *Eeee un deux trois!*

Muzyka skradała się niewinnie, jakby potrzebowała czasu na rozgrzewkę, delikatnie muskając powietrze dzwoneczkami, pianinem i trąbką. Tancerze na każdy dźwięk przybierali różne pozy, po czym jednocześnie ruszali przed siebie, rozchodząc się w równiutkie linie. Wraz z napierającymi dźwiękami ich ruchy stawały się coraz bardziej dynamiczne. W pierwszym rzędzie na samym środku tańczyła Kaśka. Naturalnie płynęła pomiędzy figurami, angażując każdą partię drobnego ciała. Wydawała się częścią tej dość tandetnej melodii, która niosła ją po scenie jak wiatr zeschnięty listek. Muzykę wzmocniła orkiestra dęta, porywiste skrzypce i wyraziste basy. Tancerki utworzyły rzędy w głębi sceny, przestępując z nogi na nogę w specyficzny, teatralny sposób, gdy tancerze dawali upust swoim technicznym umiejętnościom, prezentując *tours en l'air* po kole. Choreografia preludium już nie sprawiała Alicji żadnych trudności. Po zaledwie kilku próbach pamiętała doskonale nie tylko swoje partie, ale na wszelki wypadek także męskie i solowe. Potrafiła je odtworzyć w pamięci lub zatańczyć bez namysłu, obudzona o czwartej nad ranem po imprezowej nocy. Oczywiście preludium nie ukazywało w pełni umiejętności tancerzy, tylko miało za zadanie prezentację baletu: pięknych, długonogich tancerek, solistów, piosenkarzy i oczywiście zapierających dech w piersi kostiumów. Z tego też powodu uwertura nie zawierała wymyślnych kroków i zbyt wielu trudnych figur, które zostały zarezerwowane na dalszą część przedstawienia i finał. Jednym słowem to, czego oczekiwano w pierwszym numerze od tancerzy, to gracia i elegancja charakterystyczna dla rewii. Alicja wątpiła w swoje predyspozycje fizyczne do tańców rewiowych i klasycznych. Zawsze liczyła się z krytyką, kiedy na przesłuchaniach jurorzy zachodzili w głowę, jak wykorzystać właśnie

odkryty talent, który w żaden sposób nie pasuje do realizowanego spektaklu. To właśnie dlatego odnalazła swoje miejsce na scenie musicalowej. Taniec współczesny, jazz i free-style dawały jej niekończące się możliwości improwizacji. Coś, na co w rewii nie mogła sobie pozwolić. W musicalu nikt nie przykładał wagi do wzrostu, koloru czy pochodzenia, jeśli był talent. I chociaż Alicja nie przepadała za przedstawieniami rewiowymi i charakterem tego tańca, potrafiła jednak dostrzec jego mniej banalną stronę. Przyznawała się przed samą sobą, że spora część figur i kroków opiera się nie tylko na klasyce, ale wymaga też zdolności akrobatycznych i teatralnych. Wbrew pozorom rewia miała wiele wspólnego z musicalem, choć sprytnie stawiała na trudne, o ile w ogóle możliwe do wytrenowania cechy: grację, kobiecość, kokieteryę. Laik pomyślałby, że każda kobieta, a już na pewno wszystkie tancerki je posiadają. Nic bardziej mylnego. Wręcz przeciwnie. Talentem w rewii była umiejętność kokietowania publiczności, sprawiając wrażenie, że stelaże z piór boa, noszone przez tancerki jak plecaki, nic nie ważą, że korony z piór nie utrudniają obracania się, a taniec na obcasach i jednocześnie śpiewanie to najprostsza rzecz. Pomimo tych spostrzeżeń i obaw, jakie narastały w Alicji, jej interpretacja każdego ruchu była czystym przejawem wrodzonego talentu.

Tak myślał Pierre. Alicja podglądała te koleżanki z zespołu, które uważała za wręcz urodzone do rewii. Rzeczywiście każdy rodził się z jakimiś predyspozycjami, ona też, ale z pewnością nie na miarę Moulin Rouge. Nie poddając się jednak łatwo, starała się jak najwięcej nauczyć, obserwując i naśladowując najlepszych, chociaż wciąż nie wyobrażała sobie siebie w białej w rewiowy kostium i zalotnie pływającej między sceną a pierwszymi łóżkami.

— Z gracją, moje drogie! Elegancko! *Légèremment!* — wykrzykiwał Pierre.

Tancerki znajdujące się przy brzegu sceny rozdzieliły się na dwie grupy. Biegając lekkim, scenicznym krokiem, powróciły w głąb sceny. Środek parkietu należał do solistki, ale Kaśka wyglądała mizernie. Jej poźółkła cera w mocnych światłach ramp nabierała intensywności, podkreślając ciemne worki pod oczami. Pomimo widocznego osłabienia i ewidentnych problemów jej taniec był czymś najbardziej naturalnym i zwiewnym, co Alicja kiedykolwiek widziała. Po krótkiej, acz efektownej prezentacji przy boku Kaśki pojawił się Oskar. Odtworzyli partnerowanie w duecie, które wcześniej ćwiczyli z Izą. Był to piękny klasyczny fragment, z dużym ładunkiem emocjonalnym, do tego wykonany przez dwoje znakomicie dobranych artystów.

Oskar dociągnął nogę Kaśki do pionu, a jego ręka z łatwością posuwała się dalej, jak gdyby nogi solistki były wskazówkami zegara. Pierre widocznie zauważył możliwości tancerki i z euforią zawołał:

— *Encore! Ci-dessous!* Przeciągnij! *Magnifique!* — Wymachiwał rękami niczym dyrygent nad orkiestrą.

Alicję zdumiało, jak bardzo zgadzała się z tą uwagą. Gdyby była na jego miejscu, zareagowałaby tak samo. I oto z pięknego, ale bardzo klasycznego kawałka wyłoniła się tajemnica. Coś, co niepokoiło.

W tej samej chwili Kaśka rozluźniła ciało, które bezwiednie i ku zdziwieniu Oskara przelało się przez jego ręce, lądując głośno na deskach. Tancerz zaklął pod nosem, po czym schylił się, aby pomóc partnerce.

— Do cholery, Kaśka, co ty wyprawiasz!

Tancerze podbiegli do pary. Pierre ukucnął przy dziewczynie. Kaśka podparła się na łokciu, oddychając ciężko i raczej nie ze zmęczenia. Jej usta wyglądały teraz jak szara kreska na świeżo odmalowanej ścianie. Gdy wzrok solistki wrócił do kontaktu z rzeczywistością, zaczęła nerwowo przeganiać pomagające jej ręce. Policzki dziewczyny rozdymały się i kurczyły niczym rezonatory u żab w okresie godowym. Błyskawicznie się podniosła i puściła biegiem do łazienki.

Wszyscy asystowali temu zajściu zdezorientowani i nawet Pierre przez chwilę zamarł w bezruchu, z rękami zawieszonymi w powietrzu.

Alicja podeszła do niego.

— Ja pójdę.

Weszła do toalety. Była przekonana, że tam ukryła się Kaśka, ale zastała tylko chłód wilgotnych ścian. Na wszelki wypadek sprawdziła także męską. Bezskutecznie. Zajrzała do garderoby i na palcach przemknęła koło biura Izy i Kacpra oraz sąsiadującego z nim gabinetu Witolda. „Jeszcze tylko ich by tu brakowało” — pomyślała. Już miała zawrócić, ale w ostatniej chwili, kierowana przecuciem, weszła po stopniach w stronę rampy. Sama lubiła się tu zaszywać. Skręciła w korytarz dla techników, gdzie Pierre miał swój pokój. W ciasnym korytarzu było więcej drzwi niż w tym głównym dla zespołu, gdzie mieściła się garderoba. Większość z nich była zamknięta poza jednymi, tuż za biurem choreografa. Pchnęła je lekko i weszła.

Zapach kurzu i odparowanego spirytusu uderzył ją w nozdrza. Pomieszczenie choć duże można było ogarnąć jednym spojrzeniem. Najwyraźniej kiedyś znajdowała się tam charakterystyczna albo miejsce pracy garderobianych. Na stelażach wisiały znoszone średniowieczne kostiumy, a na blatach pod wyłysiałymi perukami straszyły gumowe głowy. W rogu pokoju nad małą umywalką garbiła się Kaśka. Alicja po cichu zamknęła za sobą drzwi i podeszła bliżej. Dziewczyna dopiero teraz zauważyła, że nie jest sama.

— Co ty tu robisz? — rzuciła, wykrzywiając twarz na widok Alicji. — Wynoś się stąd! Zostaw mnie w spokoju!

— Chciałam zobaczyć, jak się czujesz — odpowiedziała łagodnie Alicja.

— To zobaczyłaś! A teraz spadaj!

— Na pewno wszystko dobrze?

— Gówno! Nic nie jest dobrze! Zresztą co ty wiesz, ty, ty...kolorowa lalo! — zagrzmiała Kaśka i rozbeczała się na dobre.

Alicja zdusiła ogarniającą ją złość.

— Wiesz co? — odparła oschle. — Nie rozumiem cię. Widać, że masz jakiś problem, ale nie pojmuję, czemu wyładowujesz się na mnie. Widzisz tu kogoś jeszcze? — Rozejrzała się dookoła. — Najwyraźniej tylko mnie interesowało, co się z tobą dzieje, ale masz rację — skierowała się w stronę wyjścia — nic nie wiem i nie chcę wiedzieć.

— Przepraszam...

Odwróciła się. Kaśka stała skulona nad umywalką, trzymając się jej kurczowo jak tonący ostatniej deski ratunku. Jej nabrzmiałe i różowe powieki dusiły oczy, policzki i broda były mokre, a pod nosem wisiały gęste smugi. Ciałem dziewczyny wstrząsały konwulsje, wywołując silny kaszel. Widząc ją taką, Alicja w pierwszym odruchu chciała przytulić koleżankę, położyła jednak delikatnie rękę na jej plecach. Kaśka, zamiast się uspokoić, zaczęła donośnie wyć. Osunęła się po ścianie na podłogę i zwinęła w kłębek pod umywalką. Łza gonila łzę po jej policzkach. Alicja usiadła obok niej i pogładziła po nodze. Zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć.

— Nic nie poradzimy, rozumiesz? — zanosila się Kaśka. — Stało się... — szeptała.

— Co się stało? — Alicja poczuła się dziwnie.

— To moja wina — łkała — na początku nie chciałam... myślałam, że byłoby lepiej, jakby coś się stało... ale... potem wszystko się zmieniło, we mnie... — Jej wargi drżały i przez szloch dziewczyny Alicja niewiele rozumiała.

— Już dobrze, wypłacz się — pocieszała. — A potem opowiesz mi, co się stało, i coś poradzimy, zgoda?

Dziewczyna uspokoiła się wreszcie, choć jej ciało pulsowało gorącem i ledwo łapała oddech. Zapatrzyła się na sekundę w podłogę, jakby coś sobie przypomniwała. Podniosła wzrok na Alicję.

— Nic już nie można zrobić. — Zwiesiła głowę jakby ze wstydu, a gęste krople posypały się na podłogę. — Straciłam je.

Alicja poczuła zadrę w piersi. Zimny dreszcz objął jej plecy.

Strata.

Wiedziała, jak smakuje. Znała ten ból aż za dobrze. Objęła Kaśkę i przycisnęła mocno. Wątle ciało poddało się jakby z ulgą. Płacz nie ustępował, ale zmieniła się jego intensywność i Alicja pozwoliła, aby trwał tak długo, jak będzie potrzeba.

Jego dłonie były szorstkie i mocne, zupełnie nieprzypominające dłoni tancerza. Pachniał gorzko i świeżo, a woń ta mieszała się z zapachem słodkiej mięty, kiedy nachylał się nad jej twarzą. Był cierpliwy i niezwykle opanowany. Uwagi, które dawał często, zawsze były zgodne z prawdą, choć Alicja nie chciała przyznać się do tego przed samą sobą. Nie oszczędzał jej na sali, ale też nie pobłażał sobie. Nie wywyższał się, nawet kiedy jej udowodniał, że nie wykonuje jakiejś figury tak dobrze, jak myślała. Po jednej wspólnej próbie Alicja miała wrażenie, że zrobiła postępy większe niż po miesiącach stania przy drążku.

— Technika jest kręgosłupem tańca — tłumaczył, przesuając jej łokieć o kilka milimetrów — i bez niej tancerz daleko nie zajdzie. Ale to talent jest sercem i tancerz bez niego jest zwykłym odtwórcą kroków. Jak większość dzieciaków z naszego zespołu. — Uśmiechnął się pod nosem.

Wiedział, o czym mówi. Ona w to zawsze wierzyła. Prawdziwy tancerz za każdym razem ten sam utwór czyni niepowtarzalnym. Swoim. Prawdziwy tancerz czuje dźwięk poprzez skórę, który wybrzmiewając, drenuje jego pory aż do kości. Prawdziwy tancerz żyje pojedynczym krokiem, jak gdyby od tego kroku zależało wszystko. Wzrusza się ciałem i cierpi twarzą, bo prawdziwy tancerz cierpi ze szczęścia, gdy tańczy. Bo wie, że kiedy muzyka ucichnie, a kurtyna opadnie, coś w jego życiu skończy się na zawsze. Przełknie resztki adrenaliny, otrze pot dogaszający ciało. Miejsce żaru zajmie chłód i zeszywnienie, a smutek wzniesie się z twórczych popiołów. Wszystko poszarzeje.

Do następnego razu.

Bo tylko kolejna doza emocji płynących z tańca może wznieść tancerza na szczyty euforii, tam gdzie ból nie istnieje, a czas jest tylko abstrakcją.

Oboje znali to uczucie. Godziny spędzone razem na zaparowanej sali baletowej pozwoliły jej dowiedzieć się tylko tej jednej rzeczy o Pierze, ale pewnej. Był prawdziwym tancerzem. Artystą.

Kiedy wyszła z teatru, było już ciemno i tak późno, że po ulicach zamiast aut przemieszczały się bezpańskie koty. Powietrze wreszcie odzyskało swój naturalny zapach i jego wieczorny chłód sprawiał ulgę przegrzanemu ciału. Wracając do domu, rozmyślała nad tym, co powiedziała jej Kaśka. A właściwie bardziej nad tym, czego jej nie powiedziała. Alicja chciała ufać, że to wszystko było tylko jakimś nieporozumieniem, ale głęboko w podświadomości czuła, że dzieje się coś niedobrego. Przekręcając klucz w zamku, przypomniała sobie, że nie mieszka już sama. Ogarnęło ją zażenowanie i zniechęcenie, z nutką podniecenia w tle, ale to ostatnie odkryła dużo później. Weszła do środka i nie zapalając światła, z delikatnością złodzieja domknęła drzwi. Płomień świecy rzucał słoneczne koła na spowite ciemnością wnętrze. Ogień wił się leniwie niczym kobra zaklinana przez członka z kasty Sapera. Drewniana, czarna gitara opierała się o fotel, na dywanie leżał zmiętoszony koc.

Sam. Rzuciła torbę na ziemię i zsunęła tenisówki z pięt. Czuła odrętwienie w nogach i chciała jedynie pić, jeść i spać. Najlepiej w tej kolejności. Podeszła do lodówki, aby wyjąć wodę, ale najpierw musiała przeczytać przyklejoną do drzwi karteczkę. „Smacznego” — fluorescencyjny kwadracik krzyczał zdecydowanymi literami. Szarpnęła go, a potem drzwi lodówki i jej oczom ukazał się talerz z kawałkami pizzy, poukładanymi jeden na drugim w formie Krzywej Wieży w Pizie.

— A to na poślizg. — Usłyszała za plecami, aż podskoczyła. Muzyk stał tuż za nią, wręczając kieliszek białego wina jak dziecko kwiatek nauczycielce w Dzień Nauczyciela.

— Widzę, że już się zadomowiłeś — skomentowała jego strój: obcisłe bawełniane slipki. I ten zrelaksowany uśmiech.

Efekt: irytacja.

— Ciężki dzień? — Zignorował aluzję. — Mam nadzieję, że lubisz pizzę.

Postawił kieliszek na blacie kuchennym i leniwym krokiem pomaszzerował w stronę kanapy. Usadowił się po turecku koło wymiętoszonego, samotnego koca i poklepał miejsce obok siebie.

Alicja uniosła brwi.

— Przysypiałem już — oznajmił — ale chętnie posłucham.

Aby uniknąć długiej rozmowy, wyciągnęła zimną pizzę z lodówki, wzięła kieliszek i usiadła na fotelu obok. W ciszy upiła łyk wina i zatopiła zęby w grubą warstwę sera. Przypomniało jej się, jak przez rok studiów mieszkała z Wojtkiem. Był to kompromitujący ruch na planszy jej życia. Kolejny raz zrobiła coś, czego chciała od niej matka, czego oczekiwali inni, i kolejny raz się pomylili. Ogólne teorie zbiorowości nie przynosiły najlepszych rezultatów w jej przypadku. Podejrzewała, że dzieje się tak częściej, kiedy ludzie godzą się postępować wbrew sobie w zgodzie ze sobą. Taka mała nielogiczność.

Wojtek zabierał jej powietrze i przestrzeń. Mówił innym językiem, a przede wszystkim go nie kochała. Dlatego nigdy nie posądziłaby siebie, że tak szybko ponownie zamieszka z mężczyzną, i na dodatek obcym. Nigdy. Jednak w końcu zrozumiała, że należy zapomnieć to słowo i usunąć je bezpowrotnie ze słownika, z percepcji rzeczywistości, z życia. „Nigdy” nie istnieje, bo nikt nie pisze tak absurdalnych i nieprzewidywalnych historii jak życie.

— Trudny żywot artysty — rzucił i wyciągnął nogi na niskim stoliku.

Nie znosiła tego.

— Słucham? — Przełknęła. Z każdym kolejnym kęsem uświadamiała sobie, jak bardzo była głodna.

— Mówiłem, że domyślam się, iż miałaś ciężki dzień — wyjaśnił radośnie.

— Nie sądzę. — Próbowała się uśmiechnąć, ale wspomnienie leżącej na ziemi Kaśki odebrało jej chęci nawet do jedzenia. Odstawiła talerz. — Dzięki, mogę jeszcze wina?

Wstał i podszedł do lodówki, wrócił z oszronioną butelką i drugim kieliszkiem. Dolał najpierw jej, a potem sobie.

— To za nasze zgodne współżycie! — Stuknął się z jej kieliszkiem. Krystaliczny dźwięk rozniósł się echem po pokoju.

Alicja poczuła, jak ściany jej przelyku prężą się, a mięśnie nóg flaczeją. Nie miała siły, a nawet ochoty wstać. Wino wygrało.

— Co to jest Spring Music Sound? — Oparła się wygodnie o wgniecenie fotela, przykładając pokryty rosą kieliszek do skroni.

— Firma, w której pracuję — odparł.

— Jako?

— Jestem realizatorem dźwięku. — Pokiwał głową. — Krótko mówiąc.

— Realizatorem dźwięku — powtórzyła Alicja. — Dlaczego krótco?

— Bo robię wiele innych rzeczy. Naprawdę chcesz tego słuchać? — Przekrzywił głowę.

— Chcę wiedzieć, z kim mieszkam — odparła. — Krótco mówiąc. — Roześmiała się, ale jej myśli znów powróciły do incydentu z teatru.

— Dlaczego ty nie opowiesz mi o sobie? — spytał nieoczekiwanie. — Jestem pewien, że jest o czym.

— Za długa historia — westchnęła. — Poza tym nie zwierzam się nieznanym — zażartowała, ale nie całkiem.

— Czasem tak lepiej. — Spojrzał na nią takim wzrokiem, że bezwiednie podciągnęła nogi pod siebie. — Zresztą poznasz mnie szybko, jestem dość transparentny — obwieścił bez nuty pretensjonalności w głosie.

Uwierzyła.

— Kiedyś wszedłem na pokład samolotu w nie najlepszym stanie emocjonalnym — zaczął. — Miałem ochotę coś rozwalić albo zamówić dziesięć małpek i znieczulić się na tyle, aby spać. — Splótł ręce za głową i zapatrzył się w sufit. — Zauważył to siedzący obok mnie pasażer o wyglądzie zwykłego turysty, taki jegomość koło pięćdziesiątki z aparatem na szyi. I po prostu spytał, co się stało. — Spojrzał na Alicję. Słuchała zaciekawiona. — I ja po prostu wszystko mu opowiedziałem. Wszystko — powtórzył. — Nawet nie wiem, jak się nazywał, bo spałem, kiedy wylądowaliśmy, i kiedy się obudziłem, on już schodził z pokładu, ale z samolotu wysiadłem spokojniejszy i trzeźwy, a przede wszystkim nikt nie ucierpiał. — Roześmiał się.

— Czemu myślisz, że mam jakiś problem? — zapytała poważnie.

— Jak tam próby? — odpowiedział pytaniem, przysuwając się, aby dolać jej jeszcze wina. Zakryła dłonią wierzch kieliszka.

— Pójdę już spać, bo jutro muszę być tam wcześniej. — Powoli uniosła się z fotela, ledwo rozprostowując nogi. Obserwował ją. — Dzięki za kolację i ciekawą rozmowę.

Muzyk spuścił głowę. Uśmiechał się.

— Szkoda tylko, że nie uczestniczyliśmy w niej oboje. — Wyciągnął się na kanapie i przymknął oczy. — Pozdrów jutro ode mnie wuja. Dobranoc.

Zatrzymała się tuż przed swoimi drzwiami.

— Kogo?

— Wuja. Przekaż mu, że dziękuję za przysługę. Jestem dłużny. — Ziewnął i odwrócił się na bok. Nie minęły trzy sekundy, a równy i regularny oddech wmieszał się w ciszę głębokiej już nocy.



Rano nogi bolały tak samo jak wtedy, kiedy kładła się spać. Cóż, po pięciogodzinnych próbach w najniwygodniejszych butach na świecie pracowała kolejne dwie godziny nad techniką pod okiem -Pierre'a. W obu przypadkach musiała dać z siebie wszystko. I dawała. Jej ciało jednak, co zauważyła jakiś czas temu i co nagminnie lekceważyła, na nadmiar ruchu reagowało inaczej niż dotychczas. Kostki puchły, a łydki pokrywały się zielonkawymi wężykami. Czasem po krótkiej przerwie, którą spędzała na siedząco, miała problemy z rozprostowaniem kolan. Nie mogła więc odpoczywać ani pozwolić mięśniom wystygnąć. Zadawała swojemu ciału nieprzerwany wysiłek fizyczny, nawet w przerwach. Truchtała, dreptała, naciągała mięśnie i ścięgna, na przemian unosiła nogi i kuciała. Lekceważyła konsekwencje, bo nie mogła sobie na ten luksus pozwolić. Absolutnie nie teraz. Tego dnia zespół baletowy po raz pierwszy spotykał się z wokalistami i muzykami, którzy swoją grą wspomagali niektóre numery. Wreszcie na deskach sceny miał stanąć pełny skład rewii i przekuć swoje dotychczasowe wysiłki w zamierzony przez Iżę i Witolda sukces. Wspólna próba rozpoczynała się o jedenastej i Alicja nie miała pewności, czy i tym razem uda jej się zjeść normalnie kolację. Umówiła się z -Pierre'em z samego rana na salce baletowej w teatrze. Chciała dotrzeć na miejsce jeszcze przed nim. Lubiła być gotowa, kiedy się pojawiał. Każda próba z Francuzem była cenna. Gdyby miała płacić za jego lekcje, prawdopodobnie musiałyby się zadłużyć. Zależało jej więc, aby nauczyć się od niego jak najwięcej. Ubrała się bez kobiecego zaangażowania, a ponieważ łazienka była zajęta przez nowego współlokatora, zjadła dwa przejrzałe banany i wypila duszkiem kubek zimnej czarnej kawy. Chwyciła torbę, którą zostawiła wieczorem pod drzwiami, i wyszła, rozpoczynając nowy dzień tancerki rewiowej.

— A pani dokąd? — Portier wychylił się ze swojej budki przypominającej zabudowę kukielkowego teatrzyku, ledwo nadążając wzrokiem za przemykającą głównym holem sylwetką Alicji. „Najwyraźniej pióra kosztowały majątek, skoro posadzili tu stróża” — pomyślała, podchodząc pewnie do portierni. Nikt wcześniej nie kontrolował jej w wejściu dla artystów i personelu, być może dlatego, że nigdy nie przychodziła do teatru o tak wczesnej porze. Wyjaśniła z zaciekawieniem przyglądającemu się jej starszemu mężczyźnie, że przyszła na próbę. Tę o jedenastej.

— Ach, na rewię! Ale nie ma jeszcze dziewiątej. No dobrze, dobrze. — Pokiwał głową. — Ładna ta charakteryzacja. — Uśmiechnął się, patrząc na oczy Alicji. — Taka karnawałowa.

Podążając korytarzem do garderoby, usłyszała niewyraźny głos. Puste zaplecze teatru niosło strzępki rozmowy. W przebieralni nie było jeszcze nikogo. Zmieniła klapki na jazzówki i zdjęła bluzkę. Rozpięła torbę i na jej twarzy zagościł grymas. Zapach wilgoci i potu, mieszający się z odorem uwieczonych w nieszczelnej reklamówce fermentujących owoców, wydobył się na zewnątrz jak dymek z przydeptanej purchawki. Jak mogła zapomnieć o wymianie zawartości torby po próbie? Przecież to czynność jak mycie zębów czy picie wody! Uratowało ją perspektywiczne myślenie i dziękowała sobie za przezorność, odgrzebując czystą, zapasową koszulkę i rajtuzy z dna torby. Przebrała się i poszła szukać -Pierre'a.

W ciemnych i chłodnych korytarzykach teatru pachniało jeszcze nocą.

— Puk, puk — zastukała głosem w odrapane drzwi do garderoby -Pierre'a i weszła.

Choreograf siedział przy gablotce, rozmawiając przez telefon po francusku. Jego głowa lśniła w świetle samotnej żarówki pod sufitem, a mięśnie żuchwy falowały pod świeżo ogoloną skórą. W lustrze tuż przed nim przeglądała się butelka czerwonego wina i prawie pusty kieliszek. Spojrzał na nią, po czym przeniósł wzrok na butelkę. Odsunął ją łokciem i wskazał skinieniem

głowy drewniane krzesło obok.

— *Bien, bien...* Załatw to. Jest coraz mniej czasu. Będziemy w kontakcie.

Odłożył telefon na stolik jak bardzo kruchy przedmiot. Popatrzył na Alicję, na kieliszek, na podłogę i znów na nią. Zdjęła z krzesła wilgotny ręcznik i przewiesiła go przez poręcz. Chwila ciszy przestawała być chwilą, więc rzuciła:

— Nie poczęstujesz mnie?

Pierre otworzył szeroko oczy, po czym roześmiał się donośnie.

— Jeśli tak zamierzasz rozpocząć dzień, to nie wiem, jak dotrzemy do wieczora! —

Wcisnął korek w szyjkę butelki i odstawił ją na podłogę obok gablotki. Za kieliszkiem w głębi mebla leżała niedojedzona bagietka, owinięta w szary papier. Wstał i potarł dłonie, mącąc ciszę tarcie szorstkiej skóry.

— Gotowa? — spytał. — Nie spodziewałem się ciebie tak wcześnie — oznajmił.

— Ja ciebie też — odparła z uśmiechem. Dopiero teraz zauważyła w kącie pod ścianą dwa duże pudła, a na nich poskładane koce.

— Słuchaj, Pierre — zaczęła. — Chciałam ci podziękować... — Nie wiedziała, od czego zacząć.

— Za co? — Zdjął bluzę, złożył ją w kostkę i położył na półce, poprawiając każdy róg. Potem podszedł do Alicji i tak na nią spojrział, że zrozumiała od razu, iż czeka na odpowiedź

— Wiesz, lista zaczyna robić się długa. — Nie lubiła długów, ale one chyba ją bardzo. — Przede wszystkim jednak za znalezienie współlokatora.

Uniósł brwi, a jego twarz się rozluźniła.

— Ach, to świetnie. I jak wam się mieszka? — Trudno było odczytać z jego tonu i twarzy, czy w ogóle go to interesuje.

— Prawdę mówiąc, dopiero co się wprowadził — wyjaśniła. — Nie wspomniałeś, że to mężczyzna, i do tego twój bratanek.

— No tak, faktycznie. — Zastanowił się chwilę. — Ale w sumie co to ma za znaczenie — odparł. — To bezproblemowa osoba. Będiesz zadowolona. Zobaczysz. — Wstał i podszedł do miniaturowej umywalki. Odkręcił wodę i napił się bezpośrednio z kranu. Otarł usta przegubem ręki i skierował się w stronę drzwi. — Chodźmy, mamy dużo pracy.

Dwie godziny minęły jak mrugnięcie powiekami. Kiedy drzwi do sali teatralnej zaczęły się otwierać z częstotliwością minuty, zrozumieli, że ich próba właśnie dobiegła końca.

— Dzień dobry, mistrzu. — Rozkładający torby i swoje rzeczy pod sceną tancerze pozdrawiali -Pierre'a z radością.

— *Bonjour*, obiboki — odpowiadał z uśmiechem, którego nie znała. Usiadła na deskach i zdjęła jazzówki. Właściwie powinna ćwiczyć w butach do przedstawienia, ale ani jej kolana, ani stopy nie wytrzymałyby ośmiu godzin tortur. Złapała się za koniuszki palców i przyciągnęła głowę do kolan. Nabrała powietrza w płuca i wypuściła je powoli przez usta uformowane w dzióbek. Czuła je. Znów dawało o sobie znać. Przypominało, że wymaga specjalnego traktowania, i z pewnością to, co serwowała codziennie kolanom, nie polepszało sprawy. Delikatnie objęła nogę i zaczęła masować mięśnie uda okrężnymi ruchami. Czuła, że gra ostatnią kartą, ale nie dopuszczała tego do świadomości. Tak. Chciała mieć kontrolę nad tym, co się dzieje. Za wszelką cenę.

— Wszystko dobrze z nogą? — Pierre nachylił się nad nią.

— Tak, tak. — Odruchowo oddaliła dłonie od kolan. — Nie jestem przyzwyczajona do butów na obcasie. — dodała.

— Świetnie się dziś spisałaś. — Poklepał ją po ramieniu, delikatnie, jakby była zranionym zwierzęciem. — Strach jest największym wrogiem postępu. — Ściszył głos o ton albo

gwar na sali wzrósł. Nie była pewna.

— Pierre...

— Idę się odświeżyć i tobie też radzę.

Śledziła jego mokre od potu plecy połyskujące w reflektorach, aż głębia teatru okryła go swoim cieniem. Scenę wypełniły gwar i śmiech. Przybywali nowi uczestnicy rewii, których Alicja nigdy wcześniej nie widziała. Fuzja baletu z wokalistami i muzykami w rezultacie rozpoczęła się już jakiś czas temu. Poza próbami. Artyści znali się między sobą bardzo dobrze. Łączyły ich wspólne doświadczenia zawodowe i wcześniejsze przedsięwzięcia artystyczne. Powitania, okrzyki radości, uściski. W jednej chwili to dość ponure miejsce, atmosferą przypominające aulę internatu dla dziewcząt z lat czterdziestych, zaczęło oddychać nowym tlenem. Generować energię, tę siłę sprawczą, dla której Alicja tak uwielbiała przebywać wśród artystów i dzięki której kiedyś tak kochała tę pracę. Pierwszy raz, odkąd przekroczyła drzwi tego miejsca, poczuła ją ponownie. I po raz pierwszy udało jej się zapomnieć, jak niewdzięczną rolę odgrywa w życiu zespołu. Iza postarała się, aby nikt nie ryzykował z nią przyjaźni. Sposób, w jaki traktowała Alicję przed tancerzami, jej publiczne osądy, daleko mijające się z prawdą, były jedynie zaworem bezpieczeństwa, który popuszczała przy każdej okazji. Alicję niepokoiło raczej to, co opowiadała za jej plecami i do czego była zdolna. Jej kontakty z kolegami z zespołu ograniczały się do prób, grzecznościowych pozdrowień i ukrywanych spojrzeń. Czuli ją na sobie. Cały czas. Były niczym rzepy, które przynosiła co dzień do domu, wplątane we włókna swetra, ale próby wyszarpania ich mogłyby się skończyć uszkodzeniem materiału. Miała do siebie żal za tę obcą jej charakterowi bierność, której pozwoliła rozgościć się w swoim życiu. Rozejrzała się po widowni. Prawie wszystkie łóżka były zajęte. Przywalone torbami, a dzisiaj także instrumentami muzycznymi w matowych czarnych futerałach. Wyobrazila sobie rzędy wypełnione po ostatnie, najmniej atrakcyjne miejsca. Wymieniając spostrzeżenia, szemrząc publiczność, podczas gdy blakną światła. A potem cisza, krótka i absolutna, zmacona zrywem smyczków. Oczekiwanie przesiąknięte podnieceniem, emanujące z widowni. I światła. Ich oślepiające ciepło i bliskość. Poczucie bezpieczeństwa. Szczęście. Spełnienie.

— Nie sądziłem, że cię tu jeszcze zobaczę.

Światła zgasły i na widownię spadł cień. Uniosła głowę.

— Pan Kacper. — Podniosła się i otrzepała czarne, obowiązkowo opinające trykoty. — Mogłabym powiedzieć to samo. — Zmusiła się do uśmiechu.

— Przejdźmy na ty — zaproponował szybko, jakby zależało mu na czasie. Na jego dobrotliwej twarzy pod oczami ciążyły długie ciemne wory. Chudymi palcami przywołał do porządku srebrne kosmyki nad czołem. — Zastępuję dziś Izę, bo ona segreguje wasze dokumenty i szykuje kontrakty z Witkiem i księgowym — wyjaśnił. — Widziałas może Kaśkę?

— Masz na myśli solistkę? — spytała. Sama się zastanawiała, kiedy dziewczyna wróci na próby.

— Tak, właśnie ją — przytaknął. — Słyszałem, że ty ostatnia z nią rozmawiałaś.

— Owszem. Kilka dni temu nie czuła się dobrze — wyjaśniła Alicja. — Wezwałam jej taksówkę. Niestety nie mam jej numeru i przez to żadnych wieści — urwała. Przecież Iza miała dane wszystkich tancerzy. „Po co on mi zadaje te pytania?” — pomyślała.

— No tak, oczywiście. — Pokiwał głową i obejrzał się za siebie. — Nie mówiła ci przypadkiem, co jej dolega? — spytał nieco ciszej.

Alicja spojrzała na niego pytająco, czego nie zauważył zbyt zajęty rozglądaniem się po teatrze.

— A co miała mówić — odparła. — Miała zawroty głowy i mdłości. Wiesz, jak jest. Nic nie jedzą, przemęczają się... — zamilkła.

Kacper uśmiechnął się i znów kiwał głową. Znał w życiu wiele tancerek. Przelotnie i bardziej prywatnie. Znał ich sekrety, pragnienia i demony. Droga na sam środek sceny nie dawała wyborów. Była twarda i wymagała ofiar. Nie każda dziewczyna miała wątrobę dostatecznie mocną i kręgosłup z gumy do bezpiecznego jej przebycia. Nawet jego żona zapłaciła słono za swoje marzenia. A on? Chociaż przetańczył całe życie w wielkich teatrach na renomowanych scenach, do dziś nie umiał obiektywnie odpowiedzieć na pytanie, czy talent i odrobina szczęścia były wystarczające dla młodej tancerki, aby ziszczyć swoje marzenia. Nie umiał, a może nie chciał.

— Cześć, kotku!

W podskokach, pokonując drobniutkie schodki przy scenie i prawie nie dotykając ich stopami, pojawił się Mateusz. Granatowy elegancki garnitur w stylu lat dwudziestych z łatwością się układał na jego chłopięcym ciele. Swoim uśmiechem, niezwykle białym i szczerym jak u dziecka, zdołał rozkojarzyć nie tylko Alicję.

— Pan Kacper! Miło pana znów widzieć! — Ukłonił się w teatralnym stylu i ujął dziewczynę pod rękę. — Porywam na chwilę, jeśli można — powiedział i odciągnął Alicję na bok, nie czekając na pozwolenie.

— Mati, cudownie wyglądasz! — przyznała z nieukrywaną dumą. Lekki, acz znajomy żal owiał jej serce, chociaż nie chciała właśnie teraz popadać w nostalgię.

— I tak też się czuję, kochanie! — zapiszczał. — Oto mój kostium do pierwszego wyjścia. I co powiesz? — Okręcił się na jednej nodze i rozpostarł ręce na całą szerokość.

Alicja wybuchnęła śmiechem.

— Jesteś perfekcyjny!

— To nie wszystko! Właśnie dowiedziałem się od Witolda, że po próbie mam spotkanie z dziennikarzami. Uwierzysz?!

Uściskała go i wspomnienie brata powróciło jak przebłysk w ciemności. Ile miałby teraz lat? Może właśnie tyle, ile Mateusz. Nie chciała liczyć. Te blond włosy, natarczywe, acz wesołe oczy, ten zaraźliwy entuzjizm. Tak bardzo były jej bliskie. A potem rozpoczęła się próba i kiedy jej przyjaciel pojawił się w sercu sceny i otworzył usta, wzruszenie nią zawładnęło. Łzy szczypały oczy niczym gęsty pot. Przeszłość była przeszłością, ale strata nadal żyła w teraźniejszości. A śpiew Mateusza miał ten przekłety dar. Przywoływał pogrzebane wspomnienia.

Iza odpalała papierosa od papierosa. Jasne, że wolałaby być teraz na scenie, a nie przetrzącać dziesiątki idiotycznych kartek. Kto wie, ile dodatkowej pracy przysporzy jej ta dzisiejsza nieobecność. „Cholera”. Wstała, podeszła do lustra i zaciągnęła się powoli. Za smętną osłoną dymu czuła się w pewien sposób bezpieczna. Nie musiała dostrzegać szczegółów, których nie chciała zauważać i nie pozwalała na to innym. Sięgnęła do torebki w poszukiwaniu szminki. Rozchyliła mięsiste wargi i dwukrotnie pokryła je wściekłą czerwienią. Kontrast. Tak lepiej. U tancerki najważniejsza jest wyrazistość. Nie może zlewać się z otoczeniem, bo wówczas po prostu nie ma szans. Coś musi ją wyróżniać. Poza techniką, poza talentem. To coś. Doskonale o tym wiedziała. Chwyliła ustami papierosa i wróciła za biurko. Postanowiła zagłębić się w wykonywaną pracę. Jest nie tylko tancerką i choreografem, ale także producentem tego przedstawienia, i musi mieć wszystko pod kontrolą. Kontrakty dla zespołu to poważny problem. Witold wyłożył pokaźną sumę, ale wydatki na kostiumy, sprowadzone z Paryża pióra i wynajem teatru, to wszystko pożarło już istotną część tych środków. A przecież ona i Kacper są twórcami tego przedstawienia. Rodzicami bezprecedensowego przedsięwzięcia artystycznego, które kosztuje. Niestety obiecała Kaśce wypłacić coś za próby, a co za tym idzie, także Oskarowi. Na szczęście z solistką nie będzie problemów, a z Oskarem rozliczy się później. Dobrze, że chociaż

ten irytujący Pierre nie wziął do tej pory ani grosza. Dziwak. Kiedy tylko Witold przyprowadzi księgowego, sformułują razem umowy dla tancerzy. Doskonale. Już od miesiąca czekają na jej podpisanie, więc podpiszą, cokolwiek podsunie im pod nos. W końcu wszyscy chcą tego samego. Sukcesu.

Dogasiła w kryształowej popielniczce kolejny czerwony papierosowy kikucik i zanim sięgnęła po następnego papierosa, wyciągnęła z szafy za biurkiem stertę brystolowych aktówek. Dokładnie trzydzieści sztuk. Na każdej z nich wypisała nazwisko. Wyjęła z małej koperty zdjęcie legitymacyjne i przypięła spinaczem w górnym, prawym rogu. Ze sterty kartek wygrzebała kilka świstków, przejrzała je i wsunęła do wnętrza. Odhaczyła kolejną osobę na liście. „Mateusz Szymkowski. Cudowny dzieciak. Ten to ma talent. Śpiewa bezbłędnie, naturalny na scenie i dodatkowo ta aryjska uroda. Szkoda tylko, że taka cipa. Choć z drugiej strony, jak prasa się dowie, to będzie rozgłos dla rewii, a tego nam trzeba. Fleszy”. Kalkulowała. Oparła się o fotel i wydmuchała smużkę dymu w stronę sufitu. Przywołała w pamięci postać młodej dziewczyny o długich czarnych włosach, w złotym skąnym kostiumie i metrowym diademie ze strusich piór. Otoczona gronem dziennikarzy przed wejściem do Lido, jednej z największych paryskich rewii. Miała przed sobą olśniewającą karierę. Gdyby nie... Przez otwarte drzwi wpadło do zadymionego pomieszczenia powietrze z wentylatorów przy wejściu i ich nagły, silny podmuch rozgonił papierzyska po pokoju.

Iza zerwała się na równe nogi.

— Zamknij te drzwi, na litość boską! — Krótco strzyżony dywan z wiśniowego włosa zniknął pod kołderką opadającej dokumentacji.

— Och przepraszam, kochanie! — Kacper ukucnął koło niej, zamiatając kartki z podłogi długimi rękami.

— Nie, zostaw! Były już wstępnie posegregowane, znowu mi je pomieszasz! — Naburmuszyła się. — Dlaczego nie jesteś na próbie?

— No właśnie po to przyszedłem. Powiedzieć ci, że zaczynamy — odparł bez entuzjazmu. — Myślałem, że może Witold już wrócił i do mnie dołączysz. — Nie czekając na odpowiedź, skierował się w stronę drzwi. — Na wszelki wypadek wyłączę wentylację w holu — dodał i wyszedł przez wąską szparę w drzwiach.

„Mój mąż jest kretynem” — pomyślała. Gdyby nie on, jej kariera potoczyłaby się inaczej. Była tego pewna. Wystawiałaby przedstawienia w Paryżu albo na Broadwayu, zamiast zabawiać się w sekretarkę. Podniosła zagubiony certyfikat Mateusza. Rozpoznała go od razu. To specyficzne logo z kręgami w tle. Zebrała papierzyska w trzy pliki i zasiadła ponownie za biurkiem. Zanim wsunęła zaświadczenie do teczki, przebiegła je jeszcze wzrokiem. Chirurg ortopeda Zbigniew Szymkowski. „A to ciekawe” — zmrużyła podejrzliwie oczy. „Mateuszek poprosił tatusia o zaświadczenie. Cwany chłopiec, kto by się spodziewał”. Przeczytała dokładnie treść stempla: „Klinika Ortopedii i Chirurgii Urazowej. Specjalista w zakresie traumatologii narządu ruchu”.

— Chwileczkę... — Iza zbliżyła kartkę do twarzy.

Kilkakrotnie przeczytała zaświadczenie, po czym niecierpliwymi dłońmi rozproszyła poukładane na biurku arkusze. Niczym w loterii wybierała jeden za drugim, ale wiedziała, czego szuka. W końcu odnalazła właściwy certyfikat. Logo z niebiesko-czerwonymi kręgami. Uniosła oba zaświadczenia i porównała. Zdawały się identyczne. Jediną rzeczą, która je różniła, były nazwiska pacjentów.

Ojciec Mateusza wystawił Alicji zaświadczenie.

„A to mała suka! Założę się, że w ogóle nie była u lekarza”. Drzwi otworzyły się z impetem na oścież. Na szczęście wentylatory milczały.

W wejściu ukazał się Witold z dość starszawym mężczyzną w smutnym szarym garniturze. Zażyło o czymś rozmawiając, rozgościli się w gabinecie, zupełnie niezainteresowani otoczeniem.

— Witek, muszę z tobą natychmiast porozmawiać. — Iza wyrosła tuż przed sponsorem jak góra lodowa. Mężczyzna zmarszczył czoło i przyglądał jej się, jakby spotkali się po raz pierwszy.

— Oto moja producentka, Iza Sadowska — zwrócił się do księgowego. Mężczyzna uśmiechnął się, a raczej zmarszczył, podając Izie spoconą dłoń. — Niech nam pan wybaczy na sekundę, panie mecenasie. — Wskazał mu fotel pod krzywo zawieszoną reprodukcją plakatu „Moulin Rouge”. — Iza, nie teraz — zniecierpliwił się, gdy odeszli na bezpieczną odległość. — Muszę z nim przedyskutować warunki.

— Spójrz na to — przerwała mu, podtykając pod kluskowaty nos oba certyfikaty.

— I niby co to ma być? — spytał zrezygnowany. — Widzę dwa zaświadczenia od ortopedy — oznajmił.

— Jak to co? — Potrząsnęła kartkami Iza. — Czytaj pieczętki i nazwiska!

Witold westchnął i wziął do ręki świstki. Podszedł do swojego fotela i zapalił lampkę. Przez kilka sekund śledził napisy na papierze, w końcu się odezwał.

— Iza, przejdź do rzeczy.

Kobieta przewróciła oczami i ugodziła kartkę ostrzem czerwonego paznokcia.

— Nie widzisz, że ta dziewczucha żarty sobie z nas robi!? Zmusiła wokalistę, żeby jej zdobył lewe zaświadczenie!

Witold splótł ręce na piersi.

— To, że mają zaświadczenie od tego samego lekarza, jeszcze niczego nie dowodzi — stwierdził z nutką znużenia w głosie.

— Jak to nie dowodzi? Nie pamiętasz, jak Mateusz przyniósł jej zaświadczenie na ostatnią chwilę? Uważasz, że to przypadek? — oburzyła się Iza. — Znam takie jak ona. Manipulatrix! Jeszcze raz ci powtarzam, że narobi nam kłopotów. Pozbądźmy się jej, póki jeszcze jest czas!

— Przecież mogła pójść do tego samego lekarza.

— A jeśli ten certyfikat jest lewy?

— To też niewiele zmienia, moja droga. Sama wiesz, że to tylko dla świętego spokoju, gdyby była jakaś kontrola.

Kobieta sięgnęła po torebkę z lakierowanej skóry krokodyla. Wyciągnęła paczkę papierosów, ale przed jej otwarciem wytarła ręce chusteczką. Witold kontynuował.

— Nie możemy gnębić chłopaka. Wiesz dobrze, że to nasza karta przetargowa. — Ściszył głos, zerkając w stronę swojego gościa. — Włożyłem duży kapitał w reklamę z jego wizerunkiem i nazwiskiem, bo to dzięki niemu podwoimy zyski. A jak podpisze umowę, to nabędziemy też wyłączność na sprzedaż płyt z jego piosenkami.

— Dobrze wiesz, że nie chodzi mi o Mateusza. To ona jest problemem! — naciskała. — Nie chcesz strat i problemów, to pozbądź się jej, do jasnej cholery.

Witold zaczął przestępować z nogi na nogę.

— Iza... — przymknął oczy w poszukiwaniu odpowiednich słów — właśnie teraz rusza kampania reklamowa. Mamy pełny skład. Owszem, ta dziewczyna mogłaby być wyższa i co jeszcze chcesz, ale ostatecznie tańczy przecież jakąś solówkę, tak? — przypomniał. — Mi jest wszystko jedno, czy będzie ona, czy jakaś inna — kładł nacisk na każde słowo. — Nie chcę od tego momentu żadnych niespodzianek. Jasne? — Wziął do ręki leżące przed nim zaświadczenia i wbił w nie wzrok. Iza dokańczyła papierosa.

— Na razie wstrzymamy jej kontrakt — sapnął, luzując pasek. — Dowiedz się czegoś więcej i znajdź mi jakąś zastępczynię, najlepiej modelkę. Kiedy będzie gotowa wejść na miejsce tej Alicji, to wtedy pozbędziesz się twojego problemu. A tymczasem zostanie tak, jak jest. Możemy wreszcie zająć się naszymi interesami?

Iza nie odezwała się ani słowem. W pewnym sensie miała wolną rękę. Wystarczyło pogrzebać trochę w przeszłości dziewczyny. Takie jak ona zawsze mają coś do ukrycia. Potem znaleźć nową, młodą baletnicę, nauczyć ją i wreszcie zespół będzie taki, jak zaplanowała. Profesjonalny, jednolity, bez kontrastu.

Bezproblemowy.

Idealne tło dla jej wielkiego powrotu.

— Świetna robota! — Usłyszała i odwróciła się zaskoczona, że opiniodawcą nie jest Pierre. — Widzę, że nie marnowałaś czasu.

Przepełniony podkoszulek i przyzłazane potem włosy odejmowały Kacprowi lat. Była pod wrażeniem nie jego metamorfozy, ale jakości próby, w której właśnie miała zaszczyt uczestniczyć. Pierre z Kacprem weszli w stan niezwyklej symbiozy, prowadząc próbę na najwyższe poziomy artystycznej wydajności. Kacper okazał się doskonałym tancerzem i pedagogiem, prawie tak dobrym jak Pierre; prawie, ponieważ była zdania, że temperament -Pierre'a nie miał jeszcze okazji ujawnić się w całej okazałości. Zauważyła niejednokrotnie, gdy pokazywał jej jakiś fragment choreografii, że zanim wczuje się całkiem w taniec, zagryza mocno szczękę, spina się i natychmiast przerywa, zapelniając pauzę technicznymi uwagami. Nigdy nie widziała, by dał się ponieść emocjom. Jak ktoś, kto boi się stracić kontrolę.

Otarła wierzchem bluzy smugi potu ze skroni i brwi.

— Żarty! To jedna z najlepszych prób, jaką miałam. — Sapała, próbując uregulować oddech. Krople potu z podbródka skapywały na lśniący dekolt. — Jesteście po prostu znakomici. Kacper uśmiechnął się szeroko, jakby pierwszy raz w życiu usłyszał komplement.

— Miło mi to słyszeć. — Zabrzmiało szczerze.

— A moje postępy — dokończyła między jednym łykiem wody a drugim — to zasługa -Pierre'a. Bez niego już by mnie tu nie było.

Kacper nie odpowiedział. Uśmiechnął się jedynie przelotnie w stronę Francuza i nie kontynuował tematu. Znał sytuację z pewnością najlepiej z nich wszystkich.

Wyściskała Mateusza, mocniej niż zazwyczaj, i wróciła do domu na piechotę, sama. Oddychała jeszcze nadzwyczajną atmosferą próby, czuła wibracje w tkankach i to pęcznienie w piersi, warte każdego stresu i poświęcenia. Za nic nie chciała zmącić tak rzadkiego stanu. Dziś była z siebie dumna. Pojawiły się pierwsze rezultaty pracy z -Pierre'em i dowiedziała się o sobie bardzo cennej rzeczy.

Mogła.

Była zdolna zatańczyć to przedstawienie. Nie tylko odegrać rolę, którą jej powierzono, odtworzyć wyuczony krok, ale także uwieść publiczność, zostawić w sercach widzów ślad wzruszenia i pozwolić im marzyć. Przenieść się w świat pełen emocji i pozwolić, by podążali tam razem z nią. Na samą myśl drżała. Próba z -Pierre'em i Kacprem otworzyła pewne drzwi, którymi nie weszła, tylko wbiegła. I jeśli nawet jutro będą już zamknięte i nikt jej ich więcej nie otworzy, choćby zdarła kłykie do kości, waląc w nie i drapiąc, to nie będzie miało większego znaczenia. Bo była tam. I wie. Wie, że potrafi.

Zastała mieszkanie w lekkim nieładzie, ale mrożona zielona herbata na stole i pięciogwiazdkowa kanapka w otulającym pokój pulsowaniu świec wzmogły w niej poczucie wdzięczności.

— Ależ ty bałaganisz. — Padła na kanapę koło mężczyzny, przeistaczając ją w ruchome piaski.

Nie odpowiedział. Przeglądał partytury i coś szeptał pod nosem.

— To dla mnie? — Wskazała talerz ruchem głowy.

Przytaknął, nie podnosząc wzroku.

— Nie jesteś dziś zbyt rozmowny — zauważyła, upijając łyk zielonkawego płynu. — Pyszna. — Oblizwała wargi. — Dziękuję.

Odłożył kartki. Siedział po turecku w samych slipkach, obserwując, jak Alicja pochłania



kolację.

— Niejaki Wojtek tu był — oznajmił bez zaangażowania.

Zakasłała. Odstawiła talerz na stół i wbiła w niego wzrok.

— Co takiego? Kto?

— Woj-tek — przesylabizował. — To twój facet? Nie, żebym był wścibski, ale żeby wiedzieć, czy wpuścić gościa następnym razem, czy przepędzić. — Uśmiechnął się jednym kącikiem ust. Alicja wstała i przeszła się po pokoju.

— Myślisz, że gdybym kogoś miała, to mieszkałabym z innym facetem? — Zirytowała się.

— Różne dziwactwa widziałem. Znam i takie przypadki.

— Cóż, ten nie jest mój — uniosła nieco głos.

— Rozumiem: przegonić. — Oparł się o kanapę i podązał za dziewczyną wzrokiem, gdy przechadzała się tam i z powrotem.

— I co chciał? Powiedział coś? — Nie patrzyła na niego.

— Nie, nic. — Przeciągnął się. — Wpadł tylko, żeby się pożegnać. Wyjeżdża na stałe z misją do Tybetu.

Zatrzymała się. Spojrzała na muzyka, marszcząc czoło. Nie wierzyła, że to powiedział. Czekala, ale milczał. Jego usta drgały rozpychane śmiechem szukającym ujścia. Oczy miał wesole i mokre. Nie wytrzymała. Chwyciła najbliższą poduszkę i cis-nęła w niego z niemałą siłą. Roześmiał się, padając na kanapę, a Alicja zaraz za nim. Przez chwilę byli dwójką małych dzieci, bawiących się beztrząsko w tej samej piaskownicy.

— Proszę, żebyś go tu nigdy więcej nie wpuszczał. — Poprawiła włosy i usiadła.

— Twarda z ciebie sztuka, Kocie Oczy. — Starał się stłumić konwulsje śmiechu.

— A z ciebie zabawna. — Trąciła go poduszką i spoważniała. — Wyjechałam — dodała po chwili.

— Co takiego?

— Jeśli pojawi się jeszcze kiedyś, to możesz mnie wysłać do Tybetu z misją. —

Uśmiechnęła się bez cienia radości. Mimo świec jej oczy utraciły blask.

— Czego ty się boisz, Alicjo? — spytał.

Wyprostowała plecy i spięła się na ciele.

— Dzięki za kolację. — Udała, że nie padło żadne pytanie. Odstawiła talerz do zlewu i skierowała się do swojego pokoju, rzucając: — Dobranoc.

Zamknęła głośno drzwi i padła na łóżko. Rozplakała się. Wciskała twarz w poduszkę, bo już nie mogła, jak wcześniej, wyć na cały dom. Nie była sama. Łkała, a jej wewnątrz drżało od spazmów i braku tlenu. Tak bardzo chciała podzielić się z kimś dzisiejszym szczęściem, podarować dumę.

Nie miała komu.

— Tatusiu... — wyszeptala.

Pasja to taka siła, która nie daje spać i ściąga z łóżka o świcie. To przewodnik po górskich ścieżkach i ramię do wyplakania żalów. To namiętność zagubiona i odnaleziona, wrażliwość na przezroczyście elementy życia, podwójna skala kolorów w łuku tęczy. Jest darem, ale nie sielanką. Każe nam cierpieć w imię wspólnej przygody, bo nie tyle przyjemność, ile właśnie cierpienie jest jej stałym elementem. Myślała tak przy czterdziestym *plie*, kiedy kolano powiedziało dość. Poczula, jakby szpilka, podłączona do prądu, wkłuła się pod rzepekę i ją unieruchomiła. Alicja usiadła powoli na deskach sceny i przytuliła czoło do kolana. „Już dobrze” — pomyślała. „Próba zaczyna się za pół godziny, dam ci odpocząć”. Wyprostowała plecy i rozsunęła nogi, w rozwarciu rozluźniła mięśnie i skoncentrowała się na pracy tułowia i rąk.

W kularach pojawiła się Kaśka. Zauważyła ją przez otwarte na oścież ciężkie i wysokie drzwi, prowadzące do holu. Szła powoli, stąpając na koniuszki palców u powykręcanych na zewnątrz stóp. Chód baletnicy miał w sobie coś bajkowego, dziecięcego i jednocześnie łudził niewinnością. Każdy krok zdawał się rezultatem nieśmiałości, kryjąc w swej naturze lata wyrzeczeń, zakazów i nakazów. Młodość spędzoną na modyfikowaniu ciała poprzez setne powtórzenia i na studiowaniu języka ruchu. Diabelski pakt zawarty w imię dziesięciu, piętnastu, najwyżej dwudziestu lat szansy na karierę — szansy, nie każda bowiem Śpiąca Królewna docierała tam, dokąd zmierzała. Najwyraźniej Kaśka zauważyła Alicję, bo zwolniła tempo, aż w końcu przystanęła w drzwiach do sali teatralnej. Stała w objęciu futryny niczym tancerka na obrazie Renoira. Może chciała zawrócić, czmychnąć niezauważona, po prostu uciec. Chwilę się wahała, ale kiedy spotkały się wzrokiem, ruszyła przed siebie... Alicja uśmiechnęła się lekko i wróciła do rozgrzewki. „Czy ona poważnie myśli, że będę się zabawiać w inwestygatora?” — spytała samą siebie. Ale odpowiedź знаła dobrze. Zamknięty światek tancerzy to nie miejsce wyszukanych manier, subtelności i taktu. To placyk próżności na dworze rozpustnej królowej. Plotka i intryga karmią negatywne emocje, podsycają żądze, wodzą za zadarte noski, kreując podwójny sens tej pracy: czystą pasję i miłość do tańca oraz rozrywkowe i łatwe życie. Z czasem te dwie rzeczywistości zaczynają się splecać niczym pajęczyna, łapiąc w swoje sieci drobne muszki, takie jak większość tancerek, które poznała. Młode, zdolne i gotowe na wszystko. Aż w końcu taniec przestaje być celem, a staje się środkiem. Banalnym jak wygląd albo maniera, a słowo „tancerka” synonimem striptizerki lub prostytutki, bo tancerz to rzecz jasna gej. Z czasem w tańcu było coraz mniej i mniej sztuki i uczucia, a coraz więcej seksualnych podtekstów. Wszystko kręciło się wokół jednej, no może dwóch rzeczy. Seksu i pieniędzy. Na próbach częściej rozmawiano o intrygach i pośladkach, a nie potrafiono przekonująco zinterpretować choćby zakochania w tańcu. Bycie tancerzem uległo mutacji. Alicja nie uważała się za pruderyjną, świętoszkowatą ani konserwatywną. Lubiła nieskrywaną seksualność tancerzy, świadomość własnej fizyczności i ruchu. Lubiła swoje ciało i seks. Niejednokrotnie po modernistycznych spektaklach o silnym impakcie cielesnym wiała się pod prześcieradłami pustego łóżka, zanurzając rękę między uda. Jeśli nie była z kimś w okresie intensywnych prób do spektakli, wśród pocących się ciał, zbyt bliskich oddechów i złudnie niewinnej fizyczności, po przedstawieniu kochała się samą ze sobą, rozładowując nadmiar nagromadzonych bodźców. Być może bez sensualności i erotyki można było się obejść, interpretując *Jeziro łabędzie* lub *Dziadka do orzechów*, jednak taniec sam w sobie jako forma ekspresji w mniemaniu i odczuciu Alicji był naładowany erotyzmem. Z pewnością w tańcu emocje wyławiały z ludzkich instynktów najgłębsze i najprymitywniejsze z zachowań, co tylko nadawało sztuce i ruchowi wyrazu, smaku i prawdziwości, ale to wszystko było środkiem przekazu w języku tańca, a nie

odwrotnie. Czas w tańcu mija podwójnie szybko, a wiek trzydziestu trzech lat to moment trudnych decyzji, zmian, najczęściej pożegnań. Każda tancerka powoli wypada z obiegu, próbując się odnaleźć w pokrewnych dziedzinach.

Alicja nie należała już do tego świata, ona też wypadła z obiegu i nic ją to nie obchodziło. Chciała tylko tańczyć.

Deski zaskrzypiały tuż obok, ale nie podniosła głowy.

— Słuchaj... Dzięki, że mi wtedy pomogłaś, serio... — Głos Kaśki zabarwiało zdenerwowanie. — Ale nie chcę o tym więcej rozmawiać, rozumiesz?

Alicja uniosła się znad nogi i spojrzała na bladziutką twarz dziewczyny.

— Ale właściwie o czym? — spytała.

Kaśka rozejrzała się wyraźnie zmieszana i niepewna swoich wspomnień.

— No właśnie. — przytaknęła. — Idę się przebrać. — Natychmiast odeszła, jakby w strachu, że jednak padną niewygodne pytania.

„No właśnie” — pomyślała Alicja. „No właśnie...”. Przed rozpoczęciem próby poczuła się zrelaksowana jak pierwszego dnia wakacji. Iza znów nie pojawiła się na rozgrzewce. Im bliżej byli podpisania umów, tym częściej Witold angażował ją w biurokratyczne konszachty i przedpremierowe przygotowania, co niezmiernie uszczęśliwiało Alicję. Mogła pracować podwójnie i o połowę mniej się męczyła, a praca z -Pierre'em była najważniejszym punktem dnia.

Pojawił się szeroko uśmiechnięty w towarzystwie Kaśki. Opierała się o niego jak o starego kumpla i chichotała, jakby usłyszała najzabawniejszy kawał. Jej oczy lśniły, błędząc po teatrze, gdy słuchała tego, co mówił jej do ucha. Wtem Pierre zaklaskał w dłonie, przywołując wszystkich na scenę.

— *Mesdames et messieurs!* Pięć minut i zaczynamy! — ogłosił, po czym klepnął solistkę w pośladek. Alicja wstrzymała oddech. Dyskretna turbulencja zmąciła jej żołądek. Patrzyła to na Kaśkę, to na -Pierre'a i nie umiała rozpoznać własnych uczuć. Ale czy tylko? W tym momencie ich wzrok się spotkał. Chciała uciec spojrzeniem, zamrużyć, odwrócić się, ale nie potrafiła. Zamarła. Twarz choreografa nabrała surowości, spoważniała. Chwilę patrzył w oczy Alicji, po czym spuścił wzrok i odwrócił się w stronę grupki tancerzy. Jak nie on. Może w ogóle go nie poznała i, otulona w woal złudzenia, dawała wodzić się swoim wyobrażeniom o jego wrażliwości, głębszej uczuciowości i transparentnych zamiarach. Patrzyła na Francuza przez pryzmat niebywałego talentu, bólu i furii, z jaką tańczył, i własnych odczuć, kiedy byli sami.

Złudzenia, ach te złudzenia. Pozornie nieszkodliwa kurtyna życia.

— Cześć, piękna. — Usłyszała pewny siebie głos. — Kawalek, jak cię nie widzę. — Oskar rzucił ręcznik na parkiet i przyciągnął kolano do klatki piersiowej. Mięśnie drugiej nogi napięły się do granic.

— Najwyraźniej się mijamy — odparła i przyjęła pozycję *plié*, utrzymując ją kilka sekund, po czym przeszła w *relevé*.

— No to musimy przestać — odparł. Tuż za Oskarem wyrosła Kaśka ze swoją kolorową torbą nierozłączką. Postawiła ją między nimi niczym niewidzialną barierę i rozjechała się do szpagatu. Pochyliła tułów do przodu, opierając łokcie o podłogę i podbródek na piąstkach. Leżała tak, jak leży się na leżaku w upalny dzień, tyle że z wyrazem zniechęcenia na twarzy. Choć roz warta jak wskazówki zegara na godzinie szóstej, zdawało się, że nic nie czuje, przynajmniej na poziomie fizycznym. Sprawiała wrażenie, jakby jej nogi nie były jej albo jakby zapomniała, że jedna wskazuje północ, a druga południe. Ze znużeniem oglądała paznokcie u ręki.

— Uważaj, bo się przyssiesz do parkietu. — Oskar rozgrzewał szczękę zamiast nóg. — Ja cię nie będę odrywał — roześmiał się, a razem z nim kilka tancerek przypadkowo

rozgrzewających się w jego pobliżu. Chwyił za kolano drugiej nogi i znów przyciągnął do siebie.

— Już ty się nie bój. — Kaśka zrobiła znużoną minę, jakby znała jego teksty na pamięć. — Raczej sam uważaj, żebyś się tam nie rozerwał — dodała i spojrzała ostentacyjnie na jego łądzwie.

Znów rozbrzmiały gdzieś śmiechy.

— Jestem tam elastyczny. Jakbyś nie wiedziała — odpowiedział, ale tym razem obyło się bez reakcji audytorium i każdy wrócił do własnej rozgrzewki. Zagrzmiały trąbki i bębny, zmiękzone świstem fletu, kilkakrotnie przerwane i odtworzone od początku. Leniwie, acz skutecznie tancerze przemieszczali się po scenie, zajmując swoje miejsca za kurtyną. Przez ostatni tydzień Pierre kazał zespołowi tańczyć na rozgrzewkę preludium, raz nawet w kostiumach.

Kaśka wydeła blade usta.

— I znów tłuką tę płytę — prychnęła, zbierając się z parkietu. Alicja stanęła w swojej linii. Na tyłach. Po prawej stronie miała Dagmarę, młodziutką żartowniszę o wąskich pośladkach i długich rękach, a po lewej Celinę, zdystansowaną weterankę o harmonijnej sylwetce i kompletnie niesymetrycznej, dość nieładnej twarzy, na której od pierwszych nut przedstawienia zastygał wyrazisty uśmiech, opadający wraz z kurtyną.

— *Voilà!* Wszyscy na miejsca! Linia! Podbródek! — dyrygował Pierre i podchodził do nieruchomych tancerzy, poprawiał pozycje, pochylenia, wykręcał dłonie. Jego twarz zmieniała się, a oczy ciemniały. Gdy pracował, ulegał transformacji, jak każdy tancerz, z tą różnicą, że jego przemiana była prawdziwa. Alicja nie spuszczała z niego wzroku, dopóki na nią nie spojrzał. Śledziła, słuchała uwag, jakie dawał innym, ale przede wszystkim próbowała zrozumieć to, co zobaczyła przed próbą.

— Pozycja i... *Un deux trois, un deux trois!* — Przebiegał z jednej strony sceny na drugą, aby przyjrzeć się całości z każdej perspektywy. Przykuczał, czasem schodził ze sceny, a czasem mieszał się w szeregi tanecznej parady, aby nadać jej więcej życia, podburzyć.

— W tym wyjściu macie być jak kurwy! Jak kurwy, moje panie! — tłumaczył z powagą. — Panowie, wysoko! *Assemblé!* Ciągnij w górę, ciągnij!!! *Exactement!* — wołał, przekrzykując muzykę.

Kiedy przechodził koło Alicji, wbijała spojrzenie w czubki głów wyimaginowanej publiczności. Zadzieriała podbródek i tańczyła całą sobą. A on stał tuż obok, za nią, koło niej i patrzył. Bez słowa. Trzymał ręce splecione na piersi, a ona czuła jego wzrok jak ciepły deszcz na skórze. W końcu odchodził i znów jego głos górował nad muzyką.

— *Un deux trois!* Kaśka, ruszaj się! Jesteś w centrum sceny! — pouczał. — Co tak ciężko, nie masz siły? Trzeba było wczoraj tyłka nie dawać! — Rozbawienie w jego głosie udzielało się wszystkim, jednak nie pozwalał na dłuższe rozkojarzenia, natychmiast sprowadzając tancerzy na paryskie uliczki i bulwary.

O dwunastej zabrakło tlenu, wilgotność na scenie wzrosła do granic wytrzymałości, a powietrze przesycił silny odór mocznika. Przybywający na poobiednią próbę z baletem wokaliści i muzycy po przekroczeniu progu, a właściwie już po otwarciu drzwi do sali teatralnej zatykali nos, krzywiąc się i przeklinając. Wszystkie drzwi do gmachu pootwierano na oścież, a tancerzy wyproszono na przerwę obiadową. Odszukała -Pierre'a w tłumie. Chciała go dogonić, kiedy zmierzał w stronę garderoby, wycierając rękami błyszczącą otoczkę głowy, ale wyszedł pospiesznie, nie oglądając się za siebie. Podejrzewała, że to nie z powodu zatęchłego powietrza, gorąca czy zmęczenia. Czyżby Pierre też od czegoś uciekał? Właściwie nic o nim nie wiedziała. Tyle tylko, że jest cholernie dobry i że kiedy tańczy, coś w nim kipi, pęcznieje

i rozpycha go, lecz nie znajduje ujścia. Nie pytała. On nie był skory do rozmów. Ich milczące lekcje, pełne niewerbalnych komunikatów, gestów karmionych emocjami przemawiały do niej zamkniętymi ustami -Pierre'a. Znała ten język.

Z każdym krokiem, z każdym jego najdrobniejszym gestem rosło w Alicji przecucie, że intymność, pozbawiona klosza, dotykała -Pierre'a do żywego tam, gdzie już dawno nikt nie miał dostępu.

Ucieszyła się na widok Mateusza i umówiła z nim na szybki posiłek w barze zaraz po tym, jak zmyje z siebie słońce i wonne ślady próby. Wsunęła na przyjemnie suche i schłodzone ciało bawełnianą sukienkę do kostek i zerknęła na telefon, sumiennie wysyłający świetlne sygnały niczym latarnia na Morzu Barentsa. „Muszę z tobą porozmawiać, to pilne” — powtarzały wszystkie cztery wiadomości, więc albo elektronika wariowała, albo nadawca najwyraźniej nie żartował. Teraz Alicja musiała poradzić sobie z ciśnieniem, które skoczyło jak na bungee, kiedy doczytała, kto był nadawcą alarmującego wyznania. Złość powróciła albo po prostu nigdy nie odeszła. Tyle razy prosiła matkę, żeby nie dawała Wojtkowi adresu. Bezskutecznie. Kolejny raz ktoś inny jest dla niej ważniejszy od własnej córki. Wysłała z garderoby i wspięła się na metalowe schodki dla techników. Usiadła na wąskim pomoście z bocznym widokiem na scenę i wybrała numer.

— Halo, to ty, Alicjo?

— Mamo, prosiłam cię... — Wystrzeliła z procy gniewu, ale zabrakło kilku metrów do celu. Siła startowa wyczerpała się zaraz po starcie.

Rozmowy z matką. Walka z wiatrakami. Walka. Czy tak powinny przebiegać rozmowy matki z córką? Dorosłą córką. Czy to są normalne relacje rodzica z dzieckiem, ale już doros-łym? Czy one w ogóle mają jeszcze jakieś relacje?

— Nie wiem, o co ci chodzi. Co się stało?

No właśnie, co się stało? Cholerne nic się stało. Od osiemnastu lat nic się nie dzieje między nimi dwoma. Tylko walka.

Rutyna tych pytań była niewybaczalna. Im obu.

— Dałaś Wojtkowi mój adres. Dlaczego?

Cisza.

Cisza ma usta bez dźwięku. Kto z nią obcuje, wie, że wystarczy się wsłuchać. Ale nie uchem. Cisza zawsze wyjawia prawdę, bo nikt jej nie słucha.

— Mamo — mówiła wolno, ale dosadnie, dociskając słowo do słowa, tak aby nie było miejsca na wyjaśnienia. Znała je zbyt dobrze. — Albo zaakceptujesz mnie taką, jaka jestem, zaczniesz szanować moje wybory i prywatne życie, albo nasze kontakty ograniczą się do świątecznych wizyt. — Dosłyszała, jak matka przetyka ślinę. Zacisnęła oczy. Sama nie wierzyła, że coś podobnego padło z jej ust.

— Dziecko, za co ty mnie tak nienawidzisz? — zdławionym głosem spytała kobieta.

— Mamo, ty nic nie rozumiesz! — Wstała, zeszła dwa stopnie i znów usiadła. — Ja cię nie nienawidzę! Od lat walczę o twoją aprobatę. Wciąż próbujesz mnie zmieniać, chcesz, żebym była taka jak ty, jak wszyscy! Nigdy nie jesteś ze mnie zadowolona. Mam wrażenie, jakbyś była nieszczęśliwa z mojego powodu, i ja czuję się temu winna, mamo... — Grochy łez sturlały się po policzkach. Pytanie matki ugodziło głęboko, potwierdzając jedynie absolutny brak empatii i zrozumienia między nimi. — Miałam tylko trzynaście lat. Wchodziłam w wiek dojrzewania, byłam pełna kompleksów i marzeń. I nagle straciłam najukochańszego brata. — Jej głos potknął się i spadł o jedną tonację, ale ciągnęła dalej: — A potem straciłam ojca i w pewnym sensie ciebie. Dlaczego mnie zostawiłaś? — Usłyszała cichy szloch po drugiej stronie. — Potrzebowałam cię. Chciałam dzielić twój ból i opowiedzieć ci o moim. Być razem i jakoś

wspólnymi siłami się podnieść. Chciałam rozmawiać, ale nie miałam z kim. Między nami postawiłaś mur z żalu i gdyby nie babcia, nie wiem, co by się ze mną stało. — Otarła rękawem moką twarz. — Nie mam o to już do ciebie żalu. To było osiemnaście lat temu, mamu. Dojrzałam, aby zrozumieć, choć po części, twój ból, ale nie rozumiem, jak mogłaś tak zniecka i zaboreczo wkroczyć w moje życie i próbować nim dyrygować. — Pochmurniała na twarzy, a jej głos ostygł. — Do tej pory pozwalałam ci na to, ale mam już serdecznie dość.

Pod schodami pojawiła się na moment złota szczecina.

— Al! No idziesz czy nie?! Zgłodniałem!

Docisnęła telefon do ucha, aż zbladło.

— I nigdy więcej nie mów, że cię nienawidzę. Ja cię Kocham, mamu — wyszeptła. — Muszę już kończyć.

Iza weszła na salę teatralną przez główne wejście. Minęły czasy, kiedy musiała meldować się u portiera w wejściu dla personelu i artystów albo spóźniona skradać się tylnymi drzwiami dla widowni. Rzuciła pod nosem: „Co za smród”. Przecież wyraziła się jasno. Nawet podczas prób nawiew ma być włączony. I tak to właśnie jest. Zawsze. Jeśli ona czegoś nie dopilnuje, to jest pewne, że nikt tego nie zrobi. Nawet jej mąż okazał się ciężarem jak dziecko, za którym trzeba niestrudzenie i nieprzerwanie wodzić wzrokiem, aby czegoś nie zmalowało. A jeśli narozrabia, to trzeba posprzątać po nim albo naprawić. I w taki oto sposób cała uwaga, tak cenna koncentracja, zostaje rozproszona na czynności błażej wagi, na ciągle oglądanie się za innymi. A inni tylko sprawiają kłopoty i dokładają dodatkowej pracy.

Wzdrygnęła się z niechęcią.

Zapaliła. Ostatni tancerze opuszczali salę teatralną, ciągnąc za sobą nieświeże powietrze. Odprowadziła ich wzrokiem pełnym dezaprobaty i udała się w stronę biura. Zaraz po wejściu do gabinetu Witolda włączyła klimatyzację, jedyną w całym budynku. Odetchnęła z ulgą, czując lodowaty powiew na karku. Zasiadła za ciężkim, dyrektorskim biurkiem, z cierpliwością dzierżącym stopy dokumentów, tek i ulotek, i palcami stóp zsunęła z pięt czerwone szpilki. Kopnęła buty przed siebie i wyciągnęła nogi. Poruszając stopami i obciążając energicznie podbicie, dopompuwała krew do koniuszków palców. Błada skóra zaróżowiła się na całej powierzchni, a czerwone nad nimi smugi pulsowały i puchły pod napływem krwi. Przez cienką skórę przebiegała siatka żył i naczynek rozchodzących się we wszystkich kierunkach niczym gałązki ciernistego krzewu. Kostki, najwyższe szczyty na przełęczy łydki, wybijały się niczym ostre skały. Stopy Izy mogłyby posłużyć za żywy model na zajęciach dla studentów medycyny pourazowej. Nawet w stanie spoczynku umożliwiały przeliczenie najdrobniejszych kostek i połączeń nerwowych. Chude, kościste, o dość długich, choć podkurczonych palcach, zdradzały więcej tajemnic niż zmarszczki mimiczne kobiety, a pas martwych zgrubień oraz nawarstwionych blizn okalający kości palców świadczył o nader skrupulatnej klasycznej edukacji ze wschodnimi korzeniami.

Piękno swoich okaleczonych stóp zawdzięczała wielogodzinnemu umartwianiu tej partii ciała, ćwicząc na puentach pod okiem wykładowców Petersburskiej Szkoły Baletowej. Jednak to było wiele lat temu, tak dawno, że Iza zdążyła już zapomnieć, co tak naprawdę skłoniło ją do wyrzeczeń i poświęcenia. No właśnie, ona wiedziała, co to poświęcenie i prawdziwie ciężka praca, i nie zamierzała marnować czasu na kogoś, kto nie ma o tym zielonego pojęcia. Musiała znaleźć sposób, aby pozbyć się tej cienkiej karierowiczki w karnawałowym przebraniu. Jak to w ogóle możliwe, żeby ktoś bez klasycznego przygotowania wykonywał numer solowy w jej rewii! Do tej pory udawało się Alicji zamydląć oczy temu głupiemu Francuzikowi, a nawet Kacprowi! Głupcy! Zapomnieli, z kim mają do czynienia. Ale ona znajdzie jej czuły punkt i kiedy nadejdzie odpowiedni moment, uderzy. A kiedy wreszcie usunie ostatni i jedyny

amatorski element ze swojego przedstawienia, nic nie stanie jej na drodze do spektakularnej premiery i sukcesu. Zagarnęła kupkę teczek z napisem „Rewia” i przesegregowała ją, kalecząc okładki ostrzami tipsów. Wybrała dwie, a resztę odłożyła na miejsce. Z obydwu wyciągnęła jakiś dokument i przybliżając jeden do drugiego, wczytała się wnikliwie w krótką, acz decydującą zawartość. Jedno było pewne. Coś tu nie grało. Może zwykły przypadek, jeśli ktoś w nie wierzy. Iza nie wierzyła.

Był tylko jeden szybki sposób, aby odkryć prawdę. Wystukała numer widniejący nad stemplem. Wsłuchując się w monotony sygnał, wertowała dociekliwie pozostałe dokumenty.

— Gabinet doktora Szymkowskiego, słucham? — rozległ się przyjazny, ale dość oficjalny głos.

Iza chrząknęła i zniżając głos, zapytała:

— Dzień dobry, czy to przychodnia ortopedyczna?

— Dzień dobry pani. Nie jesteśmy przychodnią, ale doktor Szymkowski w rzeczy samej jest chirurgiem ortopedą. W czym mogę pomóc? — odparła recepcjonistka z pełnym profesjonalizmem, acz bez realnego zainteresowania.

— No właśnie. Chodzi o zaświadczenie — jąkała się Iza. — Moja córka zrobiła u doktora badania, ale zgubiła certyfikat i potrzebuje kopii. Tak więc poprosiła mnie, ponieważ teraz jest na próbie, żebym zadzwoniła — wysapała z przesadą.

Najwyraźniej sekretarka nie miała ochoty na zabawę w Sherlocka.

— Nazwisko i PESEL, proszę.

— Że jak?

— Proszę mi podać nazwisko pani córki i numer PESEL, sprawdzę w komputerze, czy odebrała już odpis. Bezpłatnie przysługuje jej tylko jeden — pouczyła.

— Ach tak! Oczywiście, oczywiście... — Iza wczuła się w swą rolę. — Nazywa się Alicja Bajska. — Pochyliła się nad kartką i podkreślając każdą linijkę paznokciem, przycyfrowała dane Alicji. W słuchawce nastała cisza, a po chwili dało się słyszeć sprawne i nieprzerwane uderzanie palców o klawisze klawiatury. Sekwencja powtórzyła się trzykrotnie, a oczekiwanie doprowadzało Izę do abstynencji nikotynowej. Wcisnęła tryb głośnomówiący w telefonie i łączywie wydobyła papierosa z pudełka.

— Może pani powtórzyć nazwisko?

Producentka z trudem ukrywała irytację. Zaciągając się głęboko, powoli powtórzyła to, o co ją proszono. Tym razem po kilku sekundach nie było wątpliwości.

— Mam tutaj kartę pani Alicji Bajskiej, ale niestety numer PESEL się nie zgadza — poinformowała dziewczyna. — Obawiam się, że nie ma wśród pacjentów pani córki, ale jeśli poda mi pani więcej informacji, mogę zapytać bezpośrednio pana doktora — zaproponowała.

Iza przerwała połączenie.

— Mam cię — wycodziła. Jak pies węszący kość, rzuciła się na pozostałe świstki, rozrzucając je na wszystkie strony. Przystudiowała daty dołączonych przez Alicję zaświadczeń i kiedy znalazła to, czego szukała, opadła zadowolona w objęcia fotela. W czarnej skórze było jej do twarzy.

Tylko pełna świadomość jest w stanie zmienić tor pociągu genetycznych zależności, w który wsiadamy tuż po narodzinach. Jednak absurdalnie pełna świadomość jest przez wielu nie do osiągnięcia w ciągu całej egzystencji. Alicja biernie oczekiwała, że jej życie będzie żyć za nią. Pozwalała przypadkom decydować o każdym kroku, który stawiała, choć w głębi duszy wiedziała, że nic nie jest przypadkowe i jeśli nie przejmie steru, chaos zawładnie jej losem. Zbyt długo obserwowała piętrzące się chwile do przeżycia, z premedytacją ignorując znaki. Dobrze zdawała sobie sprawę ze szkód, jakie poczyniła. Czas — bicz nad zawodem tancerki — chłostał z podwójną częstotliwością takie jak ona, dostatecznie „stare”, aby zdać sobie sprawę, że coś ważnego przemknęło bezpowrotnie. Czuła stratę, niedosyt i żal, niestety nie tylko do siebie. W rezultacie czuła się winna nie za to, co zrobiła lub czego nie zrobiła, ale za swoje odczucia w stosunku do całej sytuacji i do osób z nią związanych.

Po wieczornej próbie odprowadziła Mateusza na przystanek. Chociaż nalegał na wspólny wieczór przy piwie i plotkach, nie była w nastroju do dotrzymania mu godnie towarzystwa. Nie chciała także poruszać tematów, których przeznaczeniem było wzniecanie litości i współczucia, marudzenie i użalanie się nad sobą, czego po ostatniej rozmowie z matką prawdopodobnie nie dałaby rady uniknąć.

Ruszyła przed siebie. Mgła ze smogu i letniej mżawki opadła na szare chodniki miasta, pozwalając mu zabłysnąć w wilgotnych lustrach. Brzemienne chmury pęczniały z każdym krokiem Alicji. Nieruchome na swej drodze, ruchliwe w objętości. Przemierzała wyludnione ulice, chłonąc chwilę intymności między nią a miastem i jej myślami, kiedy mieszkańcy odpoczywali na kanapach po zwalniającej metabolizm kolacji. Zmierzch i noc pozwalały jej myśleć, dzień rozkojarzał, rozpraszając myśli. „Starzeję się” — pomyślała. Nigdy wcześniej nie snuła podobnych myśli. Czuła się terroryzowana upływającym czasem, zmarnowanym czasem, w ogóle czasem. Nawet wtedy gdy straciła brata, a jej rodzice osierocili ją za ich własnego życia, strach miał inne oblicze. Babcia wzniecała w niej nadzieję, dopingowała do walki. Dopóki żyła. Później nie było już komu zająć jej miejsca, a najwyraźniej Alicja nie potrafiła pewnych demonów przegonić w pojedynkę.

„Silni i mądrzy jesteście, kiedy życie układa się po myśli. Sztuka to odnaleźć w sobie te cnoty i korzystać z nich, kiedy wszystko dookoła się wali” — wspominała słowa staruszki. Nie uważała się ani za wystarczająco silną, ani tym bardziej mądrą i wyrzuty sumienia, że nie potrafi wcielić w życie cennych nauk babki, że zawodzi żyjących i tych, którzy odeszli, stawały się nie do zniesienia. Zastała puste mieszkanie, wypełnione szeptem smooth jazzu i przenikającą niczym zjawą ściany pomieszczeń mgłą wygaszonego kadzidełka. Przebiegło jej przez głowę, że może muzyk poszedł na randkę, pozostawiając jej namiastkę romantyzmu rozgrzewanego dla innej. Chciała cieszyć się samotnością, którą odebrał jej kilka dni wcześniej, lecz ku własnemu zdziwieniu czuła jedynie lekki zawód. Tak jak stała, weszła do łazienki, napuściła wody do wanny i zrzuciła z siebie ubranie. Po chwili ukryła się pod rześzystymi smugami gorącej wody. Siedząc pod parującym wodospadem, żywiła nadzieję, że w końcu się rozpuści, gdy wtem skoczne i krótkie pukanie do drzwi obwieściło jej, że nie jest już sama. Wyskoczyła z wanny, złapała szlafrok i skryła się pod nim. Następnie poczłapała do salonu w mokrych kłapkach jak kaczka po błocie, by poznać powód mącenia jej spokoju. Muzyk, pochylony nad stołem, opróżniał reklamówki z butelek czerwonego wina i plastikowych tacek. Więcej niż dwóch. Ciepły i niezdrowy zapach pobudził ślinianki Alicji i przegonił chęć bycia niemiłą. Mężczyzna spojrział w jej kierunku, tak jak rzuca się okiem na wystawy sklepowe, ale najwyraźniej coś



przykuło jego uwagę, bo znów uniósł wzrok. Wyprostował plecy i przestudiował Alicję od przyklepniętych, mokrych włosów i rozpuszczonego makijażu aż po wypełnione wodą chińskie klapki, w których stała jak w miniaturowych basenikach.

— Ten szlafroczek to chyba z podstawówki — stwierdził, zanosząc się śmiechem. — W tym przebraniu prawie cię nie rozpoznałem.

— Bardzo zabawne — odburknęła, zakładając mokre pas-ma włosów za uszy. — Wystraszyłeś mnie, myślałam, że jestem dziś wieczór sama.

— A ty wystraszyłaś mnie — odparł. — Tak więc jesteśmy kwita. — Wyjął dwa talerze z szafki i rozłożył złote kaski po równo. — Przepraszam, jeśli pokrzyżowałem ci plany. — Mrugnął porozumiewawczo. — Mam nadzieję, że jesteś chociaż głodna, bo przyniosłem kolację.

— Idę się przebrać.

— I słusznie.

Kiedy doprowadziła się do normalnego wyglądu i przesuszyła włosy, zasiedli z talerzami na kolanach w niezobowiązującej atmosferze chilloutu, tonąc w miękkich objęciach kanapy. Poczula nieznanego pochodzenia wdzięczność, choć nadal pełną nieufności i irytacji, do podobnych mu osób, na tę chwilę zapomniawszy właściwie dlaczego.

— Nad czym pracujesz? — Wskazała pięt rzęcając się papierzyska, oparte o nogę stolika. Muzyk upił łyk wina, przeżuując powoli spory kęs. Na jego stale zadowolonej twarzy zagościło na kilka sekund skupienie. Przełknął i się uśmiechnął.

— Czternaście stron to szaleństwo w najczystszej postaci, niekwestionowane piękno spontanicznych uczuć. To część mnie, kiedy żyję naprawdę. Reszta to ponad dwieście kartek niczego, nad czym muszę pracować. A ty nad czym pracujesz? — Zaskoczył ją pytaniem.

— Nad utrzymaniem się... — Nie wierzyła własnym uszom. Powiedziała to. Duma opadła jak dymna zasłona. Mężczyzna odstawił pusty talerz i dołał im wina. Wydał się Alicji bardziej poważny niż pięć minut wcześniej. Może z powodu smażonego kurczaka, który wymagał zaangażowania ze strony układu pokarmowego.

— Artyści często zalegają z czynszem, to normalne — stwierdził. — Komu załazłaś za skórę? Przyznaj się.

— To długa historia — odparła. Nawet gdyby chciała wytłumaczyć, w czym tkwi problem, nie wiedziałaby, od czego zacząć. Aspekty, które wymienił, to tylko dwie fale na wzburzonym morzu, po którym dryfowała.

— Mamy jeszcze dwie butelki wina — zachęcił.

Poczula nagle zmęczenie.

— Moim życiem dyrygują utarte schematy i wytarte przebrzmiałe frazy, chociaż się na to nie godzę. Zastanawiałaś się kiedyś, co to znaczy, że życie to nie jest bajka? — spytała, przegryzając na pół chrupiący kasek.

— Owszem, słyszałem to wielokrotnie od mojego ojca — odparł.

Alicja spojrzała na tego nieprzerwanie żartującego faceta i poczuła piekący wstyd, jak dziecko upokorzone przez nauczyciela przed całą klasą, kiedy próbuje być mądrzejsze, niż jest w rzeczywistości.

— Myślę, że się mylił — stwierdziła. Obserwowała jego reakcję, ale słuchał bez zmrużenia oka. Nie próbował nawet jej przerwać. — Moim zdaniem życie to odwieczna walka dobra ze złem, właśnie jak w bajce, tyle że człowiek nie rodzi się ani dobry, ani zły, ale przychodzi na ten świat z bagażem pełnym pamiątek po rodzicach, dziadkach i przodkach, wspomnień nie wiadomo czyich. Obrazów i przeczuc. No a walka? Walka może być wewnętrzna. — Upiła łyk wina i czuła, jak z każdym wypowiedzianym słowem narastała w niej

ulga. — Myślałeś kiedyś o tym? O snach. O pomysłach, które ciągle przychodzą ci do głowy. O wyborach, takich, a nie innych, o drogach, którymi decydujesz się iść, mając nieskończenie wiele możliwości albo tylko dwie, ale zawsze możesz wybrać. Życie to bajka. — Pokiwała głową. — Bajka dla dorosłych.

— Tak, myślałem o tym. — Nie uśmiechał się jak zazwyczaj, tylko wzniecał tornado w kieliszku, obserwując tworzący się purpurowy wir. — Rzeczywistość nie akceptuje artystów, Alicjo. Ty powinnaś wiedzieć to najlepiej. — W jego głosie pojawiła się nutka złości. — Tolerują nas, przygarniają jak błakające się, porzucone szczeniaki. Przyklejają nam łatki i bawią się nami, ale nie rozumieją. Zresztą po co. — Potrząsnął głową. — Ogół uważa nas za narcystycznych, beztroskich i kompletnie nieodpowiedzialnych. Dziwnych, bo innych od większości. A to dlatego, że mamy odwagę powiedzieć „nie” utartym schematom, wydeptanym ścieżkom i regułom, o których wspomniałaś. Jesteśmy szaleni, obłąkani i żyjemy w chmurach. Cokolwiek robimy, jest wynikiem niedojrzałości, retardacji, a nie wrażliwości na skrajny wytrzymań.

Wstał i przeszedł się po pokoju. Jakby słyszał dobrze znany mu głos. Skończ szkołę, idź na studia, znajdź stałą pracę, ożeń się, weź kredyt, spłódź najmniej dwoje dzieci. Spędzaj wakacje raz w roku, świętuj, kiedy są święta, jedź i noś to, co zalecają reklamy, i chodź co niedziela do kościoła. Myśl, mów i rób to, co wszyscy, bo to, co uznaje większość, jest prawdą absolutną. Bądź mężczyzną, synu, i dorośnij wreszcie. Cokolwiek miało to znaczyć. Do dziś nie rozumiał.

Może to przez alkohol, a może z powodu wyzwalającej siły słów, ale to, o czym mówił, było dla niej żywą prawdą, a nie zwykłym argumentem, retorycznie skubanym przy lampce wina zamiast orzeszków. Teraz stał odwrócony do okna i milczał. Chłodne światło brzuchatego księżyca wślizgiwało się przez wąskie szczeliny między listkami żaluzji, przecinając przestrzeń na dwa odmiennej jasności pola.

Czasem obca osoba może być najbliższą osobą na świecie. Choć na chwilę.

— Ja od wielu lat biegnę pod wiatr. Przyzwyczaiałam się — powiedziała w końcu. Zapatrzyła się w kształt jego sylwetki wymalowanej poświatą. Odwrócił się. Nie widziała jego oczu, ale je czuła.

— Tyle że płacisz wysoką cenę — usłyszała. Spojrzała na niego pytająco i przez chwilę się zastanowiła, ile w tym było prawdy. — Nie jesteś szczęśliwa — powiedział prawie szeptem.

Poczuła miliony igiełek pod powiekami, jakby miniaturowe supernowe eksplodowały, nie znajdując wystarczającej przestrzeni dla wygenerowanej energii. Zdławiła je i piekący ból szukającej ujścia mokrej rozpacz. Była wściekła na tego zadowolonego z siebie człowieka, który w ciągu kilku dni stał się jej rodziną, za to, że miał rację. Chciałaby go zniechęcić, ale na to nie miała już siły.

— Ty nic o mnie nie wiesz. — Z trudem panowała nad drżeniem głosu. — Śmierć, lata strat, ta cholerna pasja, bez której nic nie czuję... — Przełknęła ślinę, ale nie zdołała wydobyć z siebie żadnego więcej słowa.

Wyprostowała się nerwowo i chwyciła wino, rozglądając za porzuconym gdzieś kieliszkiem. Muzyk podszedł i delikatnie odebrał jej butelkę. Napenił swój kieliszek i podał go Alicji. Upiła parę łapczywych łyków, jakby chciała zatopić ból, którego kranik właśnie odkręciła własnymi słowami.

— Nie chcę twojego współczucia — powiedziała chłodno. — Radzę sobie i wiem, że zapanuję nad tym chaosem.

— Rozumiem. Nie tłumacz się.

— Wcale się nie tłumaczę.

— No właśnie to robisz.

— Nie chcę, żebyś myślał, że potrzebuję pomocy.

— Moją ocenę zostaw mnie. — Uśmiechnął się po swojemu, lekko i beztrąsko. Pogładził poświatę jej włosów. Poczowała ciepło i mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Ku własnemu zdziwieniu odwzajemniła uśmiech.

— Wiesz, że czasem jesteś irytujący?

Wzruszył ramionami, studiując każdy fragment jej twarzy. Zauważyła to i wstała. Pomyślała, że otworzy okno, wpuści rzeczywistość do środka. Wino, kadzidełka i kto wie, co jeszcze, szumiały jej w głowie.

— Jestem sobą i żyję, jak chcę. Wiem, że ludziom to przeszkadza — skwitowała. — A ty nie możesz podobać się wszystkim, zaakceptuj to — powiedział i zbliżył się do niej, wsuwając palec za pasek jej dresów. — Ale mi się podobasz — mówił po cichu i powoli. Ich czoła się spotkały. Jego oddech pachniał kwaśno kokosem, a ciepło skóry uwalniało ledwo już wyczuwalną woń porannej wody po goleniu. Delikatne i jasnozłote bokobrody podkreślały symetryczny zarys twarzy, łącząc się z kilkudniowym zarostem na wzgórzu dość spiczastej brody. Oczy miał wąskie niczym dwa kanoje, do których dostała się morską wodą, a nozdrza prostego nosa wściekle się rozdymały, jakby były na ciągłym wydechu. Jednak to usta skupiały całą uwagę obserwatora, nie dając mu spokoju. Dość wydatne, wywinięte niczym mięsiste płatki przekwitłej ogrodowej róży. Wyraziste, jakby dwukrotnie obrysowane ołówkiem przez portrecistę, bezczelne i nieprzerwanie obecne.

— Nie wiem, jak tańczysz, ale widziałem sposób, w jaki się poruszasz na co dzień, jak muskasz palcami kartkę książki, zanim ją przewrócisz, i to, jak potrafisz patrzeć poprzez światło tych dziwnych oczu. — Jego szept przeistoczył się w relaksującą mantrę. — Jest tylko jedna droga do spełnienia twoich marzeń, Alicjo. — Milimetry dzieliły wzgórki ich warg. — Bądź sobą.

Musnął płatek jej ucha. Powoli odgarnął pasma włosów z twarzy.

— Nawet cię nie znam — powiedziała, choć właściwie nic ją to nie obchodziło.

— To poznaj.

— A jak mi się spodoba?

— To zrobisz kolejny krok.

— A jak nie?

— To się wycofasz.

— A jak tobie się nie spodoba? To po prostu się wycofasz?

— Szybko się uczysz — zażartował.

— Wydaje ci się, że wszystko jest takie proste.

— Nic nie jest proste i wszystko jest proste. To jest proste — szeptał. — To kwestia wyboru. Wybierasz i liczysz się z konsekwencjami, chociaż nie wszystko można przewidzieć.

Utknęła między parapetem a zdecydowaniem jego bioder.

— Jedyne prawdziwy problem to strach i ograniczenia, jakie sami sobie stawiamy. — Przesunął palcami po jej wargach. Rozchyliła je. Czowała galop serca w piersiach, a miliony mrówek szukały ujścia spomiędzy jej ud. Wysunęła koniuszek języka i musnęła jego usta niepewnie jak dziecko próbujące nowego smaku lodu. Smak był dobry i zapragnęła więcej. Przycisnęła wargi do jego ust i przez chwilę spierali się jak zapaśnicy sumo, oddychając szybko i nierównomiernie. On jeszcze czekał i zrozumiała, że czeka na nią. Ona już dawno zdecydowała. Zapusiła dłonie w jego włosy i pociągnęła ku sobie, a kiedy ich języki się splotły, mężczyzna wbił palce w pośladki Alicji i podrzucił ją na parapet. Uderzyła o szybę, miażdżąc żaluzje i omdlewając pod naporem. Szamotali się, walcząc z barierą ubrań jak dwoje niezdarnych

nastolatków. Zniecierpliwiona rozpięła mu spodnie i zanurzyła rękę pod suwak. Wyprężył plecy i znieruchomiał, po czym jednym szarpnięciem zsunął Alicji spodnie i majtki, odsłaniając skąpane w niebieskawej poświacie łono, i wszedł w nią płynnie. Zacisnęła na nim nogi. Wczepieni w siebie trwali zbyt krótko, aby nasycić zmysły. Ujął jej twarz w dłonie i z największą delikatnością, jaką zdołał w sobie odnaleźć, scałował krople potu z jej skóry. Wstał i w ciszy ich oddechów rozłożył kanapę. Tak po prostu, jak przed pójściem spać. Zaścielił ją tylko kocem, postawił na stole świecę i je zapalił, w końcu napełnił jedyny kieliszek. Rozebrał się i usiadł, wyciągając rękę do siedzącej pod oknem, półnagiej Alicji. Pijana od emocji wstała powoli i pozwoliła reszcie ubrania leniwie zsunąć się po nogach ku podłodze. Rozpalona iskra pożądania zdążyła wzniecić pożar. W świetle świec obnażyła przed nim doskonałą krągłość bioder i piersi i mimo dojrzałego lata jej skórę pokryła drobna gęsia skórka. Szła w jego stronę ostrożnie jak artystka cyrkowa po linie, a on widział jej zmysłowo kołyszące się ciało we wszystkich odcieniach księżyca. Objął jej pełne i twarde pośladki, skrywając twarz w aksamicie brzucha. Drgnęła, jak ciało w mimowolnym odruchu, zanim zapadnie w głęboki sen. Zappełnił pocałunkami pulsujące i gorące podbrzusze, gdy jej miarowo przyspieszający oddech mieszał się ze stukotem tramwajów, zjeżdżających po zdezelowanych szynach do zajezdni. A kiedy dotarł, zachłysnął się, gdyż smakowała jak nagrzana południowym słońcem, dopiero co zerwana brzoskwinia. Odepchnęła go i dosiadła. Niecierpliwa. W tańcu na nim eksplodując całą swoją dzikością. Odrzucała w tył głowę, łapiąc powietrze jak ryba, chłostała jego nogi ciężkimi pasmami włosów. On grał na jej naprężonym niczym struna ciele, delikatnie drażnił opuszkami, pocierał, by za chwilę szarpać gorączkowo, pochłonięty aktem tworzenia.

W szaleństwie pożądania wystawili swoje najlepsze partie, a muzyka ich ciał przyciągnęła pod okna wszystkie koty z okolicy. Zanim odkryły ich promienie poranka, wznosili toast za pasję, pijąc z jednego kieliszka.

— To nie do pomyślenia! — wykrzyknął. Jego głos odbił się echem od pustych ścian gabinetu, a tkwiące na biurku papierzyska zafalowały. — Bezczelny żabojad!

Twarz Witolda pociemniała niezdrową czerwienią, a obfite podbródki zatrzęsły się jak wigilijna galareta, kiedy opadał z wściekłością na fotel. Odszukał telefon, energicznie strzepując z niego kartki, po czym zacisnął pozbawione kostek palce na słuchawce. Przyciski zatrzęszczały pod ich naporem.

— Jest tam z tobą Iza?

— Jeśli szukasz Izy, to dzwoń do niej — odparł Kacper.

— No tak, zapomniałem, że specyficzne z was małżeństwo — westchnął sponsor. — Jakby się pojawiła, to przekaż jej, że ma do mnie natychmiast zadzwonić. Któraś z was musi poprowadzić dziś próbę.

— Ja jestem poza miastem. Dekoracje, pamiętasz? — Głos Kacpra zabarwiła ironia. — A co z -Pierre'em?

— Nie ma go — rzucił Witold. — Lepiej znajdź mi Izę.

Kacper usłyszał trzask odkładanej słuchawki, a potem ciszę, po której pulsujący sygnał wybrzmiewał długo i nostalgicznie za jej imieniem. Iza... Tak, chciałby ją odnaleźć.

— Kto to? Co się stało? — spytała.

— Nie wiem dokładnie, ale lepiej będzie, jak już pójdę. — Poglaskał dziewczynę po rozpuszczonych włosach. — Nie ma komu poprowadzić popołudniowej próby, muszę znaleźć Izę.

— Ale ja chcę zostać z tobą. — Przysunęła się bliżej do niego. Też tego pragnął, jednak w tym momencie rewia była najważniejsza. Izę i jego wiązała umowa, zgodnie z którą prócz mnóstwa pieniędzy brali jednocześnie całkowitą odpowiedzialność za doprowadzenie przedsięwzięcia ku spektakularnej i lukratywnej premierze, a nie po prostu „premierze”. Czy próbuje okłamywać samego siebie? Zamyślił się. Chociaż nie rozmawiali o tym od wielu, wielu lat, to nie forsa trzymała ich w tej dziurze, choć skrupulatnie udawali to jedno przed drugim.

Witold i jego finansowe wpływy stanowiły przepustkę do świata, który utracili. Dzięki niemu wrota czasu otwierały się dla nich. Dla Izy.

Dla niego być może było już za późno. Pierre, rzecz jasna, w każdej chwili mógł się wycofać, pracował właściwie za darmo, co dawało mu wolność, ograniczoną jedynie danym słowem. Wzbudzał tym w Kacprze szacunek, choć on sam nigdy by tak nie postąpił. Nawet gdyby chciał pracować tak jak kiedyś, wolny jak ptak, i w wyborach kierować się sercem. Tamte dni odeszły bezpowrotnie i została po nich tylko nostalgia, niczym nieukożona tęsknota za pasją w swej najczystszej niczym niekondycjonowanej postaci, ale coś jeszcze. Gorycz. Przesycająca tkanki i dni utkane z minut żalu po tym, co należało poświęcić.

Odprowadził ją na przystanek, patrząc, jak stawia stopy, kiedy odchodzi. To, co kochał kiedyś w żonie, ucieleśniło się z jego nostalgii, materializowało z uczuć odkładanych na później i wyciągało ręce w jego stronę, tym razem jednak, żeby dawać. Niestety on nie potrafił już brać. Zatrzymał się w pobliskim barze na kawę, czarną i gorzką. Niebo nad miastem wisiało niczym mosiężny odważnik na nitce, a powietrze stało jak tło w zatrzymanym kadrze. Pasował do tej scenerii.

Upił łyk. Bez smaku.

— Cześć, Dzidzi, gdzie jesteś? — Uśmiechnął się niewyraźnie.

— Mówiłam ci, żebyś mnie tak nie nazywał — prychnęła Iza. — Czemu dzwonisz do

mnie na zastrzeżony?

— Czemu nie odpowiadasz na służbową komórkę?

Nastała cisza, a po niej seria nieartykułowanych z grubsza dźwięków oraz szelestów, stuków, potarć i westchnień.

— Cholera, rozłądował mi się telefon — powiedziała bardziej do siebie niż do niego, wrzucając komórkę z powrotem do torby.

— Słuchaj, kochanie, zadzwoń migiem do bossa. Jakiś podenerwowany był.

— Na litość boską, nie jestem jego sekretarką! — uniosła się. — Nie możesz ty się tym zająć?

— Mógłbym, gdybym nie robił za handlowca, negocjatora, projektanta i dostawcę — odparł bez cienia emocji. Trudno pamiętać o obsłudze sceny, kiedy tworzy się sztukę w światłach reflektorów. Wiedział to od niedawna. Ale czy ona miała o tym pojęcie? — Wracaj do teatru, Izo. Będziesz musiała zmienić dzisiejsze plany — dodał.

\*

Pchnęła obrotowe drzwi, ledwo uciekając przed ich naporem. O tej godzinie ulica zdawała się osamotniona. Kilka grzecznie ustawionych w rzędzie drzewek wpatrywało się w swoje odbicia w oszklonych krzykliwych afiszach. Iza nie lubiła musicali. Ostatecznie *Cały ten zgiełk*, *Chicago* czy *Moulin Rouge* posiadały jakąś wartość artystyczną, ale cała reszta, zwłaszcza współczesne spektakle... Zawsze dopatrywała się w nich zbyt wielu udziwnień. Taki kocioł z kuchennymi resztkami. Tancerze wszystkich rozmiarów z tanim wykształceniem szkółek i kółek niewiadomego pochodzenia. Hałas bez powodu, bałagan i pełna irytacja. „Nic dziwnego, że Alicja tu pracowała” — pomyślała. Gdzie indziej by się nadała? No, może tylko do cyrku. Zapaliła i powstrzymując dym w płucach, przygryzła wargę. Rozejrzała się. Sprzątaczką powiedziała, że ktoś pojawi się w portierni za kwadrans. Co za kretynka. Minęły już co najmniej dwa kwadransy. Nie znosiła niedokładności. Ludzie paplają bez sensu i stanowczo za dużo. Westchnęła całą sobą, wypuszczając dym na wolność. Odszukała wzrokiem śmietnik z popielniczką, nieco oddalony od wejścia, i zdusiła w połowie niespalonego papierosa. Czasem odnosiła wrażenie, jakby cały świat spoczywał na jej głowie. Przeklęła niewyraźnie. Witold nie będzie czekać. On nigdy nie czeka, zawsze ma to, czego chce. I lepiej niech tak zostanie. Cóż, najwyraźniej dziś upiekło się rudzielcowi, ale jej dni w rewii są policzone. Ruszyła w stronę auta, a jej kroki brzmiały niczym metronom. Czarny mercedes rzucał skradzione refleksy, topiąc południowe słońce w swej smolistej tafli. Skórzana tapicerka utraciła pierwotny zapach, ale żaden z foteli, poza tym dla kierowcy, nie nosił śladów użytkowania. Już od dawna była sama. Jej małżeństwo skończyło się, jeszcze zanim się zaczęło. Właściwie to zakochała się tylko raz, kiedyś, ale była zbyt młoda i musiała myśleć o karierze. Kacper miał jej pomóc wejść do paryskiej tanecznej elity, a w rezultacie zepsuł wszystko.

To nie były łatwe czasy. Silnik auta zawarczał i wewnątrz wypełniły melancholijne drgania strun gitary, jak krople wiosennego deszczu skapujące na ulice. Głos Françoise Hardy, pieszczący i pełen nadziei, który słyszała dwadzieścia lat temu, gdy śpiewali tę piosenkę sobie nawzajem, teraz zionął przenikliwym smutkiem. Jakby piosenkarka wiedziała, że ich związek już na starcie był pozbawiony szans. Jak każdy prędzej czy później jest skazany na koniec. Wtedy byli zbyt młodzi, aby to dosłyszeć. Pamiętała go jak przez mgłę, bo wybrała Kacpra i musiała wymazać jedyne chwile szczęścia, jakich zaznała z mężczyzną. *A faire des ronds dans l'eau. Des ronds dans l'eau* — wyszeptwała, wciskając pedał gazu.

\*

Po trzydziestym powtórzeniu *sissonne fermée jeté fermée* Alicja nie miała najmniejszej zadyszki, a kolano milczało, jakby w jakiś cudowny sposób ozdrowiało w ciągu ubiegłej nocy. Czowała ciepło spływające wzdłuż kręgosłupa i niezwykle wydajną elastyczność lędźwi. Uśmiechała się, opuszczając lekko głowę, zawstydzona sama przed sobą na myśl o tym, co mogło wpłynąć na tę doskonałą formę i nastrój. Czowała się, jakby zrzuciła wiele warstw zimowych ubrań, by wreszcie powitać lato, choć w głębi niej nadal szalała zima. Na wykorzystanie zasobów energii miała mnóstwo pomysłów, nie miała jednak pojęcia, co zrobić z kumulującymi się uczuciami. Chciała je rozpoznać, nazwać, ujarzmić, ale nie potrafiła. Drzwi wejściowe zaskrzypiały. W zaciemnionej jeszcze auli pojawili się Kaśka i Oskar. Tylko oni przychodzili na długo przed próbą. Życie solisty często ograniczały mury teatru. Alicja odmachwała im i zaszyła się w garderobie. Pomieszczenie pachniało talkiem z dezodorantów i wilgocią od pryszniców, która nigdy nie wysychała. Usiadła na podłodze pod ścianą, wyjęła telefon z torby i wybrała numer. Potrzeba rozmowy okazała się silniejsza niż zażenowanie. Sygnał po drugiej stronie wybrzmiał tylko raz i zanim otworzyła usta, znajdowała się w centrum konwersacji.

— Al, kochanie! No po prostu mnie wyczułaś! Właśnie miałem do ciebie dzwonić. Zaprosiłem dziś na wieczór kilka ładnych tyłeczków z naszego zespołu. Nie możesz mnie z nimi zostawić samego! — rozbrzmiał wysoki i donośny śmiech Mateusza, więc skorzystała z okazji, aby coś powiedzieć.

— A co z waszą wieczorną próbą? Nie będzie cię dzisiaj?

— To ty nic nie wiesz jeszcze? — zapiszczał. — No przecież odwołali. Przygotuj się lepiej, skarbuła, dobrze rozciągnij nóżki, bo do wieczora czeka cię przeprawa z Królową Śniegu. — Jego głos spoważniał, a to nie rokowało najlepiej.

— A gdzie jest Pierre? — zaniepokoiła się.

— Pierre pojechał na wczasy — westchnął i Alicja oczami wyobraźni zobaczyła, jak rozkłada ręce w powietrzu. — Wiesz, jak to jest z tymi Francuzikami; zete pi, zete pa! A my bez niego ani rusz, bo przecież śpiewamy po francusku i ktoś musi nas tego języka miłości nauczyć, no nie!? — kontynuował z przekonaniem. — To jak? Widzimy się wieczorem?

— Jasne — przytaknęła, wciąż zamyślona. — A mogę dziś u ciebie spać? Proszę. — Mówiąc to, ułożyła usta w dzióbek. Zawsze działało.

— No pewnie! — Musiał przybliżyć telefon do ust, bo aż odskoczyła. — Ale chyba nie wyrzucili cię z mieszkania, co? — spytał. — Przecież znalazłaś sponsora.

— Lokatora, Mati, lokatora — poprawiła.

— Ach, kochana, czyż to nie to samo! — skwitował. — Wiesz, że moje drzwi zawsze są dla ciebie otwarte, a moje łóżko zasłane — dodał ze słodyczą w głosie. — Ale się nagadamy! Nie mogę się doczekać!

Kiedy się rozłączył, nadal miała uśmiech na twarzy. Mateusz był jak ulubione lody. Orzeźwiający, słodki, poprawiający humor. Z korytarza dobiegły ją głosy i śmiechy. Wstała i przeciągnęła się jak kotka po drzemce, wciąż nie dowierzając nagłej formie, w jakiej znalazło się jej ciało. Złapała się także na ciągłym zerkaniu na komórkę, udając sama przed sobą, że nie ma ku temu powodu. W garderobie zrobiło się momentalnie ciasno, więc się wycofała do korytarza, zdecydowana wykonać jeszcze jeden telefon. Poczowała ożywczy spazm żołądka, kiedy przerywany i długi sygnał igrał z jej cierpliwością. Po dłuższym oczekiwaniu zaniechała. Nie była pewna, czy odczuwa zawód, czy zaniepokojenie. Pierre zawsze uprzedzał ją dużo wcześniej, jeśli nie mógł się pojawić na ich spotkaniu, a przecież umówili się na jutro rano. „Z pewnością i tym razem się odezwie” — pomyślała i zesłała w zasczenie.

— Na litość boską, Iza! — Witold odskoczył od biurka, pokrywając popiołem z cygara wszystko w zasięgu ręki. — Ile razy trzeba do ciebie dzwonić, żebyś raczyła wreszcie odebrać.

— Oczy, choć wąskie, małe i zapadnięte głęboko w czaszkę, teraz patrzyły na nią jak gdyby przez szkła powiększające.

Wydeła usta i odwiesiła skórzaną marynarkę na krzesło.

— Wybacz, ale rozłądował mi się telefon. — Z trudnością utrzymywała ton głosu na optymalnym poziomie. — Poza tym miałam do załatwienia sprawy w naszym interesie — dodała, kładąc nacisk na słowo „naszym”.

Spojrzała na nią z ukosa. Na jego twarzy złość staczała pojedynkę z suchą racjonalnością.

— Ale Kacprowi jakoś udało się z tobą skontaktować. — Oczy sponsora wróciły do swoich kryjówek, a mięsiste wargi objęły cygaro. Wydmuchał szarą, śmierdzącą chmurę, zza której Iza zdołała dostrzec jedynie lekki, ironiczny uśmiezek.

— Gdzie jest Pierre? — Zwinnie zmieniła tor rozmowy.

— Otóż to! Wasz paryski mistrz wziął dwa dni urlopu! I jedyne, co miał mi do powiedzenia, to że to sprawa osobista!

Iza zmarszczyła dwie smukłe kreseczki nad oczami.

— Cóż, byłeś zadowolony, kiedy zgodził się na pracę bez gaży i umowy — odparła oschle, choć zaniepokoiła ją ta wiadomość. Nie chciała dawać Witoldowi satysfakcji.

— No właśnie. Jutro, moja droga, zadzwonisz do księgowego i karzesz mu sporządzić jakiś papier dla pana Bourite. — Racjonalność przejęła kontrolę. — Jesteśmy coraz bliżej premiery. Nie chcę żadnych niespodzianek. — Zamknął szufladę biurka na kluczyk i wcisnął go w kieszeń marynarki. Zagryzając skrawek cygara, zwinnie uwolnił brzuch spod blatu biurka. Biała wstęga ciągnęła się za nim aż do drzwi, zupełnie jak para z dymiącego półmiska. Odwrócił się na progu i dodał: — I proszę cię, Iza, zrób wreszcie porządek z tymi dokumentami.

— Wstrętny tłuszcioch — wycedziła, zatraskując za nim drzwi. Opadła na miniaturową kanapę, mniejszą od fotela Witolda i spojrzała na walające się przed nią papierzyska.

„Ile kosztują marzenia? Moje z pewnością nie są tanie”. Poczula, jak ciśnienie jej wzrasta i bulgocze niczym woda w czajniku. Tyle że ona nie miała automatycznego wyłącznika.

— Cholera, próba! — Zerwała się z kanapy na równe nogi. Przecież miała zastąpić -Pierre’a!

Obracając się niczym figurka na pozytywce, przebiegła wzrokiem pokój w poszukiwaniu swoich czerwonych lakierków. Nie była pewna, czy zostawiła je w swoim biurze, czy tutaj. W końcu, odkąd stała się sekretarką, spędzała większość czasu w gabinecie szefa.

— No, przecież gdzieś tu muszą być — mamrotała. Pokazywała je Witoldowi, zanim zrobiła zamówienie podobnych butów dla zespołu, oczywiście dużo tańszych, i zostawiła je na widoku, tak aby przemówiły mu do wyobraźni. „O ile posiada coś tak zaawansowanego” — pomyślała. Butów nie było. Odtworzyła w myślach krok po kroku ostatni dzień, kiedy miała je na sobie, i choć minęło już sporo czasu od tego momentu, to jedynie utwierdziła się w przekonaniu, gdzie buty powinny być, a ich nie ma. Czyżby któraś z tancerek była aż tak głupia? Co prawda nie posądzała ich o wysoki iloraz inteligencji, ale im mniej myślały i mówiły, tym łatwiejsza stawała się jej praca.

Nagle nadeszło olśnienie. Niczym zahipnotyzowana usiadła, powoli zginając kolana. Jej wargi rozchyliły się, jak gdyby utraciła czucie w dolnej szczęce, a wzrok zawisł w próżni. Przez chwilę przypominała porcelanową lalkę, lecz wrażenie to roztrzępała uderzeniem powłóczyстых rzęs. Mrużąc oczy, niczym degustator czekoladki właśnie wsuniętej do ust, uśmiechnęła się. Dobyła swojej krokodylej torby, otworzyła ją tak szeroko, jak tylko było to możliwe, i umodelowała na biurku pośród porozrzucanych dokumentów. Spojrzała jeszcze na swoje dzieło, niemalże klaszcząc w dłonie z zadowolenia.

— Mniejsza o buty — powiedziała na głos i wyszła, zostawiając otwarte na oścież drzwi.



— Dobra, idzie — wyszeptała Kaśka, oddalając się od kurtyny. Tancerki zajęły swoje miejsca: Kaśka z przodu, na środku proscenium, Alicja z tyłu po lewej stronie z brzegu, i choć dzieliła je cała scena, lata odmiennych doświadczeń i nawet taniec rozumiały inaczej, to coś szarpało ich dusze z tą samą okrutną namiętnością. Alicja czuła to i teraz. Stojąc w cieniu bocznej kurtyny, studiowała szczupłe, ale anatomicznie perfekcyjne plecy Kaśki, prostą jak struna sylwetkę i zastanawiała się, kto lub co wpłynęło na jej równie zawły los.

— O, proszę, widzę, że jesteście już gotowi. Doskonale! — trajkotała radośnie Iza, wkracząc bocznymi schodkami na scenę. — Zapewne już wiecie, że pan Bourite jest chwilowo nieobecny, dlatego ja poprowadzę próby do jego powrotu. — Przyjrzała się uważnie zespołowi, dała kilka drobnych uwag co do ustawienia linii i nieodpowiedniego obuwia, po czym wróciła na krawędź przedscenia. — Uwertura! — krzyknęła w stronę operatora, upchniętego w lilipucią reżyserkę na piętrze, i wzięła się pod boki.

Rozjęczały się skrzypce zasypane dzwoneczkami i ręce tancerzy zaczęły rosnać wraz z muzyką. Iza zeszła ze sceny i oddaliła się na wysokość pierwszego rzędu, tak aby objąć wzrokiem cały obraz. Zawły trąbki, okręcając tancerki wokół własnej osi, i ostatnia linia przeciągłym krokiem podeszła do środkowej, tworząc długi, lekko zaokrąglony szereg, prezentując wysokie biodro i długą nogę. Rozbrzmiały francuskie słowa piosenki, animując usta zespołu, nieodmiennie rozciągnięte w szerokim uśmiechu. Muzyka nabrała tempa i wigoru, a razem z nią tancerki. Tylne linie ruszyły po diagonalu, krzyżując się na środku sceny. Tancerze z każdym taktem partnerowali innej dziewczynie. Podawali dłoń jednej, prowadząc ją przez scenę, obracali następną, już odkręcając się do kolejnej, aby asekurować ją przy wygięciu w tył. Na sam koniec utworzyli okrąg wokół solistki, tańcząc razem z nią prosty, wciąż powtarzany krok, a następnie ujęli ją pod rozpostarte ramiona i unieśli do góry. Solistka wykrzyknęła ostatnie frazy refrenu, jak gdyby wznosiła toast, i zastygła w powietrzu niczym zjawiskowe trofeum. Przez kilka sekund nikt się nie poruszał, utrzymując drżący uśmiech jak w oczekiwaniu na błysk flesza właśnie robionego zdjęcia. Dopiero nieśmiały świst fletu ożywił ponownie tancerzy, wprowadzając zespół w początek kolejnej choreografii.

— Stop, stop! — Iza zamachała rękami w powietrzu i flety ustały. — No widzę, że wreszcie wzięliście się do roboty — stwierdziła. Tancerze zaskoczeni pochwałą patrzyli po sobie, jakby chcieli się upewnić, że reszta zespołu słyszała to samo. — W takim razie przeskoczmy kolejne kawałki, które z pewnością tańczycie tak dobrze jak ten, i przejdźmy od razu do kankana — mówiąc to, zatarła dłonie.

Decyzja wywołała lekkie zamieszanie. Ktoś chciał się jeszcze rozgrzać, a ktoś inny zmienić buty, większość chciała tańczyć wyjścia w kolejności. Producentka jednym słowem uciszyła zespół i wywołała na środek solistów kankana. Alicja poczuła skurcz w mostku i omijając tancerzy niczym przeszkody na drodze, ustawiła się koło Kaśki, Oskara i czwórki pozostałych kolegów. Starła się unikać wzroku Izy, licząc, że tym razem lepiej spała, zaczęła dzień od zdrowego posiłku i, daj Boże, nie skończyła jeszcze ostatniej paczki papierosów. Martwiła się o kolano, które po każdej próbie z producentką wymagało specjalnego traktowania i natychmiastowych wakacji. Udawała więc, że dopina ciasne paski charakterek, nie nawiązując żadnego kontaktu, zwłaszcza wzrokowego, z otoczeniem.

— Nie dopinaj. — Usłyszała, ale nie zareagowała. — Alicja. — W głosie producentki pojawił się lekki nacisk. No tak, została wywołana do tablicy. Zanotowała jednak coś dziwnego. Czyżby miły ton głosu?

— Tak? — Wyprostowała się i spojrzała na zadowoloną twarz Izy.

— No proszę, proszę. — Kobieta skrzyżowała ręce na piersi i podeszła bliżej. Niczym niewidzialne macki, oczy Izy punktowały każdy centymetr jej ziemskiej powłoki. — Kto by

pomyślał. — Ściszyła głos. — Jak na amatorkę całkiem nieźle dajesz sobie radę. Oby tak dalej...

Milczeć? Dziękować? Począkać i zobaczyć, czy się wkurwi? Czy można mieć zespół napięcia przedmiesiączkowego przez prawie pięćdziesiąt dni? Cała masa skrajnych odczuć dopadła Alicję. Wierzyła w nowe początki i długoterminowe, potliwe transformacje, wierzyła w siłę woli i elastyczność przeznaczenia, ale jakoś nie przekonywały ją nagle zasoby sympatii ze strony wrogo nastawionych ludzi.

— Nie dopinaj butów — powtórzyła Iza i zwróciła się do wszystkich: — Najwyższy czas wypróbować lakierki, które zamówiłam wam do kankana na premierę. — Przechadzała się po przedsceniu niczym lew po prostokacie klatki. — Co prawda jeszcze nie dotarły, ale mam jedną próbną parę. Tak się składa, że to akurat mały but i na oko twój rozmiar. — Znów zwróciła się do Alicji. — Skocz, lalcia, do gabinetu pana Witolda i przynieś je — poleciła. — Powinny być koło biurka albo na nim. Znajdziesz na pewno. Czerwone i lśniące. — Wykonała gest zagarniania dłonią w powietrzu.

Alicja niepewnie ruszyła w stronę schodków.

— Klucze! — zawołała za nią Iza, wyciągając rękę z breloczkiem z logo Mercedesa. Alicja bez słowa ujęła pęk rozgrzanych metalowych przedmiotów. — No, popatrz, jakie to szczęście, że właśnie ty przetestujesz buty dla całego zespołu — dodała, rozluźniając palce dłoni.

W porównaniu z parującą w słońcu ramp sceną korytarz prowadzący do garderoby zionął kościelnym chłodem. Spacer nim byłby mile widziany, gdyby nie powód, dla którego się tu znajdowała. Jeszcze trochę, a uwierzyłyby w dobre intencje producentki. W końcu ludzie czasem się zmieniają, choć z drugiej strony są i tacy, którzy do końca życia pozostają gnidami. No tak, ale buty... Przyspieszyła kroku. Jeśli powie, że są niewygodne, to usłyszy, że dlatego, iż jest amatorką, nie tańczyła na puentach i nie wie, co to prawdziwy ból. Jeśli nic nie powie i połamie sobie nogi w kankanie, to usłyszy, że dlatego, iż jest amatorką, nie tańczyła na puentach i do tego nie umie tańczyć na wysokim obcasie. Cokolwiek powie, i tak będzie amatorką, która nie tańczyła na puentach, nie wie, co to prawdziwy ból, i do tego nie umie tańczyć na wysokim obcasie, i właśnie dlatego nie nadaje się do rewii! Wypuściła powietrze ustami. Była ciekawa, czy uda jej się podpisać kontrakt, ale zanim rozwinęła myśl, przystanęła nieco zdziwiona, gdyż drzwi do gabinetu Witolda stały przed nią otworem. Zajrzała do środka, obejrzała się za siebie, po czym wbiła wzrok w kluczyki na rozpostartej dłoni. Dopiero teraz przyjrzała się im dokładnie.

Breloczek z logo Mercedesa. Dwa dziwne klucze.

Kluczyki do auta?

Weszła powoli do środka. Woń dymu cygarowego i perfum odebrał jej swobodny oddech, a na widok hebanowego biurka, rozwartego dziarsko na szerokich nóżkach niczym wojownik sumo, skrzywiła się z niesmakiem. Rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu czerwonych butów, ale w pokoju panował smutny, przytłaczający klimat, wypełniony szarościami, czernią i bielą. Nad skórzaną kanapą wisiała tandetna reprodukcja plakatu *Ballo al Moulin Rouge* Henriego Toulouse-Lautreca, oprawiona w połyskującą czarną ramę. Obok, na marmurowym stolczku służącym jako stojak pod wypasioną popielniczkę, piętrzyły się śmierdzące kikuty cygar.

„Mówiła, że są gdzieś koło biurka” — przypomniała sobie Alicja. Wsunęła się pomiędzy skórzany fotel a blat i zajrzała pod mebel. Żadnych butów. Westchnęła i przysiadła na miękkich fałdach rewiowego centrum dowodzenia. Zapatrzyła się przed siebie. Torebka przypominająca rozbebeszonego krokodyla przygniatała masę papierów. Alicja zawiesiła wzrok na niechlujnie porzrzucanych kartkach, próbując odgadnąć, co się stało z butami. Oczami błędziła z nagłówków certyfikatów na regały z segregatorami, bez celu wertowała wzrokiem napisy i podpisy, gdy nagle odebrało jej dech, jak gdyby ktoś przygniótł jej tchawicę.

Dwa, na pierwszy rzut oka identyczne dokumenty leżały obok siebie. Treść zaświadczeń

o zdolności do wykonywania zawodu różniła się drobnymi specyfikacjami dla Alicji Bajskiej i dla Mateusza Szymkowskiego, z którymi się zapoznała, błędząc szaleńczo oczami. „Mateusz, dlaczego mi nie powiedziałeś?” — jęknęła. Zatopiała twarz w dłoniach, próbując odzyskać panowanie.

Certyfikaty nie bez powodu leżały równiutko obok siebie na samym środku biurka, i jeśli to Iza je tak położyła, to teraz ma prawdziwy powód, żeby usunąć Alicję z rewii. Bezpowrotnie.

Pojechała tramwajem, gdyż każdy krok był nie lada wysiłkiem. Ból w nodze odezwał się już w połowie próby, ale nie zdjęła butów, choć gniotły palce i wyginały podbicie. Musiała udowodnić Izie, że się myli, bo ona potrafi zatańczyć wszystko i w każdych warunkach. W trakcie przerwy któraś z tancerek znalazła w garderobie czerwone charakterki producentki; nikt nie wiedział, jak się tam znalazły. Iza między jednym westchnięciem a drugim potrząsała z niedowierzaniem głową. Obserwując jej reakcję, Alicja się zastanawiała, czy Iza oscarowo odgrywa zdziwienie, czy to ona popada w paranoję.

Tramwaj wypełniał się z każdy przystankiem. Siedząc zgarbiona, ze zwieszoną głową, nie umiała znaleźć powodu, dla którego miałyby bronić swoich marzeń. W końcu za wszystko, co przytrafiło się jej w ciągu ostatnich lat, mogła winić tylko siebie. Gdyby ukończyła studia, wyszła za Wojtka, teraz byłaby kimś. Ale czy byłaby sobą? Nie. Byłaby Kimś.

Kimś innym...

Apartament Mateusza mieścił się w mało uczęszczanej uliczce z równo zaparkowanymi wzdłuż niej samochodami. Odprężająca zieleń drzew stanowiła doskonałe tło dla schludnych, trzypiętrowych budynków, przytulając się do ich gładkich pleców. Ogrodzenia zachłannie zagarniające teren dla siebie, zmuszały Alicję do okrążenia osiedla w poszukiwaniu właściwej furtki. Śmiechy i głośną muzykę usłyszała, jeszcze zanim zobaczyła balkon obwieszony donicami bujnych kwiatów z równie bujnymi ludźmi sztuki i muzyki. Towarzystwo Mateusza, bez wątpienia jak on, nie uznawało panoszących się limitów i zakazów. Mottem dnia i każdej czynności była wolność.

Po piątym dzwonku domofonu ktoś wreszcie oswoił dzikie wrzaski i dzięki temu Alicja zdołała się dostać na klatkę schodową. Drzwi na trzecim piętrze były otwarte, wypuszczając ze środka gwar i zapach jedzenia. Zanim przekroczyła próg, już oczekiwały ją szeroko rozpostarte ramiona i błogostan na twarzy pana domu.

— Oto moja dziewczynka! — zapiszczał Mati. — No chodź, kochanie, chodź! — ponaglał jak małego pieska. Uściskał się jak dwaj Rosjanie po wódce. — Jakoś mizernie wyglądasz. — Obejrzał jej twarz z dystansu kilku centymetrów, po czym objął przyjaciółkę ramieniem i ucałował w czubek głowy. — Zaraz cię nakarmię i drineczka poleję. Zobaczysz, będziesz jak nowa!

— Mati. — Chwyliła go za przegub. — Musimy porozmawiać.

— Ależ oczywiście, moja droga! — Pokiwał głową. — Mamy na to całą noc!

Mateusz przedstawił ją wszystkim muzykom i przyjaciołom spoza rewii, poklepując kolegów po pośladkach zamiast po ramieniu. Przez moment pomyślała, że przyjaciel napalił się czegoś mocniejszego. Posadził ją na kanapie w kolorze brzoskwiniowym, w którą zapadła się do reszty, i po chwili na jej kolanach pojawił się bogaty bufet: talerz z ciepłymi przekąskami, miseczka z orzeszkami, talerzyk z oliwkami i długa szklanka z ciężkiego, kolorowego szkła pełna słomek, dekoracji z kwiatków, owoców i serpentynek.

— To Raduś zrobił — oznajmił z dumą Mati — on umie wszystko w kuchni zrobić, wszystko!

Znikł i za moment wrócił z poduszką wielkości dwudziestocalowego telewizora. Wsunął ją Alicji za plecy.

— Zjedz i odpocznij — zalecił. — Nadchodzi reszta przedszkola, a ja zawsze witam moje dzieci osobiście. Jak będą już wszyscy, to jestem cały twój — oznajmił i już go nie było.

Alicja odstawiła tacę i zapuściła usta w egzotyczny gąszcz nad drinkiem. Smak płynu

ekspłodował na języku, gardło zapiekło i po pierwszym łyku pozostała przyjemna fala gorąca. Oparła się wygodnie, nie odrywając ust od słomki. Miłe odrętwienie powoli zajmowało jej ciało, znieczulając sfatygowane mięśnie i umęczoną duszę. Z obojętnością, jak zza szklanej ściany obserwowała gości, nieświadomych jej życiowej porażki. Wesoła atmosfera, dobre jedzenie, ciekawa muzyka. Masa interesujących artystów i muzyków, z którymi nie miała do tej pory okazji zamienić nawet słowa — teraz byli dla niej jedynie dekoracją do drinka, sceną z obyczajowego filmu, który oglądała dla zabicia czasu. Przez chwilę czuła się niewidzialna i pragnęła pozostać w swoim kącie na kanapie. Sączyć anestetyk, a potem spać.

— Ty zapewne jesteś pięknooką przyjaciółką Mateusza. — Czyjś głos przedarł się przez szklany klosz. Uniosła wzrok, nie odrywając się od rureczki.

Wysoki brunet z koszulą rozpiętą o jeden guzik za nisko stał nad nią, kołysząc się.

— Jestem też całkiem niegłupia, jeśli ma to jakieś znaczenie — odparła, przygryzając plastik.

Mężczyzna opadł na kanapę i fala uderzenia zmąciła jej stabilność.

— Dzień do dupy? — spytał.

Zapach gorzkich perfum wypełnił jej nos. Czemu nigdy nie ma tego, czego pragnie? Chciała tylko tańczyć, a teraz pić i spać.

— Właściwie to jakieś szesnaście lat — odpowiedziała.

Zamilkł. Najwyraźniej poskutkowało. Wróciła do drinka i swoich myśli, ale mężczyzna roześmiał się gardłowo, podciągając stopę pod siebie. I już był cały jej. Tylko po co?

Gdy coś ożywczo relacjonował, ona utkwiała wzrok w wejściu do salonu. Ludzie wchodzili i wychodzili, jakby zapomnieli, czego właściwie szukają. Czasem dostrzegła znajomą twarz. Potem dno szklanki. A na koniec tych dwoje.

— Przestań się czepiać. Mam ochotę się napić. — Kaśka rozpuściła koczek i fala czarnych włosów zalała jej ramiona.

— Hamuj z tymi przyjemnościami. Do premiery coraz bliżej, a ty nie masz dublerki — skomentował Oskar, rozglądając się po dużym salonie, wypełnionym już prawie po brzegi.

— Ty za to masz — roześmiała się.

— Ja nie potrzebuję. — Stał z dłońmi w kieszeniach, zupełnie ignorując obecność dziewczyny. — Nie upijam się i nie skrobię.

— Zamknij się, kretynie! — Uniosła rękę i zamachnęła się, ale nie dosięgnęła celu. Oskar przewyższał ją więcej niż o głowę. Podejrzany gest wzbudził zainteresowanie kilku osób. Kaśka zacisnęła usta do białości i cedziła przez zęby: — Co ty możesz wiedzieć, idioto! Tylko dupy ci w głowie. A może i nie tylko — dodała.

Złapał ją za łokieć, pochylając się ku jej twarzy.

— Siedź cicho, wariatko. Lepiej idź, zatankuj, znośniejsza będziesz.

— Spadaj, Oskar. Tobie to nawet drink nie pomoże. — Szarpnęła rękę i obróciła się w drugą stronę.

— Ej, zobacz, kogo my tu mamy. — Solista ruchem głowy wskazał kanapę na środku pokoju.

Kaśka przymrużyła oczy.

— No proszę, proszę. Wyleciała z próby biegiem. Mogła na nas poczekać — skwitowała i ruszyła w stronę kanapy. — Co pijesz? — Z rozpuszczonymi włosami i w sukience była nie do poznania.

— Specjalność Radosia, polecam — zaśmiała się Alicja i uniosła szklanekę w toaście. — A to jest DJ Mak — wskazała bruneta. — Miłej zabawy — rzuciła i dość niechętnie opuściła swój wygodny kąt.

— Hej, niuniek, jestem Kaśka, solistka z rewii. — Jej ton nabrał ciepła. Wyciągnęła drobną dłoń. — Przynies nam coś konkretnego do picia, dobra? Ja zaraz wracam. — Puściła oko do chłopaka i poszła za Alicją. Dogoniła ją w wąskim korytarzu, wypełnionym ludźmi jak wagon metra w godzinach szczytu. Po chwili znalazły się w małej, kwadratowej kuchni, pomiędzy półmiskami zimnej garmażerki i pustymi butelkami.

Alicja podeszła do okna, otworzyła je na oścież i wciągnęła całą sobą słodkie, nocne powietrze niczym odurzający narkotyk. Pstryknięcie zapalniczki zupełnie ją zaskoczyło. Odwróciła się. Kaśka oparta o szybę wpatrywała się w gwiazdzone niebo. Podpierając dłonią łokieć, trzymała dymiący papieros na wysokości ust. W smugach dymu jej twarz wydała się Alicji nieznośnie znajoma.

— Ty palisz? — skrzywiła się, nie mogąc oderwać od niej wzroku.

— Czasami. — Wzruszyła ramionami, strzepując popiół w przestrzeń nocy. W jej rysach naiwna i świeża młodość przegrywała z ciężarem intensywnych doświadczeń. — Słuchaj — wydmuchała smuzkę dymu w stronę gwiazd, zgniatając resztę papierosa o parapet — chciałam cię przeprosić. — Zmarszczyła czoło, jakby naszedł ją nagły, migrenowy ból.

Alicja nie odezwała się. Patrzyła, jak emocje tańczą na twarzy solistki, a sekundy namysłu i oczekiwania depczą resztki jej spokoju. Chciała, by je powstrzymano. Może czekała na przebaczenie już po pierwszym słowie, bez konieczności kontynuowania, ale z pewnością Alicja nie zamierzała odważyć się na nią tej niewdzięcznej roboty.

— Ostatnio nie byłam dla ciebie zbyt miła... — Błądziła oczami po kuchennych meblach. — Cholera, co z tymi drinkami! — zaśmiała się histerycznie, pierwszy raz patrząc Alicji w twarz. Makijaż nie zdołał ukryć cieni pod jej oczami.

Szklanki zabrzęczały, uwalniając Kaśkę od udręki przeprosin. DJ Mak rozpromienił się na widok samotnych dziewczyn i wręczył im drinki, tym razem bez wizualnych udoskonaleń.

— Niełatwo było was znaleźć, gwiazdy. Teraz idę po moją szklankę. Nigdzie nie uciekajcie.

Znów zostały same z nabrzmiałą ciszą. Alicja pochyliła się w stronę solistki i spojrzała w jej mętne oczy.

— Przeprosiny przyjęte. — Brzdąknęła szklanką o szklankę dziewczyny. Upiła łyk i chuchnęła w stronę Kaśki, ukazując odrętwiały język.

Uśmiechnęły się.

— Te buty są strasznie sexy, takie krwście czerwone i błyszczące — wyznała, a jej twarz nabrała żywszych barw — ale do tańca to chyba się nie nadają, co?

— Skąd wiesz? Próbowalaś czy tak fatalnie dziś tańczyłam? — zaśmiała się Alicja.

— Założyłam je raz, ale nie wypróbowałam, bo są trochę dla mnie za małe. Zresztą dostanę czarne i białe do solówek.

— Jesteście znakomici w tym wolnym kawałku. — Alicja przymknęła oczy, odtwarzając pod powiekami ruch perfekcyjnie przeplatających się ciał. Wbiła w Kaśkę rozniecone oczy. — Nie rozumiem. Co ty właściwie robisz w rewii? Masz ogromny talent, jesteś młoda. Mogłabyś bez problemu dostać etat w teatrze.

— Tańczyłam w kilku, ale nie więcej niż sezon. Potem zawsze mnie odsyłają.

— Odsyłają?

— To znaczy nie przedłużają umowy. — Zaczęła się wiercić, jakby coś ją uwierało.

— Jak to? Podają jakiś powód — zaciekawiała się Alicja.

— Bo ja wiem... — Kaśka rozejrzała się po kuchni. Obeszła stół dookoła, biorąc do ręki każdą butelkę i potrząsając nią. — Po prostu nigdzie nie zagrzewam miejsca. — Otworzyła drzwi lodówki. Wsunęła głowę między półki i wyciągnęła butelkę ginu. Bez słowa naląła im obu

i rozsiadła się przy zawalonym stole, wyciągając nogi na krzesło obok. — Ty też jak na amatorkę jesteś całkiem, całkiem — powiedziała w końcu. — Kto wie, może kiedyś zajmiesz moje miejsce.

— Co? — Alicja wybuchnęła śmiechem. — Ja nie dotrwam nawet do premiery. Dobrze o tym wiesz, prawda? — Usiadła naprzeciwko.

— O czym?

— Przestań udawać. W końcu jesteście przyjaciółkami. Ty i Izka.

Kaśka uniosła wzrok, obserwując Alicję. W końcu przysunęła butelkę w swoją stronę.

— Na początku byliśmy. Tak mi się przynajmniej wydawało — powiedziała oschle. — Ale ona nie ma przyjaciół. Traktuje wszystkich jak przedmioty. A ja, cholera, staję się do niej podobna... — Jej górna warga zadrżała, kiedy podnosiła szklankę do ust. Przymknęła oczy, przełykając nierozcieńczony alkohol i niewypowiedziane słowa.

Półmrok spowijający kuchnię i miłe pulsowanie w ciele pozostawiły Alicji nieliczne fragmenty realnego świata, które nie bardzo pasowały do układanki.

Drzwi wpadły do środka wraz z tłumkiem roześmianych gości. Nagle w pustej kuchni zrobiło się tłoczno i gwaro.

— Ach, tu jesteście! Niedobre! — Mateusz w objęciach Dagmary i Oskara torował drogę nogami. Tuż za nimi podążał DJ Mak, brzdąkając na elektrycznej gitarze. — Panowie! Oto nasze gwiazdy!

— Widzę, że nie marnujecie czasu. — Oskar przechylił butelkę.

— Daj to mnie! — Dagmara wyrwała mu z ręki szkło i rozlała resztę w kubki do kawy.

— Najlepszego, przyjaciele! — Mati uniósł kubek, trącając żyrandol nad stołem. — Za nasz sukces w rewii! Za pasję, za sztukę, za oczy mojej przyjaciółki i za najseksowniejsze pośladki w zespole! — Mówiąc to, posłał najsłodsze ze spojrzeń Oskarowi, po czym przechylił naczynie do dna, krztusząc się i krzywiąc. — Maku, graj! — nakazał. Wibracje strun zatrzęsły talerzami. Do kuchni ściągnęło jeszcze kilka osób. Ktoś włączył amplifikator i kompozycja DJ Maka dotarła do wszystkich mieszkańców osiedla. Dagmara, objęta przez niskiego, muskularnego okularnika, zarzucała nogami i rękami we wszystkie strony, szturchając, co tylko znalazło się w ich zasięgu, łącznie z czubkiem głowy swojego towarzysza. Kaśka paliła przy oknie, wysłuchując komplementów jednego z tancerzy z zespołu. Mati, wtulony w czyjeś szerokie ramiona, śpiewał niezrozumiały tekst po francusku.

Alicja wstała. Zaschło jej w gardle. Gin rozpałił ognisko w żołądku. Musiała go czymś ugasić. Tuż przed lodówką czyjeś ramię zagroziło jej drogę.

— A z tobą nie miałem jeszcze przyjemności zatańczyć.

Uniosła wzrok. Lekki spazm przeszył jej lędźwie. Ten z najbardziej prymordialnych instynktów, animalistyczny sygnał, kaprys wewnętrznego głosu, niewytłumaczalnego i silniejszego niż serce i rozum, obmył ją jak fala przyływu.

— Ups. — Zachwiała się. — To fatalnie, bo nie będziesz miał. — Odepchnęła jego naprężoną rękę, ale ta nie ustąpiła.

Przygniótł ją twardym tarsem do ściany i przytrzymał za nadgarstki. Jego język smakował słono. Przez chwilę uleciała nad kamienistą posadzkę, ale lądowała twardo. Ktoś pociągnął ją za bluzkę.

— Oskar, ty świnió! — Kaśka szarpała solistę za koszulę.

Mak pogwizdywał. Zainterweniował Mateusz.

— Uff, mamy tu mały pożar! — Wcisnął się między dwie okazałe klatki piersiowe. — Przestańcie, bo jestem zazdrosny. Sam już nie wiem, o kogo! — roześmiał się gromko.

Alicja oprzytomniała i nie wierząc w to, co właśnie zaszło, wymierzyła Oskarowi

siarczasty policzek. Spojrzał na nią tak, że nie wiedziała, czy zamierza jej oddać, czy przelecieć tu, na oczach wszystkich. Uśmiechnął się tylko niepokojąco i wycofał z kuchni. Szarpnęła drzwiami lodówki, aż słoiki i tubki zakolysały się na półkach. Dorwała butelkę zmrożonego piwa, odkręciła i upiła duszkiem kilka łyków.

Dla niej ten wieczór właśnie się zakończył.

Ptaki pogwizdywały w konarach czarnych jeszcze drzew, kiedy ostatni gość, upojony kawą, opuszczał mieszkanie. Mateusz padł na łóżko i oparł głowę na jej ramieniu.

— Kochanie, dolać ci jeszcze? — spytał.

Potrząsnęła głową.

— Powiesz mi, co chciałaś mi powiedzieć, czy wolisz się przespać? Ja padam.

— Chyba nie zasnę. — Patrzyła na rewiowy garnitur Mateusza, rozpostarty na wieszaku. „Będzie w nim wyglądał czarująco” — pomyślała.

— Czemu on to zrobił, Mati?

— Masz na myśli Ozi?

Przytaknęła.

— Z tego samego powodu, dla którego ja całowałem się ze skrzypkami — wyjaśnił. — Napił się i napalił. Następnym razem ja go tak dopadnę.

Alicja się roześmiała, aż ułała kawę na przegub ręki.

— On jest taki boski, Ali — rozmarzył się.

— Nie ufam mu.

— Jest taki silny i giętki jednocześnie. I to wyrzeźbione ciało! Uwielbiam je i to, co można by z nim zrobić! — wyznał, jak gdyby opowiadał o swoich zainteresowaniach sportem.

— Dlaczego mi to opowiadasz? — Zmarszczyła czoło zde gustowana.

— No przecież przyjaciółki opowiadają sobie takie rzeczy!

— Ale ty nie jesteś kobietą. — Natychmiast ugryzła się w język. Za późno.

— No wiesz!

Objęła go ramieniem i ucałowała w policzek.

— Przepraszam, Mati. Wiesz przecież, że jesteś moją najlepszą przyjaciółką!

Zasnęli między jednym słowem a drugim, choć poranek był bliski. Budzik nie miał litości i po kilku godzinach snu musieli zawlec sflaczałe członki w kierunku kuchni i kolejnego dzbanka z kawą. Siorbali dymiącą czerń, uśmiechając się porozumiewawczo znad kubków, i Alicja pomyślała, że od dawna nie czuła się tak w domu.

— Mamy sporo czasu do próby, pomogę ci to posprzątać. — Próbowała objąć wzrokiem istne pobojowisko.

— Najpierw porozmawiajmy. Rozumiem, że przespałaś się z twoim sponsorem. Ups! Współlokatorze! — Przykrył usta dłonią, zanim Alicja zdążyła stworzyć swoje. — I jak było? Opowiadaj!

Zarumieniła się niczym jabłko na sierpniowym słońcu.

— Czy to takie oczywiste? — Ukryła twarz w dłoniach. — Wstyd przyznać w tym wieku, ale to chyba najlepszy seks mojego życia.

Mateusz zachichotał jak dziewczynka.

— No to się nie przyznawaj!

— Ale nie o tym chciałam ci wczoraj powiedzieć. — Kąciki jej ust opadły, ciągnąc w dół skórę policzków. Potarła czoło wierzchem dłoni.

Mateusz spojrzał na nią pytająco.

— Wiem, że chciałaś dobrze, ale mogłeś mi powiedzieć, że tym znajomym lekarzem jest twój tata.



Mateusz odstawił kubek i wziął głęboki wdech. Zbladł błyskawicznie.

— Wybacz... To dość pogmatwana sprawa. — Jego humor nagle się ulotnił.

— Widziałam nasze certyfikaty na biurku Witolda — wyjaśniła. — Ułożone równiutko, jeden koło drugiego. Na moim numer lekarza został podkreślony ołówkiem.

Oczy Mateusza wyszły z orbit. Wstał i przeszedł się po kuchni, obgryzając paznokiec u najmniejszego palca.

— Nie denerwuj się tak. — Uspokoiła go. — Moje uczestnictwo w rewii od samego początku wisiało na włosku, a bez ciebie daleko nie zajdą. Ja nie pisnę słowa.

Stanął przed nią, trzymając się za głowę. Jego paniczny, rozbiegany wzrok spotkał się z jej wyczekującym spojrzeniem.

— Al, musisz o czymś wiedzieć — jęknął. — Mój ojciec nie wystawił tych zaświadczeń. Nie rozmawia ze mną od kilku miesięcy — wyznał. — Ja to zrobiłem.

Przymknęła oczy.

„Ciekawe, czy za współudział w podrabianiu dokumentów medycznych idzie się za kratki”.

Te spojrzenia.

Niby nic nowego, a jednak. Coś w nich innego. Ciekawość i jakby owiewał je woal pogardy?

„Nie. To moja. Paranoja”.

Może zmęczenie po długim „wczoraj”, które trwało aż do rana? Wyrzuty sumienia Mateusza? Tak, nie zostawiają jej obojętnej.

„Boże, ale się gapią. Przecież jestem przyzwyczajona”.

„Czy już czeka na nas policja? Cholera, gdzie jest Pierre?” W torbie miała już ostatnią parę trykotów na zmianę. Koszulka nieco wymięta, ale jeszcze pachnąca. Ulga. Musi się rozgrzać długo i dokładnie i napić kawy. A może lepiej coś energetycznego. Babcia by powiedziała: „Jeszcze masz czas na psucie wątroby”. No tak. Wszystko się rozsypuje jak zamek z piasku, targany silnymi wiatrami. Ocalmy chociaż wątrobę.

Gdy tylko pojawiła się w drzwiach garderoby, szepty umilk-ły. Nikt na nią nie patrzył. Nie może być! Usiadła na ławeczce i zdjęła buty. Stopy miała nadal opuchnięte. Prawą bardziej. Wyglądała jak starsza siostra lewej. Obok przebierała się Dagmara. Jej twarz przypominała nabożny opłatek, a oczy zdobiły czerwone siateczki naczynek i czarna kredka. Gdyby pomalowała pełne wargi na krwisty kolor, mogłaby startować w castingu na wampira. Co chwilę pocierała skronie, marszcząc się i postękując cichutko.

— Głowa? — spytała Alicja.

— Okropnie — przytaknęła, uśmiechając się porozumiewawczo.

— Ja też mam lekkie zawroty.

— Czyżbym coś wczoraj przegapiła?

— Raczej ja. Poszłam spać.

— Sama? — zachichotała Dagmara.

— Nie, z Mateuszem. Strasznie chrapie, więc się nie wyspałam.

Dagmara zmarszczyła brwi.

— Akurat!

Roześmiały się.

— Czy nie wydaje ci się, że panuje tu dzisiaj dziwna atmosfera, czy tylko ja za dużo wczoraj wypiałam?

Dagmara chrząknęła, wciągając powietrze nosem.

— Oj, zapewniam cię, że byli lepsi.

— Lepiej nie pytam o szczegóły.

— Jak dla mnie to tu zawsze jest dziwna atmosfera. Podobno coś komuś zginęło, ale to tylko podsłuchane. I tak prędzej czy później się dowiemy. No nie?

Przytaknęły porozumiewawczo. Dziewczyna zawiesiła torbę na ramię i wyszła z garderoby. Alicja przebrała się i spięła włosy w dość ścisły koczek. Wiśniowe długie pukle broniły się, wyskakując spod siateczki niczym sprężynki. Właściwie nigdy tego nie robiła, ale wszystkie tancerki z zespołu nosiły podczas prób nieskazitelnie ściągnięte włosy.

Nie chciała się wyróżniać. Zresztą przy piruetach kucyk uderzał w twarz, zbierając z niej pot i rozbryzgując go wkoło, a poza tym, chociaż bez dyplomu Państwowej Szkoły Baletowej, ona też miała do zademonstrowania idealną linię szyi i pleców. Właśnie zdała sobie sprawę, że bez względu na to, jak bardzo się stara i poświęca, nie zmieni to jej pozycji w rewii. Nie zmieni jej samej, a przede wszystkim nastawienia producentki. A więc? „Chrzanić wszystko!”

Do rozpoczęcia próby brakowało zaledwie dziesięciu minut, ale nikt się nie rozgrzewał. Tancerze siedzieli na deskach w małych grupkach i na coś najwyraźniej czekali. Muzycy, a z nimi Mateusz, zalegali widownię, każdy po dwa siedzenia: jedno dla siebie, a drugie dla instrumentu. O dziwo, skrzypce, trąbki i kontrabasy spoczywały nadal w swoich futerałach. Zauważyła też, że nie ma nikogo z prowadzących. Podeszła do stojącej przy kurtynie Celiny.

— Co tym razem? — spytała. — Na co tak wszyscy czekają?

Tancerka uniosła brwi, uwydatniając i tak wyraźne bruzdy. Musiała być od Alicji kilka lat starsza albo po prostu jej skóra nie najlepiej radziła sobie z intensywnością uprawianego zawodu lub upływem czasu.

— Poza dochodzącym z biura diabolicznym wrzaskiem naszego drogiego sponsora to chyba nic — odparła, zerkając ukradkiem na Alicję.

— A Iza coś mówiła?

— No mówiła, mówiła... — Pokiwała głową, ale nie dokończyła.

Trzasnęły drzwi wejściowe od strony foyer i bocznym korytarzem przebiegł Kacper. Po chwili rozległy się głosy zawzięcie kłócących się osób. Tancerze zamilkli i wszyscy nasłuchiwali, ale potok mieszających się słów bębnił niezrozumiale o ściany teatralnych pomieszczeń.

\*

Witold mienił się wszystkimi odcieniami purpury, oddychając jak byk ugodzony przez toreadora. Zdjął wonną marynarkę i rzucił ją na oparcie fotela. Teraz, kiedy napięcie zostało rozładowane, musiał podjąć jakieś sensowne kroki. Tym razem na zimno. Iza siedziała na kanapie pod białymi falbanami, podrzucanymi w powietrze przez nogi tancerek na plakacie „Moulin Rouge”, i stuknęła butem o podłogę, jakby wybijała jakąś wiadomość alfabetem Morse’a. Skończyła ostatnią paczkę papierosów, ale pomimo rozgorączkowania, jakie trawiło jej trzewia, wiedziała, że to nie był odpowiedni moment na oddalanie się w poszukiwaniu nikotyny. Spoglądała nieprzerwanie to na Witolda, to na Kacpra. Kacper długimi susami przemierzał biuro, co w jego przypadku oznaczało wykonywanie trzech kroków w tę i z powrotem. Patrzył pod nogi, jakby zgubił jakiś mikroskopijny przedmiot o niemałej wartości. W końcu zatrzymał się na środku.

— Nie wiem, Izo, nie wiem. — Potrząsnął głową. — Właściwie wątpię w to, ale...

— Ostrzegalam was, że będą kłopoty — przerwała mu.

— Żądam, aby osoba za to odpowiedzialna została pociąg-nięta do odpowiedzialności, to raz. — Głos Witolda brzmiał stanowczo i bezkompromisowo. — Dwa, wstrzymuję wcześniej obiecane wynagrodzenia za przedpremierowy miesiąc, dopóki nie znajdą się te pieniądze.

— Proponuję od razu ją wydalić, chyba że zwróci to, co ukradła — zaproponowała.

— Nie możemy jej teraz wyrzucić. — Kacper pochylił się nad biurkiem. Włosy spod kitki opadły mu na twarz.

— A to niby dlaczego? Nikt się nie zorientuje. Zapycha dziury! — oburzyła się Iza.

Witold spojrzał na Kacpra pytająco.

— Owszem, poza solówką w kankanie zawsze stoi z boku lub z tyłu, ale Pierre tak sprytnie powstawał ją w linie, że nie da się tak po prostu jej z nich usunąć bez szkody dla choreografii i całokształtu przedstawienia — wyjaśnił, rozpościerając ręce w powietrzu na znak bezradności.

— Choreografię można przerobić — parła Iza.

— Do jasnej ciasnej, Iza! Nie mamy czasu na przeróbki. Jesteśmy trzy tygodnie od premiery! — Obniżył ton głosu. — Chcesz się jej pozbyć? W porządku. Doucz kogoś na szybko,

kto zajmie jej miejsce. To jedyny sposób. W przeciwnym razie nie podpiszę się pod tym przedstawieniem. O nie! Nie będę współtwórcą ośmieszającego nas knota. Już widzę frajdę dziennikarzy: „Nieudana replika »Moulin Rouge« z sypiącym się baletem”!

Witold odwrócił się w stronę producentki. Twarz miał zimną i nieruchomą, ale w jego oczach wrzało.

— Mam jedną doskonałą baletnicę i do tego piękną dziewczynę. — Wysiliła się na drobny uśmiech. — Ściągnę ją na jutrzejszą próbę.

— A co będzie z Alicją? — spytał Kacper. — Nie róbmy niczego pochopnie. — Mówiąc to, spojrzął na sponsora.

Witold pogładził się czule po tęgim podbródku, po czym zerknął na zegarek.

— Chcę ją natychmiast w biurze — oznajmił.

Iza pospieszyła w kierunku wyjścia.

— Pójdę po nią!

— Nie. — Zatrzymał ją ruchem ręki. — Zaczniście wreszcie tę próbę, bo jeszcze trochę, a stracę cierpliwość. Wystarczy, że mi ją tu wyślesz — dodał spokojniejszym głosem, oddalając ich ruchem ręki. Bez słowa opuścili biuro. — I gdzie, do jasnej cholery, podziewa się ten fircyk?! — usłyszeli jeszcze, zamykając za sobą drzwi.

Kacper cały czas potrzasał opuszczoną głową, mrużąc coś do siebie. Iza wyprzedziła go o kilka kroków, zostawiając odciski obcasów w krótko strzyżonej wykładzinie.

— Idą! — Celina dała znak reszcie i pochyliła się, obejmując dłońmi kostki.

Alicja zdjęła bluzę i wykonała kilka kółek biodrami. Jej ciało wystygło, a stawy trzeszczały jak drzwi od starej szafy.

Iza zaklaskała w dłonie, po czym stanęła przed sceną tak, żeby wszyscy dobrze ją widzieli. Światła ramp wykradały pasma czerni z jej nieskazitelnie gładkich włosów. Kacper rozpostarł swe długie członki w jednej z centralnych łóż, a jego pozycja wyrażała kompletną dezaprobatę.

— Proszę o uwagę. — Ton producentki wyciszył najdrobniejsze szmery w przepierzeniach teatru. — Część z was już wie, że w naszym zespole miała miejsce kradzież. — Zrobiła świadomie wymowną pauzę.

Gwar zawładnął sceną i widownią, a ona czekała.

— Co zginęło? — padło pytanie ze sceny.

Iza z determinacją w oczach rozejrzała się po tancerzach i muzykach. Wzrokiem odnalazła Alicję i przez moment patrzyła na nią bez słowa.

— Otóż wczoraj podczas próby zostały skradzione pieniądze na wasze przedpremierowe gąże, ale... — Wrzawa pochłonęła resztki ciszy, spokoju i wyjaśnień Izy. Próbowwała klaskać i ponownie zabrać głos, ale na próżno. Zespół brzęczał jak rój rozwścieczonych os.

— Cisza! — uniosła głos, uzyskując natychmiastowy efekt. — Zostaną podjęte odpowiednie kroki i jestem pewna, że rozwiążemy ten problem. Teraz jednak nie zapominajmy, że mamy do wystawienia bezprecedensowe przedstawienie; wydarzenie roku, którego premiera jest za trzy tygodnie!

Rysy na twarzy Kacpra wyostrzyły się. Wstał i podszedł do sceny. Spojrzął na solistkę, potem na Izę, po czym rozejrzał się po sali, odnajdując pobladałą Alicję.

— Idź do biura, Alicjo, pan Witek chce z tobą rozmawiać. Reszta na miejsca! *Zaczynamy od Dans les rues de Paris!*

Wszystkie twarze zwróciły się w jej kierunku. Otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale nie wydobyła głosu. Kiedy szła w stronę schodków, dziesiątki oczu podążały tuż za nią. Czuli ją. Jej nogi gąbczały z każdym krokiem i dopiero kiedy się znalazła w korytarzu, pozwoliła, by

spazm zgiął ją wpół i odpuścił. Powoli się wyprostowała i poprawiła bluzkę.

— To nie może dziać się naprawdę — wyszeptwała. Iza nie posunęłaby się aż tak daleko. Nikt by się nie posunął. Kobieta nienawidziła jej i demonstrowała to na każdym kroku. Ale kradzież? Chyba nikt w to nie uwierzy. „A może chodzi o coś zupełnie innego?” — przeszło jej przez myśl. „Może odkryli prawdę o zaświadczeniach lekarskich? Czegokolwiek chce sponsor, najwyższy czas stawić temu czoło”. Przyspieszyła kroku. Korytarz wydawał się nie mieć końca.

Zapukała i po przeciągłym „tak” weszła do biura. Witold z twarzą o autorytatywnym wyrazie, wciśnięty w czarną koszulę i garnitur w takim samym kolorze, siedział za biurkiem niczym król monochromatycznego państewka. Kiedy weszła, nawet nie drgnął, a jedyną aktywną partią jego rubensowskiego całokształtu pozostały nazbyt ruchome paluchy i wszędobylskie oczka, które teraz skakały po niej jak dwie wygłodniałe pchły.

— Powiedziano mi, że mam przyjść — rzuciła oschle.

— I co ja mam z tobą zrobić? — westchnął, rozlewając się na oparciu fotela. Ruchem głowy wskazał jej krzesło.

Usiadła.

— Nie bardzo rozumiem.

— Wiesz, znam się na kobietach — zaczął. — Całe życie obracam się w ich towarzystwie. Pracują dla mnie. Znam ich sekrety, rozumiem ambicje. Ale z tobą jest inaczej — przyznał. — Nie mogę zrozumieć, czy jesteś tak beznadziejnie uczciwa i porządna, czy tak diabolicznie przebiegła.

— Chyba muszę cię rozczarować — odparła. — Nie zaliczam się do żadnej z tych kategorii.

— Ja ciebie też, złotko. — Poprawił się w fotelu. — Widzisz, przez te dwa miesiące stałem się twoim cichym fanem. Widziałem cię na scenie i chociaż nie jesteś jak inne tancerki, podobasz się. — Pokręcił głową. — Szkoda. Niestety dla mnie liczą się przede wszystkim zyski, a nie straty.

— Do czego zmierzasz? — Czują, jak skromna zawartość żołądka podchodzi jej do gardła.

— Zamierzam cię zwolnić za kradzież.

— Słucham?! — Fala gorąca zalała jej twarz.

— Ukradłeś te pieniądze, Alicjo? Zresztą, czy to ma znaczenie...

— Nie jestem święta, ale nie jestem też złodziejką! Chyba sam w to nie wierzysz?

— Podobno nikt poza mną, Izą i tobą nie wchodził wczoraj do tego biura.

— No właśnie, poza mną wchodziły tu jeszcze dwie osoby — podkreśliła.

— Śmiesz twierdzić, że okradłem samego siebie? — zmarszczył się.

— Nie. Myślę, że ktoś skutecznie próbuje się mnie pozbyć z zespołu.

— A to ciekawe. I niby dlaczego?

— Sam sobie odpowiedz, w końcu to ty tak dobrze znasz kobiety.

Witold zawiesił wzrok na jej twarzy. Ciężki i odpychający. Nastąpiła krępująca cisza.

— Przykro mi. Jutro wejdzie na twoje miejsce nowa tancerka — powiedział w końcu.

— To jakiś absurd! — Starła się powstrzymać drżenie głosu. — Biuro było otwarte na oścież, torba stała na biurku. Naprawdę myślisz, że byłabym tak głupia, żeby kraść pieniądze w momencie, kiedy wszyscy wiedzą, gdzie jestem, i czekają na mnie?

Nie odpowiedział.

— Pracowałam ciężko przez ostatnie dwa miesiące. Przychodziłam pierwsza i często wychodziłam ostatnia. Doszkalalam się w wolnym czasie. Zrobiłam postępy i jest tak, jak mówisz, podobam się. Mam na swoim koncie wiele udanych przedstawień i recenzji, także

zagranicznych. — Pochyliła się nad biurkiem, czując, że traci siły. — Ja jestem gotowa do premiery. Nikt nie zdoła przygotować się w trzy tygodnie. Nie bez ryzyka dla przedstawienia. Jesteś gotów je podjąć? — Spojrzała mu w oczy.

Nie spuścił wzroku. Jak rentgenem penetrował ją na wylot. Kalkulował.

Nadeszły jej ostatnie chwile w rewii. Walczyła o miejsce w tym przeklętym przedstawieniu, a teraz walczy sama ze sobą, ale najchętniej trzasnęłaby drzwiami.

— Nie ukradłam tych pieniędzy — powiedziała powoli przez zaciśnięte zęby.

Położył dłoń na jej nadgarstku. Wzdrygnęła się, ale nie cofnęła ręki.

— Ta sprawa musi się wyjaśnić, nie chcę więcej strat — powiedział, uwalniając ją od swojego ciężaru. — Wracaj na scenę, Alicjo. Jutro podejmę decyzję.

Przez resztę próby musiała znosić gęstą atmosferę w zespole. I bez tego jej nogi drżały i uginały się w najmniej odpowiednich momentach choreografii, a kiedy wreszcie zeszli ze sceny na zasłużoną przerwę obiadową, czuła się jak przepuszczona przez młynek. Nie tyle jej ciało ucierpiało, ile garstka pewnych uświęconych zasad, którym hołdowała. Czuła, że wyprzedaje się kawałek po kawałku, jak tort na porcje. Zazwyczaj nie pozwalała, by jej ego rozumowało za nią, ale Iza swym oskarżeniem wyzwoliła w niej część tej zwodniczej siły. Tak, była pewna, że zanim dotarła na próbę, z ust producentki padły obciążające ją słowa. Kto wie, co jeszcze mogła wygadywać, aby obrócić cały zespół przeciwko niej. „Jeśli nawet jutro mnie nie zwolnią, to i tak na tym się nie skończy” — przeszło jej przez myśl. Zawód niczym ołowiany łańcuch uziemił wszelkie optymistyczne wersje jej udziału w rewii, jakie potrafiła projektować w przyszłość.

Po południowej próbie zebrała swoje rzeczy, zarzuciła bluzę na przepoconą koszulkę i wymknęła się z teatru, nie czekając, aż ktoś zechce wyładować na niej swoją złość. Wychodząc z budynku, starała się unikać wszelakiego kontaktu wzrokowego. Dość już miała negatywnej popularności i takiegoż nastawienia.

Lepkie powietrze sierpniowego popołudnia rozleniwiało i wzmagало pragnienie. Ptaki we włosach drzew przekrzykiwały się niczym włoskie handlarki ze średniowiecznego jarmarku. Szare chodniki zalewało słońce, topiąc ich bezbarwność, a w jego ciepłych kaskadach kąpali się przechodnie. Usiadła na ławce, gdzie zawsze spotykała się z Mateuszem w przerwie. Ciepło rozgrzanych desek rozluźniło mięśnie jej nóg. Wyjęła z torby telefon i z żalem odkryła, że nie ma żadnej wiadomości. Niepotrzebnie się dziwiła, przecież oczekiwała od muzyka tylko jednego: aby płacił regularnie za mieszkanie. Wybrała numer i odczekała do pierwszego sygnału. Nie zdążył wybrzmieć swej monotonnej partii, bo rozłączyła się, wrzucając telefon z powrotem do torby. Pierre znów nie pojawił się na próbie. Czego się spodziewała. Że wyjeżdżając w prywatnych sprawach, uprzedzi ją o tym osobiście? Głupia! Westchnęła i zapuszczając rękę w torbę, ponownie odszukała komórkę. Po dłuższym namyśle napisała wiadomość: „Cześć, Pierre, mam nadzieję, że wszystko w porządku. Wyjechałeś tak nagle...”. Błyskawicznie wykasowała tekst. Wbiła jasne spojrzenie w gładki ekran i nęcący, niecierpliwy kursor. „Cześć, Pierre. Wszystko OK? Być może jutro jest mój ostatni dzień w rewii. Gdybyśmy się już nie zobaczyli, chciałam ci podziękować za pomoc. Alicja”, napisała i szybko nacisnęła „wyślij”.

— Co za historia, Al! — Policzki Mateusza płonęły i było zagadką, czy działo się tak za sprawą letniego upału, śpiewania wysokich nut czy stresu wywołanego historią kradzieży. — Czego chciał tłuszczoszek?

— Mati, dobrze się czujesz? — spytała, nie zważając na Kaśkę i Oskara, stojących tuż obok.

Mateusz usiadł na ławce i zrzucił plecak na ziemię.

— Ta cała sytuacja... — Spojrzał na nią wymownie.

— Chodźmy, opowiesz mi po drodze. — Podniosła plecak i obróciła się w stronę ulicy,

ale Kaśka wyrosła tuż przed nią.

— Na serio ukradłaś tę kasę? — spytała zaczepnie.

— Sama sobie odpowiedz na to pytanie.

— Nie. Chciałabym poznać twoją wersję. Myślę, że tyle możesz dla mnie, dla nas zrobić

— poprawiła się — skoro mamy pracować za darmo z powodu tej kradzieży.

Twarz Mateusza pokrył rumień. Wyglądał jak chory na różyczkę.

— Niczego nikomu nie ukradłam. Tak, wystarczy? — Alicja czuła, że traci cierpliwość.

— Ale byłaś wczoraj w biurze i jakoś długo to trwało — wtrącił Oskar.

Spiorunowała go wzrokiem.

— Szukałam tych przeklętych butów, przecież wiecie. Biuro było otwarte, gdy zesłam na dół. Każdy mógł tam wejść w trakcie próby.

— Weź przestań — parsknął. — No przecież Izka dała ci klucze. Wszyscy widzieli.

— Tak, klucze do swojego auta.

— I kto w to uwierzy — skwitował.

— Ja na przykład! — Mati wystrzelił do pionu, jakby usiadł na pinezce. — Co za absurdalne pytania! Po co kraść własne pieniądze, na dodatek w tak ewidentny sposób! — Wziął Alicję pod ramię i zwrócił się do Oskara. — Jesteś boski i masz genialny tyłek, ale w tym całym dobrobycie to chyba Bozia rozumu ci oszczędziła! Al, idziemy! — Szarpnęła przyjaciółkę, wpijając sztywne palce w jej ciało. Ciągnął ją tak aż do następnego skrzyżowania. Kiedy fasada teatru zniknęła za ich plecami, twarz Mateusza, a także jego żelazny uścisk rozluźniły się.

— O matko, powiedziałem to! Powiedziałem! Dogadałem mu! — Podskoczył. — Co za uczucie!

Alicja zarzuciła mu rękę na szyję i przytuliła, dusząc w -uścisku.

— Jesteś przekochany, mój ty obrońco — wyszeptwała. Opowiedziała mu pokrótce przebieg rozmowy z Witoldem, ale nie chciała więcej drażnić tego tematu. Na samo wspomnienie jej żołądek kurczył się jak polany wrzątkiem. Pozostało jej tylko znaleźć w sobie resztki silnej woli i odwagi, aby przyjść na następną próbę. Tymczasem sprawa zaświadczeń nadal była realnym zagrożeniem jak niezabezpieczona mina ukryta pod piachem. Po dzisiejszym zajściu jednak ten fakt bardziej niepokoił Mateusza niż ją.

— Porozmawiaj z ojcem. Powinien wiedzieć — namawiała.

— Nie znasz go. On mnie nienawidzi.

— Nieprawda! — Wzięła go za rękę, widząc zaróżowione powieki przyjaciela. — On po prostu cię nie rozumie, Mati. Nie akceptuje twojej odmienności, a nie ciebie. Przecież nadal jesteś jego synem.

— Z którym nie chce mieć nic wspólnego — odburknął.

Zamilkli. Alicja pomyślała o matce. Czy tak właśnie wyglądały problemy między nimi?

Być może była wystarczająco starsza od Mateusza, aby zrozumieć, że rodzic nie jest w stanie nienawidzić własnego dziecka. Może nieświadomie zdeptać delikatną granicę, przelewając na nie, poprzez pryzmat własnych doświadczeń, wyobrażenie ideału, którym sam nie zdołał być. Chciała wierzyć, że robi tak, aby chronić swoje potomstwo i dać mu lepsze jutro w imię miłości, chociaż nie do końca dojrzałej, egoistycznej i w pewnym sensie szkodliwej. Ale czy tylko? Czy brak akceptacji nie wynika ze strachu i słabości, a niezrozumienie z braku szczerości wobec siebie samych i odwagi, by odnaleźć tę odrzuconą część nas? Czy nie wystarczy ciężar dziedzictwa, który musimy nieść od momentu postawienia pierwszych kroków, żeby potem skończyć w rękach systemów, schematów i w końcu rodziców modelujących nas jak plastelinę? Dlaczego nie wystarczy kochać nas, widząc ten boski pierwiastek szaleństwa z genami w najdrobniejszych wadach i odmiennościach, czyniących nas tym, czym realnie

jesteśmy, czym chcemy być?

Czyż akceptacja to nie wiara, bez której miłość jest kulawa?

Doszli na przystanek.

— A może obejrzyś ze mną *Białe noce* na pocieszenie? — Uśmiechnęła się zachęcająco.

Oglądała ten film od ponad piętnastu lat, ale nadal wskrzeszał w niej silne emocje.

— To jakiś pornos? Chyba nie widziałem.

Alicja spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczami, po czym zaniósła się śmiechem. Szczerym i rozładowującym. Zaproponowała przyjacielowi pomoc w uporządkowaniu mieszkania po imprezie, ale Mateusz wyjaśnił, że już zajął się tym jego współlokator. Dzięki kilku słowom i sporej ilości gestów doszli do konkluzji, że najlepszym lekarstwem na ich bólączki i zawody będzie ciepła woda, mydło i przynajmniej kilkugodzinny sen we własnym łóżku. Mati ziewał przez całą próbę, a afera z kradzieżą wykopała go, jak to określił, na bruk samopoczucia. Alicja natomiast nie umiałaby wskazać niebolącej części ciała, a jej morale pełzło za nią, z trudem próbując dźwignąć się z chodnika. Padli sobie w objęcia, jakby autobus, do którego wsiadał Mateusz, był dalekobieźnym pociągami, a przystanek peronem, przeznaczonym dla pasażerów wyruszających w odległe podróże. Odprowadziła wzrokiem ogon pojazdu i kiedy zniknął za zakrętem, ruszyła w stronę parku.

Zdecydowała wrócić do domu na piechotę. Właściwie to w ogóle nie chciała wracać. Nie miała do czego. Gdy dochodziła do podwórka, usłyszała sygnał nadchodzącej wiadomości. „Nie będę mógł więcej dawać ci lekcji. Przykro mi. Wracam jutro. Mam nadzieję jeszcze cię tam zobaczyć. PS Jesteś gotowa. P.” Zatrzymała się i jeszcze kilkakrotnie przeczytała SMS. Czowała, jak ostatnia deska, ta najtwardsza i najmniej naruszona, pęka właśnie pod jej stopami. Weszła do mieszkania, z ulgą stwierdzając, że jest sama. Zrzuciła wilgotne ubranie w łazience i wzięła chłodny prysznic. Owinięta w szlafrok padła na łóżko. Babcia spoglądała na nią z miedzianej ramki jak z okna o fantazyjnych framugach. Szlachetna i pogodna twarz, otoczona białymi puklami, pozostała jedynym oparciem, jakie w tej chwili miała. Chwyciła zdjęcie i przycisnęła do piersi.

— A ty co byś zrobiła, babciu? — wyszeptwała. Jej oczy wypełniły się łzami. — Wiesz, prawdopodobnie jutro wyrzucą mnie z zespołu za coś, czego nie zrobiłam. Skłamałabym, mówiąc, że nie mam najmniejszej nadziei, iż jakoś ten koszmar minie, a przecież tobie nigdy nie zmyślam. Dobrze wiesz, że cząsteczka mnie nadal głupio wierzy. Brak mi ciebie... Zawsze miałaś gotowe odpowiedzi. Wyciągałaś je jak tato karty z rękawa. — Uśmiechnęła się przez łzy. — Gdybym była tak magiczna jak wy, też bym zniknęła, bo czuję taki ból, babciu, który nigdy nie ustaje.

Usłyszała trzaśnięcie drzwiami. Kroki. Cisza. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi.

Otarła pospiesznie twarz i położyła ramkę na poduszce.

— Ubieram się — zawołała, chwytając dzinsy i bluzkę z szafy.

Kiedy weszła do kuchni, muzyk nastawiał wodę na herbatę. Zarys jego ciała, uwydatniony przylegającą koszulą, nie był już niczym obcym i przypomniał jej szczegóły razem spędzonej nocy. Wspomnienie to wywołało dreszcz niczym chłodny wiatr na nagiej skórze. Odwrócił się, słysząc jej kroki. Twarz miał spiętą jak rodzic, który zamierza skrzyczeć dziecko dla jego dobra, ale gdy tylko ich oczy się spotkały, wrócił taki, jakim go poznała. Beztroski i zadowolony.

— Nie oczekiwałem sentymentalnych deklaracji ani długich spacerów po parku, ale chociaż jednego SMS-a. Zniknęłaś na dwa dni. Trochę się martwiłem... — dodał.

— Skoro się tak martwiłeś, to trzeba było zadzwonić. — Otworzyła lodówkę i wyjęła jogurt. Data widniejąca na opakowaniu odrzuciła ją.



— Wiem, że masz próby od rana do wieczora. Nie chciałem przeszkadzać. Wolałem zostawić ci wolną rękę. — Zalał parującą wodą drobne kuleczki liści, które pod wpływem temperatury rozkwitły.

— Może wiesz, dlaczego Pierre zaczął mnie ignorować? — Zmieniła temat.

— Kto?

— Jak to kto?! — poirytowała się. — Twój wuj! Coś ty mu naopowiadał?

— Ach tak, wujek. — Pokiwał głową, stawiając dzbanek na stole. — Herbata musi naciągnąć i ostygnąć. Może wolisz coś zimnego?

— Wolę, żebyś odpowiedział na moje pytanie.

— Nawet z nim nie rozmawiałem — odparł.

— To dlaczego nagle, nie wiadomo czemu, nie może więcej udzielać mi lekcji?

Powiedziałeś mu o nas? — Jej głos drżał. Poczula gorąco wędrujące ku górze, które musi znaleźć ujście, inaczej eksploduje.

Muzyk spojrzał na nią pytająco. Podeszedł powoli i ujął ją za rękę.

— Zostaw mnie! — Wyszarpnęła się. — Nie mogłeś siedzieć cicho! Niech to szlag! —

Trzasnęła drzwiami i zbiegła po schodach. Jej serce wepchało się do przetyku i swoim stukaniem wzniciło mdłości. Wybiegła przed klatkę i niczym właśnie złowiona ryba próbowała łapać powietrze. Szła przed siebie, lekko oszołomiona, jak gdyby nagle się obudziła, nie wiedząc, gdzie jest.

Wtem ktoś chwycił ją za rękę. Odwróciła się, szamocząc.

— Zostaw...

Wojtek, nieskazitelnie ogolony jak zwykle, w marynarce i kwadratowych okularkach, stał przed nią, trzymając za rękę jak w dniu, kiedy spotkali się po raz pierwszy na uniwersytecie.

— Co ty tu robisz? — Cofnęła się o krok.

— Alicjo, musimy porozmawiać.

Za okularami dostrzegła zaczerwienione białka i niezdrowo podkrążone oczy. Jego dłoń była zimna i mokra.

— Nie mamy o czym. Prosiłam cię tyle razy, żebyś zostawił mnie w spokoju.

— To bardzo ważne. Poświęć mi pięć minut. Proszę...

— Kto ci dał mój adres? No tak, mama! Oczywiście, a któż by inny! — Ominęła go i skierowała się w stronę klatki.

— Alicjo! — krzyknął i dopadł ją jednym dłuższym krokiem, zastawiając drogę torsem, na którym kiedyś zasypiała, zamiast baranków licząc całki. — Nie odejdę, dopóki nie porozmawiamy. — Jego głos był stanowczy i rozhisteryzowany.

Przestraszyła się.

— Nie chcę z tobą rozmawiać, rozumiesz? Zostaw mnie wreszcie w spokoju! —

Próbowała go ominąć, ale chwycił ją mocno za przegub ręki i pociągnął za sobą. Poczula siłę -uścisku i miażdżenie w stawie. — Wojtek, puść mnie, Słyszysz? Natychmiast! — Szarpanie wzmagało jedynie ból.

Mężczyzna szedł, ciągnąc ją w stronę ławki, kompletnie głuchy na sprzeciwy, i wtedy ktoś go pchnął. Ich ręce rozłączyły się. Między nimi wyrósł muzyk.

— Co, kolego, jakies problemy? — Stał na szeroko rozstawionych nogach, zasłaniając Alicję plecami.

Wojtek zmarszczył czoło i zgarbił się, kręcąc głową i w ogóle nie zwracając uwagi na intruza.

— Ala, proszę cię. To bardzo ważne. Słyszysz? Ja muszę z tobą porozmawiać — naciskał.

— Nie rozumiesz, że ona nie chce z tobą rozmawiać? Wracaj do domu, bo zawołam policję. Jasne? — Objął Alicję w pasie i delikatnie poprowadził w stronę klatki.

Kiedy odchodzili, Wojtek pocierał dłońmi włosy i wołał za nią załamującym się głosem:

— To wszystko moja wina! Słyszysz? Musisz mnie wysłuchać! Alicjo!

W ciszy weszli na klatkę, a kiedy się znaleźli w pokoju, Alicja nadal drżała i nie była w stanie wydać żadnego dźwięku. Jej skóra pobladła jak przysypana pudrem do charakteryzacji, a jedynym kolorowym elementem na twarzy były oczy, niczym dwa talary rzucone na wykrochmalony obrus.

— Spójrz na mnie. — Muzyk ujął jej twarz. Mokre i chłodne policzki przylegały do jego dłoni. — Dobrze się czujesz? Nic ci nie zrobił? — Nie odpowiedziała. — Alicjo, spójrz na mnie, proszę. — Ton jego głosu stał się bardziej stanowczy.

Uniosła wymęczone oczy.

— To nie twoja wina — mówił powoli i z przekonaniem. — To wszystko nie jest twoja wina, rozumiesz? — Przytulił mocno targane konwulsjami ciało. Gładził jej plecy okrężnymi ruchami i szeptał cierpliwie: — Już dobrze, maleńka. Już dobrze. Wypłacz się. Wyrzuć to z siebie. — Posadził ją na kanapie, nie wypuszczając z objęć. — Myślisz, że nie wiem? Że nie wiem, jak to jest? Kiedy jest się samemu i przyjaciele, a nawet rodzina z dnia na dzień stają się obcy? Wkoło rośnie mur nie wiadomo dlaczego ani przez kogo wzniesiony i możesz w niego uderzać pięściami, walić aż do krwi, możesz wrzeszczeć, aż utracisz głos, a oni stoją i patrzą, ale nie widzą, nie słyszą. I wtedy czujesz się najsamotniejszą osobą na świecie. Nikt nie rozumie tego, co robisz, mówisz, czujesz. Jak mogą zatem dostrzec twoje starania? Czujesz się winna i odpowiedzialna i z czasem wyrasta ci garb, ciężki, twardy, i ciśnie cię do ziemi. Miażdży cię i twoje skrzydła. Już nie możesz latać, ale wciąż próbujesz i wszyscy się dziwią: „Czy ona nie widzi, że to nie ma sensu?”. Ale nikt nie poda ręki, nie pomoże ci się podnieść, a najbardziej boli brak pomocy ze strony tych, których kochasz. Wiem, jak to jest, maleńka. Wiem, co to znaczy walczyć, co to znaczy być samemu. — Poglaskał Alicję po policzku.

Szloch ustał i muzyk poczuł, jak jej ciało się odpręża. Coś się zmieniło i choć problemy nadal były tam gdzie wcześniej, w tym momencie wydawały się Alicji mniejsze. Był ktoś, kto rozumiał. Może tylko na ten wieczór, tylko w tej chwili, ale czas dla Alicji właśnie się zatrzymał, bo minął ból, przynosząc tak upragnioną ulgę.

Słońce dopiero rozpościerało swoje ramiona nad miastem, leniwie zerkając w pootwierane na oścież okna, kiedy Iza po raz dziesiąty wybierała ten sam numer telefonu. Od wczoraj próbowała się dodzwonić do dziewczyny, która miała uwolnić ją od ostatniej przeszkody na drodze do sukcesu.

Sygnał wydawał się ziewać przeciągle jak właśnie wchodzący do salonu Kacper.

— Dzidzi, co ty tu robisz o tej porze? — spytał, pocierając dłońmi nieogoloną twarz i spuchnięte jeszcze oczy.

— Dlaczego ta mała zdzira nie odbiera! — Cisnęła komórkę na przezroczysty stół. Szkło zabrzęczało. — I mówiłam ci tyle razy, nie nazywaj mnie Dzidzi — podkreśliła ostro, nie unosząc wzroku znad białej porcelanowej filiżanki.

— Znajdzie się też dla mnie? — Odsunął krzesło obok i usiadł jak robotnik po długim dniu pracy.

— Dżbanek jest pełny — rzuciła. Otworzyła pachnące jeszcze fabryką opakowanie slimów i wyjęła papierosa. — A jeśli zmieniła zdanie? — zastanowiła się na głos.

Kacper nalał sobie kawy i upił duży łyk ciepłego płynu. Przymknął oczy.

— A może dajmy sobie spokój z polowaniem na czarownice i skupmy się na dopracowaniu finału? — zaproponował.

Przytłoczyła go spojrzeniem. Jej twarz pozbawiona makijażu była niczym otwarta rana. Piękne niegdyś rysy burzył nieustający wewnętrzny sztorm.

— Chyba sobie żartujesz! Po tym, co zrobiła? Nie dość, że muszę tolerować amatorstwo, przymykać oko na brak predyspozycji, to jeszcze dawać się okradać? — Przypaliła papierosa i zaciągnęła się szybko.

Kacper westchnął. Wziął filiżankę i ruszył ku wyjściu. Stojąc w drzwiach, oparł się o framugę. Przez chwilę patrzył na żonę i studiował ją, jakby widział po raz pierwszy w życiu. Pewnych rzeczy nigdy sobie nie powiedzieli i chyba już tak zostanie. Nawet teraz, po tylu latach nie potrafią być prawdziwym małżeństwem.

— Ona nie jest amatorką, po prostu nie ukończyła baletówki — odparł spokojnie.

— Na to samo wychodzi. W mojej rewii jest miejsce tylko dla profesjonalistek.

— A jeśli chodzi o pieniądze — ciągnął — to nie mamy dowodów.

— Czy ty stoisz po jej stronie, czy po mojej?!

Mężczyzna pokręcił głową, patrząc na żonę spod ciężkich powiek. Odkręcił się i zanim wyszedł, dodał:

— Po naszej, Izo. Po naszej...

Cmoknęła, przewracając oczami, i zgmiotła papierosa o spodeczek od kawy. Chwyła telefon i podeszła do czteroskrzydłowego okna. Usiadła na wyścielonym poduszkami siedzisku i wyrzała na ogród. Pomimo wczesnej pory zapowiadał się już kolejny upalny dzień. Oparła głowę o szybę i przyciskając telefon do ucha, wsłuchiwała się w monotony sygnał.

— Słucham? — odpowiedział zachrypnięty głos.

Iza wyprostowała się, jakby oberwała piłką w plecy.

— Swietłana! Nareszcie! Już chciałam do twoich rodziców dzwonić — zaświergotała.

— Cześć, Iza. Ty znasz, katoraja jest gadzina? — bełkotała dziewczyna.

— Lepiej wstawaj, bo zaczynasz dziś próby do przedstawienia, które przyniesie ci sławę!

— Mnie nie sława potrzebna, a diengi, pieniendze, Iza. Rozumiesz?

— Oczywiście, moja droga. Przecież już ci pisałam, że dostaniesz kontrakt i pensję.

Mamy najlepsze tancerki i artystów z Polski i zza granicy. To twoja szansa, Swietłana. — Jej głos nabrał twardości. — Czyż nie tego chciałaś? Przecież tak się umawialiśmy! — Usłyszała ciężkie westchnięcie w słuchawce, potem ciszę. — Swietłana?

— Da, da. Umawiały my się, ale ja rozmawiała s padrugami w teatru. Mnie powiedzieli, że wy nie płacicie za próby, że ciągle ktoś się kłóci, że tancerki wystiempują gołe. A wczieraj jedna padruka mnie powiedziała, że kradną tam u was. Ja nie chaczu prabliemi, Iza.

Producentka z trudem przełknęła ślinę.

— Kto ci takich głupot naopowiadał! — wrzasnęła. Rozejrzała się po salonie, upewniając się, że nie ma w pobliżu nikogo. — Posłuchaj, Swietłana. — powiedziała najspokojniej, jak potrafiła. — Wiesz, jakie są tancerki. To wszystko z zazdrości. Po prostu same chciałyby dostać taką szansę, znaleźć się na twoim miejscu, pracować z francuskimi choreografami...

— Ja slyszała toże, że choreograf z Paryża adszedł ad was, bo wy nie płacili.

— Co takiego? To jakieś bzdury! Zresztą jak przyjdiesz rano do teatru, to sama się przekonasz — zapewniła z triumfem w głosie.

— Da, ja chaciełaby go paznac, alie tieraz rabotaju s innom zespołom. Przykro mnie Iza, oczień. Uslyszymy sie nastiernom razem. Okiej? Tieraz muszę spac, rabotaju wieczierom. Cześć, Iza! Paka!

Dziewczyna rozłączyła się. Iza przymknęła oczy, przykrywając usta dłonią. Płomień przedzierał się przez jej wnętrze. Tego się nie spodziewała. Wstała, przeszła się po salonie i wyglądało to tak, jakby długi i miły włos dywanu kłuł jej bosc, pokrzywione stopy. Z białego lakierowanego kredensu o kształtach ludwikowskiej toaletki spoglądały na nią dumne twarze pięknej szatynki o płomiennych oczach. Na każdym zdjęciu wbita w paczkę i zaczesana w perfekcyjny koczek uśmiechała się tylko twarzą. W końcu zamknęła się w łazience i po czterdziestu minutach była gotowa do wyjścia. Jeszcze spryskała szyję ulubionymi perfumami Poison, poprawiła kontur ust przed lustrem w holu i włożyła czarne szpilki z węzowej skóry. Będąc już w drzwiach, zawróciła i z progu odezwała się do Kacpra.

— Muszę dziś wyjść w połowie próby. Sama uprzedzę Witolda — oznajmiła. — Ty zajmij się finałem po obiedzie i miej na oku -Pierre'a, nawet jak będzie szedł do toalety, a tej złodziejce nie rób wielkich nadziei.

Kiedy trzasnęły za nią drzwi, coś w nim pękło. Czuł żal i pustkę, ale żalu było o wiele mniej. Dopił kawę i odniósł filiżankę do kuchni. Brudne naczynia z poprzednich dni nadal zalegały w zlewie. Kurz smutku przykrywał ich piękny dom jak niszczycielskie popioły wulkanu, ostygłe już, ale zamieniające wszystko w jałową, martwą pustkę. Odkręcił kran i obserwował, jak jęzor wody oblizuje zastygłe resztki. Z zadumy wyrwał go dzwonek do drzwi. Pospiesznie włożył spodnie i zbiegł po schodach. Zerknął na monitor kamery i przybliżył twarz, aby się upewnić, że dobrze widzi. Otworzył.

Rzuciła mu się na szyję.

— Przepraszam, wiem, że nie powinnam tu być. — Objęła go, ale delikatnie wyzwolił się z uścisku.

— Oszalałaś chyba. Iza dopiero co wyszła. Mogła cię widzieć. — Pociągnął dziewczynę w głąb salonu.

— Wiem, ale chciałam cię zobaczyć. — Spuściła głowę. — Zresztą byłam tu tyle razy, nie byłaby zaskoczona.

— Nie rób tego więcej, skarbie. Okej? — Przytulił ją do piersi, a ona wspięła się na palce i pocałowała go w usta. Nie powstrzymał jej tak, jak powinien.

— Proszę cię, idź już. To nie jest najlepszy moment.

— Nie chcesz, żebym została? — Uśmiechnęła się zalotnie.

— Chciałbym, ale... Nie mogę.

Twarz dziewczyny pochmurniała. Odwróciła się na pięcie i rozejrzała po wnętrzu. Podeszła do toaletki i ujęła zdjęcie w ramce.

— Chciałabym być taka piękna jak ona — westchnęła.

Podszedł i objął ją od tyłu. Spoglądanie razem na zdjęcie Izy wzburzyło w nim nieznaną mu dotąd złożą emocji. Odebrał jej fotografię i odstawił na miejsce. Ucałował dziewczynę w czoło i odsunął od siebie.

— Jesteś piękna i niezwykła. Wszystko jeszcze przed tobą — dodał. — Ale teraz musisz już iść.

— Wolalabym, żebyś powiedział: przed nami. — Spojrzała słodko na Kacpra. Pozwolił, aby położyła swe drobne dłonie na jego piersi i zsuwała je powoli w dół. — Nie rozumiem — szeptała przymilnie — czemu nie stworzysz tylko swojego przedstawienia bez nich. Nie potrzebujesz ich. Jesteś doskonałym tancerzem i choreografem, a ona tylko marnuje twój talent.

Chwycił ją za dłoń i odsunął. Podszedł do fotela i odszukał komórkę.

— Zamówię ci taksówkę.

Kiedy rozmawiał z centralą, dziewczyna przechadzała się po parterze dwupiętrowej willi, przyglądając się zdjęciom i dyplomomapełniającym całą przestrzeń jak ekspozycje w muzeum. W pewnym momencie coś przyciągnęło jej uwagę.

Mała pozytywka z karuzelą i napisem „Montmartre”, która nie pasowała do reszty trofeów i pamiątek. Przekręciła kluczyk u nasady i salon wypełniła melancholijna melodia. Stała i nie była w stanie zrobić kroku. Dźwięk w jakiś niewytłumaczalny sposób odnalazł drogę do jej najgłębszych uczuć. Poczwała ciepłą dłoń na ramieniu.

— Taksówka zaraz tu będzie — powiedział delikatnie -Kacper.

Odwróciła się i spojrzała na mężczyznę pytająco.

— Co się stało? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła zjawę.

— Skąd to macie? — Wskazała zabawkę.

Kacper wzruszył ramionami.

— Chyba jakaś znajoma podarowała to Izie w Paryżu. — Nie pamiętam dobrze. — Pokręcił głową. — To było tak dawno. — Uśmiechnął się niepewnie.

Klakson rozdarł ciszę ich zadumy.

— Od kiedy to taksówkarze trąbią na klientów? — spostrzegła ironicznie.

— Od kiedy klienci o to proszą — odparł, pocierając czule jej policzek wierzchem dłoni.

— Do szybkiego, skarbie — szepnął, otwierając drzwi.

Wspięła się na palce, przyciągając go ku sobie.

— Taką mam nadzieję, właśnie taką. — Zbliżyła usta do jego ust, ale w ostatniej chwili zrobił unik i ich wargi zaledwie się musnęły.

Zamknął za nią drzwi i oparł się o nie wycieńczony. Nie był pewien, czy jest dostatecznie silny, aby unieść taki ciężar. Pragnął znów być szczęśliwy, chciał, aby Iza wróciła, ale dobrze wiedział, że pewne rzeczy mają w życiu miejsce tylko raz. Opadł na kanapę i próbował się skupić. W końcu był też człowiekiem, mężczyzną z krwi i kości. Co z jego potrzebami i uczuciami? Przecież nie może opierać się bez końca. On też ma prawo do szczęścia. Nagle poczuł się winny własnych myśli. Wstał, zebrał włosy w kitkę i przyglądał zakola. Całe życie pracował na ten sukces. Chociaż mogli próbować wystawić rewię wcześniej, zawsze coś innego pochłaniało ich środki. Ten dom, którego zawsze pragnęła Iza, i wygodne auta, którymi jeździli. Wysoki poziom życia, zakupy w ekskluzywnych sklepach i wakacje w spa. Zbudowali imperium z lodu, ale teraz przyszedł czas na kolejny krok, na zmiany. Rewia była ich dzieckiem, którego nigdy nie mieli. Jedyną wartością, dla której poświęcili ostatnie piętnaście lat. Nie mógł

pozwoić, aby cokolwiek przeszkodziło w realizacji ich marzenia. Jego i jego żony. Chwycił komórkę i wybrał numer. Po dwóch sygnałach rozległ się przyjemny męski głos.

— *Allo?*

— *Bonjour, Pierre.* Mam nadzieję, że udał się wypoczynek. — Głos Kacpra nabrał profesjonalnej barwy.

— *Salut, Kacper. Comment ça va?* Właściwie to nie był wypoczynek, tylko sprawy rodzinne. Wszystko w porządku. Dziękuję.

— Doskonale. Zatem widzimy się dziś o dziewiątej na próbie, a jutro o ósmej na zebraniu organizacyjnym. Mam nadzieję, pamiętasz. — Starał się mówić przyjacielskim tonem.

— Oczywiście. Do zobaczenia niebawem — odparł Francuz i się rozłączył.

„Dziwny typ” — pomyślał Kacper. „Ale za to doskonały tancerz i choreograf”.

\*

Pierre wyjął z szafy ostatnią koszulkę i ułożył ją na wierzchu starannie poukładanych rzeczy. Ubrania przykrył teczką na dokumenty i zamknął walizkę. Rozejrzał się po pokoju, ale wszystko było na swoim miejscu. Tak jak zaplanował. Podszedł do łóżka i sięgnął po przygotowane wcześniej ubranie. Włożył eleganckie spodnie i czarne jedwabne skarpetki. Wsunął lśniące i pachnące jeszcze pastą buty i podszedł do lustra. Spojrzał sobie prosto w oczy.

Patrzył na niego czterdziestopięcioletni mężczyzna w doskonałej formie fizycznej, o przenikliwym i jasnym spojrzeniu. Każdy mięsień na jego torsie załamywał światło. Jedyne bladuróżowe blizny o nieregularnych kształtach, rozsypane po całym tułowi, burzyły harmonię perfekcyjnie wyrzeźbionego ciała.

Chciałby zapomnieć, jaki los czeka tancerza w więzieniu, ale nosił na sobie niezacierałe ślady przeszłości. Kiedyś miesiącami nie patrzył w lustro i nie dotykał swojego ciała. Udawało mu się wtedy oszukać siebie samego i uwierzyć, że szramy były jedynie tworem jego zmaconej wyobraźni. Nie na długo. Zawsze znalazł się ktoś, kto mu przypomniał. Zwłaszcza kobiety. Dotykając tych śladów, chciały wiedzieć, jak powstały. W końcu przestał miewać jakiegokolwiek relacje. Ograniczał się jedynie do tych pięciominutowych na ciemnych parkingach, w aucie zaparkowanym na poboczu, w ubraniu. Bez zbędnych słów. Bez pytań i bez wyjaśnień. Lecz to także należało do przeszłości. Teraz spozjrzał prawdzie w oczy. Jasnoniebieskie i pełne goryczy, bo nienawiść byłaby zbyt nieostrożna. Codziennie spoglądał w lustro, żeby pamiętać, po co wstaje każdego dnia. Miał cel. Wszystko układało się po jego myśli i jedyną rzeczą, której nie planował, była ona. Pojawiła się niczym sen zbuntowanego piętnastolatka, urzeczywistniając erekcje w strugach łez, bo pożądać tak brutalnie, coś tak szlachetnego i pięknego, nie mogło być aktem szczęścia. Jednak było. Każdy moment w jej otoczeniu w jakiś niewytłumaczalny sposób kołował rozwrzeszczany ból. Jej dotyk był jak ciepły kompres na stargane mięśnie. Była, choć nie powinna teraz tu być. Nie teraz.

Kiedy miał plan. I był już tak blisko.

Włożył czarną, skrojoną na miarę koszulkę i zapiął ją pod szyję. Podszedł do szafy i zdjął z jedyne wieszaka marynarkę. Leżała jak ulał. Z kieszeni wyciągnął rolexa i zapiął na przegubie. Z drugiej wyjął spinki do mankietów i medalik. Spozjrzał na niego, ścisnął w dłoni i po chwili włożył z powrotem do kieszeni. Był gotowy.

Spod łóżka wyciągnął aktówkę i położył ją na wierzchu. Rozległo się pukanie.

— *Qui est là?* — spytał, podchodząc do drzwi.

— Do pana Bourite — odparł głos bez emocji.

Pierre przekręcił klucz w zamku i otworzył. Wysoki mężczyzna w okularach i letnim garniturze *écru* patrzył na niego bez wyrazu. Zrobił miejsce w przejściu, wskazując gościowi

drogę.

— Przyniósł pan to, o co prosiłem? — spytał.

Przybysz oparł o stół neseser, wyjął z niego dużą białą kopertę i wręczył ją Pierre'owi. Rozwarł palcami niezaklejony brzeg i zerknął do środka.

— Rozumiem, że wszystko jest gotowe — powiedział jakby sam do siebie, przeglądając zawartość koperty.

— Proszę się nie martwić. Monsieur Dupré jest rad, że mógł panu pomóc, monsieur Bourite.

Pierre podszedł do łóżka, wprowadził kod do zamka i otworzył aktówkę. Wskazując jej wnętrze, rzekł:

— Myślę, że będzie jeszcze bardziej rad, jeśli mu pan to przekaże.

Mężczyzna skinął głową i wsunął aktówkę do nesesera. Uścisnęli sobie dłonie i bez słowa się rozstali.

Pierre wypuścił powietrze z płuc i przycisnął kopertę do piersi.

— No to niech się stanie.

— To ci dobrze zrobi. Zaparzyłem świeżą.  
 — Dziękuję. — Alicja podniosła się i oparła o poduszkę. Kubek parzył i pachniał ożywczo.

Muzyk usiadł na rogu łóżka.

— Jak się czujesz?

— Przepraszam za wczoraj. I dziękuję. To znaczy przepraszam i dziękuję... — urwała.

— Nie musisz. Zauważyłem, że to intensywny okres. — Uśmiechnął się bez cienia radości.

— Mało powiedziane. — Pokiwała głową. — Dzisiaj prawdopodobnie pożegnam się z rewią. Nie uwierzyłbyś. Oskarżono mnie o kradzież. — Spojrzała w smołową czerń na dnie kubka.

— Co takiego? A co na to wujek? Chyba w to nie uwierzył? — Mężczyzna uniósł brwi.

— Pierre'a nie ma. Może dzisiaj wróci. W każdym razie nie może mi pomóc — ściszyła głos. — Przepraszam, że wczoraj...

— Nie mówmy już o tym — uciął i i dotknął jej twarzy. Alicja podniosła oczy. Światło jej spojrzenia odebrało mu kontakt z rzeczywistością. Raptownie odsunął dłoń. — Przypuszczam, że to nie jest odpowiedni moment, aby porozmawiać o tym, co się wydarzyło. Między nami — dodał, ciekaw reakcji, jaką wywołają jego słowa.

Milczała. Jej życie właśnie wykonywało salto mortale. Tak, to nie był odpowiedni moment.

— Chyba nie dasz się zrobić? — Zmienił temat. — Właściwie co ty im takiego zrobiłaś?

— Dobrze pytanie. — Dopiła kawę i zamyśliła się. Czemu Iza jej nienawidziła? Czemu nikt jej nie rozumiał? Dlaczego czuła się tak samotna? Gdyby to wszystko wiedziała, być może jej życie nie wyglądałoby jak farsa Alicji w Krainie Problemów. Nagle zapragnęła wiedzieć, co jest z nią nie tak. W czym tak naprawdę tkwi jej problem. Odstawiła kubek na stolik, obok zdjęcia babci, i usiadła na rogu łóżka koło muzyka. — Chociaż tego jednego zamierzam się dowiedzieć.

\*

Wbiegła do gmachu teatru całkiem spocona. Biegła od przystanku bez zatrzymania, żeby rozgrzać nogi, ale tak naprawdę szukała sposobu, by rozładować wzrastające od wczoraj napięcie. Wnętrze teatru za dnia zmieniało oblicze niczym twarz prostytutki: pozbawiona makijażu, biżuterii i sprzyjającej osłony nocy, ujawniała głębokie zmarszczki i zmęczone spojrzenie. Na scenie paliły się tylko boczne światła, nadając jej dyskretną atmosferę. Alicja objęła spojrzeniem wnętrze, czując nieoczekiwany przyływ melancholii. W powietrzu unosił się zapach kurzu i drewna impregnowanego potem, wzbudzając w niej poczucie przynależności. Teatr dla każdego tancerza był drugim domem, dla wielu jedynym, choć nigdy się do tego nie przyznawali, bo tancerz lubi myśleć, że jest wolny. Ona też nie miała innego. Jej miejsce było tutaj, czy tego chciała, czy nie. W objęciach kurtyny. Liczyła, że zastanie -Pierre'a w ferworze tworzenia. Miał w zwyczaju pracować o bardzo wczesnych godzinach. Niejednokrotnie podejrzewała, że w ogóle nie wychodzi z teatru, śpiąc i jadając w swojej garderobie jak w celi. Czuła, że musi z nim porozmawiać, że jemu jednemu chciałaby wypłakać się z bólu, a on by ją zrozumiał. Ale tym razem scena i sala baletowa były puste i tylko dwie tancerki dyskutowały o czymś zawzięcie w zasceniu. Zeszła z widowni i udała się do foyer. Szare marmury kularów,



szatni, barku i toalet rozgrzewały swe zimne oblicza w pierwszych promieniach słońca i chociaż sierpniowe poranki wzmagały pragnienie, Alicja poczuła dreszcze. Wyszperała z torby drobne i podeszła do stojącej koło zamkniętego baru maszyny z gorącymi napojami. Wsunęła monety i wybrała kawę. Maszyna zaszumiła, zatrzęsa się i zaczęła rozpryskiwać brązowawy płyn.

— Weź też dla mnie. — Usłyszała za plecami.

Kaśka wyciągała rękę z monetą.

— Z mlekiem i podwójnym cukrem — dodała.

— Wcześniej jesteś — zauważyła Alicja.

— No popatrz, to jesteśmy we dwie. — Uśmiechnęła się ironicznie solistka.

Alicja wręczyła jej kubek i minęła ją bez słowa. Nie miała najmniejszej ochoty na uszczypliwe gadki. „Jeszcze będzie dzisiaj na to czas” — pomyślała.

— Nie wiedziałam, że aż tak zaprzyjaźniłaś się z naszym choreografem — rzuciła zaczepnie Kaśka.

— Niby jak?

— No, prywatne lekcje, rozmowy, wyznania... — Przeciągała każde słowo. — Czyżbyś była pupilką naszego Francuzika?

Alicja odwróciła się i spojrzała na Kaśkę badawczo.

— Douczanie chyba nie jest zabronione? Zresztą to żadna tajemnica — powiedziała, starając się, by solistka nie wyprowadziła jej z równowagi.

— Jasne, tak tylko gadam. — Uśmiechnęła się. — Zaprzyjaźniliśmy się ostatnio. Chyba nie będzie ci przykro, jak to ja dotrzymam mu towarzystwa, kiedy ciebie już tu nie będzie?

— Co, ty też potrzebujesz prywatnych lekcji? — Cierpliwość powoli się ulatniała.

— Kto wie. Zawsze to jeden z najlepszych choreografów z Paryża, co nie? — skwitowała. — Może trochę za dużo pije jak na mój gust, ale przynajmniej nie zrędzi jak Oskar, kiedy przynoszę piwo do garderoby. Pierre pozwala mi zostawiać je u siebie, zresztą więcej tam szkła niż w monopolowym. — Roześmiała się na głos.

Alicja dopiła zimną już kawę i zgmiotła kubek w garści.

— Cześć, dziewczyny! — Dagmara dopadła dystrybutora i powcisnęła prawie wszystkie przyciski. Maszyna zaświeciła się jak wigilijna choinka i jęcząc, zaczęła wypluwać kubek za kubkiem.

— Bierzesz kawę dla całego zespołu czy zapasy dla siebie? — parsknęła Kaśka.

Dagmara zatrzepotała długimi rzęsami, ignorując aluzję lub jej nie rozumiejąc. Błogi i naiwny uśmiech nie schodził z jej ust, kiedy z namaszczeniem realizowała zamówienie.

— To dla pani Izy, to dla pana Witolda, to chyba dla pana Kacpra... — Liczyła sumiennie kubki. — A to dla mnie!

— Już przyjechali? — zdziwiła się Alicja. — Co dzisiaj wszyscy tak wcześniej?

— No jak to? Pani Iza odebrała dziś rano pióra do finału. Ale gigantyczne te pióropusze, mówię wam! W życiu takich nie widziałam! — Otworzyła usta w zachwycie. — Będziemy dziś w nich tańczyć!

— A jest tam z nimi Pierre? — spytała Alicja.

— Pierre będzie dziś po obiedzie. — odpowiedziała jej Kaśka i podeszła do Dagmary. — Daj mi dwa kubki. Pomogę ci. Który jest dla Kacpra?

Dziewczyna podała jej papierowe kubki kawy i obie ruszyły w stronę garderoby.

Alicja szła za nimi zdezorientowana i czuła, jak jej serce przyspiesza. Nie miała pojęcia, czego się spodziewać. Może jej szafka jest już zawalona trykotami nowej tancerki albo Iza znów poniży ją przed baletem, a może będzie robić swoje jak co dzień, przezroczyście niczym powietrze dla większej części zespołu. Z ulgą odkryła, że jej siedzisko przed lustrem jest puste, ale po

chwili zrozumiała, że nie powinno takie być. Większość krzeseł i toaletek tonęła w morzu strusich piór, peleryn wykończonych tęczowymi boa i ociekających brylancikami stelaży. Z każdego kostiumu zwisała przywieszka z imieniem tancerki i napisem „Grande Finale”. W garderobie panował gwar jak na Dworcu Centralnym i każda tancerka zajęta była nauką przywdziewania specyficznych elementów stroju.

Toaletka Alicji była pusta. Podeszła do dwóch baletnic szamoczących się ze stroikami z metrowych puszystych wachlarzy. Jedna z nich, próbując włożyć stroik na głowę, straciła ze stolika saszetkę z kosmetykami. Cień do powiek w okrągłym pudełeczku poturlał się pod stopy Alicji. Podniosła go i podała dziewczynie. Już miała spytać, kto przydzielił im kostiumy, kiedy tancerka wyrwała jej kosmetyk z ręki.

— Zostaw! — Odwróciła się do Alicji plecami, zebrała z podłogi resztę kosmetyków i naburmuszona kontynuowała ujarzmianie puszystości. Alicja znieruchomiała. Już miała coś odpowiedzieć, lecz zrezygnowała. Jej sytuacja pogarszała się z każdą próbą, ale takiej zawiści się nie spodziewała. Obrzuciła wzrokiem ten jarmark próżności, ale oczy wścibskich uskakiwały z niej niczym pchły ze spryskanego psa. Wyszła, trzaskając drzwiami.

Iza i Kacper stali nad stolikiem przy scenie, przeglądając poprzetykane świecidełkami stringi. Podeszła do nich, z trudem opanowując walenie serca.

— Przepraszam, ale nie dostałam jeszcze kostiumu.

Producentka splotła ręce na piersi i oparła się o stół.

— A kto ci powiedział, że dostaniesz? — spytała twardo.

Alicja spojrzała pytająco na Kacpra. Chyba dojrzał w jej oczach nasilającą się desperację, gdyż rzekł:

— Wybacz nam na chwilę. — Objął żonę w pasie i poprowadził w głąb sali.

Kiedy byli poza zasięgiem słuchu, pochylił się w jej stronę.

— Tym razem nie pozwolę ci wszystkiego zniweczyć.

Obrzuciła go zbulwersowanym spojrzeniem.

— A co niby chcesz przez to powiedzieć?

— Dobrze wiesz. — Zajrzał jej głęboko w oczy.

— Wypraszam sobie, żebyś tak do mnie mówił — warknęła. — Po tym wszystkim, co dla nas robisz!

— Uprzedzam cię, kochanie. — Jego głos był spokojny, ale stanowczy. — Od piętnastu lat próbuję wystawić to przedstawienie i tym razem zrobię to z tobą lub bez ciebie — wyznał. — Ściągnij zastępstwo, a będzie, jak chcesz, tymczasem daj jej kostium i skup się na naszym celu.

Minęła go, trącając barkiem, i wróciła do stolika. Na leżącej na wierzchu kartce z nagłówkiem „Finał” odznaczyła coś na czerwono i nie zwracając najmniejszej uwagi na Alicję, zaczęła rozpakowywać, zawinięte w folię, puszyste kreacje. Kiedy komplet był gotowy, wręczyła go Alicji.

— Tylko nie zniszcz niczego — poleciła oschle. — Kostium musi służyć osobie, która przyjdzie na twoje miejsce — rzuciła i wróciła do segregowania.

— Kiedy? — Alicja czuła, że przeciąga strunę, ale było jej wszystko jedno.

— Słucham? — Iza zrobiła energiczny krok w jej stronę, ale Alicja nawet nie drgnęła.

Musiała wiedzieć. — Kiedy uznam za stosowne, lalcia. — Przysunęła się zbyt blisko. — Jeszcze jakieś pytania?

Alicja zagryzła wargę od wewnątrz. Poczowała metaliczny smak. Pragnęła w tym momencie krzyknąć i okładać producentkę pięściami, ale jeszcze bardziej chciała zatańczyć na premierze. Wytrzymała ostry jak brzytwa wzrok Izy, po czym pozbierała wszystkie elementy stroju i bez słowa odeszła.

Tancerki paradowały po garderobie niczym rajskie ptaki po ogrodzie. Poprawiały elastyczne, cieliste kabaretki i dopinały sobie nawzajem plecaki z eksplodującymi kaskadami piór. W przebieralni zrobiło się ciasno i dusznowo, co przegoniło na zewnątrz gotowe do próby baletnice. Alicja rozłożyła swoje rzeczy i usiadła przed lustrem, nie chciała w nie zerkać. Mięśnie jej twarzy jeszcze drgały, czuła ich bezwarunkowy ruch. Spuściła głowę i zauważyła żółtą karteczkę, zgiętą na pół i przyklejoną do blatu toaletki. Odkleiła ją. W środku prostym pismem ktoś napisał „Zdzira”. Poczuli się, jakby dostała pięścią w twarz.

— Nie przebierasz się? Matko, ale ten stanik uwiera. — Celina, marszcząc nos, ugniała piersi w sztywne stelażyki pokryte brylancikami.

Alicja zmięła kartkę i rzuciła ją na podłogę.

— Zastanawiałam się, czy wejść. — Uśmiechnęła się przez łzy. — A kabaretki skąd macie? Dostałyście razem z kostiumami? — spytała.

— Dostaniemy na premierę. Te kazali wczoraj przynieść z domu. — Nadal walczyła ze stanikiem. — A co? Zapomniałaś zabrać? — spytała. — Mam jeszcze jedną parę, jak chcesz. Wzięłam na bazarku, ale są lekko zaciągnięte. Gumkowe zostawiłam w domu, nie chcę ich teraz zniszczyć. Kosztowały ponad dwieście złotych! — Poszła w drugi kąt garderoby i przyniosła beżowe zawiniątko. — Trzymaj.

— Jutro odkupię i ci oddam — zapewniła Alicja i zaczęła się przebierać.

Rajstopy ładnie obciskały nogę, nadając jej jednolity kolor i chociaż tanie i wykonane z najłabszego surowca, z daleka nie zdradzały swojego miernego pochodzenia. Jedyńm problemem okazało się długie zaciągnięcie biegnące od połowy łydki aż do pośladka, które Alicja starała się zakamufłować, wkładając kabaretki tył na przód. Stringi z fioletowego elastycznego materiału, pokryte tysiącami mieniących się oczek, wpijały się między pośladki, czyniąc je jeszcze bardziej wydatnymi, właściwie nabrzmiętymi. Jednak największy problem stanowił biustonosz. Dwie sztywne miseczki à la Bardot, przypominające kryształowe pucharki na lody, nie mieściły deseru, który rozlewał się poza ich brzegi. Oddychając pełną piersią w trakcie tańca, Alicja ryzykowała spontaniczne wyzwolenie piersi ze stanikowego reżimu. Zapięła paseczki białych charakterek i zdezorientowana spojrzała na ostatnie partie kostiumu, nie wiedząc, czy włożyć najpierw pióra na głowę, a potem kosz z boa, czy odwrotnie. Ostatecznie zdecydowała zmierzyć się najpierw ze stroikiem. Przyczepiła opaskę do czubka głowy, naciągnęła gumkę pod brodę i zużyła całe opakowanie wsuwek, aby pióropusz stał się częścią nieruchomo wyrastającą z głowy. Jednak siedem długich i dość ciężkich wbrew pozorom piór przechylało się raz w przód, a raz w tył niczym gigantyczny wachlarz, wymagając od tancerki nienagannie prostej sylwetki. Przyszła kolej na plecak. Stał koło krzesła wysoki prawie jak ono, ze dwa razy szerszy, ale na szczęście lżejszy od krzesła. Postawiła go na toalecie, odwróciła się plecami i ugięła kolana, aby znaleźć się na odpowiedniej wysokości. Włożyła szelki na ramiona i wyprostowała się, unosząc nową część swojego ciała. Podeszła do lustra i spojrzała. Z trudem mogła oderwać oczy od tego widoku. Tancerka po drugiej stronie tafli była bajkowa, seksowna, ekscytująca i śmieszna. „Gdyby zobaczyła mnie teraz mama” — pomyślała i wybuchnęła donośnym, histerycznym śmiechem. Drepcząc w stronę sceny, rozmyślała poważnie nad tym, jak tancerki mogą poruszać się, a co dopiero tańczyć, obładowane tymi ozdobami przypominającymi dekoracje z karnawału w Rio. Już samo wyjście z garderoby okazało się nie lada wyczynem. Musiała dwa razy obrócić się, ugiąć nogi i lekko pochylić, a wszystko to w ślimaczym tempie. Co, jeśli na przebranie się między jednym numerem a drugim będzie miała tylko trzy minuty? Gdy przemierzała zascenie, zaskoczyła ją muzyka do finału. Szamotała się chwilę z częścią zrolowanej kurtyny, która nie chciała wypuścić jej na scenę, aż wreszcie przedostała się i biegnąc niczym gejsza, na ugiętych nóżkach, zajęła swoje miejsce. Stojąca w linii Celina nawet nie

drgnęła, ale przez sztuczny uśmiech wycedziła:

— Masz szczęście, pani coś dzisiaj nie w humorze.

Scena zamieniła się w iście tęczyowy krajobraz. Pióra zafalowały, wytrzepując z siebie gęsty puch. Jaskrawe kolory falującego pierza mieszały się wraz z przemieszczającymi się tancerkami. Tancerze nęcili gołymi torsami, wypinając je spod wpół rozpiętych, atlasowych marynarek. Bogactwo barw i splendor wprawiały w osłupienie, lecz choreografia i jej wykonanie kulały na obie nogi. Przestrzenie między mijającymi się tancerkami nie były wystarczające dla tak obszernych kostiumów i baletnice obijały się o siebie, kontynuując pseudotaniec chwiejnym krokiem. Wielokrotnie w trakcie partnerowania tancerze zaplątywali się w obszerne peleryny lub mieli poważne problemy z przegięciem partnerek w tył z powodu ogromnego pierzastego plecaka.

— Stop, stop, stop! — pokrzykiwała coraz częściej producentka. — Co to ma być!? — Wytrzeszczała oczy. — Myślcie trochę, kiedy tańczycie! Macie się ruszać z lekkością, uśmiechać i prezentować kostium, na litość boską! To nie jest wór z piachem do ciągnięcia po scenie!

Wbiegła po schodkach napędzona szałem i powprowadzała drobne zmiany, zwiększając lub zmniejszając dystans między tancerzami. Potem stanęła z boku sceny i machnięciem ręki ponagliła muzykę z reżyserki. Kiedy pióra poszły w ruch, Kacper wstał od stolika i podszedł do sceny. Niczym dyrygent swą batutą wymachiwał długimi rękami, nadając tancerzom odpowiednie tempo i wskazując kierunki. Iza spacerowała po scenie jak sędzia po ringu, pokrzykując od czasu do czasu. Tancerzy zalewały siódme poty. Po dwóch godzinach zarządzono piętnastominutową przerwę. Z głośno manifestowaną ulgą tancerki wyzwały ciała z koszy i peleryn, a niektóre także ze stroika. Iza z Kacprem udali się do biura, a tancerze po wodę i ręczniki. Alicja zdjęła kosz i usiadła na podłodze. Czowała nadwyrężone mięśnie pleców, stopy piekły, kolano pulsowało jak zwykle. Teraz dołączył jeszcze dyskomfort z powodu wrzynających się między pośladki stringów.

Pomimo wszystkich uciążliwości czuła radość, bo tańczyła, i im dłuższa i trudniejsza była choreografia, tym szybciej zapominała o bólu i problemach. Niespodziewanie pomyślała o Pierze.

— Ale zwierzyniec! — Kaśka opadła głośno na podłogę obok niej. Wyglądała zjawiskowo w czerwonym, bardzo bogatym kostiumie. Jej blada skóra w towarzystwie czerwieni wybijała się na pierwszy plan, a szczupłe, długie członki przydawały tancerce elegancji, która jednak pryskała niczym czar, gdy tylko dziewczyna otwierała usta. — Kuźwa, ale zjechała jestem! — Ściągnęła czerwone charakterki, tak jak zdejmuje się kalosze i cisnęła przed siebie.

— Nie podoba mi się ten finał. Nie jest w ogóle dopracowany. — Celina odpięła turkusową pelerynę i delikatnie położyła na podłodze.

— No co, kaczuchy, jak leci!? — Dagmara najwyraźniej świetnie się bawiła w nowym cytrynowym przebraniu.

— Stawu nam brakuje. Najlepiej z piwem zamiast wody — skwitowała Kaśka. — A ty wyglądasz nie jak kaczka, tylko jak Struś Pędziwiatr.

Roześmiały się wszystkie. Faktycznie chuda, długoszysza Dagmara ze swoimi prawie stu siedemdziesięcioma sześcioma centymetrami wzrostu, w butach na piętnastocentymetrowym obcasie i z piórami o ponadmetrowej długości nieustannie roześmiana, energiczna i do tego przystrojona w żółte piórka, bez problemu mogłaby się wcielić w rolę szybkiego strusia.

— Jestem Wielkim Ptakiem z *Ulicy Sezamkowej!* — Podchwyciła sugestię i przemierzając susami scenę, zatrzepotała rękami. — Wzlecę czy nie wzlecę?! — Modelowała głos, wyciągała i kurczyła szyję, stawiała długie kroki. Wydawała z siebie piski i nieartykułowane dźwięki. Wyglądała idiotycznie, ale bardzo śmiesznie.

Asystujący wygłupom tancerze pokładali się ze śmiechu i tylko niektóre baletnice wykrzywiały twarze albo pukały się w czoło. Oskar poszedł po telefon i zaczął rejestrować popis Dagmary, a Alicja trzymała się za brzuch, zapominając kompletnie o nieciekawej sytuacji, w jakiej się znajdowała.

— Dagmara, zamknij się! — Dławiła się Kaśka, gdy dziewczyna przeleciała przed jej nosem, skrzecząc: — Kwa kwa kwa!

W pewnym momencie stroik z piór opadł w przód jak kłapa i całkowicie zakrył tancerce twarz. Nawet ci, co ignorowali do tej pory popisy koleżanki, rechotali teraz zaraźliwie. Dagmara, nie zwracając uwagi na to, że nic nie widzi, biegła po całej scenie jak kaczka uciekająca przed lisem, gubiąc gdzieś swoje cytrynowe piórka.

Jakimś cudem napięta atmosfera gdzieś się ulotniła i cały zespół połączył najzwyczajniejszy zdrowy humor. Raptem śmiech ucichł, ale pogrążona w odgrywaniu swojej roli Dagmara nie zorientowała się w porę. Cwałując w poprzek sceny, wpadła wprost na purpurową z wściekłości Izę. Producentka szarpnęła ją za ramię, najwyraźniej dość boleśnie, bo Dagmara zapiszczała.

— Co ty wyczyniasz, idiotko! — Wyszarpała dziewczynie stroik razem z kępką włosów. — Czy masz pojęcie, ile te pióra kosztują? Wynoś mi się stąd. I to już! — Wskazała sztywnym palcem ciemne gardło zascenia.

Dagmara pobladła jak kreda, po czym rzuciła się biegiem, pochlipując.

Iza rozejrzała się po skonsternowanych twarzach. Otrzepała pióra, przeczesała je palcami, nadając regularny kształt, i rzekła:

— Nie zapominajcie, że jesteście odpowiedzialni za stan tych kostiumów. Za każde uszkodzenie będziecie płacić z własnej kieszeni, może wtedy odechce się wam głupich żartów.

Po tym ostrzeżeniu zmieniła temat, serwując opierzonym tancerkom wykład o tym, jak należy wkładać i nosić kostiumy z piór.

— Chodź na środek. — Skinęła na solistkę.

Dziewczyna przewróciła oczami, wcisnęła na siłę buty i sapiąc, podeszła do Izy. Producentka, okręcając Kaśkę, tłumaczyła wysokość stringów, głębokość stanika, miejsce zaczepienia kabaretek i jak należy upiąć stroik z piór.

— Oto przykład, jak powinna wyglądać tancerka rewiowa. — Wskazała na dziewczynę. Kaśka uśmiechnęła się i dyg-nęła jak panienska z dobrego domu. — A oto... — ciągnęła Iza, rozglądając się po zebranych wkoło tancerzach. — Ty! Jak ci tam? Chodź no tutaj.

Alicja zacisnęła zęby. Wstała, podniosła plecak z boa i podeszła do nich. Iza obrzuciła ją wyzywającym wzrokiem.

— A oto przykład, jak nie powinna wyglądać tancerka. — Wskazała stojącą jak słup Alicję. — Jak ty założyłaś te stringi, tył na przód? — spytała. — Widziałaś, że kabaretki masz porwane? I ten stanik! To już lepiej, żebyś tańczyła bez — pokręciła głową.

— Kostium jest trochę za ciasny — wycedziła Alicja.

— Za ciasny! Moja droga, to jest kostium na tancerkę. Ty się po prostu z niego wylewasz!

— Moim zdaniem wygląda zjawiskowo! — Padło z widowni.

Wszyscy skierowali spojrzenia pod światło, osłaniając oczy.

— *Bonjour tout le monde!* — Spomiędzy rzędów wyskoczył choreograf i stanął tuż pod sceną. Z iskrą w oczach zmierzył Alicję od czubka pióropusza aż po koniuszki butów. Uśmiechał się przy tym niczym najszcześliwszy człowiek na świecie, a jego wzrok drażył w niej, aż poczuła go z całą intensywnością. — *Magnifique!*

— O rany, znowu się narąbał — zachichotała Kaśka.

Pierre dwoma szarpnięciami uwolnił się z lekkiej bawełnianej marynarki w kolorze

gorzkiej czekolady, nie odrywając oczu od Alicji. Zręcznie podwinął rękawy i zatarł ręce jak ktoś z niecierpliwością zabierający się do ulubionych czynności. Już miał wspiąć się na scenę od frontu, gdy Iza głośno zareagowała.

— Pierre! — przywołała go jak ucznia do tablicy, ale nawet na nią nie spojrział. — Mamy kilka rzeczy do obgadania. Zapraszam do biura! — Stanowczo przemierzyła scenę, dźgając obcasami sfatygowane deski parkietu, i nie odwracając się, ruszyła do wyjścia przy scenie.

— *Mesdames et Messieurs!* — Rozpostarł ramiona jak do uścisku. — Rozgrzejdzie szkitki, jeśli jeszcze nie są ciepłe, i za piętnaście minut zaczynamy *la mascarade!* — Przeczesał palcami niewidzialne włosy od skroni aż po tył głowy i ruszył w ślad za producentką. Kiedy był dwa kroki od wyjścia, odwrócił się i zerknął w stronę Alicji. Uśmiech gdzieś się ulotnił i to, co zobaczyła na jego twarzy, dało jej do myślenia.

— Ależ ona czasami przesadza. — Celina o spojrzeniu zaspanego spaniela i posuniętych w głąb czaszki zakolach jako jedyna skomentowała zajście. — Przykro mi z powodu rajstop — dodała.

Alicja w głębi duszy była jej wdzięczna za te proste, acz wystarczające słowa. Jeszcze drżały jej wnętrzności, a podświadomość dobijała się pięściami do świadomości z bardzo ważnym przesłaniem. Zaciśnęła ręce w pięści, aby pozbawić je drżenia.

— Nie żartuj. Gdybym wyszła bez nich, byłoby jeszcze gorzej — odparła. — Idziesz ze mną zobaczyć, jak się ma Dagmara? — spytała.

Po obfitej półgodzinie wreszcie rozpoczęła się poobiednia próba. Wszyscy tancerze byli tego dnia na przymusowej diecie, gdyż chaotyczność treningu nie pozwalała im na skonsumowanie posiłku. Sprawy organizacyjne toczące się za zamkniętymi drzwiami stały się najczęstszym tematem na ruchliwych językach zespołu, ale nie tylko strategiczne rozwiązania produkcji zajmowały tancerzy. Alicja nadal znajdowała się na pierwszym i ostatnim miejscu wśród podejrzanych o kradzież. Czuła piekące spojrzenia; gdziekolwiek szła i cokolwiek robiła, wiedziała, że ktoś temu niemo asystuje.

Dzisiaj czuła jeszcze jedno spojrzenie. Choreograf kazał im pozbyć się opierzenia i przebrnęli przez całą pierwszą część przedstawienia, śpiewając z playbacku francuskie piosenki z marketingowym uśmiechem, tak jakby to była premiera. Pod koniec drugiej odsłony zaczęły się schody. Pierre zatrzymywał muzykę częściej, niż zdołały wybrzmieć pierwsze nuty. Przesuwał linie tancerzy w twórczo strategicznym omamieniu, poprawiał nieprecyzyjnie wykonane figury, wciąż coś wymagało korekty. Żartował z tancerkami, ale nie pozwalał im na roztarg-nienie. Był skoncentrowany, lecz jednocześnie gdzieś umykał myślami, gdy niczym zarejestrowany na taśmie głos wyliczał: „*Un, deux, trois. Un, deux, trois...*”.

— *Oh oui!* Zdolne dupcie! — Pokrzykiwał czasem w euforii. — Od razu widać, moja szkoła!

Gdy tylko utwór dobiegał końca, Pierre krzywił się, kręcił głową i wołał:

— *Encore une fois!* — Klaszcząc w dłonie, zaganiał na swoje miejsca stękających tancerzy. Nawet po piątym, szóstym, siódmym powtórzeniu.

— Pierre, mam niemoc — zajęczała Kaśka, wyginając usta w podkówkę.

— Ruszaj się, Kaśka! Nie jęcz. *Avec la vie!*

Solistka skrzywiła się i człapiąc niczym garbata staruszka, stanęła na środku sceny. Wraz z pierwszym brzmieniem muzyki, jak za dotknięciem magicznej różdżki, zamieniła się w strzeliste drzewo, romantycznie falujące na wietrze. Uosabiała delikatność i grację, które tak bardzo, zdaniem Alicji, kłóciły się z jej charakterem i sposobem bycia.

O siódmej Pierre dał im spokój. Widząc snujące się niezgrabnie kadłuby, zrozumiał, że marnuje swój czas. Zakończył próbę oklaskami i słowami otuchy. Odprowadzał wzrokiem

wymęczonych i głodnych tancerzy, gdy opuszczali scenę w ciszy. Alicja starała się nie kuleć, ale ból zmuszał ją do przenoszenia ciężaru ciała na lewą nogę. Zatrzymała się w tyle, za kolegami i zdjęła buty. Jej stopy natychmiast ogarnęła euforia. Pozbawione butów, zdawały się rosnać w oczach. Szła powoli, czując każdy centymetr podbicia. Najchętniej padłaby na pluszową wykładzinę korytarza i przeleżała w bezruchu do następnej próby. I pewnie tak by zrobiła, gdyby nie umówiona wizyta u lekarza. Miała godzinę. Zamiast iść do garderoby, skręciła w stronę toalet. Woląła odświeżyć się bez wygod nad zlewem, niż brać prysznic z resztą tancerek. Miała dość niespodzianek. Próg jej wytrzymałości został przekroczony. Chwyliła klamkę i już była jedną nogą w środku, gdy usłyszała za plecami:

— Poczekaj.

Powoli się odwróciła. Stał przed nią. Z trudem spojrzała mu w oczy. Twarz miał zmęczoną, bladą w odróżnieniu od oczu, ekstremalnie żywych.

— Przepraszam, nie mogę — powiedział półszepem. — Cokolwiek się wydarzy, chcę, żebyś nie odpuszczała. Jasne? — Chyba zauważył, jak drga jej dolna powieka. Chwylił ją mocno i przytulił. Pozwoliła mu. Zanosząc się łkaniem cicho, ale całą sobą.

— Pierre, to nie ma sensu — łkała. — Moje życie go nie ma.

— Bo życie nie ma sensu. — odparł. — Po prostu jest. Trzeba je przeżyć i nadać jakiś — powiedział najczulej, jak potrafił.

— Taniec jest wszystkim, co mam — powiedziała po cichu i zabrzmiało to tak, jakby mówiła do siebie. — Nie wiem już, co robić...

— Po prostu tańcz, Alicjo — odparł. — To jest zew. Wiem, że go czujesz. Widziałem. Dorośnij i przestań tak zawzięcie ze wszystkim walczyć, a przede wszystkim zaakceptuj to, jaka jesteś. Kim jesteś.

Odsunęła mokrą twarz od jego piersi. Poczł chłód.

— A kim ja jestem, Pierre? — spytała, osuszając dłońmi twarz. — Już nawet tego nie wiem...

Ujął jej gorące oblicze. Gorączkowo chłonał jej oczy, w końcu zatrzymał wzrok i odpowiedział:

— Jesteś sobą, Alicjo.

Piesi uskakiwali z drogi, złorzecząc i odgrażając się kierowcy czarnego mercedesa. „Kto jej dał prawo jazdy!” — rozchodziło się wraz ze spalinami za warczącym samochodem. Iza jechała wąską uliczką z niedozwoloną prędkością i do tego trąbiąc na oddających się przechadzkom od witryny do witryny spacerowiczom. Sama już nie wiedziała, czy jest bardziej wściekła na męża za brak zrozumienia dla jej poświęceń i ciężkiej pracy, na tego niewdzięcznika Witolda, za którego odwaliała całą brudną robotę, czy na -Pierre’a za jego bezczelność. W każdym razie miała ich wszystkich serdecznie dość. Była jedyną osobą, dzięki której rewia zbliżała się ku realizacji, ale na sukces musiała jeszcze trochę poczekać. „Po premierze wszystko się zmieni” — pomyślała. „Już ja się o to postaram”. Prawą ręką sięgnęła po papierosa. Zaciągnęła się i odprężyła, przymykając oczy od nadmiaru dymu.

— A zacniemy od ciebie, lalcia — powiedziała do siebie, zerkając na teczkę pełną papierów leżącą na fotelu pasażera.

Nowoczesny budynek w kształcie kwadratu mienił się kolorowymi afiszami. Gdyby nie napis nad wejściem, Iza nigdy nie pomyślałaby, że to teatr. Wkroczyła do oszklonego holu niczym toreador na arenę. Niecierpliwe echo jej kroków rozbiegło się po wnętrzu. Wydająca resztę kasjerka uniosła wzrok znad banknotów, gubiąc się w rachunku. Iza spojrzała na nią badawczo. Dziewczyna wyglądała na studentkę dorabiającą poza sezonem, a takie raczej nie trzymają ręki na pulsie teatru. Musiała szukać dalej. Zajrzała we wtopione w półmrok foyer, ale bar o tej porze był jeszcze zamknięty. Nagle przystanęła i pstryknęła palcami. Szatnia! Zeszła schodkami na dół i z euforią stwierdziła, że światła są już zapalone, a za szeroką drewnianą ladą ktoś wprawia setki wieszaków w ruch.

— Jest tu kto? — zawołała, przechylając się przez drewniany blat. Rozległ się dźwięk uderzających o siebie wieszaków, do złudzenia przypominając klekot bocianów, i po chwili zza rogu wyłonił się niski, kościsty staruszek w szarym fartuchu i równie szarym, acz bystrym spojrzeniu. Na widok Izy zmarszczył popielate krzaczaste brwi i bujając się z nogi na nogę, ruszył w jej stronę.

— Pani nie krzyczy, kochana — poradził dobrodusznie. — Próby trwają.

Iza wysiliła się na uśmiech.

— Ach, przepraszam, oczywiście.

— Czym mogę służyć? — spytał. — Repertuar rusza we wrześniu jak zwykle, ale o tym zapewne pani wie. — Zmierzył Izę z ciekawością. — No, chyba że szanowna na popołudniową próbę?

Iza zdała sobie sprawę, że nie przygotowała się do tej rozmowy jak należy, i teraz nie wiedziała, w jaki sposób wyciągnąć od staruszka interesujące ją informacje.

— Nie, nie... — zająknęła się. — Byłam w pobliżu i pomyślałam, że wpadnę. Wie pan, kiedyś tańczyła tu moja znajoma — zaczęła. — Nie widziałyśmy się ze dwa lata, ponieważ mieszkam za granicą. Chciałam sprawdzić, czy znów będziecie wystawiać ten musical, w którym ona występowała, bo wie pan... straciłam z nią kontakt.

Szatniarz spojrzał na Izę podejrzliwie.

— A jak nazywa się pani znajoma? — zapytał.

Iza zmarszczyła czoło, po czym pospiesznie odparła:

— Kasia Opalek.

— Hmm... — zastanowił się szatniarz. — Nie znam nikogo takiego. A o jakie przedstawienie pani chodzi?



Iza w kilku dość wiarygodnych, acz ogólnikowych zdaniach opowiedziała szatniarzowi o musicalu, o swojej przyjaciółce, podając wszelkie informacje, jakie zdołała do tej pory zgromadzić.

— Ach tak, tak. — Pokiwał głową. — To było piękne widowisko. Tyle ruchu, kolorów i emocji... — Westchnął. — Niestety wystawiali go tylko przez pół roku, a potem dyrektor zdjął z afisza i na razie nie będą grali.

Spojrzał na zegarek i chwycił kilka wieszaków rozrzuconych po blacie.

Iza przestąpiła z nogi na nogę, wysilając się na uroczy uśmiech.

— Pan tu chyba długo pracuje, nieprawdaż? — zaszcebiotała. — Imponujące, ile pan wie o tym miejscu.

Staruszek rozciągnął pomarszczone wargi na znak zadowolenia. Odwiesił wieszaki i wrócił do rozmowy.

— Nie inaczej, droga pani — oznajmił dumnie. — Pracowałem tu jeszcze za starej dyrekcji.

Iza zasmuciła się, trzepocząc doklejanymi rzęsami.

— Jaka szkoda, że już nie grają! Tak chciałam to zobaczyć! — jęknęła. — A co się stało, że tak krótko grali?

— Bo wie pani, po tym strasznym wypadku reżyser próbował jeszcze dwie solistki, ale z żadnej nie był do końca zadowolony, no i widownia nie wypełniała się nigdy po brzegi, więc wycofali. — Zatrokał się.

— Wypadek?

— No jak to, nic pani nie wie? — ożywił się. — Wiele gazet o tym pisało i nawet ze mną przyszli rozmawiać.

— Niesamowite. — Iza pokręciła głową. — To musiało być coś poważnego. — Czują, że zaraz straci cierpliwość.

Szatniarz spojrzał na nią z uwagą i nastąpiła chwila ciszy. Już miała odwrócić się na pięcie i szukać szczęścia gdzie indziej, gdy nagle się odezwał:

— Wszystko potoczyło się nagle i nieoczekiwanie — sapnął głośno, siadając w obrotowym, wytartym fotelu, a jego oczy zaszyły lekką mgłą. — Ryzyko takiego wypadku jest minimalne, wie pani? — Spojrzał na Izę, jakby się upewniał, że śledzi każde jego słowo. — Dbają tu o bezpieczeństwo wszystkich pracowników — wyjaśnił. — A jednak, jak to mówią: wypadki chodzą po ludziach.

— Ale co się właściwie stało? — ponagliła.

Mężczyzna potarł brodę i zaczął swoją opowieść, którą najwyraźniej opowiadał już wiele, wiele razy.

— Pech, wypadek przy pracy czy przeznaczenie? Nie ulega wątpliwości, że to, co wydarzyło się tamtego wieczoru, zmieniło życie jednej osoby. Kostium któregoś z tancerek musiał zahaczyć o coś i popruć się, bo na scenę pospadały przezroczyste jak woda koraliki, i to wprost pod nogi tańczącej finał pary. Solista postawił krok w stronę partnerki. Wyciągnął ku niej rękę i wyprężył ciało. Scena finałowa, ostatnie zapierające dech w piersi wysokie partnerowanie. W tej samej chwili poczuł, że traci grunt. Coś drobnego i okrągłego przesunęło się pod jego butami.

Razem z nim.

Czuł, że traci równowagę. Nikt się nie zorientował, był doskonały technicznie, opanowany, ale ona biegła i była tuż przed nim. Żyła w tej roli, a publiczność szalała, bo ta charyzma udzielała się wszystkim. Wybiła się w górę, kiedy on walczył z siłą grawitacji, chwiejąc się na nierównym podłożu. Nie mogła wiedzieć. Tancerz wyrzucił ją w górę, chyba

wyżej, niż powinien, pewnie żeby zyskać sekundy, które mogłyby ocalić ich od upadku, i choć nie upadła od razu, nie zdołał jej pochwycić. Odbiła się od jego nóg i runęła wprost na przemieszczającą się scenografię. Jeden z ruchomych płomieni złamał się pionowo, przebijając kolano tancerki. Siła odbicia turlała bezlitośnie jej ciałem, by w końcu zrzucić je z impetem ze sceny wprost na rząd reflektorów.

Nastała cisza. Publiczność, artyści i obsługa techniczna znieruchomieli. Ktoś ukrywał twarz w dłoniach, ktoś inny odwracał głowę, krzywiąc się. Widzowie mieli pootwierane szeroko usta, jak zresztą często podczas tego przedstawienia, ale na ten krótki moment życie teatru wstrzymało oddech. Solistka nie ruszała się, a jej partner, jęcząc po cichu, wił się spazmatycznie w centrum sceny. Na umazanej krwią podłodze błyszczały drobinki złotego brokatu. Z kolana tancerki wystawał pokaźny płomień ze sklejki. Noga nie przypominała kształtem nogi, była dziwnie wygięta, jakby wykręcona. Na szczęście dziewczyna oddychała, choć była nieprzytomna. Ktoś ocknął się i rzucił na pomoc poturbowanej parze. „Wezwijcie karetkę!” — wołano.

— Pielęgniarze opatulili ją od stóp do głów plastikowymi łupkami. Miała startą skórę na czole i policzku i ogromnego krwiaka na brodzie. — Szatniarz zamilkł na moment. — Pamiętam jak dziś, mówię pani. Czterdzieści lat jak pracuję w tym teatrze, jeszcze zanim go odnowili i zmienił się dyrektor, a czegoś takiego nie widziałem. — Spuścił wzrok w zadumie, jak gdyby próbował odtworzyć w pamięci każdy szczegół. — Taka szkoda, taka szkoda... — mruczał pod nosem.

— I co dalej? — dociekała Iza.

— Potem musiałem iść do szatni wydać ludziom numerki — kontynuował — ale wiem od kolegów solistki, że nogi nie udało się uratować. Już nie wróciła. Szkoda, droga pani. — Zasmucił się. — Lubiłem ją, miła dziewczyna z niej była. I miała karierę przed sobą. To pewne. Wiele tancerek w życiu widziałem, ale tamta dziewczyna miała talent.

— A pamięta pan, jak się nazywała?

— Oczywiście, że pamiętam, droga pani. Jak mógłbym zapomnieć takie oczy. — Jego twarz rozpromieniła się. — Nazywała się Alicja.

Cudem dotarła pięć minut przed wyznaczoną wizytą. Autobus nie przyjechał zgodnie z rozkładem, do tego kierowca najwyraźniej nie zdążył na przerwę, ponieważ szoferka zamieniła się w bar na kółkach, a on niczym muł przeżuwał flegmatycznie kęsy swej kanapki, bardziej koncentrując się na posiłku niż na jeździe. Na szczęście klinika znajdowała się naprzeciwko przystanku, na którym Alicja wysiadła, w wolno stojącym zabytkowym budynku. Odetchnęła z ulgą, naciskając o czasie dzwonek z napisem „Genesis”. Wnętrze raziło bielą i czystością, jedynie turkusowe krzeselka w poczekalni, stojące równiutko, pastelowa doniczka ze storczykiem na blacie recepcji i usta recepcjonistki zbyt obficie podkreślone jasnoróżową szminką wprowadzały kolor do tego eleganckiego, acz minimalistycznego środowiska.

— Gabinet numer jeden. Pan doktor już czeka na panią — poinformowała sekretarka po krótkiej rejestracji.

Mężczyzna koło pięćdziesiątki, z lekko przerzedzonymi jasnymi włosami, starannie zaczesanymi do tyłu, siedział za wielkim, rzeźbionym dębowym biurkiem, wyglądającym na tle nowoczesnego gabinetu jak muzealna ekspozycja. Spod białego fartucha, a raczej ostatniego krzyku lekarskiej mody, wyłaniała się koszula w granatowo-białą kratkę, ujęta pod szyją czarnym krawatem o idealnym węźle. Siedział z nienagannie prostymi plecami, zapisując coś w dużym notesie w leciwej skórzanej oprawie. Na dźwięk zamykanych drzwi, nie podnosząc wzroku znad notatek, wskazał miejsce naprzeciwko siebie.

— Proszę się rozgościć. Już się panią zajmuję.

Przebiegł jeszcze tekst od góry do dołu, odłożył długopis, po czym chrząknął i złożył dłonie jak do modlitwy. Alicja usiadła.

— Pani... — Środkowym palcem przesunął okulary na nasadę nosa i zerknął w ekran komputera. — Alicja Bajska. Lat trzydzieści trzy. Kontuzja złożona kolana — odczytał z zaangażowaniem pierwszoklasisty, po czym przeniósł wzrok na Alicję. Jego twarz ożyła. Wsparł się na łokciach i przechylił przez biurko jak nastolatek przez szkolną ławkę, zaglądając dziewczynie raz w prawe, raz w lewe oko.

— Pani wybaczy. — Wrócił na miejsce, speszony swoim zachowaniem, przyglądając idealnie gładki kitel.

Alicja uśmiechnęła się i pomyślała o Mateuszu.

— Doprawdy imponujące — odparł. — To nie są soczewki kontaktowe.

— A pan jest ortopedą czy okulistą? — zażartowała.

— Miałem kiedyś przyjaciela o jednym oku podobnego koloru, ciemniejszego. Dużo ciemniejsze. Pani ma oba... Doprawdy niezwykle — mruknął, wiercąc się chwilę na krześle, niepokieszony brakiem reakcji ze strony pacjentki. — Przejdźmy jednak do pani kolana.

Jakby czekała na te słowa. Położyła przed Szymkowskim teczkę z trudem obejmującą swą zawartość. Doktor uniósł brwi na widok ilości dokumentacji medycznej, przypominającej gabarytami archiwum wieloletniej choroby, popartej wnikliwymi badaniami. Ze ściągniętym czołem wczytywał się w opisy i długie referaty. Wyciągnął jeden radiogram i odwrócił się na swym obrotowym krześle do mlecznego ekranu znajdującego się tuż za jego plecami. Wpiął zdjęcie i podświetlił powierzchnię.

— To się pani naciępała. — Zerknął na datę prześwietlenia i zwrócił się do Alicji: — Co właściwie mogę dla pani zrobić?

— Potrzebuję pilnie zaświadczenia o zdolności do wykonywania zawodu — przeszła od razu do rzeczy.

— Dobrze. — Kiwnął głową, po czym sięgnął po bloczek firmowego papieru. — Musimy powtórzyć rtg i usg i zobaczyć, w jakim stanie jest noga, ale wątpię — zerknął ponownie na dokumentację — aby można było coś jeszcze zrobić. Minęło już trochę czasu — wyjaśnił. Wystukał coś na klawiaturze i podczas pisania spytał: — Jaki rodzaj pracy? Biurowa?

— Nie, w teatrze — odparła.

— Jako? Inspicjentka, garderobiana?

— Tancerka.

Doktor Szymkowski przestał pisać i wbił wzrok w Alicję. Odepchnął się lekko od biurka i usiadł wprost naprzeciwko niej.

— Pani Alicjo — zaczął — jest już późno. Zostawmy żarty na kiedy indziej.

— Ale ja jestem najzupełniej poważna, panie doktorze. — Domyśliła się, że łatwo nie będzie.

Mężczyzna milczał, nie spuszczał z niej oczu.

— Zapraszam na kozetkę. — W jego głosie pojawił się surowszy ton. Usiadła na łóżku i podciągnęła spodnie. Szymkowski obejrzał kolano, jakby miał do czynienia z jajem rzadkiego gatunku, po czym zaczął delikatnie manipulować rzepką. — Boli?

— Nie.

— A teraz?

— Nie.

— A tutaj?

— Troszkę.

Uniósł głowę i wciskając palce we wszystkie możliwe zagłębienia kolana, obserwował twarz pacjentki.

— I pani tańczy, pani Alicjo? — spytał z przekąsem.

— Taka jest moja praca — odpowiedziała. — I pasja — dodała.

Kontynuował badanie.

— Rehabilitacja?

— Po wypadku. Sześć miesięcy w klinice OctopusMed doktora Friedmana, przez cztery miesiące codziennie w domu, a potem czternastodniowe cykle w Centralnym Ośrodku Medycyny Sportowej.

— Tego w Szwajcarii? — Wytrzeszczył oczy. — Wygrała pani w totolotka czy żyje ze spadku, jeśli mogę spytać?

— Na dzień dzisiejszy jestem bankrutem — uśmiechnęła się. Pobyt w klinice pochłonął nie tylko ochłapy z odszkodowania, ale także całe jej oszczędności. Tylko czy miało to znaczenie? Lekarze spisali jej nogę na straty, a przecież wczoraj tańczyła kankana.

Szymkowski spoglądał na nią. Odpowiadała, jakby była podłączona do wykrywacza kłamstw.

— Ale tańczy pani, tak?

— Nie przesadzę, mówiąc, że teraz w dużym stopniu zależy to od pana. —

Wypowiadając te słowa, poczuła fizyczną obecność serca w klatce. Wzięła głęboki oddech.

Mężczyzna wyprostował się i wrócił za biurko, dając znak Alicji, żeby usiadła.

— Pani Alicjo — zaczął — jest pani sympatyczną i dość niezwykłą, jak widzę — zaznaczył — osobą, ale proszę nie wymagać ode mnie cudów.

— Nie wymagam, proszę tylko o certyfikat — powiedziała stanowczo. — Potrzebuję tej pracy. Proszę mi pomóc...

— Dając pani zaświadczenie, zamiast pomóc, zaryzykuję własną praktykę, a panią poślę na wózek inwalidzki.

— Mateusz powiedział mi, że jest pan jednym z najlepszych chirurgów ortopedów w kraju. Skoro tak, to może mi pan pomóc. Proszę... — Zaciśnęła wargi i umilkła.

Lekarz zrobił minę, jakby się przesłyszał.

— Gdyby nie on, nie wiem, jak poradziłabym sobie w rewii — wyjaśniła — To niesamowity i uzdolniony facet. Ma pan wspaniałego syna.

Szymkowski nie odpowiedział. Kości zuchwy napinały mu się raz po raz. Pospiesznie wypisał skierowanie i podał je Alicji, nie podnosząc wzroku.

— Proszę powtórzyć wszystkie badania i wrócić z wynikami. Może to pani zrobić tutaj, sprzęt mamy. Sekretarka wszystko pani wyjaśni. Do widzenia.

Wstał i podszedł do okna. Wsunął ręce do kieszeni i zapatrzył się w dal. Płomienie dogasającego słońca wypaliły kontur jego sylwetki, ukazując zarys niemal identyczny z tym, który widywała codziennie na próbach w świetle ramp.

Przeglądała mu się chwilę w oczekiwaniu na jakąś reakcję, w końcu wstała i skierowała się w stronę wyjścia.

— Dziękuję — powiedziała, ale Szymkowski nadal milczał i odezwał się, dopiero gdy była już w drzwiach:

— To jakaś pomyłka, pani Alicjo. Ja nie mam syna.

Wyszła z kliniki odrętwiała, jakby zaaplikowano jej znieczulenie. Ominęła przystanek i skierowała się w betonowe ramiona miasta. Szła zalanym miedzią chodnikiem. Z każdą sekundą kolejny skrawek przybierał kolor pomarańczy turlającej się po zboczu nieba. Opustoszałe ulice pokrywał wolno opadający w ciepłych oparach pył. Miejscy wojownicy lizali rany przed telewizorami, wciągając odgrzane w mikrofalach kolacje i regenerując siły do następnego starcia. Przez chwilę pomyślała, że jej rany chyba nigdy się nie zagoją. Każdego dnia ktoś zadawał nowe. Była zmęczona i wściekła. Nie mogła uwierzyć, że doktor Szymkowski naprawdę to powiedział. Najchętniej wróciłaby tam i wygarnęła mu, jak podłym jest ojcem, ale przecież Mateusz nawet nie wiedział o tej wizycie. Każdy kolejny za jego plecami krok mógłby tylko pogorszyć sprawę. W żadnym wypadku nie chciała zranić uczuć przyjaciela.

Jedynego, jakiego miała.

Coś nią szarpnęło i adrenalina niczym bąbelki szampana wzbijała się, podszczypując nasadę czaszki. Gwałtownie się odwróciła i ruszyła przed siebie, ani na chwilę nie zwalniając kroku. Recepcjonistka odezwała się dopiero po piątym dzwonku i niechętnie, aczkolwiek ze zrozumieniem wpuściła Alicję do środka.

— Ma pani szczęście, doktor właśnie miał wychodzić, a jutro jesteśmy zamknięci. Zostałyby pani bez dokumentów — pouczyła.

Ale Alicja nie słuchała. Przemaszerowała poczekalnię długimi krokami i bez zapowiedzi weszła do gabinetu, zatraskując za sobą drzwi.

— Beatko, mówiłem, że już idę. Daj mi chwi... — Szymkowski obejrzał się i zaniemówił.

— Nie pozwolę panu! Rozumie pan? — dyszała. — Co z wami jest nie tak?! Opuszczać własne dziecko właśnie wtedy, kiedy najbardziej was potrzebuje! To moralne przestępstwo! — krzyczała. — Mateusz pana kocha, podziwia, szanuje! To człowiek o wielkim sercu i talencie, ale przede wszystkim to pański syn! Przede mną może pan udawać, ale nie wiem, jak może pan spojrzeć w lustro!

Szymkowski ocknął się i wcisnął czerwony przycisk telefonu.

— Beato, proszę wyprowadzić tę panią!

W tej samej chwili rozległo się natarczywe pukanie, a po nim szarpanie klamką, ale Alicja zdążyła przekręcić klucz. Ołów jej oczu wbił się w lekarza.

— Nie pozwolę panu ponownie go zranić. — Otworzyła drzwi i sekretarka wpadła na środek gabinetu, potykając się o własne nogi. — Sama wyjdę. — Powstrzymała kobietę ruchem ręki i patrząc na mężczyznę, dodała: — Swoją drogą, trzysta złotych za wystawienie skierowania? Nadal pana dziwi, że leczyłam się w Szwajcarii?

Wyszła na ulicę. Czerwień horyzontu dogasała pod popiołem nieba, a powietrze odzyskiwało swój pierwotny zapach. Szła, wciągając łapczywie jego zapasy w płuca. Czuła, że żyje, nawet jeśli to uczucie sprawiało jej ból. Wygrzebała telefon z torby. „Na pewno jeszcze nie śpi” — pomyślała, włączając komórkę. Tak bardzo chciała przywrócić słoneczny uśmiech na twarzy przyjaciela. Nie mogła znieść tego, że konflikt z ojcem odbiera mu radość i chęć życia.

Na ekranie telefonu pojawiły się komunikaty w białych okienkach. Trzy nieodebrane połączenia, dwa SMS-y i dwie wiadomości głosowe. „Alicjo, co się z tobą dzieje?! Nie odzywasz się od dawna. Zadzwoń przynajmniej” — pisała matka. Alicja uniosła głowę ku ciemniejącym falom nieba, biorąc głęboki wdech. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała w tej niekończącej się nawałnicy problemów, było poczucie winy. Zrobiło jej się głupio, że zaniedbała matkę, i obiecała sobie zadzwonić do niej nazajutrz. Wróciła do przeglądania nieodebranych połączeń. Numer, który pamiętała bardzo dobrze, powtarzał się trzy razy w ciągu kilkunastu minut. Oddzwoniła natychmiast, ale sygnał monotonnie przepadał po drugiej stronie. Na szczęście SMS także był od -Pierre’a. „Muszę ci o czymś powiedzieć”. Całą drogę do domu próbowała dodzwonić się do choreografa, ale bezskutecznie.

Gdy tylko przekroczyła próg mieszkania, zbombardowała muzyka ładunkiem pytań.

— Dobrze, że jesteś! Słuchaj, czy twój wuj ma problemy z telefonem? Masz jakiś inny do niego numer? A może zadzwoniłbyś ze swojego, żeby sprawdzić, czy tobie też nie odpowie? Mógłbyś?

Przemieszczała się po salonie, porządkując napotkane przedmioty. Odwiesiła sweter na wieszak, położyła torbę pod lustrem. Wstawiła kubki do zlewu i odniosła buty do szafki. Mężczyzna wodził za nią wzrokiem jak kot polujący na muchę.

— Mnie również miło cię widzieć — odezwał się w końcu.

Przystanęła i krzywiąc się, jakby właśnie zjadła coś kwaśnego, podeszła do kanapy i usiadła obok muzyka.

— Przepraszam. Wiem, powiesz, że zachowuję się jak lunatyczka, ale Pierre chciał mi coś powiedzieć, zdaje się coś pilnego... — urwała.

— Zachowujesz się jak lunatyczka — powtórzył, obserwując jej reakcję.

Wreszcie dostrzegła go. Jego spojrzenie. Mówiło do niej.

— Gorzej. — Pokiwała głową i uśmiechnęła się smutno. — Powoli staję się socjopatką, jeśli już nią nie jestem.

Słuchał i patrzył.

— Wtargnęłam do gabinetu lekarza i nawymyślałam mu. Co może być gorszego, zapytasz? — Muzyk milczał. — Wtykanie nosa w cudze sprawy. Ja nie kolano muszę leczyć, ale głowę. — Opadła na miękkie oparcie kanapy i poczuła, jak bardzo jest zmęczona.

— Z tym się zgodzę — przytaknął z niewyraźnym uśmiechem.

— Jesteś zły czy obrażony?

— Staram się być wyrozumiały.

— Dzięki. Jesteś najlepszym współlokatorem, jakiego kiedykolwiek miałam.

— Współlokatorem, z którym pół nocy uprawiałaś wyuzdany seks. Próbuję puścić to w niepamięć, całkiem jak ty, ale jakoś mi nie wychodzi.

Przygryzła usta.

— Ach, rozumiem, ten liścik, który znalazłam dziś w garderobie, był od ciebie. —

Zaśmiała się z nutą goryczy w głosie, próbując zmienić temat.

— Jaki liścik?

Wyciągnęła ze spodni zmięty papier i podała mu. Muzyk rozpostarł jasnożółtą kwadratową karteczkę i odczytał, po czym przeciągnął dłonią po włosach. Przez chwilę nie wiedział, gdzie podziąć oczy. Alicja wstała, cichutko postępując, kiedy rozprostowywała nogi, i pochyliła się nad nim. Zanim zdążył coś powiedzieć, pocałowała go w usta.

— Idę spać. Jutro kolejny, ostatni — podkreśliła — dzień mojej tanecznej kariery.

— Znowu uciekasz.

— Nie, po prostu jestem zmęczona.

— Ja też. Tą sytuacją.

— O co ci właściwie chodzi? — Splotła ręce na piersi.

— Powinnaś samej sobie zadać to pytanie, a tymczasem przestać traktować mnie jak mebel — uniósł się. — Czego ty właściwie ode mnie oczekujesz?

— Wydaje mi się, że w tej chwili to ty czegoś chcesz ode mnie.

— Tak, Alicjo! Nie mam piętnastu lat i dylematów wieku dojrzewania. Jestem dorosły i wiem, czego chcę!

— Ach tak? I czego chcesz? — Czuła, jak rumienia się jej policzki.

— Dobrze wiesz, o czym mówię.

— Zamiast mówić, że wiem, powiedz to głośno i wyraźnie!

— Nie widzisz? — Przeciągnął dłońmi po twarzy, jakby dopiero co się przebudził. — Jezu Chryste, Alicjo! Jesteś jak ta lwica zamknięta w klatce. Kiedy wreszcie z niej wyjdiesz, dasz się oswoić i zbliżyć komuś?

— A może ty wreszcie przejrzysz na oczy! Nie potrzebuję psychoanalityka! Za kogo ty się uważasz?! — Trzasnęła za sobą drzwiami, wprawiając w wibrację wszystkie ściany w budynku.

— Doskonale! Uciekaj, chowaj się! — Złapał poduszkę, którą miał pod ręką, i cisnął za nią. — Tyle że mnie przy tym nie będzie!

Siedział przy zgaszonych światłach na środku garderoby, wpatrując się w wibrujący telefon. Pomieszczenie, choć pozbawione okien, tonęło w migocących refleksach kamieni i cekinów, jakby podczas prób te małe plastikowe szkiełka nasiąkały światłem ramp, aby niczym świetliki cieszyć oczy w ciemności. Był do niej przyzwyczajony tak jak do samotności. Ściany pustego teatru oddychały równomiernie i zdawało mu się, że koniuszki piór wibrują w przesączonym potem, talkiem i perfumami powietrzu. Uniósł butelkę do ust i pociągnął łyk. W jego życiu było miejsce tylko dla jednej miłości. Kiedyś tak myślał, ale kiedy zdradził taniec dla innej, słono zapłacił za swoją niewierność. Zbyt długo czekał na tę chwilę, a teraz, gdy był o krok od spełnienia, nie czuł nic. Zupełnie nic. Jak impotent, który wreszcie doczekał się wzwodu, ale w kulminacyjnym momencie zabrakło wytrysku. Emocje mieszały się w jego żyłach niczym wybuchowa mikstura. Niemoc i gniew, nienawiść i miłość, strach i pasja. Wstyd. Ale było już za późno. Nie mógł się zatrzymać. Odkąd ją poznał, wszystko kapało się w innym świetle. Na dnie jej oczu ujrzał to, co utracił. W jej smutku odnalazł siebie. W jej tańcu odnalazł pasję. Dopił wino i odstawił butelkę pod ścianę. Podszedł do toaletki i zatopił twarz w wiszącym na wieszaku kostiumie. Stanik był jeszcze wilgotny od potu, przesycony jej zapachem. Przeklinał się nie za to, co czuł, ale za to, że musiał zostawić ją samą sobie.

— Wybacz mi, Alicjo — wyszeptał i chwiejnym krokiem opuścił garderobę.

Dźwięk jego kroków wznosił się po opustoszałym teatrze niczym uderzenia dzwonu o brzasku.

Minał wtopioną w ciemność portiernię i wydobył klucz do służbowego wyjścia. Pochylił się i już miał celować w dziurkę, gdy drzwi energicznie się otworzyły, cudem nie obijając mu głowy.

— Pierre! — wykrzyknął mężczyzna. — Mało brakowało. — Uśmiechnął się niepewnie i zrobił mu miejsce w przejściu. — Nie spodziewałem się tu ciebie o tej porze.

— Ja ciebie też nie. — Spojrzał na Kacpra podejrziwie.

— Muszę zabrać kilka kostiumów do poprawki — wyjąkał pospiesznie.

— Nie będę cię zatem zatrzymywał. Jestem umówiony na kolację. — Zerknął na zegarek.

— *Mon Dieu*, jak późno! — Skinął pożegnalnie w stronę Kacpra i zniknął za oszklonymi drzwiami teatru.

— Dziwak — mruknął Kacper pod nosem, odprowadzając choreografa wzrokiem i zastanawiając się przez chwilę, kogo mu przypomina. Długimi susami przemierzył zaplecze, zajrzał w zascenie i do garderób, aby się upewnić, że tym razem jest sam. Potajemne działania nie były w jego zwyczaju, jednak sprawy w ciągu ostatnich tygodni nieco się skomplikowały. Miał niepokojące wrażenie, że coś wymyka mu się spod kontroli. Na szczęście wiedział o zapasowych kluczach i gdzie je trzymała. Sam nie mógł uwierzyć, że je właśnie wykradł. Przez dwadzieścia lat był wiernym mężem i powiernikiem, wspierając żonę w każdej, nawet najbardziej absurdalnej sytuacji, a kiedy straciła ich dziecko, przysiągł sobie, że zrobi wszystko, by uczynić ją szczęśliwą. Nigdy mu się to jednak nie udało. Usunął się w cień, aby zrobić miejsce pięknej i utalentowanej żonie. Zrezygnował z własnej kariery, wymazując z serca pasję i marzenia. Cieszył się, kiedy ona się cieszyła, zgadzał na wszystko, przytakiwał i być może kontynuowałby w ten sposób życie przez następne dwadzieścia lat, gdyby kogoś nie spotkał. Kogoś, kto mu przypominał, co to jest radość bycia razem. Czułość i troska. Co znaczy być kochanym. Otarł spocone czoło i po cichu przekręcił klucz.

Wszedł do środka, szybko zamknął za sobą drzwi i opierając się o nie plecami, zapalił



światło. Właściwie nie wiedział, czego dokładnie szuka. Wystarczył jakiś szczegół, dowód zdrady, coś, co pozwoliłoby mu zrozumieć dziwne zachowanie żony, a może po prostu wreszcie ją zrozumieć. Rozejrzał się po gabinecie Izy. Toaletka ugięła się pod masą puderniczek, szminek, palet, tubek i cieni, wszystkiego, co niezbędne do wykonania profesjonalnego makijażu scenicznego, łącznie ze sztucznymi rzęsami i brokatem. W rogu lustra tkwiło, wsunięte za ramę, dość spore zdjęcie. Kacper pochylił się w jego stronę. Nastoletnia Iza w białej paczce i na puentach, w pozycji *arabesque*, na tle teatralnej dekoracji. Harmonia jej sylwetki i dziewczęce rysy klóciły się z zimnym wyrazem twarzy. „Tak pozostało do dziś” — pomyślał, wpatrując się nostalgicznie w fotkę. Słodki, chemiczny zapach kosmetyków nie zdołał przykryć odoru popiołu z kipiącej popielniczki. Kacper, krzywiąc się, ujął ją i wysypał niedopałki do kosza. Iza nie robiła tego nawet w domu, choć dobrze wiedziała, jak mu to przeszkadza. Gdy wsuwał kosz z powrotem pod stół, pewien szczegół przykuł jego uwagę. Ukucnął i przyjrzał się zawartości pojemnika. Intrygowały go papierzyska na jego dnie, jednak dostęp do nich został właśnie utrudniony. Nie było rady. Zanurzył ręce w koszu, odgarnął niedopałki i niezliczone kulki jasnożółtych karteczek, spod których wystawała pognieciona koperta z dużym kolorowym znaczkiem. Otrzeptał ją i z podnieceniem odkrył, że zawartość jest nadal w środku. Nie podejrzewał żony o romantyzm. Pisanie listów miłosnych tolerowała jedynie w literaturze pięknej; w tańcu klasycznym dopatrywała się perfekcji i przewidywalności, omijała wszelkie przejawy melancholii i sentymentalizmu. Nie lubiła być zaskakiwana. Koperta była odręcznie zaadresowana do jego żony na skrytkę pocztową i Kacprowi skoczyło ciśnienie, gdy próbował wytłumaczyć sobie fakt, o którym nie miał bladego pojęcia: od kiedy to Iza miała skrytkę pocztową? Nadawcą okazała się niejaka Fundacja Dom, co kompletnie zbiło go z tropu. Otworzył kopertę i zanurzył palce we wnętrzu, gdy nieoczekiwanie zawibrował jego telefon, drążąc mu dziurę w biodrze. Podskoczył, obmacując gorączkowo kieszenie, aby natychmiast uciszyć komórkę.

— Słucham — odpowiedział, powstrzymując przyspieszony oddech.

— Cześć, przystojniaku. Czemu jesteś taki poważny? Myślałeś o mnie? — Uwodzicielski i rozmarzony głos płynął ze słuchawki.

— Jestem w drodze do domu. Tak, rozmyślałem — rzucił na poczekaniu. — To pewnie dlatego.

— Chcę cię zobaczyć.

— Skarbie, jest późno, wiesz, że muszę wracać.

— Proszę! Iza na ciebie nie czeka. Poluje na czarownice jak zwykle — zaśmiała się dziewczyna.

— A ty skąd masz te wszystkie informacje? — zainteresował się.

— No wiesz, kobiece sposoby — odparła z zadowoleniem w głosie.

Kacper wsunął kopertę do kieszeni i wstał z podłogi. Wyrzuty sumienia były niczym czkawka.

— Mówiła, dokąd się wybiera? — zaryzykował.

— Ej! Mam być zazdrosna? — spytała zaczepnie. — Przecież wiesz, że nie odpuści dziewczynie, dopóki się jej nie pozbędzie. Tym razem chyba dopnie swego. W sumie to szkoda... — westchnęła. — To jak? Spotkamy się? Proszę, na jednego drinka, na kawę... jak wolisz. Nie mów, że nie tęskniłeś!

Kacper potarł dwudniowy zarost, próbując zebrać myśli.

— Przecież wiesz, że tak — szepnęła. — Za pół godziny, tam gdzie zwykle.

Kiedy się rozłączyli, nie wiedział, na czym skupić myśli. Niepokojące wątki rozpełzły się po jego głowie niczym jadowite węże. Z dnia na dzień wszystko coraz bardziej się gmatwało,

a on nie miał pojęcia, co się właściwie dzieje. Iza prowadziła swoje prywatne wojny, ustalała strategię, planowała, a wszystko za jego plecami. Powoli zaczynał mieć tego dość. Teraz znalazła kolejną ofiarę i jej działania, zamiast przybliżać ich do sukcesu, podwajały ryzyko porażki całego przedsięwzięcia. Nie mógł na to pozwolić. Tym razem wystawią to przedstawienie. Miał już wyjść z garderoby, ale cofnął się jeszcze w stronę biurka. Krążył wzrokiem po niedbale zebranych w stosy dokumentach, które wzięła z biura Witolda kilka dni temu. Pomiędzy nimi błąkały się ulotki z repertuarem paryskich rewii, płyty CD francuskich wykonawców, prawie pusta paczka slimów, czerwony lakier do paznokci, porcelanowa baletnica, papierowy kubek z wyschniętą kawą, napoczęte małe butelki z wodą. Żadnego ich wspólnego zdjęcia. Żadnego wspomnienia z razem przeżytych lat. Jakiś szczegół, coś, co mogłoby wpłynąć jeszcze na jego ostateczną decyzję. Stał za biurkiem i przejrzał po kolei zawartość szuflad. Ostatnia ani drgnęła. Szarpnął ją, aż papierzyska posypały się z blatu na podłogę niczym lądujące na wodzie łabędzie. Zignorował to. Przejrzał pęk kluczy i wybrał ten najmniejszy. Wsunął go w zamek i przekręcił z łatwością. Na dnie szuflady leżała duża szara koperta. Poczł niepokój. Wolalby jej tam nie znaleźć. Zajrzał do środka.

— Jezu Chryste... — Złapał się za czoło i stał tak przez dłuższą chwilę, ze wzrokiem wlepionym w pliki banknotów i listę wypłat. W bezdennej ciszy teatru zdołał jedynie dosłyszeć swój przyspieszony oddech. Zamknął szufladę i upewnił się dwukrotnie, że na pewno jest dobrze zamknięta, po czym opuścił budynek. Wsiadł do szarego bmw 5, ale nie zapalił silnika. Przez przyciemniane szyby patrzył na teatr, jakby widział go po raz ostatni. Gorycz przelewała się w jego sercu. Walnął pięściami o kierownicę, potrząsając głową. Wszystkie możliwe scenariusze bombardowały jego umysł, ale żaden pozytywny. Jeśli Witold się dowie, że Iza go okradła, pójdą z torbami i, być może, z kilkoma połamanymi żebrami. Stracą wszystko. Jeśli przez kradzież wyleci Alicja, to nie mając dublerki, mogą zapomnieć o premierze w terminie i zacząć liczyć straty. Jeśli nie daj Boże zespół się dowie, kto ich okradł z gaź i dlaczego, to w najlepszym wypadku połowa z nich odejdzie, w najgorszym odejdą wszyscy, przedstawienie zaś nie dojdzie do skutku. Jako tancerze i producenci będą spaleni. Zimny pot zrosił mu skronie. Miłość będzie musiała poczekać, bo w tej chwili musi rozmówić się z Izą. Zdecydował i natychmiast sięgnął do kieszeni po telefon. Ręka napotkała złożoną wpół kopertę. Bez zastanowienia wyjął list i odczytał kilka oficjalnie ułożonych na stronie zdań w standardowej czcionce Times New Roman. Z każdym słowem czuł, jak fotel pod nim zapada się w przepaść, a on razem z nim.

„...rozumiemy, że zgodnie z wolą rodziców adopcyjnych Pani rodzona córka przebywa tymczasowo pod Pani opieką”. Przeczytał zdanie przynajmniej z dziesięć razy, wracając wciąż do początku, pewien, że źle zrozumiał jego sens. W końcu, próbując się skupić na drżącym tekście listu, czytał dalej: „Państwo Konarzewscy poinformowali nas, iż Katarzyna na ich prośbę przebywa z Panią, gdzie ma zapewnioną pracę, mieszkanie i rozwój zawodowy. Oczywiście Pani córka jest już dorosła i sama decyduje o swoim losie, jednak proszę pamiętać, że problem, z którym się boryka, jest poważny, a uzależnienie to sprawa delikatna”. Dreszcz przeszył jego ciało. Czuł, jak krew cofa się do stóp, a twarz mu tężeje i zastyga. Ból w klatce narastał, a serce nie nadążało dopompowywać krwi. Nie był w stanie racjonalnie myśleć, ale był pewien, że dziewczyna jeszcze o tym nie wie. Zwiotczoną ręką odszukał telefon i zdążył jeszcze napisać:

„Nie mogę. Wybacz mi, Kasiu”.

Śnił jej się ojciec. To nie był jeden z tych powtarzających się na okrągło snów, tylko koszmar. Stał nad nią. Ubrany w biały fartuch. Owijał jej obolałe kolano bandażem bez końca. Szeptał przy tym notorycznie „Czary-mary abrakadabra, czary-mary...”. Zza jego pleców wychylała się Iza w białej sukni ślubnej zbryzganej krwią. Podawała mu ogromną strzykawkę. Z krwistej plamy na jej gorsecie wylaniały się proszące ręce i jasne włosy okalające głowę bez twarzy. Wtem ojciec wbił igłę w jej nogę i w tej samej chwili strzykawka zmieniła się w uchwyt od bączka. Zabawka wpędzana w ruch wirowała i rosła niczym nadmuchiwany balon Montgolfiera, a Alicja malała, biegnąc co sił w nogach po jej śliskiej powierzchni. Czuła, jak siła napędowa zdmuchuje ją z bączka niczym pyłek kurzu, powoli opadający w bramy nicości, skąd głos babki nawoływał: „Zawracaj, zawracaj!”.

Gdy tylko wróciła do rzeczywistości, upewniając się, że leży we własnym łóżku, pierwsze, co zrobiła, było umówienie się z Mateuszem w kawiarence tuż przed próbą. Chciała jak najszybciej opowiedzieć mu o spotkaniu z jego ojcem. Następnie miała w planach rozmówić się z muzykiem. Jeszcze nie była pewna jak. Chciała być z nim szczerą, bo zasługiwał na to — ale co miała mu powiedzieć? Że chyba się zakochała? Spokojna rozmowa przy pożywnym śniadaniu wydała jej się najlepszym pomysłem. W ten sposób mogłaby się odwdziżyć za wszystkie oczekujące jej powrotu kolacje.

Wciągnęła długą bawełnianą sukienkę i wsunęła klapki. Soczyste barwy poranka sączyły się przez szparki w zasłonach. Podeszła do okna i rozsunęła je, aby wpuścić do pokoju świat-listą powódź. Od dawna nie czuła takiej ochoty, aby tańczyć, kochać się i żyć.

— Dzień dobry! — Wkroczyła do salonu z szerokim uśmiechem. — Dzisiaj moja kolej na kulinarne popisy.

Kuchnia tonęła w młodym świetle i nawet przytłaczające budynek wysokościowce nie zdołały w pełni pochłonąć jego intensywności. W salonie panował porządek i spokój. Muzyka nie było. Podeszła pod drzwi łazienki i zapukała. Cisza. Chwyciła za klamkę i zajrzała do środka. Znalazła tylko pustkę i stos przepoconych trykotów oraz bluz do prania. Wróciła do salonu i nastawiła wodę na herbatę, żalując, że nie wstała jeszcze wcześniej. Wtedy miałyby tę rozmowę już za sobą, a tak... Usiadła na kanapie i jej wzrok od razu napotkał kopertę. Leżała na stoliku, zapowiadając niespodziankę. Na wierzchu widniał napis „Alicja”. Otworzyła ją bez zastanowienia i wyjęła ze środka czek i krótki liścik.

„Nie zdążyłem do bankomatu, więc zostawiam czek na rachunki. Przeniosłem się gdzie indziej (tak będzie lepiej), ale zachowaj pieniądze, będą ci potrzebne. I nie odpuszczaj. Powodzenia. Simon”. Wstała energicznie i zaczęła zaglądać do szaf, za kanapę, przejrzała zawartość szuflad i półek. Ale to nie był żart. Rzeczy mężczyzny zniknęły. Wraz z nim. Mieszkanie w jednej chwili zrobiło się zbyt duże i jakieś puste. Pomimo letniego poranka chłód pałętał się po kątach.

Znów była sama. W drodze do kawiarenki wpisała do telefonu nowy kontakt „Simon” i chociaż miała taki zamiar, nie usunęła „Muzyka” z listy. Widząc to proste, dość anonimowe słowo, od razu czuła się różnie. Za tym słowem kryły się nieznane jej wcześniej emocje i pozytywne skojarzenia. Ostatecznie zdecydowała utrwalić numer telefonu pod nazwą „Muzyk Simon” i przez całą drogę walczyła ze sobą, aby nie wybrać połączenia. Kawiarenka o nazwie Kawiarenka mieściła się na skraju parku u zbiegu ulic, gdzie często przed porannymi próbami pochłaniała z Mateuszem naleśniki z owocami. Gdy tylko wyłoniła się z bujnych zarośli skweru, ujrzała przed wejściem przyjaciela. Przebiegła przez jezdnię, by wpaść wprost w jego ramiona.

Zawsze witali się na niedźwiedzia. Wyhamowała w porę, bo inaczej z impetem runęłaby na niego lub w krzaki tuż za nim. Twarz chłopaka ściągał grymas, w oczach iskrzył się gniew, a pod nimi szare cienie nadawały Mateuszowi chorobliwego wyglądu.

Stała przed nim, wyciągając powoli rękę jak do zranionego bezdomnego psiaka. Nie zareagował.

— Mati, co się stało? — spytała niepewnie.

Stał przed nią jak kołek. Usta miał zaciśnięte. Po chwili oczy chłopaka zaszyły łzami.

— Jak mogłaś, Al! Jak mogłaś mi to zrobić?!

Chciała go przytulić, ale odsunął się. Bez pytania odgadła, o co chodzi.

— Chciałam ci powiedzieć... Nie planowałam niczego. Działałam pod wpływem impulsu. Wybacz...

— Ale nie powiedziałaś! — krzyknął. — Zadzwoił do mnie wkurwiony, dlaczego nasyłam na niego swoich źle wychowanych znajomych, którzy ubliżają mu w jego własnej klinice! A ja nic nie wiedziałem, nie mogłem nawet się bronić!

— Przepraszam, Mati, chciałam dobrze.

— Dobrze?! Kazał mi się trzymać razem z moim towarzystwem z dala od niego, wiesz?!

— Wargi mu drżały i z trudem powstrzymywał grochy łez. — Wiesz, jak to boli? Usłyszeć takie miłe rzeczy od własnego ojca?

Zrobiła krok w jego stronę. Powoli. Nie chciała go spłoszyć. Czują, że zaraz się rozplacze. Ale Mateusz się cofnął.

— A ja ci ufalem. Jak prawdziwej przyjaciółce, jak siostrze... — jęknął i skierował się w stronę ulicy.

Alicja pochwyciła go za rękę, ale szarpnął nią.

— Zostaw mnie w spokoju! — Przebiegł przez jezdnię i skręcił między budynki za rogiem.

— Mati!

Stała przez dłuższą chwilę, patrząc za wspomnieniem jego uciekającej sylwetki. Chciała pobiec za przyjacielem, ale była pewna, że jej nie wysłucha. Przynajmniej nie teraz. Najchętniej sama dałaby sobie w twarz i prawie żałowała, że Mateusz tego nie zrobił. Nie miała prawa zgrywać bohaterki za jego plecami. Wkraczać buciorami w jego delikatne sprawy i deptać je jak nowalijkowe grządki. Nie miała prawa. I chociaż kierowała nią troska, za tym szlachetnym uczuciem czaiło się coś jeszcze, coś, czemu nie chciała dać posłuchu od wielu długich lat. Weszła do Kawiarenki i zamówiła zieloną herbatę. Jej serce przepychało się pomiędzy żebrami, gotowe rozsadzić kostne więzienie i wydostać się na wolność. Usiadła pod oknem i wciąż patrzyła w miejsce, w którym straciła Mateusza z o oczu, z głupią nadzieją, że mu trochę przejdzie i wróci. Wiedziała, że się łudzi. Położyła komórkę na stosie gazet koło imbryczka z wonnym napojem i objęła go dłońmi. Drżała jeszcze i od rana nie zdołała ogrzać dłoni. Dzbanek parzył, ale nie czuła nic poza odrętwieniem. Wpatrywała się w telefon, czekając na jakąkolwiek jego aktywność, ale nawet on nie miał jej nic do zakomunikowania. Zaczęła poważnie rozważać możliwość opuszczenia rewii, ale gdyby nie pojawiła się więcej w teatrze, nie tylko potwierdziłaby swój związek z kradzieżą, ale też straciłaby swoją najprawdopodobniej ostatnią szansę. Przegrałaby wszystko.

Upiła łyk cierpkiej herbaty. Zamyśliła się. Czy przypadkiem nie straciła już wszystkiego? Jest sama, i to z własnej winy. Szansa, że zatańczy premierę, właściwie nie istniała, ale ona nadal jak Syzyf pchała marzenia pod górkę. Nadal się miotła we własnym życiu, tracąc wszystko, co cenne. Po kolei.

Niech to szlag!

„To wszystko moja wina” — pomyślała. Rozsiadła się w fotelu i sięgnęła po jedną z gazet piętrzących się na stoliku. Kartkowała ją, skacząc wzrokiem z nagłówka na nagłówek. Pogoda, giełda, porady. Gdzie, do cholery, jest praca? Pewnie ktoś wyjął dodatek. Trzepnęła gazetą o stolik, jakby chciała uśmiercić natrętną muchę. Barmanka uniosła poirytowany wzrok.

Alicja dopiła herbatę i odstawiła filiżankę. Jej wzrok zatrzymał się na wytłuszczonym druku, chowającym się pod talerzykiem. „Czego żałuję”. Przesunęła spodek i pochyliła się nad tekstem. Artykuł opowiadał o lekarzu, który w ramach prywatnych badań przeprowadzał wywiady z osobami śmiertelnie chorymi. Grupa obejmowała ludzi różniących się wiekiem, wyznaniem, wykonywanym zawodem. Jedynym elementem łączącym pacjentów było to, że umierają. Lekarz zadawał wszystkim te same pytania, a główne brzmiało: „Czego żałuję w życiu?”. Chciał wiedzieć, jak widzą swoje doświadczenia i decyzje życiowe osoby żegnające się z tym światem. Wiedział, że może liczyć na największą szczerłość, bo kto chciałby kłamać na łożu śmierci. Odpowiedzi często się powtarzały, ale ku jego zaskoczeniu jednej tylko rzeczy żalowali wszyscy.

„Czego żałuję? Że nie żyłem tak, jak pragnąłem, ale tak, jak oczekiwali tego ode mnie inni”.

Alicja poczuła narastającą falę adrenaliny. „To jeszcze nie koniec” — pomyślała. Zebrała swoje rzeczy i wybiegła z Kawiarenki.

Dawno nie czuła takiego podniecenia. Nadchodzący triumf był dla niej jak najdroższy kawior, jaki przyszło jej w życiu skosztować. Zawsze celebrowała takie momenty, nauczona doświadczeniem, że czasem trzeba wiele poświęcić, aby coś zyskać. A ona poświęciła wszystko. Czyż nie zasługiwała na zwycięstwo? Usunęła ostatni problem, który stał jej na drodze do sukcesu i sławy. Już nie musiała się lękać, że uroda, talent i wyjątkowość Alicji przyćmią jej zalety. Miała dziewczynę w garści i nic nie mogło stanąć na przeszkodzie, żeby wyrzucić tancerkę nieodwołalnie z zespołu, a nawet pozbawić jakichkolwiek szans na kontrakt poza rewią. I to właśnie przyprawiało ją o lekki zawrót głowy jak bąbelki Dom Pérignon serwowanego do kawioru.

— Dzień dobry, panie woźny! — krzyknęła w stronę portierni, przekraczając próg zaplecza teatru.

Nie przywykła wchodzić wejściem dla personelu i robiła to tylko wtedy, gdy przychodziła z Kacprem albo gdy musiała pokierować dostawców obładowanych kartonami kostiumów. Wołała główne wejście. Wyobrażała sobie swoje zdjęcia z przedstawienia w podświetlanych gablotach, piękne kolorowe plakaty reklamujące przedstawienie rewiowe roku, których projekt zamierzała przedstawić Witoldowi na dniach. Za każdym razem, przestępując próg głównego wejścia teatru, w wyobraźni przeżywała wieczór premiery, moment, kiedy wysiada z auta, i błysk fleszy nadających blasku jej kreacji.

Minęła portiernię, płynnie zarzucając biodrami, i zniknęła w wejściu służbowym, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi. Starszy jegomość w granatowym mundurze o kroju ułańskim odprowadził ją wzrokiem.

— Nie jestem żadnym woźnym — burknął.

Iza upewniła się, że jest sama. Sprawdziła, czy aby nikt o przerośniętych ambicjach nie poprzedził jej próby swoją własną, ale scena tonęła w półmroku i ciszy. Zapukała do biura Witolda, po czym szarpnęła klamką, tak dla pewności. W końcu udała się do swojego gabinetu. Obeszła biurko i ukucnęła naprzeciw rzędu szuflad. Otworzyła ostatnią, jedyną zamkniętą na klucz, i wyjęła z niej szarą kopertę. Bez zbędnych ruchów wsunęła ją do torebki i niczym kocur prześlizgujący się pomiędzy nogami wymknęła się na zewnątrz. Nie musiała nawet zapalać światła w damskiej garderobie, bo dobrze знаła drogę. Wystarczyła jasna smuga, przedzierająca się z korytarza przez szczelinę niedomkniętych drzwi, by bez trudu odnaleźć właściwą toaletkę. Ukryła kopertę w głębi niemal pustej szuflady, ugniatając ją dla niepoznaki. Stan pakunku musiał potwierdzać, że nie znalazł się on tam przypadkiem. Przecież ludzie nie byli aż tak głupi. Tyle że ona była jeszcze sprytniejsza. Wróciła do gabinetu i zasiadła za biurkiem jak grzeczna uczennica. Prosto trzymając plecy, pozbierała porozrzucane dokumenty z przesadną delikatnością. Uśmiech nie zniknął z jej twarzy, gdy do pokoju wszedł Witold.

— A co ci się stało, Iza? — Wybałuszył oczka, widząc producentkę w roli sekretarki. — Nie myślisz chyba o podwyżce? — roześmiał się, a jego brzuch podskoczył w rytm jak plażowa piłka.

— Cóż, robię to, za co mi płacisz, mój drogi — uśmiechnęła się bardziej do swoich myśli: „Głupi grubas. Nie wypłaciłby się nigdy za to, co robię dla jego tłustej dupy”.

— A więc dowiem się, czemu ściągnęłaś mnie tutaj o tak chorej godzinie? — Cmoknął żabimi wargami. Już bez uśmiechu.

— Was wszystkich — poprawiła. — Zamierzam rozwiązać kilka bardzo istotnych problemów.

Rozejrzał się w koło.

— I gdzie są pozostali?

— Pewnie w drodze — ucięła. — Ale nie będziemy na nich czekać. — Wstała natychmiast od biurka i wskazała gestem, by szedł za nią. Gdy byli w korytarzu, z trudnością dotrzymywał jej kroku. — Wiesz, jaka jestem — zaczęła. — Nie znoszę kręactwa i wyczuwam je na odległość. Tak więc przeprowadziłam na własną rękę podwójne śledztwo i dzisiaj podwójnie uchronię cię od ruiny.

Witold patrzył na nią z zaciekawieniem.

Rozświetliła przesycone kobiecością wnętrze garderoby i przystanęła przy jednym z luster.

— Zajrzyj do szuflady — nakazała.

Sponsor spojrział na nią pytająco, aż w końcu westchnął pokonany, po czym pociągnął nieco zmurszałe drewno i zatopił pulchne łapsko w jego wnętrzu. Macał dno szuflady na oślep, sapiąc przy tym, jakby oddawał się ciężkim robotom. Iza wzniosła oczy do sufitu. W końcu pchnął rękę głębiej i coś zaszeleściło. Potrząsając toaletką, wyzwolił się z uścisku zbitych desek. Z podejrzeniem przyjrzał się zmiętoszonemu pakunkowi, spoglądając nieufnie na Izę. Zniecierpliwienie zwyciężyło ciekawość i zajrzał do środka. Czerwieniał z sekundy na sekundę, wysypując na toaletkę pliki banknotów i zmiętą listę wypłat.

— Czyje to miejsce? — spytał, a w jego głosie czaiło się coś niepokojącego.

— A jak myślisz? — Splotła ręce na piersi. Na jej twarzy malował się triumf.

— Iza! — syknął. — Nie pogrywaj ze mną. Do biura!

Gdy byli już w jego gabinecie, zamknął z uwagą drzwi i zaczął skrupulatnie przeliczać banknoty. Kiedy skończył, rozpoczął od nowa. Po trzecim razie oparł łokcie o blat i najspokojniej jak potrafił, oznajmił:

— Brakuje tysiąca. Mów, co chciałaś mi powiedzieć.

Używając wszelkich talentów, Iza opowiedziała całą historię. Jak poprosiła kogoś, żeby szpiegował dla niej, że kazała przeszukać każdy skrawek teatru w poszukiwaniu pieniędzy Witolda i jak to ona nigdy nie myli się co do tancerzy, bo od razu wiedziała, że Alicja to krętaczka. Oczywiście nikt jej nie słuchał.

— To nie wszystko — dodała pospiesznie, dziwiąc się, czemu jeszcze sponsor nie kazał jej przegonić sprawczyńi wszelkiego zła. — Ona jest zagrożeniem dla zespołu i dla przedstawienia — oznajmiła. — I dla twoich zysków! — „Tu cię mam” — pomyślała, widząc wyraźne zainteresowanie mężczyzny. — Poszłam do teatru, w którym wcześniej pracowałam, i rozmawiałam z dyrektorem. Nie uwierzysz! Została wyrzucona, bo popijała i w końcu doprowadziła do straszliwego wypadku podczas przedstawienia. Tancerz chyba skończył na wózku, a ona złamała nogę w tylu miejscach, że lekarze nie tylko mówili, że nigdy nie będzie już tańczyć, ale też zabronili jej jakiegokolwiek wysiłku. Dla zdrowia własnego i innych została zwolniona — dodała pospiesznie, łapiąc oddech. — Jakby tego było mało, nie dostała żadnego zaświadczenia o możliwości wykonywania zawodu, bo nawet certyfikat, który nam przyniosła, jest fałszywy!

Witold siedział. Jego twarz wyglądała jak sparaliżowana.

— Musisz się jej pozbyć! Zrujnuje nas wszystkich! Nie rozumiesz?! — Odsunęła się od drzwi i usiadła naprzeciw mężczyzny. — Witoldzie, jeśli podpiszesz z nią kontrakt, a coś stanie się z jej nogą, to będziesz musiał płacić za leczenie! Kto wie, ile miesięcy! A jeśli weźmie adwokata? A jeśli źle o nas powie prasie?

— Dość! — Białe, wielkie pięści Witolda opadły na hebanowy blat. — Gdzie, do cholery, jest Kacper i Pierre!

Iza skurczyła się na krześle.

— Powinni już tu być...

— I jak tylko zjawi się balet, chcę natychmiast widzieć Alicję!

„Mam go!” — pomyślała, gdy tylko napięcie opadło i znalazła się poza zasięgiem wściekłych oczu sponsora. Wpadła do swojego biura po papierosa i telefon i nie widząc żadnych nieodebranych połączeń, pospieszyła w kierunku sceny. Skrywając się w bocznym korytarzu, ogarnęła spojrzeniem całe wnętrze teatru. Światło rozgrzewających się jeszcze żarówek powoli docierało do ciemnych zakamarków sceny i widowni, gdzie liczni już tancerze szykowali się do próby. Iza nigdzie nie dostrzegła -Pierre’a. Co dziwniejsze, nie było też Kacpra. Zniecierpliwiona wybrała jego numer. Po kilku sekundach z wściekłością rozłączyła się i wybrała kolejny. Znowu nic. Jeden był nieosiągalny, drugi wyłączony. „Co się, do cholery, dzieje?”

Zauważyła Kaśkę wchodzącą bocznym wejściem. Podskoczyła do niej.

— Widziałas Kacpra? — spytała.

Solistka rozchyliła usta, a jej oczy przypominały kształtem dwie monety. Jej cera, z natury blada, teraz straciła ostatnie zapasy pigmentu. Poruszała ustami, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

— Wszyscy święci! — parsknęła Iza. — No wyduś to wreszcie? Widziałas go czy nie?!

— Tutaj też go nie ma? — spytała cicho dziewczyna.

— Jak to też?! — Producentka spojrzała na Kaśkę wzrokiem żądnym wyjaśnień. —

A Pierre? A jego widziałas?

Dziewczyna pospiesznie pokręciła głową.

Iza westchnęła z dezaprobatą.

— Weź się w garść, Kaśka, zobacz, jak ty wyglądasz. No idź do lustra. — Pchnęła ją lekko. — Doprowadź się do porządku i jak przyjdzie Alicja, to natychmiast wyślij ją do Witolda. Rozumiesz? — Nie czekając na odpowiedź, odeszła szybkim krokiem, dociskając telefon do dużego złotego kolczyka i narzekając na głos.

Kaśka odprowadziła ją wzrokiem. Nie nienawidziła Izy, ale jej uczucia w stosunku do producentki mieszały się z emocjonalnym błotem. Ich relacje nigdy niczego dobrego ani czystego nie przyniosły. Wzdrygnęła się, po czym udała do garderoby. Usiadła przed lustrem i przez wiele minut próbowała wypatrzeć swoje mocne strony, ale im dłużej tak siedziała, tym mniej widziała, a więcej odczuwała. Złość drażyła swoją drogę. Tak, musiała doprowadzić się do porządku. Kacper nie może jej zobaczyć w takim stanie. Trzasnęła drzwiami i pobiegła do zascenia. Minęła rekwizytornię, aż wreszcie dotarła w rzadko uczęszczaną przez zespół głąb korytarza. Rozejrzała się, czy nikt jej nie widzi, i jednym susem wślizgnęła do przebieralni -Pierre’a, zamykając za sobą po cichu drzwi.

Alicja zrzuciła torbę i usiadła na schodkach sceny. Choć biegła całą drogę, to najwyraźniej dotarła ostatnia. Większość członków zespołu była już poprzebierana, niektóre tancerki przyzwyczajały się do niedogodności nowego kostiumu i teraz się rozgrzewały, przyozdobione w tę część, która sprawiała im najwięcej problemów na scenie. Włożyła buty. Była już dziewiąta, ale próba się opóźniła, miała więc jeszcze czas na szybką rozgrzewkę. Wykonując krążenia bioder, szukała na sali Mateusza. Żal zaciskał łapę na jej sercu, gdy zdawała sobie sprawę z przykrości, jaką mu wyrządziła.

— Zaspałaś? — Wesoły głos Dagmary rozwiął na chwilę czarne chmury wśród jej myśli.

— Hej! — Rozpromieniła się. — Raczej obudziłam na czas.

— Kaśka cię szukała — poinformowała dziewczyna, podciągając kabaretki na smukłych udach. — To znaczy coś bełkotała, że masz iść pilnie do pana Witolda — zaśmiała się nienaturalnie. — Wiesz, to jej poczucie humoru. Nie rozumiem go.



Alicja poczuła się nieswojo. „Co tym razem?” — pomyślała. Nie próbując nawet odpowiedzieć sobie na to pytanie i wiele innych, produkujących się w jej głowie z zawrotną prędkością, poszła prosto do biura. Każda sekunda zwłoki mogłaby złamać jej poranne postanowienie, aby myśleć tylko i wyłącznie o tańcu, o premierze, o przyszłości i bez względu na wszystko nie poddawać się. Witold miał dziwnie poluzowany krawat, a jego zaróżowiona twarz błyszczała się jak po godzinnym joggingu. Gdy tylko weszła do środka, przywalił ją wzrokiem i niepotrzebne były wybitne zdolności w odczytywaniu przekazów pozawerbalnych, by zrozumiała, że walczy ze sobą, aby nie powalić jej jednym rzutem niczym dżdżownica albo po prostu bezzwłocznie udusić. Odsunął się energicznie od biurka, na co Alicja odruchowo zrobiła krok w tył. Widząc to, chrząknął i poprawił sflaczały krawat.

— Powiem jasno. — Oparł się rękami o biurko i patrzył jej zimno w oczy. — Jesteś mi winna jeszcze tysiąc. Masz czas do końca miesiąca.

Próbowała przełknąć ślinę, ale jej gardło wyschło na wiór.

— Tymczasem zabieraj swoje rzeczy i nie pokazuj mi się tu więcej — wyrecytował, nie spuszczać z niej jadowego wzroku.

— Nie rozumiem... — zająknęła się. Czowała, że traci grunt pod nogami.

— Żadnych ale! Kradniesz, pijesz, kłamiesz! — Złapał leżący przed nim dokument i potrzęsął nim. — I do tego maskujesz kalectwo!

Nie mogła powstrzymać drżenia warg. Czowała, że jeśli czegoś natychmiast nie powie, to wewnętrzny pożar strawi ją od środka.

— To wszystko są bzdury!

— Bzdury?! — Z każdym słowem zraszał powietrze spienioną śliną. — Skończyłem z tobą! Żegnam! — Wyszedł zza biurka i otworzył na oścież drzwi, wskazując korytarz tłustym paluchem.

Wyszła.

Suchy trzask za jej plecami trwał jeszcze przez parę sekund. Odbijał się w niej echem. Stałoby tak nadal, nie wiadomo jak długo, ale z korytarza dobiegły ją głosy. Nie chciała, by ktokolwiek widział teraz jej twarz. Spuściła głowę i ruszyła przed siebie. W wąskim przejściu minęła wymachującego rękami portiera i wskazującą mu drogę Celinę. Kompletnie czymś pochłonięci, zupełnie nie zwrócili uwagi na Alicję. Weszła do pustej garderoby i usiadła przed swoim lustrem. Nie miała siły płakać. Mięśnie omdlałe i drżące pozbywały się powoli adrenaliny. Nie mogła wstać.

Pomieszczenie, wypełnione torbami, ubraniami i częścią obszernych kostiumów z piór, zmniejszyło się znacznie, odkąd widziała je po raz pierwszy. Przez chwilę jej myśli zajęło rozważanie nad tym, jak tancerki w pełnym przebraniu zdołają poruszać się po garderobie i mijać w drzwiach między numerami. Zapyta -Pierre'a o premierze albo Mateusza, jeśli zechce z nią jeszcze rozmawiać.

Gdy tak siedziała, wydarzenia ostatnich lat przeleciały jej przed oczami. Jakby to był koniec. Ten koniec.

Zawsze bała się końca.

Jak w tamte samotne, bolesne noce, gdy budziła się sama i sama musiała się pocieszyć, zapewnić, że wszystko będzie dobrze, i utulić ponownie do snu. Dom zionął pustką. Pokój Szymona był pusty i zamknięty. Pokój ojca był pusty i zamknięty. Pokój matki był zamknięty, a ona spała przy otwartych drzwiach, żeby chociaż powietrze nie napotykało murów. Kiedy umarła babcia, w jej sercu pojawił się kolejny pusty pokój. Tylko że ten był zawsze otwarty i przesiadywała w nim, kiedy czuła się samotna. Tak jak teraz.

Matka sprzedała mieszkanie po śmierci teściowej i kupiła mniejsze, ale także w nowym

domu Alicja znalazła na pamięć wygląd drzwi do pokoju matki.

Wtedy został jej tylko taniec. W nim były światło, ciepło, kolory. Miłość, nienawiść. Szczęście i smutek. W tańcu były marzenia, które się spełniały. W tańcu było życie. Jej życie. Jedynie, jakie miała. Ale przede wszystkim, kiedy tańczyła, nigdy nie czuła się sama.

Spojrzała w lustro. Gdyby miała coś pod ręką, rzuciłaby to w twarz tej gapiącej się na nią idiotki. Co za absurdalny kolor włosów i te oczy... Co za beznadziejny charakter! „Niech cię szlag, Alicjo! Jesteś żalosna! Uwierzyłaś, że dasz radę, ufałaś, że jest jeszcze szansa, i przejechałaś się na tym, jak na skórce od banana! A teraz boli.

Boli, prawda? Dobrze ci tak!”

Zatopiła twarz w dłoniach. Czuła, jak pulsujące skronie odpychają jej ręce. W głowie szamotało się tylko jedno pytanie: „Co zamierzasz teraz zrobić?!”

Z korytarza dobiegły ją krzyki. Może to Iza już znalazła sobie innego kozła ofiarnego. Przecież na kimś musi odreagowywać emocje, z którymi sama sobie nie radzi. Ciekawe, kto się przyczynił do jej cierpienia.

Wstała. Opróżniła szufladę toaletki z puderniczki, pędzla, opakowania ze wsuwkami do koczka i zaciągniętymi kabaretkami. Wrzuciła wszystko do torby i nie oglądając się za siebie, wyszła z garderoby. Weszła w zascenie, gdzie przez ostatnie prawie trzy miesiące spędziła drugie tyle czasu co na scenie. Zdziwiła się, że nigdy wcześniej tego nie zauważyła. Zerkając zza kotar, szukała wzrokiem -Pierre'a i Mateusza. Próba nadal się nie rozpoczęła. Panowało dziwne zamieszanie. Nikt nie ćwiczył ustawień ani choreografii, nikt się nie rozciągał. Jakby tancerze czekali na coś. Może na kolejne zmiany w składzie...

Poczuła piekący odór i oddech za plecami. Odwróciła się.

— A tu cię mam! — Kaśka roześmiała się, a wyziew z jej ust sprowokował Alicję do przymknięcia oczu. — Kogo szpiegujesz?

— Może dla odmiany napijesz się kawy? — odpowiedziała pytaniem. — Chodź, postawię ci.

— Zwariowałaś! Podczas próby?! — Solistka rozbawiła się na dobre. — Chcesz, żeby szefowa znowu po tobie jeździła?

— Nie martw się, już nie będzie — skwitowała.

— Na serio? Komu dupy dałaś? — zaciekała się. — Mnie przywileje więcej niż raz kosztowały. — Czkałka przerwała nagłą wylewnością solistki.

— Chryste... — szepnęła Alicja, rozsunała kotarę i weszła na scenę.

Kaśka podążyła za nią. Nikt nawet nie zauważył ich obecności. Małe grupki tancerzy kłębiły się w lożach, dyskutując o czymś po cichu. Inni z posepnymi minami siedzieli w zadumie, porozrzucani po teatrze. Alicja poczuła, że brak jej powietrza. Starła się nie myśleć o tym, co właśnie się stało, ale myśli jak bumerang wracały do słów Witolda. Musiała natychmiast odnaleźć -Pierre'a. I powiedzieć mu o sobie. Całą prawdę.

I o nim.

Robiło się coraz goręcej. Na rogu sceny siedziała Celina ze spuszczoną głową. Podeszła do niej. Kaśka tuż za nią, podskakując.

— Ale wisielcza atmosfera — skomentowała Alicja. — Widziałaś może -Pierre'a? — spytała.

Celina uniosła głowę. Jej twarz wykrzywił grymas, a w oczach czały się łzy.

— Nie będzie go — odparła łamiącym się głosem.

— Jak to, znowu wykręty? Co tym razem? — zniecierpliwiła się Kaśka.

— W ogóle go nie będzie — powtórzyła Celina, potrząsając głową.

— Za dużo wina czy go wy...lali — zaśmiała się solistka, spoglądając na znieruchomiałą

Alicję. — A może sam zmądrzał i zrezygnował!

— Umarł.

— Co zrobił?

— Pierre nie żyje.

— No wiesz co, Celina, nienormalna jesteś — skomentowała surowo Alicja. Tancerka spojrzała na nią. Mrugając szybko powiekami, zrzuciła łyżę na podłogę.

Alicja nic nie odpowiedziała. Poczowała, jak krew odpływa jej z twarzy, a serce zacina się i zaraz stanie. Ból w klatce zgiął ją w pół, ale się wyprostowała, zmuszając do racjonalnego myślenia. „To jakiś żart! Nieporozumienie. Na pewno da się jakoś wytłumaczyć jego nieobecność”. Po chwili pojawiła się Iza. Na jej twarzy malował się niepokój. Kiedy Alicja zeszła wraz z koleżankami ze sceny, dojrzała także przerażenie w oczach producentki. Kobieta oznajmiła sucho, że zdarzył się wypadek i choreograf niestety nie przeżył. Z tego powodu próba zostaje przeniesiona na dzień następny. Kazała tancerzom iść do domu odpocząć i tymi słowami zakończyła swoje wystąpienie. Odwróciła się w stronę wyjścia i wtedy jej wzrok padł na Alicję. Poczzerwieniała jak rozgrzany węgiel.

— A ty! Co ty tu jeszcze robisz!?! — wrzasnęła.

— Jaki wypadek? — spytała Alicja trzęsącym się głosem.

— To już nie twoja sprawa. Wynoś się z mojego teatru — odparła przez zaciśnięte zęby.

— Dlaczego to robisz? — Było jej wszystko jedno.

— Spójrz prawdzie w oczy! Jesteś za stara, za niska, za gruba, a przede wszystkim za słaba do mojego przedstawienia! Wymyśliłaś sobie ten sztuczny wizerunek, bo bez niego jesteś przeciętną szarą myszą! — Podeszła bliżej. — Jesteś nikim.

— Może i tak. — Alicja patrzyła jej prosto w oczy. — Mogę być nikim, ale nie jestem złodziejką. Dobrze o tym wiesz.

Iza rozejrzała się po skonsternowanych twarzach tancerzy, którzy zebrali się wkoło. Serce zespołu biło nierównomiernie. Nikt jednak nie miał odwagi się odezwać.

— Jesteś zwolniona. Zjeżdżaj stąd — zażądała stanowczo producentka. — Może owinęłaś sobie wokół palca -Pierre’a, ale ten idiota już ci nie pomoże! W moim zespole nie ma dla ciebie miejsca, a już na pewno nie muszę ci niczego tłumaczyć!

Włoski na ciele Alicji zjeżyły się jak sierść kota. Gdyby nim była, użyłaby pazurów. Zaciśnęła tylko dłonie. Kostki jej pięści zbieleły.

— Jak śmiesz! — wykipiała. — Za kogo ty się uważasz, żeby w ten sposób o nim mówić! — Powoli ruszyła w stronę Izy. — Jako tancerka i choreograf ledwo sięgasz mu do pięt, a jako człowiek nigdy nie będziesz mogła się z nim porównywać! Nigdy! Rozumiesz!?! Bo nie jesteś człowiekiem, tylko potworem!

Kaśka złapała ją za nadgarstek, ale ta zdążyła się wyzwolić jednym szarpnięciem i wyrosła tuż przed producentką. Iza bez zastanowienia uniosła dłoń i spoliczkowała Alicję.

Dziewczyna zamarła.

— No już! Na co czekasz?! — wrzeszczała Iza.

Policzek był niczym lodowaty prysznic. Nie ochłonęła, nie uspokoiła się, ale zrozumiała.

— Nie niżę się do twojego poziomu — wymamrotała. Rozejrzała się po osłupiałych kolegach i zanim wyszła, dodała: — Pamiętajcie, że to Pierre jest twórcą tego przedstawienia i wszystko, czego się tu nauczyliście, zawdzięczacie tylko i wyłącznie jemu. Teraz już nie ma nikogo, kto mógłby ocalić to przedstawienie.

Ulice tonęły w letnim blasku. Ludzie na ławkach przed teatrem wygrzewali się niczym foki na plaży. Nieliczne samochody w żółtym tempie sunęły po jezdniach. Nikt się nie spieszył w ciepły sierpniowy poranek. Powietrze o tej porze jeszcze pachniało świeżością brzasku, która mieszała się z zapachem słońca i miasta. Nie pamiętała, kiedy ostatnio widziała przedpołudniowe niebo. Szła przed siebie, pozwalając, by ciepłe łyzy obmywały jej twarz. Co chwilę unosiła rękę ku głowie i wydobywała wsuwki z koczka, ciskając je na ziemię, aż uwolniła płomień włosów spod ich więzi.

Pragnęła biec i krzyczeć.

Zrobiła to. Puściła się biegiem ulicą, wykrzykując wszystko, co leżało jej na sercu, i gdy dobiegła do klatki, nie pamiętała już o Izie, rewii i upokorzeniach. Jej serce galopowało jeszcze ciężkie i obolałe. Pasma wilgotnych włosów oplatały lepka od potu szyję.

Oparła się o ścianę budynku, dysząc, i z jękiem zsunęła się po niej. Wyjęła telefon z kieszeni i zadzwoniła. Gdy głos -Pierre'a z nietypowym, francuskim akcentem zapraszał do pozostawienia wiadomości, wsłuchiwała się w każde słowo, wiedząc, że to ostatnie, co od niego usłyszy, i kiedy sygnał niczym czarna dziura pochłonął jego głos, zostawiając pustą ciszę, wypełniła ją tym, czego nigdy nie zdołała mu powiedzieć.

Prawdą. Weszła do mieszkania. Pozbawione słońca pomieszczenie przywitało ją chłodem, zbawiennym w innych okolicznościach. Owinęła się kocem, który muzyk nazywał włochaczem, i skuliła się na kanapie. Zebrała resztki sił, by wysłać dwie wiadomości. Mateusz powinien wiedzieć, co się stało, a Simonowi może być potrzebna pomoc w załatwianiu formalności. Sen nadszedł natychmiast, ale nie śniła. Ocknęła się, wybudzona nerwowym stukaniem do drzwi. Zupełnie nieświadoma upływu czasu, usiadła, z trudem unosząc betonową głowę.

W pokoju panował porządek. Kuchnia lśniła. Ziola nabierały rozpiętości w doniczkach. Zegar cykał monotennie, a światło dnia przeciskało się pomiędzy budynkami. Jak co dzień.

Pukanie się wzmogło. Uwolniła się z objęć włochacza i otworzyła drzwi.

— O Boże, co ci się stało? — Na widok spoconej i rozpalonej dziewczyny mężczyzna zrobił krok do przodu.

Chciała zamknąć drzwi, ale napotkała opór jego buta.

— To nie jest dobry moment, Wojtek. Idź sobie. — Pchnęła drzwi, nie zważając, czy przytrzymaśnie mu nogę, czy też nie.

Nie ustąpił.

— Proszę cię, Ala. — Zarośnięta twarz przyjęła męczeński wyraz. — Daj mi pięć minut, a obiecuję, że sobie pójde.

Przyjrzała mu się uważnie. Desperacja krzyczała z jego twarzy. Oczy nabiegłe krwią. Przetłuszczone włosy w artystycznym nieładzie. Pomięta koszula. To nie był ten sam student psychologii, który miał uczynić z niej normalną, szczęśliwą kobietę. Nie miała siły na przepychanki ani ochoty na wylewne rozmowy o błędach i szansach. Nie chciała rozmawiać.

— Dobrze — odparła. — Ale nie tutaj. Poczekaj w barze na rogu.

Wytarła twarz ręcznikiem, ale opuchlizna potrzebowała czasu i tlenu. Zmieniła bluzkę i ugasiła pożar na głowie. Zabrała telefon i klucze i ruszyła powoli, ciągnąc nogi za sobą.

Weszła do baru, ale ledwo rozpoznała byłego chłopaka. Jej przyszłego męża, ojca jej dzieci. Siedział zgarbiony, posępnie wpatrując się w musujące przed nim piwo.

— Nie wiedziałam, że pijesz — rzuciła. — I to o tej porze.

Uniósł ciężki wzrok, ale nie odpowiedział. Alicja usiadła naprzeciwko niego i ponagliła go ruchem głowy. Przez chwilę studiował jej twarz, a gdy zaczęła tracić cierpliwość, odezwał się:

— Brakowało mi ciebie...

— Nawet nie próbuj — przerwała mu. — Mów, co masz do powiedzenia, albo idę.

Spuścił głowę i ciężko westchnął.

— Błagam cię, wybacz mi. Musisz mi wybaczyć, Ala... — zawodził.

Rozejrzała się dookoła, ale większość klientów wygrzewała się w ogródku na zewnątrz.

— Dobrze, wybaczam — powiedziała. Było jej wszystko jedno. Byle uwolnić się od niego.

Spojrzał na nią, zachęcony.

— To moja wina. Ale uwierz, nigdy nie chciałem cię skrzywdzić.

— O czym ty mówisz?

— Pamiętasz Olę? Tę, która za mną łąziła? — spytał.

Alicja poczuła się nieswojo. Znała tylko jedną Olę i akurat teraz nie miała nastroju na tego typu wspominki.

— Tak — ucięła. Chciała już wrócić do domu i skontaktować się z muzykiem. —

Blondynka z krótkimi włosami. Tańczyła ze mną w musicalu. I co?

— Byłem zazdrosny. Zrozum. Nie chciałem, żebyś odniosła sukces, bo straciłbym cię na zawsze — zaczął się jękać, więc wypił trzy głębokie łyki piwa.

Przetarła czoło. Nie podobało jej się to nagłe wspomnianie.

— Ja chciałem odzyskać ciebie, ona chciała mnie i twoją rolę w przedstawieniu. I tak... doszliśmy do porozumienia. — Nie patrzył już na nią. Łapał powietrze między jednym słowem a drugim. — Miała tylko zaważyć premierę. Przysięgam, że nie chciałem tego, co się stało... — zamilkł.

— Co ty, do cholery, próbujesz mi powiedzieć!?! — Szarpnęła go za koszulę.

— To był jej pomysł... z tymi koralikami. Podcięła żyłki w twoim kostiumie, a resztę rzuciła na scenę sama — mówił szybko, jakby chciał mieć to już za sobą. — Po wypadku mnie unikała, aż wyjechała na stałe za granicę, a ja... — zatopił dłonie we włosach — od czasu, gdy przeczytałem w gazetach o wypadku i dowiedziałem się od twojej mamy, że już nie będziesz mogła więcej tańczyć, nie zmrużyłem oka...

Wstała. Przeszła się po barze, jak gdyby szukała wyjścia z płonącego lokalu. Jej twarz wykrzywiła się, ręce próbowały obejmować ciało. Oddychała szybko i płytko.

— Ala, wybacz mi. Błagam. Zawsze cię kochałem. Odebrało mi rozum. Proszę...

— Czy zdajesz sobie sprawę, co zrobiłeś?

Odpowiedział jej cichym szlochem. Nie była w stanie znieść więcej. Pochyliła się nad nim.

— Nie zbliżaj się do mnie więcej — powiedziała po cichu. — Wojtek, nie żartuję.

W przeciwnym razie wniosę oskarżenie.

Zwiesił głowę. Pozwolił, by go poniżała. Potrzebował tego. Tymczasem nastąpiła gęsta cisza.

— Mogę to naprawić! — Wyprostował się energicznie, zrzucając piwo ze stolika. Grube szkło na szczęście przetrwało upadek. Podniósł kufel i rozejrzał się po skonsternowanych twarzach klientów.

Lecz Alicji już nie było.

„Kto by pomyślał, że tak się to wszystko potoczy”. Simon potarł dłonią dwudniowy zarost. Skóra zaczynała swędzieć, ale nie miał teraz ochoty na stanie przed lustrem. Sprawy się skomplikowały. Dopiął walizkę i postawił ją przy drzwiach. Rozejrzał się po pokoju, ale wszystko, co mogłoby nadawać mu osobistego charakteru, było już spakowane. Wnętrze ponownie odzyskało swój szablonowy wygląd czterogwiazdkowego *suite* i gdyby nie rozkopane prześcieradła na łóżku, pokojowe nie miałyby nic tutaj do roboty. Tak, spał niespokojnie. Wybudzał się często i myślał. Podobno jedyne wyjście z patowej sytuacji to ucieczka. Rozwahał ją. Samolot do Paryża odlatywał wieczorem, więc miał jeszcze cały dzień na załatwienie paru spraw. Na razie wziął kilka dni wolnego, choć zastanawiał się poważnie nad możliwością całkowitego zarzucenia projektu Spring Music Sound w Polsce i powrotu do Sydney zaraz po pogrzebie. Wahał się.

Chciał być pewien, że nie zrobi największego głupstwa w swoim życiu. Zjechał windą do baru hotelowego. Smooth jazz leniwie sączył się z głośników. Przez oszklony hol goście mogli podziwiać słoneczne przedpołudnie i biernie śledzić toczące się na zewnątrz życie z bezpiecznej pozycji obserwatora. W wysokim i awangardowo urządzonym lokalu unosił się zapach świeżo mielonej kawy. Z sufitu spadały w przestrzeń długie żyrandole z szarych kryształów niczym łańcuchy powiększonych płatków śniegu. Przy okrągłych stolikach ze szkła klienci konsumowali śniadanie w ciszy.

On zamówił kawę. Barmanka, stawiając przed nim dymiącą filiżankę, uśmiechała się konfidencjonalnie. Jeszcze kilka miesięcy temu wzięłyby od niej numer telefonu albo po prostu zaprosił na górę do swojego pokoju. Teraz głównie go to obchodziło. Ledwo czuł aromat kawy, jedynie tę wszechobecną woń, którą przez ostatnie miesiące przesiąkł do szpiku kości; ziola, kadzidełka, zielona herbata, jej skóra. Ona... A może jego mózg stracił zdolność reagowania na wszystkie inne zapachy poza tym jednym? Jej. Nie mógł przegonić sprzed oczu jej spojrzenia. Widział je wyraźnie, zwłaszcza pod powiekami, niczym blask czterystuwatowych żarówek. Wyjął z kieszeni portfel i wydobył dwa bilety Air France. Położył je przed sobą i wypił kawę. Lubił espresso. Za ten jeden, konkretny łyk. Był wściekły na wuja, że przez niego właśnie teraz musi lecieć do Francji. Po powrocie mogło być już za późno na pewne decyzje. Dlatego drugi bilet kupił dla niej, mimo iż wuj nie życzyłby sobie nikogo spoza rodziny na pogrzebie. „Do licha z tym, czego on chce” — pomyślał, uderzając pięścią w stół. Błyszcząca czarna filiżanka podskoczyła, spadając ze spodka. Od dziecka nie potrafił się naginać do woli innych. Dziś wiedział, że powodem buntu był ojciec, którego miłość polegała jedynie na planowaniu i organizowaniu mu życia. Tak jakby jego historia została spisana i czekała na realizację, jeszcze zanim się urodził. Ale on nie zamierzał iść wytyczoną mu drogą. Talent do nut miał we krwi. Choć matka po zagranii ostatniego koncertu w Sydney, gdzie dopadły ją strzały Kupidyna, nie tknęła więcej skrzypiec — no chyba tylko po to, żeby je odkurzyć i opowiedzieć synowi o mocy muzyki — co niedziela zabierała go na koncerty, od klasyki po jazz i blues. Chłonał dźwięki jak gąbka wodę i dobrze wiedział, że to muzyka wypełni jego życie. Ojciec poskramał te zapędy. Był pewien, że zainteresowania tego typu są elementem młodocianego rozwoju, a nie poważnym zajęciem dla dorosłego. „Czasem życie jest tak proste, że człowiek popada w depresję z braku konfliktu” — mawiał i Simon myślał wtedy, że może ojciec ma rację. Że w pewnym sensie mówi sam o sobie. Nie miał talentów ani pasji. Umiał „robić biznes” i w nim widział sens. Znajdował konflikty i rozwiązywał je, bo jego egzystencja przebiegała po nieznośnej równi. Prawdopodobnie z tego powodu Simon za wzór obrał sobie buńczuczny, nieprzeciętnie

uzdolnionego wujka, który po stypendium baletowym w Paryżu rozpoczął karierę we francuskich teatrach i rewiach. Nie będąc niczego świadom, odegrał znaczącą rolę w życiu bratanka.

Ale teraz pojawiła się ona. W jego życiu. W ich życiu. Simon chwycił bilety. Zgiął wpół jeden z nich i wsunął z powrotem do portfela. Drugi podarł na drobne kawałki.

— I znów wygrałeś — burknął pod nosem. Mruczenie telefonu wybawiło go od tarzania się we wspomnieniach, ale sięgnął po niego niechętnie. Wydarzenia ostatnich dni dały mu do myślenia, a mógł poddać się efektywnej refleksji, tylko jeśli był sam.

Na widok wiadomości od Alicji impuls elektryczny przebiegł wzdłuż jego pleców. „Już wie” — pomyślał. Jeśli pomoc przy pakowaniu rzeczy wujka to jedyny sposób, żeby znów się spotkać, to zabierze ją ze sobą. Zaryzykuje. W SMS-ie podał Alicji adres i godzinę. Podziękował.

Tyle.

Kłua go jego własna oschłość. Musiał jednak zachować dystans.

Z bliska rzeczy traciły ostrość.

Kacper wpadł do domu. Oddychał nieregularnie i pocił się obficie. Czuł, że traci kontrolę, a nie zdarzyło mu się to od ponad dwudziestu lat. Poplątane włosy, bez rygorystycznej gumki, nadawały mu wyglądu bezdomnego kloszarda w trakcie amatorskiej kradzieży. Tak też poruszał się po pokojach, rozrzucając wszystko po podłodze i wybebeszając szafy. Rozglądał się niespokojnie po wnętrzach, które Iza wystylizowała z wielkim zaangażowaniem, a które w tej chwili wydawały mu się zupełnie obce. Ofiarą kolejnego natarcia stała się toaleta żony i kredens z jej bielizną. Jedwabne czarne i czerwone majteczki przykryły podłogę. Nawet nie wiedział o ich istnieniu, ale nie to zajmowało mu teraz głowę. Zrezygnowany padł na łóżko. Zanurzył ręce we włosy i targał je gorączkowo.

— Coś musi być — jęczał. Jego wzrok błądził po zakamarkach mieszkania, jakby znajdował się w nim po raz pierwszy. Wtem wstał i rzucił się w stronę kuchni. Jego ciało uspokoiło się w jednej sekundzie, tak jak przed każdą premierą. Drżał cały do momentu postawienia pierwszego kroku. Potem wszystko mijało. Strach, niepokój, nadmierne podniecenie zastępowała koncentracja. Na scenie nie pomylił się. Nigdy. Podszedł do kredensu z przyprawami i książkami kucharskimi. Z trudnością objął wzrokiem rząd opasłych tomów wielkich mistrzów sztuki kulinarnej. Nie kupili żadnego z nich. Iza nie przeczytała nawet jednego. Kolekcjonowali nawet bezużyteczne prezenty od znajomych, ale nie o to chodziło. Było coś innego. Iza ostatnimi miesiącami wciąż przesiadywała w kuchni, a przecież nie gotowała. Wyciągnął pierwszy z brzegu album w twardej oprawie. Kuchnia azjatycka. Przekartkował sztywne jeszcze strony pachnącej nowością książki. Odłożył ją na miejsce i wziął do ręki kolejną. Tym razem obrócił tom do góry nogami i strzepnął nim jak śnieg z płaszcza. Nic. Sprawdził kolejne.

Bez rezultatu. Otwierał puszkę z przyprawami, zanurzał palce i nos w aromatycznych mieszankach, ale nic poza utratą powonienia nie osiągnął. Za ostatnią puszką zauważył oryginalne wydanie *Historii rosyjskiego baletu* Bachruszyna. Nie znał tego języka, ale rozpoznał okładkę. Zielony militarny kolor papieru i mała baletnica pod nazwiskiem pisarza. Iza czytała tę książkę, kiedy się poznali. Gdy wziął wysłużony egzemplarz do ręki, jego zawartość posypała się na podłogę. Serce Kacpra przyspieszyło. U jego stóp leżały koperty, kartki i zdjęcia. Na jednym z nich kilkuletnia dziewczynka.

Rozpoznał od razu. Usiadł pomiędzy fragmentami układanki, której czuł się brakującym elementem. Z trudnością powstrzymywał drżenie ręki, gdy podnosił zdjęcie z podłogi, by po raz pierwszy w życiu zobaczyć swoją córkę w wieku nie więcej niż kilku lat.

Te same czarne kulki w miejsce oczu i buźka, choć bardzo pyzata, to uśmiechnięta w rozbrajający sposób, zupełnie jak teraz.

— Jezu Chryste, przecież ja prawie poszedłem do łóżka z własną córką! I to pod nosem swojej żony. — Potarł oczy palcami, niemal wciskając je w oczodoły. — Jak ona mogła zrobić mi coś takiego? — zajęczał. Pozbierał koperty, zdjęcia, kartki i dźwignął się z posadzki. Zgięty i przygarbiony, ciężkim krokiem przeszedł do salonu, nalał sobie whisky i po jednym głębszym odnalazł odrobinę odwagi, aby wreszcie poznać prawdę.

\*

W ciągu półgodziny teatr opustoszał. Punktowe światła znad pierwszych łóż przedzierały się przez gęste kłęby dymu, tracąc swoją moc i miękko opadając na stoliki i kanapy. Iza zapaliła kolejnego papierosa i wrzuciła puste opakowanie do wypełnionej po brzegi popielniczki.



Zaciągała się, po czym zaczęła podgryzać paznokcie kciuka. Zerkała na policjanta w samej koszuli rozpiętej aż do mostka i z rękawami podwiniętymi nad łokcie, energicznie przemieszczającego się z jednego kąta sceny w drugi. Prawą dłonią gestykulował zamaszycie, a lewą przyciskał telefon do ucha, tłumacząc coś z rozdrażnieniem. Pomimo wysiłków Iza zdołała zrozumieć tylko pojedyncze słowa bez znaczenia. Mężczyzna, sapiąc głośno, zbiegł ze sceny i ponownie zwrócił się do portiera stojącego z przerażoną miną.

— Czyli mówi pan, że kto to był? — dopytywał się niecierpliwie.

— No, jak już mówiłem wcześniej. Powiedział, że jest bratankiem pana -Pierre'a. Ojoj, jakie nieszczęście — rozedrgał się staruszek.

— Nie szkodzi. Niech pan powtarza, najlepiej słowo w -słowo.

— No tak słowo w słowo to trudno będzie. — Portier potarł zwisające policzki. — Bo on z akcentem mówił i czasem coś w obcym języku dorzucał, ale wyraźnie podkreślił, że wypadek się zdarzył i wuj nie żyje.

— A mówił, co dokładnie się stało? — wtrąciła się Iza.

— Nie mówił, pani Izo. — Pokręcił głową mężczyzna. — Zdenerwowany był. Rozumie pani. Głos mu się łamał. Powiedział, że wuj będzie pochowany we Francji i że on też na pogrzeb jedzie, i że pan Pierre miał ten numer zanotowany w telefonie, więc chciał poinformować...

— Dobra. Niech pan wraca do pracy. — Kiwnął głową policjant. — Dziękuję.

Witold milczał, czekając, aż zostaną sami, po czym zwrócił się do Izy.

— I co teraz? Masz jakiś genialny pomysł? — splótł ręce nad wżórką brzucha. — Niech to szlag, tylko tego mi brakowało. Wiedziałem. Wiedziałem! Od początku nie podobał mi się ten fircyk. Kto wie, w jakie bagno się wpakował. — Zanurzył pulchne dłonie w kieszeniach, wypełniając je po brzegi.

— A może miał po prostu wypadek samochodowy albo wylew. Zresztą to i tak nie ma teraz znaczenia — skwitowała Iza.

— Poważnie? Skoro jesteś taka inteligentna, to wymyśl, co mam powiedzieć VIP-om, których zaprosiłem na premierę, dziennikarzom i wszystkim, którzy kupują właśnie przedpremierowe bilety! Nie zamierzam stracić na tym cyrku ani złotówki więcej, jasne?! — mówił coraz głośniej. — Doprowadzicie mnie do ruiny! Jeden się przekreślił, drugi zaginął! Ożeż! jasna... — Zatrząsł bladym podbródkiem, kontrastującym z poczerwieniałą twarzą.

— Nic nie powiesz — oznajmiła chłodno. — Przedstawienie jest prawie gotowe. Podamy wiadomość, kiedy bilety zostaną wyprzedane albo lepiej po premierze — zaproponowała.

Obrzucił ją wyniosłym spojrzeniem.

— Czekaj, czekaj — zastanowił się przez chwilę. — A może właśnie nagłośnimy sprawę i zarobimy na martwym więcej niż na żywym?

Iza spuściła wzrok.

— To nie van Gogh, tylko francuski choreograf, Witold. Zresztą nie ma teraz na to czasu, trzeba doprowadzić przedstawienie do premiery.

— No właśnie! — uniósł się. — Jutro na próbie tak poprzestawiaj dziewczyny, żeby nie było dziury po tej, co dziś wyleciała — nakazał.

— Chyba żartujesz! — oburzyła się Iza. — Wybacz, ale to ja się na tym znam lepiej. Nie ma czasu na tak drastyczne zmiany. Trzeba by dorobić mnóstwo choreografii i pozamieniać tancerzy miejscami. Nie zdążymy!

— Nic mnie to nie obchodzi. — Zacisnął zęby. — Zrób tak, żeby działało.

— Kaśka zapcha dziurę po Alicji — oznajmiła Iza.

Witold zmarszczył brwi, kompletnie zbity z tropu. Spojrzał na nią pytająco. Nie pozwoliła mu otworzyć ust.

— A ja zatańczę partię solową.

Patrzył na nią, jakby dopiero co wybudził się ze snu, w końcu wybuchł histerycznym śmiechem. Iza wstała oburzona i rozejrzała się w poszukiwaniu swojej torebki. W tym samym momencie rozległ się hałas w głębi sceny i tylna kotara rozciągnęła się do granic wytrzymałości. Pośrodku połyskującej tkaniny pojawiło się uwypuklenie, które pęczniało, aż w końcu pękło i spomiędzy welurowych objęć ktoś wypadł na deski.

Iza wytrzeszczyła oczy na widok podnoszącej się z parkietu dziewczyny.

— Co ty tu robisz, do jasnej cholery?! — zapienił się Witold.

Kaśka podparła się na rękach, rozkraczyła i ledwo trzymając pion, wstała.

— Czekam na Kacpra! — wybełkotała.

Iza spojrzała na nią z oburzeniem.

— Jak to czekasz na Kacpra? — rozzłościła się.

Witold spojrział na producentkę zaskoczony.

— Nie widzisz, że jest pijana w trzy dupy? Lepiej zamów jej taksówkę, niech ją zawiezie do domu — polecił.

— Nigdzie nie jadę! — zaprotestowała solistka. — Chcę się mnie pozbyć z przedstawienia! Krętać! Wszystko powiem Kacprowi! Wszystko!

Iza wbiegła na scenę i krzywiąc się, złapała dziewczynę pod bok.

— Zostaw mnie! — Odepchnęła ją Kaśka, zabujała się i upadła.

— Ty niewdzięcznico! — Iza poczerwieniała. — Dałam ci pracę, mieszkanie i szansę na sukces, a ty tak mi się odwdzięczasz! Popatrz na siebie! Śmierdzisz jak gorzelnia.

— Nie wrzeszcz na mnie! Nie jesteś moją matką!

— A właśnie że jestem!

Cisza zapadła jak kurtyna po finałowej scenie, kiedy nie można już zmienić tego, co zostało wyrecytowane. Kiedy nie ma już odwrotu.

Iza zakryła usta dłonią. Patrzyła na dziewczynę. Chyba drżała. Zrobiła krok w jej stronę, ale w tej samej chwili wycofała się. Kaśka uniosła głowę. Jej oczy, niczym dwie rozbite szyby, których odłamki nadal tkwiły we framugach, nigdy nie były pełniejsze. Niezdarnie odpychając się od parkietu, wstała. Jej znieczulone ciało nadal walczyło z grawitacją, ale głowa zupełnie wytrzeźwiała.

W ciszy wyszła z teatru.

Nikt jej nie zatrzymał.

— O Jezusiku! Ali, kto cię napadł?! — Mateusz załamał ręce na widok potarganej i zapłakanej przyjaciółki. Wciągnął ją do mieszkania i zaprowadził do salonu. Posadził w fotelu i odgarnął jej wiśniowe pukle z twarzy. — Gdzieś ty się szlajała? — Zmarszczył okrągłe czoło. — Nie dziwi, że ciągle ładujesz się w tarapaty — westchnął, osuszając wilgotną twarz dziewczyny.

— Wybaczysz mi? — Ujęła jego dłonie.

Twarz Mateusza nasiąkała emocjami.

— Już wybaczyłem... — Wzruszył ramionami. — Ale co ci się stało, kobieto?

Alicja wzięła głęboki oddech i opowiedziała mu wszystko bez wdawania się w najdrobniejsze szczegóły. O tym, jak została wyrzucona z zespołu za kradzież i kłamstwa, o nagłej śmierci -Pierre'a, o kłótni z Izą i o poznaniu sprawcy wypadku, który zakończył jej dopiero co rozpoczynającą się karierę. Mati słuchał i co słowo wybałuszał oczy, klepał się w czoło i potrząsał jasną czuprynką z niedowierzaniem. Na koniec wyznania objął Alicję i mocno przycisnął do piersi, kompletnie odejmując jej oddech.

— O nie! — jęknął. — Nasz Pierrasek! Jak to możliwe? Źródło moich fantazji. Najlepszy z najlepszych! I co my bez niego pocniemy?

Kiedy zdołała uwolnić się z uścisku, zauważyła, jak oczy Mateusza zachodzą łzami. Sama nie mogła jeszcze uwierzyć w to, co się stało.

Pierre nie żyje.

Umarł.

Jedyny, który uwierzył w nią pomimo wieku i kontuzji.

Jedyna osoba, której niczego nie musiała tłumaczyć.

Jedyny mężczyzna, który był w jej sercu, zanim jeszcze go poznała.

Odszedł.

Jak Szymon.

Jak ojciec.

Jak babcia.

Jak wszyscy, których kochała. Oparła gorącą głowę na ramieniu przyjaciela. Tak naprawdę była wściekła, ale jej ciało odmawiało posłuszeństwa. Nie chciało się unieść i walczyć. Miało w nosie uczucia i emocje, które od miesięcy zajeżdżały je bez końca. Wolało pozostać sflaczałym workiem pozbawionym wnętrzości. Chciało być puste i leżeć nieruchomo.

— Jestem skończona — wymamrotała.

Mateusz złapał ją za ramiona i potrząsnął.

— Przestań bredzić! Weź się w garść, dziewczyno! Coś poradzimy! — zapewnił. — Porozmawiam z Izą!

— Ani mi się waż! — Podskoczyła. — Nie chcę mieć z tą zmiją nic wspólnego! Nie ma za grosz szacunku nie tylko dla żywych, ale i dla zmarłych.

Mati przysunął się do Alicji i zwiesił głowę.

— Jutro pójde na próbę i wyspieguję ich plany — zdecydował po chwili.

— Jeśli chcesz coś dla mnie zrobić, to podczas premiery daj z siebie wszystko. — Spojrzała na niego z powagą. — Niech to będzie twoje najlepsze przedstawienie w życiu.

— Słowo harcerza! — Ucałował ją w policzek i umilkli, ściśle przylegając jedno do drugiego.

Ciszę przerwał dźwięk nadchodzącej wiadomości. Alicja oferowała pomoc przy

pakowaniu rzeczy -Pierre'a. Simon wysłał jej adres, pod którym mieli się spotkać, aby spakować jego rzeczy. Poszła na przystanek pieszo, choć Mateusz nalegał, że zamówi jej taksówkę na swój koszt. Nie chciała też, żeby ją odprowadzał. Czuła, że wprowadziła swoją obecnością wystarczająco dużo zamieszania w jego życie. Czy tylko w jego?

Wsiadła do prawie pustego tramwaju i stanęła na końcu wagonu. Jak zawsze. Koła, powoli wpędzane w ruch, piskliwie zgrzytały o szyny. Do wnętrza wpadło ciepłe i ciężkie powietrze sierpniowego miasta. Jego intensywny zapach natychmiast przywołał wspomnienia. Wzbudził w Alicji euforię i nagle znalazła się w tamtym tramwaju.

Tak mocno pachniało latem, kiedy jechała na warsztaty baletowe. Czuła podekscytowanie i nie mogła się doczekać, aż stanie w pierwszej linii, gdzie postawił ją Maestro. Muzyka, do której tańczyli, wprawiała w drganie jej najgłębsze pokłady wrażliwości, a choreografia była jak pokarm dla młodej, chłonnej wyobraźni. Dawno nie czuła się tak szczęśliwa, jak podczas tamtych wakacji. Pewnego dnia, gdy tata był z Szymonem na zlocie Młodych Wynałazców, przyjechała na weekend ciocia Pati, starsza siostra mamy. Całe popołudnie spędziła na zachwycaniu się wynalazkami Szymona i sekundowaniu siostrze w ochach i achach nad jego niezliczonymi talentami. Mama nie zmieniała tematu nawet na pięć minut, opowiadając o nagrodach i nadzwyczajnym geniuszu syna, aż zrobiło się późno. Alicja ubrała się w trykoty, spakowała torbę i upięła burzę włosów w konkretnych rozmiarów kok. Była gotowa do wyjścia.

— To ja idę, mam — poinformowała głośno z przed-pokoju.

Matka tylko kiwnęła głową, nie milknąc nawet na chwilę, ale ciotka spojrzała na Alicję z zaciekawieniem.

— Ależ ty wyrosłaś, moja panno! — powiedziała i zwróciła się do siostry: — Coraz piękniejsza ta twoja córka, Madziu.

Na te słowa mama zamilkła.

— Dokąd się wybierasz, kochanie? — zainteresowała się ciotka, więc Alicja pospiesznie, jak gdyby ktoś odliczał czas jej odpowiedzi, wspomniała o warsztatach, sławnych baletmistrzach i o tym, jak niezwykle jest taniec.

Matka przerwała jej, machając ręką tak, jak odgania się natrętnego owada.

— Ach wiesz, Pati, te tańce, takie tam hobby nastolatków. Chodź, pokażę ci modele Szymusia.

Alicja nigdy się nie skarżyła. Nie narzekała. Nie była zazdrośna. Kochała brata i podziwiała go tak samo jak cała rodzina, szkoła i reszta świata, która miała zaszczyt go poznać, ale na drugi dzień nie pojechała więcej na zajęcia. Zasiadła do lekcji za biurkiem, zawalonym książkami i zeszytami, przy otwartych na oścież drzwiach. Czekala, aż kobiety będą przechodzić obok i się zdziwią, czemu Alicja jeszcze nie jedzie do teatru, a wtedy ona też będzie mogła pochwalić się swoimi ocenami.

Mijały pokój wielokrotnie, nawet nie zauważając jej obecności. Dopiero gdy szła do kuchni po coś do picia, matka spojrzała na nią zdziwiona.

— Alicjo, co ty tu jeszcze robisz? Spóźnisz się na balet — ponagliła.

— Zajęcia się już skończyły, mam — odparła niepewnie.

Kobieta spojrzała na zegarek, unosząc cienkie i bardzo wyraźne brwi.

— Jak mogłaś je przegapić? Wiesz przecież, ile kosztują nas te twoje zajęcia pozaszkolne!

— Chciałam się dobrze przygotować na jutrzejszą klasówkę, mam — oznajmiła z dumą.

Matka spojrzała na nią z tą swoją wystudiowaną dezaprobatą i kręcąc głową, odparła:

— Oj, córciu, sama nie wiesz, czego chcesz.

Wydało jej się dziwne, że zapomniała o tym zajściu. Teraz jednak jakby odgarnęła

mgliste warstwy wspomnień sprzed oczu i ujrzała prawdę. Wszystko zdawało się takie jasne i oczywiste. Starła się za wszelką cenę skoncentrować na tych wspomnieniach i odczuciach w strachu, że zaraz znikną tak nagle, jak się pojawiły. Całe życie dążyła, aby stać się sobą i żyć w zgodzie z własną naturą, ale była to droga pod górkę. Potrzeba akceptacji i bycia kochaną zmusiły ją, aby dostosowała się do potrzeb i wyobrażeń innych, a bycie taką, jakiej od niej oczekiwali, było ceną, którą musiała zapłacić za odrobinę ich uwagi.

Gdy dotarła do domu, wzięła gorący prysznic. Choć termometr za oknem uparcie wskazywał dwadzieścia osiem stopni, ona czuła dreszcze biegnące po ciele. Ubrała się w czarną bawełnianą sukienkę za kolano i zaplotła włosy w warkocz. Przemierzała mieszkanie niczym zjawą i nawet w jej chodzie było coś smutnego. Z gorliwością gejszy zaparzyła zieloną herbatę, nadając niepowtarzalności każdemu gestowi. Skupianie się na tym, co robiła, nawet na najdrobniejszych czynnościach, pozwalało jej oszukać własny umysł, uniemożliwiając mu drażnienie tego, co się stało.

Pierre nie żyje. Usiadła na drewnianym taborecie przy kuchni i objęła dłońmi parzące krągłości kubka. Powoli uwalniający się aromat *lemongrass* pomógł przywrócić równowagę zmysłom. Upiła łyk i cierpko-gorzka przyjemność wypełniła jej podniebienie. Spojrzała na zegar wiszący nad okapem. Baletnica w białej paczce, na puentach, w pozycji *grand battement*, lewą ręką odmierzała właśnie godzinę szesnastą. Odstawiła kubek i zaczęła się szykować do wyjścia. Krótka dopasowana marynarka z wytartego dżinsu, zielona torba, baleriny i duże okulary. Przekręciła klucz w zamku trzy razy i ruszyła na pożegnanie z -Pierre'em.

Jego mieszkanie mieściło się blisko teatru, tuż za parkiem. Przechodząc obok głównego wejścia, poczuła napięcie w każdej fibrze mięśni. Jeszcze rano żyła tym miejscem, a teraz była jedynie przechodniem. Potencjalnym widzem. Jak każdy inny. Skręciła w boczną aleję. Mocno przybrudzone różem niebo pokładało się leniwie w koronach starych kasztanów. Pachniało nagrzaną korą i świeżo przyciętą trawą. Odrestaurowana kamienica stała prościutko, wypinając pierś pełną balkonów niczym oficer w odświętnym mundurze pełnym odznaczeń. Alicja zadarła głowę. Przeskakując wzrokiem z balkonu na balkon, zastanawiała się, który z nich należał do -Pierre'a. Wyobrażała sobie, jak siadał co wieczór z lampką czerwonego wina i z nogami opartymi o barierkę balkonu, podziwiając widowisko przyrody. Podeszła do ornamentowanej żelaznej bramy i w głębi podwórka ujrzała muzyka. Stał oparty całym ciałem o jasnoszarą ścianę budynku, co wyglądało tak, jakby ta go podtrzymywała. Na jego widok Alicja poczuła ciepło spływające w dół ciała, ale zignorowała swoją reakcję. Zbliżyła się, a gdy uniósł wzrok, nawet nie próbowała go odczytać. Po prostu objęła mężczyznę i mocno przytuliła.

— Tak mi przykro — wyszeptła.

Wjechali na ostatnie piętro uwięzioną w siatce windą, która pachniała starym drewnem i smarem. Jej rytmiczny stukot, gdy wciągała ich na górę, wypełnił ciszę między nimi, a gdy weszli do mieszkania, Alicja rozejrzała się po wnętrzu i wybuchła płaczem. Gdzieś w głębi rozpacz otworzyła swe wrota i niewyobrażalne pokłady niemocy wlały się do jej serca. Ciepła i sucha dłoń Simona przeganiała krople z jej twarzy.

— Jeśli nie czujesz się na siłach, to cię odwiozę do domu — zaproponował.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

Jasne nieduże poddasze na pierwszy rzut oka świeciło pustkami. Jego ascetyczność pogłębiał brak kolorów, zwykłych, domowych przedmiotów i niemalże artystyczny minimalizm. Kwadratowy stół z ciemnego nagiego drewna wyznaczał centrum pomieszczenia. Nad nim spuszczała się na linie zwykła żarówka, jak te w staroświeckich piwnicach. Surowe, białe ściany przyozdabiały liczne antyramy, niektóre stały na podłodze, zwyczajnie o nią oparte. W każdej czarno-białe zdjęcie najznakomitszych prekursorów tańca, baletmistrzów, choreografów w dość

prywatnych, wręcz skradzionych potajemnie ujęciach. Maurice Béjart demonstrujący grupce tancerzy jedną ze swoich genialnych interpretacji, Michaił Barysznikow podczas prób do *Białych noc*. Determinacja i skupienie emanujące ze spoczonej, bladej twarzy. Ból i nadzieja w oczach Marthy Graham. Szaleństwo i geniusz w spojrzeniu Nuriejewa.

Alicja zdjęła marynarkę i odłożyła torbę.

— Nie ma tego dużo — powiedziała.

Zdecydowali, że popakują wszystko w kartony, które Simon przywiózł samochodem. Kiedy poszedł po nie, Alicja rozejrzała się po mieszkaniu. Korytarz na dwa kroki stanowił łącznik między głównym pomieszczeniem z aneksem kuchennym a kwadratową sypialnią, wypełnioną grubym materacem, antyczną szafą i plakatem na całą ścianę. Nie rozpoznała na nim żadnej sławy baletu ani sceny ze znanego przedstawienia. Było to po prostu doskonałe ciało tancerki w ekstremalnym ujęciu. Plecy wygięte w łuk. Krople potu na naciągniętej skórze brzucha i dekoltu. Piersi wtopione w klatkę, sterczące, twarde sutki. Wyprostowana prawa noga w pionie, naprężona do granic. Palce stopy nagie, obciążone, aż podwinięte pod siebie i nadające stopie kształt półksiężyca. Lewa noga niczym kolumna podtrzymująca świątynię. Rzeźbiona, nieruchoma. Ręce omdlałe, ale zdecydowanie ciągnące głowę i tułów w tył. Dłonie przypominające wyglądem zwiędnięte liście, opadające z gałęzi rąk. Twarz, choć słabo oświetlona i pozbawiona makijażu, pełna wyrazu i życia.

Perfekcja każdej linii. Delikatność i siła.

Pasja.

Alicja podeszła do szafy i otworzyła ją. Białe i czarne spodnie na wieszaku. Garnitur w pokrowcu. Dwie pary dżinsów złożonych w kostkę, kilka czarnych i szarych podkoszulków. Raptownie odepchnęła skrzypiące drewniane drzwi i wybiegła na balkon.

Próbowała opanować emocje.

Przechodziła to już dwa razy.

Za kolejnym razem wcale nie jest łatwiej. Gdy zginął Szymon, jego pokój pozostał nietknięty przez wiele lat. Wiedziała, że matka była w krytycznym stanie po śmierci syna, a po zaginięciu ojca jej stan jeszcze się pogorszył. To chyba dlatego Alicja nigdy o nic nie prosiła i nie skarżyła się. Nie chciała sprawiać dodatkowych kłopotów. Przeszkadzać. Jedyne pamiątki po bracie, które zachowała, to rzeczy zawieruszone przez Szymona w jej pokoju lub to, co pożyczyła i nie zdążyła oddać albo zwyczajnie przywłaszczyła sobie z sentymentalizmem. Przymały szlafrok i wytarty ręcznik. Zeszyt z jego genialnymi zapiskami i wyszczerbiony czerwony kubek, z którego siorbał rano kakao, żeby ją rozśmieszyć. Kiedy przyzwyczaiła się do bólu, a smutek przeistoczył się w znośną codzienność, umarła babcia.

Odeszła nieoczekiwanie we śnie.

Wtedy bała się jeszcze bardziej. Było gorzej.

Została zupełnie sama. Pustka zionęła z każdego, najbardziej zaludnionego, rozświetlonego i rozkrzyczanego miejsca, w jakim próbowała odnaleźć pocieszenie. Samotność wypełniała minuty i sekundy i jedynie w tańcu mogła się zatracić i choć na chwilę zapomnieć. Zielarnię zamknięto, a potem lokal razem z towarem przejął wierzyciel. Babcia nigdy się nie zadłużała, ale pomagała zbyt wielu osobom, aż w końcu jej działalność stała się charytatywna. Z czasem nie miała już z czego płacić za zioła, wynajem i rachunki. Gdy Alicja pakowała rzeczy babci, tak jak teraz rzeczy -Pierre'a, jej serce waliło jak oszalałe, potem nagle zwalniało. Nie mogła nad nim zapanować. Każdy przedmiot był tylko przedmiotem, ale jednocześnie wszystkim, co pozostało po ukochanej osobie. Tak jak jej serce, tak i ona nie wiedziała, co robić: czy otaczać się bólem wspomnień emanującym z tych wszystkich rzeczy, czy po prostu schować je, wyrzucić, zapomnieć. Co chwilę znajdowała jakieś swoje zdjęcie, gdy była małą, kolorową

i wyalienowaną dziewczynką. Zdjęcia pulchnego Szymonka. Zdjęcia ich razem, jak tarzają się w piasku nad rzeką. Jak się śmieją. Jak z podziwem oglądają sztuczki ojca, zamieniającego serwetkę w gołębia. Babcia wszędzie trzymała ich zdjęcia i Alicja pakując kartony z jej życiem, pakowała też swoje.

Swoje dzieciństwo. Dzieciństwo, które trwało zbyt krótko. Kiedy jesteś mały i opuszczają cię najbliżsi, ci, którzy są częścią twojego życia, to dzieciństwo po prostu się kończy. A kto nie miał dzieciństwa, ten nigdy nie dorośnie, dopóki go nie przeżyje.

Pakowanie rzeczy. Zbieranie okruchów czyjegoś życia. Życia, w którym się uczestniczyło. Życia osoby, która wypełniała czas, miejsca i uczucia. I nagle...

Nie ma jej.

Tak po prostu.

Nie ma. I już nie będzie.

Śmierć jest rzeczą naturalną, ale nie gdy przychodzi zbyt wcześnie i zbyt często.

Wyszła na balkon. Powietrze późnego popołudnia przesycalo coś aromatycznego, choć wieczór zapowiadał swe nadejście sporadycznymi falami chłodniejszego wietrzyku. Przez chwilę zapatrzyła się na puste krzesło i stojący przy nim kieliszek. Na jego dnie błyszczała karminowa sucha plama.

— A, tutaj jesteś — usłyszała głos muzyka.

Odwróciła się energicznie z zamiarem wejścia do środka, ale napotkała go w przejściu.

Nie przesunął się.

Gdy uniosła wzrok, poczuła jego oddech na twarzy. Nie czekała, aż powie coś, czego nie chciała teraz słyszeć.

— Masz pudła? — spytała.

Ustał, robiąc jej miejsce. Weszła do środka i zabrała się do składania kartonów.

— Myślę, że na wszystko wystarczy dziesięć — oznajmiła.

Spojrzał na nią z lekkim uśmiechem.

— Widać, że masz doświadczenie.

Nie skomentowała. W ciszy poskładali wszystkie kartony i ustawili je równo pod ścianą.

— Od czego zaczynamy? — spytała.

Muzyk potarł zarost, rozglądając się wkoło.

— Może spakuj książki i płyty, a potem to, co w kuchni. Ja zajmę się rzeczami osobistymi.

— Dobrze.

Wzięła jedno z pudeł i poszła do sypialni. Podłoga koło materaca wyścielona była francuskimi czasopismami. Po obu jego stronach zamiast szafki nocnej piętrzyły się książki. Pozbierała magazyny i ułożyła je na dnie kartonu, po czym uklękła przy stercie książek. Brała je do ręki, jedną po drugiej, po cichu czytając tytuły. *Proces* Kafki, *Zbrodnia i kara* Dostojewskiego. *Moulin Rouge* -Pierre'a la Mure w wersji francuskiej, Kant. Dwa kryminały: Ludluma i Cobena. Tomik wierszy pod tytułem *Le Fond* i kilka starych książek w języku francuskim i rosyjskim. Przysunęła karton bliżej i zaczęła ściśle układać egzemplarze jak kostki domina. Jedna z książek miała nierówne brzegi i nie pasowała do reszty. Alicja nie знаła rosyjskiego, ale po balerinie na okładce domyśliła się, że to książka o balecie. Wertując poźółkłe i postrzępione kartki, przyglądała się fotografiom rosyjskiego baletu z lat powojennych. Nagle jej palce zatrzymały się i spomiędzy stronic wysunęła się zakładka. Chciała ją umieścić głębiej i wówczas zauważyła, że to zdjęcie. Przyjrzała się matowej, lekko chropowatej powierzchni, z której spoglądały na nią trzy roześmiane twarze. W pierwszej chwili rozpoznała jasne włosy i uśmiech pewnego siebie dwudziestolatka i pomyślała, że to Simon z rodzicami, ale z każdą

sekundą odkrywała kolejne, wręcz absurdalne podobieństwa, a informacje, jakich dostarczała fotografia, nie zgadzały się z rzeczywistością. Stojąca pośrodku kobieta z długimi ciemnymi włosami obejmowała chłopaka w pasie, a z drugiej strony obejmował ją nieco starszy od nich mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych. Alicja odruchowo odwróciła odbitkę i ujrzała datę. Oparła plecy o materac i wpatrując się w zdjęcie jak w najtrudniejsze na świecie zadanie z matematyki, próbowała zebrać fakty w jedną wiarygodną całość. Pytania mnożyły się w jej głowie i nie potrafiła odpowiedzieć na żadne z nich. Jedyne, co wiedziała na pewno, to to, że znała te osoby. Jedyne, czego nie potrafiła sobie sensownie wytłumaczyć, to, jak mogą być na zdjęciu sprzed ponad dwudziestu lat ludzie, którzy poznali się dopiero trzy miesiące temu.



Jedyne, czego teraz pragnął, to zobaczyć ją. Już nigdy nie będzie wyglądała w jego oczach tak jak wcześniej. Już nie będzie takie jak wcześniej. Ostatnie godziny zmieniły osobę kompletnie mu obcą, do której jednak żywił głęboki psychofizyczny pociąg, w kogoś, kto w żyłach ma jego krew, w komórkach jego materiał genetyczny, a o kim wie mniej niż nic, bo po prostu do tej chwili nie istniał. Żłudna rzeczywistość zamieniła się w realną abstrakcję, a potencjalna kochanka w biologiczną córkę.

W życiu wszystko jest możliwe, nawet to niemożliwe. Nalał sobie jeszcze jeden kieliszek. Złotobrazowy płyn zatoczył koło na dnie płaskiej, kryształowej szklanki, zostawiając oleiste smugi na jej ściankach. Kacper chwycił butelkę i obejrzał ją jak coś, czego nigdy wcześniej nie widział. „Ron Zacapa”, przeczytał. „Po cholere Iza wydaje pieniądze na kosztowne alkohole, przecież żadne z nas nie pije” — pomyślał. „No, chyba że trzyma je na specjalne okazje jak ta”. Uśmiechnął się gorzko i wlał w siebie parzącą zawartość szklanki.

Wypełniło go ciepło. I złość. A potem smutek. Nagle pragnął rozmawiać na tematy, których zawsze unikał, robić to, czego zawsze się bał. Nie mógł przegonić sprzed oczu szepczących ust Kaśki. Pragnął się z nią kochać, a kiedy jego umysł snuł podobne myśli, zalewała go odraza do samego siebie za zwyrodniałe chęci, które nim miały. Gdyby stała teraz przed nim Iza, udusiłby ją gołymi rękami. To, co kochał. Zawsze. Niezmiennie. Mógłby okładać ją pięściami, aż z zakrwawionej twarzy żony zniknąłby ten idiotyczny, nadęty grymas, którym raczyła go przez dwadzieścia lat. No właśnie, od kiedy? Od kiedy się pobrali? Od kiedy się poznali? Od zawsze, ot co! Cisnął szklanką przed siebie. Kryształowe fragmenty rozprysły się po pokoju, błyszcząc w pełnym słońcu. Opadł na brzeg kanapy i dał się zwyciężyć rozpacz. Nie uratuje tego, co od początku było przegrane, ale musi zbudować coś ze swoją córką, zbudować coś dla niej. Musi jej powiedzieć. Natychmiast! Zerwał się na równe nogi, które w tej samej chwili uległy władzy alkoholu. Wsparł się na ramie łóżka, ogarnął wzrokiem pokój. Przypomniał sobie, że telefon zostawił w kuchni, więc ruszył chwiejnym krokiem w jej kierunku. Kiedy tam wreszcie dotarł i odnalazł telefon, zauważył sześć nieodebranych połączeń od Izy. Zignorował je. Wrócił do salonu, depcząc rekwizyty z teatru ich życia. Zasiadł w fotelu i wybrał numer. Sygnał wybrzmiewał zawzięcie i nieskończenie długo. Rozłączył się. Czuł, jak serce łomocze w osierdziu. Zadzwoił ponownie.

— Czego chcesz? — Zimny jak stal głos odezwał się po dłuższej chwili.

— Kasiu? Kasiu, to ty? — Czuł, że mięknie.

Nie odpowiedziała.

— Kasiu, musimy się spotkać. Musimy porozmawiać. To znaczy muszę ci coś wyznać. Coś bardzo ważnego — mówił pospiesznie, szukając odpowiednich słów.

— Dlaczego teraz? — spytała. — Dostałeś pozwolenie? Nie trudź się, już cię wyręczyła. Ona zawsze jest pierwsza. We wszystkim...

— O czym ty mówisz?

— I ja miałabym być jej córką? — roześmiała się histerycznie. — Żeby chociaż raz dostała to, czego chcę, jak ona. Jeden jedyny raz!

— Kasiu...

— Mogłeś mi powiedzieć, sukinsynu! — Krzyk przeistoczył się w szloch. — Na co czekałeś? Chciałeś mnie najpierw przelecieć? Tatusiu!

Dźwięk tego słowa zacisnął mu pętlę na gardle.

— Kasiu, ja nie wiedziałem... — wyszeptał, ale odpowiedział mu głuchy sygnał. Bez

zastanowienia ponownie wybrał numer. Nastąpiła chwila ciszy, po czym rozległ się głos automatycznej sekretarki. Bezsilność jest jak jadłowita zmija. Skrada się do ofiary albo czeka na nią nieruchomo, w obydwu przypadkach uderza nagle i boleśnie, a potem jadem bierze w posiadanie całe ciało. Odbiera siły, wypełnia cierpieniem i chociaż istnieje antidotum, nie zawsze zostaje podane w porę. Rozległ się trzask zamykanej furtki. Kacper nawet nie drgnął. Słowa Kaśki zataczały koło w jego umyśle jak refren natrętej piosenki. Próbował je zrozumieć.

Jak mógł być tak ślepy i głuchy.

— Cudownie! A ty tak po prostu tu siedzisz! — Iza rzuciła kluczyki na barokowy stół z białego drewna i zsunęła szpilki ze stóp. — Gdzie byłeś przez cały ten czas? Dzwoniłam do ciebie! Nawet nie wiesz, co ja dzisiaj przesłam. — Rozejrzała się po salonie. — Jezu Chryste! Co tu się stało? — Spojrzała na Kacpra. — Chyba się nie włamali?!

Podbiegła do kredensu i wysunęła ostatnią szufladę. Sprawdziła zawartość atlasowej szkatułki i przykładając dłoń do piersi, westchnęła z ulgą.

— Może mi łaskawie wyjaśnisz, co się dzieje?

Uniósł przekrwione spojrzenie.

— Nie — odparł, wstając powoli. — Tym razem to ja żądam wyjaśnień.

Iza zmarszczyła czoło. Między jej harmonijnymi brwiami pojawiła się podwójna przepaść. Rozejrzała się za torebką.

— Izo, ja czekam. — Głos Kacpra nabrał niepokojącego tonu.

Przypaliła papierosa, spoglądając na męża znad błękitnego dymu.

— Kacper, miałam naprawdę ciężkie przedpołudnie, tak więc zrób mi przysługę i wyrażaj się jaśniej. — Pochyliła się i zaczęła zbierać walające się pod nogami ubrania i przedmioty.

— Jaśniej! — Wzniosło się pod sam sufit. Nawet nie wiedziała, że jej mąż ma tak donośny głos. Wzdrygnęła się. — To może na początek opowiesz mi coś o naszej córce?! — Jego twarz drżała. — Czy teraz wyrażam się wystarczająco jasno?

Książka i szlafrok z jedwabiu wypadły jej z rąk. Zebrała je natychmiast. Papieros zawisł na dolnej wardze. Podniosła się i wyjęła go z ust. W tej samej chwili, jakby przypomniała sobie o gotującej się zupie, pobiegła do kuchni. Kacper dogonił ją kilkoma dłuższymi krokami.

Półka z książkami kucharskimi była pusta, a cała jej zawartość wałała się po podłodze. Iza błędziła wzrokiem po kolorowych wnętrznościach albumów, aż jej wzrok spoczął na tym, czego szukała.

— Dość kłamstw, Izo! Wiem o wszystkim! — Kacper chwycił książkę w zielonej okładce i potrząsnął nią, aż posypały się poźółkłe kartki niczym liście z jesiennego drzewa. Milczała. Jej twarz zapadła się i znieruchomiła. Zgasła papierosa na talerzu w zlewie. Powoli zaczęła zdejmować kolczyki, potem marynarkę. Z uwagą powiesiła ją na oparciu krzesła. Rozpięła dwa guziki bluzki, ukazując czarny aksamitny biustonosz, i niczym lunatyk spacerujący we śnie poszła na górę do sypialni. Pobożowisko, które tam zastała, zdawało się nie robić na niej żadnego wrażenia, ani też otwarta butelka dwudziestotrzyletniego rumu, w połowie pusta.

Wyjęła ze szklanej gabloty niską i pękatą szklankę. Pachniała nowością. Pachniała nicością. Prawdopodobnie to był jej pierwszy raz. Iza nałapała sobie, patrząc, jak rdzawozłoty strumień wypełnia pustkę.

— Odezwij się, do jasnej cholery! — Dobiegło ze schodów, po czym w drzwiach stanął Kacper. Miał spocone czoło i drobinki spienionej śliny na brodzie.

Spojrzała na niego, jakby był przezroczysty. W kilku, może kilkunastu suchych zdaniach zmieściła wszystkie motywacje swojego zachowania sprzed lat. Podkreśliła, że ich dobro i kariera były na pierwszym miejscu. Wiedziała, jak bardzo Kacper marzył o własnym teatrze rewiowym i to stało się też jej priorytetem. Ukryła prawdę tylko po to, żeby go chronić przed

popelnieniem jakiegoś głupstwa, które zaprzepaściłoby lata ich pracy.

— Nie miałam wyboru — podsumowała.

Kacper złapał się za włosy. Czochnął je. Jego serce wskoczyło na piąty bieg i czuł, że traci nad nim kontrolę.

— Ale ja miałem! — Zacisnął pięści. — Okłamałaś mnie, mówiąc, że wyjeżdżasz do rodziców, żeby tam urodzić. Kłamałaś, mówiąc, że poroniłaś. Urodziłaś i oddałaś potajemnie do adopcji nasze dziecko. Moje dziecko! — Drżał cały.

Dopiła alkohol i przymknęła powieki, a jej głowa spoczęła na oparciu fotela. Przytrzymała rum na języku, aż zdrętwiał, a kiedy przełknęła, oblizła usta.

— Ona nie jest twoja, Kacper — powiedziała w końcu. Mężczyzna zamarł. Zacisnął powieki, po czym zaczął potrząsać głową jak małe dziecko w odruchu wymiotnym na widok łyżki z owsianką. Potarł czoło dłonią, pozostawiając czerwony ślad, i uśmiechnął się, a kilka sekund później w miejscu uśmiechu pojawiło się obrzydzenie. Podeszedł do okna.

Soczysta zieleń trawnika przed domem wydawała się podmokłym i grząskim terenem, a otaczające posiadłość metalowe ogrodzenie zbyt podobne do więziennego.

— To jego dziecko, prawda?

Iza pokiwała głową, ale nawet na nią nie spojrzał. Wyglądał na skupionego, choć ręce nadal mu drżały.

— Czyli miał wtedy powód, żeby mnie napaść — powiedział z zalem w głosie.

Nie odpowiedziała. Wbiła wzrok w szklankę. Jej okrągły spód trzymała w dłoni, kołysząc zawartość. Nie chciała myśleć o przeszłości. O tym, co było, co zrobiła i o konsekwencjach tych decyzji. Wtedy była u progu kariery, miała szansę na sukces i musiała trzymać się planu.

Dziecko, miłość, sentymenty nie wchodziły w grę. Przede wszystkim zaś nie chciała myśleć o Sylwku. Bała się tych myśli najbardziej na świecie. Nie chciała odpowiedzieć sobie na pytanie, czy go kochała i czy kiedykolwiek później czuła się tak jak wtedy, gdy głąskał ją po włosach, całował w szyję. Jak na nią patrzył. Nie ma znaczenia. Zaszła w ciążę. Taki głupi błąd.

A przecież był Kacper, jej złote wrota, przepustka do wielkiego świata. Musiała wybrać.

W końcu mężczyźni zawsze wykorzystują kobiety i słabszych, są bez skrupułów i mają łatwiej w życiu. Była pewna, że jakoś sobie poradzą. A ona? Kto miał zadbać o nią, jeśli nie ona sama? Potrzebowała pieniędzy, mieszkania, zabezpieczenia i zrobiła to, co musiała.

W końcu Sylwek napadł ich i mało nie zabił Kacpra. Jeśli więc spędził kilka lat w więzieniu, to tylko z własnej winy.

Tak. Lepiej niech przeszłość zostanie tam, gdzie jej miejsce.

— Musimy zdecydować o nowym składzie rewii — odezwała się w końcu.

— Musimy zdecydować o nowym składzie rewii — powtórzył Kacper, nie odrywając wzroku od widoku za oknem.

— O ile jesteś w stanie obiektywnie myśleć, w przeciwnym razie ja się tym zajmę.

Kacper odkręcił głowę w stronę Izy, jakby dopiero zauważył jej obecność. Podeszedł powoli i zbliżył twarz do twarzy żony. Odór spirytusu niemalże grzał jej skórę.

— Twoja córka potrzebuje pomocy — powiedział przez zaciśnięte zęby. — Zamierzasz coś z tym zrobić?

— Pomogłam jej, ale jak sam widzisz, przysparza tylko problemów — odparła.

— Nigdy nie byłaś dobrą kochającą żoną ani kochanką, ani przyjaciółką, ani nawet współpracowniczką w interesach. — Wyprostował się i przygładził włosy. Obmacał kieszenie spodni i wyjął gumkę do włosów. — A na dodatek żadna z ciebie matka. — Wyszedł, zanim Iza zdążyła otworzyć usta.

Siedziała sztywno, przygryzając dolną wargę. Metaliczny smak popijała rumem. Przecież

nigdy do niej nie mówił w ten sposób. A tam, niech robi, jak chce.

    Nie potrzebowała nikogo. Równie dobrze mogła wystawić rewię sama.

    Już nic nie stało na przeszkodzie.

Nie mogła przestać myśleć o tym, co znalazła wśród rzeczy -Pierre'a. Chciała zapytać jego bratanka o zdjęcie, ale nie zrobiła tego. Owładnęło ją dziwne przeczucie, że on wie więcej, niż przypuszczała, niż potrzebowała wiedzieć. Jednak ciekawość nie opuszczała jej nawet na chwilę. Postanowiła spotkać się wieczorem z Mateuszem i zapytać go, co o tym wszystkim myśli. Ona nie potrafiła być obiektywna.

Gdy weszła na klatkę schodową, chłód uderzył ją w twarz niczym kubeł zimnej wody w lany poniedziałek. Pomimo szoku termicznego i zaskoczenia odczuła przyjemną ulgę. Na schodach pachniało wietrzejącą farbą i nowością, a korytarze, umyte po zakończonym remoncie, były czyste jak nigdy dotąd. Pomyślała, że w poniedziałek pojawi się pewnie właściciel mieszkania po pieniądze. Wydeła policzki. I tak szczupłe zapasy chudły jeszcze bardziej z miesiąca na miesiąc. Nadszedł czas na znalezienie jakiejś pracy.

W pustych i długich korytarzach dzwonek komórki był dwukrotnie głośniejszy i przypominał odgłos wpadającej do studni monety. Oparła stopę o stopnie, a torbę na kolanie i zapuściła w nią ręce. Jej pojemne torby były dla telefonu niczym czarna dziura. Po prostu w nich przepadał. Dlatego Alicja zawsze włączała tryb wibrujący.

— Halo!

— To ja, córeczko, nie musisz krzyczeć — usłyszała. — Miałaś zadzwonić w zeszłym tygodniu. — Głos matki przypominał jej o tym, o czym nie chciała pamiętać.

— Cześć, mamó. Nie mogłam. Co słyhać?

— Czyżbyś zaczęła pracować? To wspaniale. — W sztucznej radości zabrzmiał nauczycielski ton. Nie znosiła tego.

— Nie, mamó. Właściwie to straciłam pracę — odparła z przekorą i od razu poczuła się winna.

Chwila ciszy była ordynarnym przerywnikiem w ich płytkich konwersacjach.

— Ach. No cóż... Na pewno w końcu coś znajdziesz — odezwał się wreszcie głos po drugiej stronie. Alicja zlekceważyła go. Czuła, jak irytacja pęcznieje w niej niczym chleb na drożdżach. — Podobno widziałaś się z Wojtkiem? — kontynuowała kobieta. — Spotkałam go ostatnio. Powiedział, że już wszystko dobrze między wami. Cieszę się, Alicjo. To dobry chłopak — dodała już bardziej do siebie.

Niekontrolowana fala złości uderzyła w skały spokoju dziewczyny.

Drżała.

— Dobry chłopak — powtórzyła. — Dobry chłopak?! — Powrócił w pamięci rozszarpujący nogę ból, piekący kwas wymiocin po narkozie i lekach. Przypomniała sobie długie miesiące niekończącej się rehabilitacji, niezasychające łzy, dręczące sny i lawę upokorzeń, która spadła na nią po tym wszystkim. — Jasne! Dobry chłopak! Który o mały włos nie wysłał mnie na wózek inwalidzki albo lepiej... na tamten świat! Oto ten twój dobry chłopak!

Przez chwilę jej ucho świdrowała głucha cisza.

— Boże, Alicjo, o czym ty mówisz?!

— Idź! Zapytaj go, jeśli mi nie wierzysz!

— Ale jak to? Skąd ten pomysł? Dziecko...

— A tak to! Sam się przyznał do tego, że zaaranżował wypadek i spieprzył mi życie.

Znów zapanowała cisza.

— Jesteś pewna? — jęknęła kobieta. — Nie wiedziałam...

— Nie chciałaś wiedzieć! Nigdy. Ale ja ci powiem! Tamto przedstawienie otwierało mi

drogę do kariery. Występowałam jako jedna z głównych postaci. Po generalnej próbie pojawiły się wspaniałe recenzje. Pisano, że objawił się nowy talent. Wiedziałaś o tym? — Zrobiła kilkusekundową przerwę, chyba żeby dać matce szansę, ale zrezygnowała. — Tańczyłam, podróżowałam, robiłam, co kocham. Byłam szczęśliwa, mam... — Poczula sól w gardle, przełknęła ją szybko. — Dlaczego tak wam to przeszkadzało?

— Ale ja... ja... Co ty mówisz, córciu... — Głos w telefonie urwał się. Alicja usłyszała łkanie. — Przecież wiesz, że zawsze chciałam cię chronić...

— Chronić? Przed czym, mam?! Przed życiem? Odbierając mi marzenia? — Nie mogła powstrzymać drgającego głosu. — Kiedy umarł Szymon, tato mnie po prostu porzucił, a ty? Zrobiłaś właściwie to samo. Zamknęłaś się w swoim bólu, jakby tylko ciebie bolało. — Usiadła na schodach i pozwoliła łzom płynąć. — Przez wszystkie te lata trzymałaś mnie za murem, którym się otoczyłaś. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co się stało, a ja potrzebowałam tego, mam! Usłyszeć, że to nie moja wina, że wszystko jakoś się ułoży, że mnie kochacie. Potrzebowałam was... Miałam tylko trzynaście lat, pamiętasz? Też straciłam ukochaną osobę, i nie tylko brata, ale również rodziców.

— Tak mi przykro... — Ledwie rozpoznawalny głos urywał się nieustannie. — To niesprawiedliwe, co mówisz. Nie chciałam cię skrzywdzić. Nie mogłabym. Jesteś moją córką.

— Którą porzuciłaś.

Nigdy nie słyszała, jak matka płacze. Znała ją od tej drugiej strony. Twardą, zdyscyplinowaną i opanowaną realistkę. Czyli kompletne przeciwieństwa jej samej. Szloch wzbudził w Alicji głębokie poczucie winy i gdy tylko emocje ostygły, poczuła się jak kompletna egoistka. Jedynie przytakując, bo w tej chwili nie było jej stać na nic więcej, przyjęła zaproszenie na obiad i „oczyszczenie” atmosfery, choć nie bardzo umiała wyobrazić sobie własną matkę w tak spirytualnej roli.

Gdy się rozłączyły, poczuła ulgę. W pierwszej chwili pomyślała, że to ta sama ulga co zwykle po zakończonej wreszcie rozmowie, jednak tym razem chodziło o coś zupełnie innego. Czuła się lżejsza o żal, zawody i rozczarowania, które gromadziła od wielu lat. I teraz jakby zrzuciła dziesięć kilogramów, jakby pozbyła się dokuczliwego wrzodu. Odczuwała lekkość i pozytywną pustkę, nie w głowie, nie w żołądku, ale w całym ciele.

Czuła, że powstaje w niej samej wolne miejsce na nowe uczucia i emocje.

\*

O tej porze bar cieszył się niemałym powodzeniem. Stoliki, okupowane przez liczne grupy zwłaszcza młodych ludzi, nikły kompletnie pod dzbankami z piwem, kuflami, kieliszkami i talerzykami z tapas. Już miała skierować się w stronę wyjścia, nie widząc ani jednego wolnego krzesła, gdzie mogliby się przysiąść, gdy barman z marynarską brodą i pisklącym irokezikiem zamachał do niej z końca sali, jakby byli umówieni na wieczornego drinka. Podskoczył do niej kilkoma susami, obejmując czule czarną, okrągłą tacę niczym nieco duże i nietypowe freesby do gry, do której zamierzał ją zaprosić. Zapewnił, że zajmie się wygospodarowaniem wolnego miejsca, a tymczasem czy Alicja nie ma ochoty na to, co zwykle przy barze.

„To, co zwykle?” — podrapała się po skroni i przypomniała sobie, jak ostatnim razem, kiedy była z Mateuszem w Cocco Bello, zakończyli serię kielonków z rumem dzbankiem smolistej kawy.

Już po niecałych pięciu minutach zajęła mało wygodne, ale panoramiczne miejsce na wysokim taborecie przy długim blacie biegnącym wzdłuż ściany i oferującym widoki na rozkwitające, wieczorne miasto. Na pytanie, co pije, odparła, że czeka na przyjaciela i złożyła zamówienie razem, jak tylko się on pojawi.

— No tak, z tamtym blondynem to raczej nie mam szans. — Mężczyzna, unosząc ramiona w odruchu bezradności, zapewnił o swojej dyspozycyjności i odszedł, uśmiechając się zalotnie.

„Dyspozycyjny do czego?” — zaśmiała się w duchu.

Spojrzała przez panoramiczną szybę. Kardynalski fiolet odcięty od pasma różu spadł na dno nieba, stapiając się z asfaltem. Tam wielokrotnie ginął pod kołami weekendowych aut. Podświetlone witryny sklepów po drugiej stronie jezdni intensywniały z każdą sekundą i chociaż już zamknięte, wabiły przechodniów bardziej niż za dnia. Zawiesiła wzrok na pejzażu kontrastów, który już bardziej przypominał impresjonistyczny obraz niż widok z okien baru. Czasem zatrzepotała rzęsami, niczym ćma uderzająca skrzydłami o rozgrzaną żarówkę, a jej tęczęwki jaśniały, pochłaniając światło ulicy niczym oczy kota po zmroku.

Poddała się nieznanemu jej dotąd odczuciu przyjemnej pustki.

Drugi taboret zaszurał o podłogę i stanął obok niej. Obróciła głowę.

— Cześć, skarbie. — Mateusz pochylił się do twarzy Alicji, cmokając w powietrze wokół jej policzków. Ułożył torby pod blatem, usadowił się na drewnianym okręgu i spojrzał na przyjaciółkę. — O rany, Al! — Jego oczy zatańczyły. — Czyżbyś odbyła ożywczy i emocjonujący stosunek przed przyjściem? Wyglądasz zjawiskowo!

Roześmiała się całym ciałem.

— No proszę cię!

Drwal przebrany za kelnera pojawił się w tej samej sekundzie. Ignorując obecność Mateusza, przyjął zamówienie od Alicji.

Pozostali przy piwie.

— Opowiadaj! — Przysunęła się bliżej i przyjęła skupioną pozycję.

Mateusz między ojojami, ochami i latynoamerykańską gestykulacją zaimprovizował przebieg pierwszej próby bez udziału Alicji. Jak się okazało, nieobecności było więcej.

— Nie tylko powstała niesymetryczna dziura w rozstawieniu na scenie i brakuje światła twoich oczu, kochanie, ale i paluchowaty mąż Izy dał dziś dupy. No koszmar, mówię ci! — Skrzywił się. — Mało tego! Nasza szczebiotka „rozstaw nogi” nie zaszczyciła nas swoją obecnością, jak zapowiadano!

— Mati, przestań! — Starła się utrzymać powagę.

— Przecież wiesz, że prawdę mówię! — Cmoknął z udawaną irytacją. — Ale to jeszcze nic! — I tak się rozmachał dłońmi, że w zaduchu przepelnionego baru zrobiło się jakby chłodniej. Z serii barwnych i obfitych w absurdy anegdot Mateusza próbowała ułożyć sensowną całość. Tak jak w realnym świecie zazwyczaj bywa, przypisać działaniom myśli przewodnie, bodźce, motywacje, i nawet gdy w pojedynczych przypadkach udawało się, tak traciło niezwłocznie sens przy próbach powiązania ich ze sobą. Była pewna jednego. Nie doceniła Izy. Poznała już tancerki, które nie cofną się przed niczym, aby tylko osiągnąć zamierzony cel. Ale jaki cel miała Iza? I jak daleko była zdolna się posunąć?

„Cokolwiek zrobię, już mnie nie może wyrzucić” — pomyślała. Uczucie biernej kapitulacji systematycznie uwierało ją jak za ciasne buty. Przecież nawet nie próbowała przegrać, ponieść porażki. Po prostu się poddała.

Gorzej.

Poddanie się było jej największą porażką.

— To okropne! — oburzyła się nieoczekiwanie. Mateusz zamilkł na kilka sekund, spoglądając na nią z zainteresowaniem, po czym zaczął kiwać głową jak piesek z dyndającym łebkiem za tylną szybą auta.

Zamyśliła się, zanurzając rumiane usta w spienione piwo. Poświata bursztynowego płynu

opalała jej skórę. Mateusz zaś sączył swój browar przez słomkę i między jednym pociągnięciem a drugim uwalniał niezadowolenie i rozczarowanie.

— Ma ładny głos, jak mówi, ale nie umie śpiewać i nawet jej świetnie zakonserwowana figura nie pomoże, bo na tle tancerek wygląda po prostu, jakby grała swój jubileuszowy koncert z serii „Gwiazdy sprzed lat”. Jak tak dalej pójdzie, to premierą zamkniemy najkrótszy sezon świata!

— A co na to wszystko zespół? — spytała nieoczekiwanie Alicja.

— Ludzie łudzą się wciąż, że zobaczą zaległe pieniądze. Wiesz, te, które ukradłaś — dodał, szturchając ją łokciem. — Niektórzy jeszcze nawet nie widzieli kontraktu, choć premiera tuż-tuż!

Alicja dopiła piwo i osuszyła kąciki ust wierzchem dłoni. Odwróciła się w stronę Mateusza z niezwykajnie poważną miną.

— O której jutro zaczynacie próbę? — spytała. Przyjrzał się przyjaciółce z niepokojem. Spotkali się zaledwie trzy miesiące temu, a zbliżyli bardziej niż niejedno rodzeństwo. Rodzeństwo, którego zawsze pragnął. Gdyby mógł być prawdziwą kobietą, chciałby być Alicją, ale postanowił, że nigdy jej tego nie powie. W jego oczach przyjaciółka nie była typem melancholijnym ani skłonny do pesymizmu. Po prostu gdzieś tam głęboko w niej mieszkał smutek. Ostatnio dołączyło zrezygnowanie. Z natury była waleczna. Uwielbiał to jej psie przywiązanie do marzeń, zasad i do tych, którzy ją zawiedli. Jeśli wierzyła w coś mocno, walczyła, choćby miała pozostać sama na polu walki. Jak kochała, to zostawiała głowę w domu i używała tylko serca. Kiedy się zdenerwowała, potrafiła odpowiedzieć dosadnie i pokazać pazury. Nigdy jednak ich nie użyła. Nie przy nim. Potrafiła być przekorna i dociekliwa. Czula i opiekuńcza. Trochę niedzisiejsza. Czasem miała napady niekontrolowanej wesołości, a wtedy śmiała się do łez, energicznie i zaraźliwie, ale w sekundę potrafiła zgasnąć i zamknąć się w sobie. Wyglądała wtedy, jakby o czymś rozmyślała, ale on wiedział, że w środku rozdziera ją krzyk. Tym razem była jakaś inna. Przynął taboret, by być bliżej, i objął ją po kumpelsku ramieniem. Przyjął pozycję wiernego słuchacza i spytał:

— Wal śmiało! Co zamierzasz, Al?



Przez nierównomierne szczeliny we włosach drzew przeciekał deszcz promieni, zdobiąc trumnę w złociste kleksy. Czarny, elegancki i niemy tłumek stał nad spoczywającą w łonie ziemi gigantyczną urną. Chwilami popołudniowy wiatr, jakby znudzony posępną atmosferą, rubasnie zaczepiał dojrzałe liście, a one swoim szelestem zagłuszały zniewieściały głos recytującego mowę pożegnalną księdza.

Muzyk poluzował krawat. Uciskał go nie tylko kołnierzyk wykrochmalonej koszuli, ale i cały garnitur. W ten sierpniowy dzień zaczynający się pożegnaniem przyjmował kondolencje od członków rodziny, z których większości nigdy nie widział na oczy, i formułował słowa współczucia z nieudolnym francuskim akcentem. Bez przerwy myślał o niej, a na samo wspomnienie wypełniała go wściekłość, napinając szwy koszuli do granic. Nie poznawał samego siebie. Nie rozumiał własnych reakcji i nie znosił poczucia narastającego dyskomfortu, z którym budził się od pewnego czasu. Jego wewnętrzna świątynia spokoju i pewności kołysała się na fundamentach, gotowa runąć — a bez swojej filozofii kim był? Simon muzyk. Simon wędrownik. Simon skała. Pogromca problemów i ogłupiających emocji — teraz w ich ścisłym objęciu.

I jak to się stało? Gdy wieko trumny wymalowanej słońcem w impresjonistyczne kompozycje całkowicie przykryły kleksy granatowej ziemi, korowód ruszył w stronę wyjścia. Czarne i lśniące chevrolety, renault i peugeot stały wzdłuż krawężnika i po krótkich uściskach dłoni żałobników odbył się koncert zatraskiwanych drzwi i odpalających silników. Błękit nieba, który widział przed chwilą przez szybę, zszarzał kompletnie, dopóki nie oddalili się od cmentarza.

— Biedny Pierre — westchnął mężczyzna siedzący obok.

Muzyk przytaknął, obserwując, jak słońce znów wyłania się zza pozostawionych w tyle ciemnych drzew i burych obłoków spalin. Postanowił, że wyzna Alicji prawdę. Mógł poczekać jeszcze dwa tygodnie i wszystkiego dowiedziałyby się sama, ale nie miał zamiaru ryzykować, że straci ją bezpowrotnie. Już teraz odsunęła się na niebezpieczną odległość. Unikała go. Odczuł to, gdy byli sami w mieszkaniu -Pierre'a. Gdy był blisko niej. Uciekała nie tylko wzrokiem.

To, co wydarzyło się między nimi, było czymś ważniejszym i bardziej wartościowym niż podniecająca noc zakończona potrójnym orgazmem. On to wiedział, jak więc mogła nie wiedzieć ona, z tą chorobliwą wrażliwością i nagimi emocjami.

Wiedziała doskonale. Zajechali pod hotel. Wreszcie mógł zdjąć marynarkę i uwolnić szyję od krawata. Rozpiął koszulę i odetchnął z ulgą. Zanim goście wygramolili się z aut i wymienili drobnymi grzecznościami, skorzystał z okazji, aby oddalić się na chwilę. Sygnał w telefonie wybrzmiewał uparcie, ale i on postanowił nie dawać za wygraną. W końcu odebrała.

— Cześć. Jak pogrzeb?

— Już po. Gdzie jesteś? — spytał, choć nie chciał, aby pomyślała, że ją kontroluje, więc od razu dodał: — Muszę ci coś powiedzieć.

— Posłuchaj, teraz nie mogę. Zadzwoń wieczorem, dobrze?

— Wszystko w porządku?

Zastanowiła się.

— Nie, ale zamierzam coś z tym zrobić — odpowiedziała.

— Brzmi złowrogo — zażartował z przyzwyczajenia. — Tylko nie podejmuj pochopnych decyzji. — Zaniepokoiła go jej tajemniczość.

— Nie traktuj mnie jak dziecko, Simon — odparła oschle. — Słyszemy się później,

Okey? To na razie.

— Na razie.

Nie miał wątpliwości, że Alicja umie podejmować decyzje, raczej bał się tych decyzji. Podszedł do grupki wchodzących właśnie do hotelu -krew-nych.

— Idę do baru się czegoś napić — oznajmił, skręcając z holu w stronę, skąd dochodził zapach kawy.

— Pójdę z tobą — zaproponował jeden z gości.

Gdy byli przy barze, mężczyzna objął go ramieniem.

— Wszystko w porządku? Jesteś jakiś nieswój. To przez pogrzeb?

— Po części — odparł.

Zabrali drinki i przenieśli się na bufiaste kanapy, obite lśniącem materiałem w pasy.

Usiedli.

— Pierre był mi bardzo bliski — powiedział mężczyzna, upił łyk i oparł się wygodnie. — Właściwie najbliższy w ostatnich latach. Poza tobą. — Spojrzał na pochmurnego Simona i poklepał go po ramieniu. — Ty zawsze byłeś moim oparciem duchowym, a on finansowym — zaśmiał się z własnych słów. — Większość z moich planów nie byłaby możliwa bez jego pomocy.

Muzyk spojrzał mu w oczy. Opalona, naciągnięta na zgrabną czaszkę skóra błyszczała jak wypolerowana. Lekki szpakowaty zarost sypał się po bokach policzków, przydając twarzy szczególnej atrakcyjności. Nikt, na pierwszy rzut oka, nie pomyślałby nawet, co przeszedł ten człowiek.

— Słuchaj, Sylwek. — Nabrał powietrza i zrobił pauzę. Dobór słów miał dla niego znaczenie. — Jesteś moją najbliższą rodziną i wiesz dobrze, że nie nawalę, ale zamierzam powiedzieć o wszystkim Alicji.

Mężczyzna zawiesił na nim wyczekujące spojrzenie.

— Dlaczego? — spytał bez cienia emocji.

— Nie chcę jej stracić. — Przesunął dłonią po włosach, zatrzymując rękę na karku, niczym zimny kompres przy wysokiej temperaturze. — Zależy mi na niej, rozumiesz?

Sylwester nawet się nie poruszył.

— Mnie też.

Szczęka Simona zarysowała się ostro pod skórą. Utkwił wzrok w przezroczystym płynie. Milczał.

— Wiesz, że mówiąc jej prawdę, którą i tak pozna, stawiasz mnie w niebezpiecznej sytuacji?

Muzyk nie odpowiedział. Okrągłymi ruchami obijał kostki lodu o ściany szklanki.

— Simon — ciągnął mężczyzna, kładąc mu ręce na ramionach — jesteś dla mnie więcej niż bratankiem. Jesteś jak rodzony brat. Jeśli cokolwiek przecieknie do niepowołanego źródła, to wrócę za kratki — ściszył głos, przysuwając się do niego. — Ale jeśli dokończysz ze mną to, co zaczęliśmy, to nie tylko sprawiedliwości stanie się zadość, ale też każdy dostanie to, czego chce.

Muzyk uniósł głowę i przez chwilę ich spojrzenia komunikowały się na jakiejś niewidzialnej częstotliwości. Miał mieszane uczucia. Sylwek jakby wyczuł jego wahanie, więc dodał:

— I ona też.

\*

Było to dziwne uczucie obudzić się w hotelowym pokoju, ale jeszcze dziwniejsze w pustym łóżku. Wszystko dookoła było obce i bezpłodne, jakby obudził się w nie swoim ciele,

w pozbawionym treści życiu. Pościel pachniała pralnią, a powietrze brakiem tożsamości. Przez rudowiśniowe zasłony ledwo przebijało się ciemne słońce, nasycając pomieszczenie magentą. Meble stały na niewłaściwych miejscach, a kosztowna cisza pozwalała na zbyt wiele jego tłukącym się po głowie myślom.

Usiadł. Strzępki kartek, świstki i koperty kompromitowały biel pościeli, odcinając się od niej niczym ponaszywane łaty. Między nimi pulchna twarzyczka szczyrzyła drobne ząbki.

Kacper chwycił zdjęcie, wygładził i odłożył na nocny stolik.

— Kurwa mać. — Odrzucił w tył głowę, uderzając nią kilkakrotnie o ścianę. Rozległ się głuchy odgłos pustych ścian. Kochał Kaśkę bez względu na to, czy była młodą, uzdolnioną tancerką, czy jego niedoszłą córką. Mimo to poniewierał nim wewnętrzny dylemat. Gdyby mógł wybrać? W jaki sposób wolałby kochać tę dziewczynę? Rozproszył papiery rękami i odszukał kopertę z drukowanym adresem. Przeczytał nadruk wielokrotnie na głos, próbując oswoić się ze znajomością tego rodzaju miejsca. Do tej pory podobne struktury kojarzył z marginesem ludzkim, z nieudolnością, przemocą i biedą. Gdy widział je w telewizji, cmokał z wyższością i maestrią, wygłaszał osądy i pouczenia. Dziwił się, jak można być tak głupim albo naiwnym, aby wpaść w nałóg, aby dać się zamknąć w jakimś ośrodku. Pozwolić, by inni decydowali o ich życiu. Czy żałował tych ludzi?

Teraz chciałby móc powiedzieć, że tak. Obiecał sobie, że znienawidzi Iżę, jeśli odkryje, że przyczyniła się do problemów alkoholowych Kasi. Wstał, szarpnął zasłony i wpuścił słońce do środka. Brązowe meble nagle odmłodniały, a ciemne elementy wnętrza nabrały łagodności. Ubrał się w to, w czym przyjechał do hotelu dzień wcześniej, choć koszula trąciła wypoconym stresem i przetrawionym alkoholem. Włosy zebrał gładko w kucyk, umył zęby jednorazową szczoteczką, rozmiarami przypominającą zabawkę dla lalek, i zszedł do recepcji, aby poprosić o wyszukanie adresu w internecie.

Fundacja Dom znajdowała się na obrzeżach miasta, tuż za tablicą oznajmującą jego koniec. Znak wydał się Kacprowi absurdalny przynajmniej z dwóch powodów. Podkreślał terytorialność i schematyczność człowieka, to, z czym jego artystyczna dusza mogła zgadzać się tylko do przyzwoitego stopnia. Drażniło go też, że jest ktoś, być może najzwyklejszy goguś pod krawatem, kto ma prawo zadecydować za wszystkich, że miasto skończy się w tym właśnie miejscu, a nie o metr dalej. Może czepiał się jak zawsze, kiedy był zdenerwowany, albo po prostu poziom jego wytrzymałości podskoczył ponad czerwoną kreskę. Zostawił auto na poboczu, jednym kołem zapadnięte w fosę, jak skradziony dla zabawy przez wyrostków wóz, który z braku paliwa skończył w rowie, i ruszył wydeptaną pełną ścieżką przez otwartą przestrzeń pól.

Wiatr czesał włosy traw jak niezdecydowany stylistą, raz w prawo, raz w lewo, aż w końcu poddał się zupełnie. Idąc przed siebie, poczuł od dawna nieznaną mu ulgę. Trawy rosły, a on z każdym krokiem malał. Gubił myśli pomiędzy źdźbłami na drodze do budynku Fundacji Dom, jedyne go celu. Jedynej przeszkody.

Zatrzymał się kilkadziesiąt metrów wcześniej i starał uspokoić oddech. Przyjrzał się dwupiętrowej willi z lat osiemdziesiątych, otoczonej bardzo zadbanym ogródkiem. Stali tak naprzeciw siebie jak kowboje na opuszczonym ranczu. Pięść w jego klatce waliła coraz mocniej w żebra, gdy dotarł do bramy i zbliżył palec do dzwonka. Niemal natychmiast rozległ się owadzi dźwięk otwieranej furtki, ratując go od rychłej zapaści. Drzwi domu otworzyły się i w progu stanęła chuda, wysoka blondynka w dżinsach i polarowej bluzie.

— Słucham — rzuciła z progu. — Pan w odwiedziny?

Kacper chrząknął, wspinając się po trzech płaskich stopniach. Nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

— Ja — zastanowił się chwilę — dzwoniłem. W sprawie Katarzyny Wronki.

Kobieta o ładnej, acz surowej twarzy spłotła ręce na piersi.

— Pan z rodziny? — spytała.

— Nie wiem, czy rozmawiałem z panią... — Zrobił pauzę, aby dać jej szansę na przerwanie mu, ale nie zrobiła tego. — Moja żona jest matką Kasi — urwał. Czuł ucisk w żołądku. — Bardzo proszę. To ważne... — wyszeptał.

Blondynka zmierzyła Kacpra wzrokiem bez krztyny delikatności. Spojrzała mu w oczy tak, jak gdyby chciała przejrzeć jego czaszkę na wylot. W końcu otworzyła drzwi na oścież, robiąc mu miejsce w przejściu.

— Zapraszam.

Weszli do środka, nie rozmawiając. W przedpokoju stały ławki jak w przedszkolu, a pod nimi przynajmniej dwadzieścia par butów, męskich i damskich przeróżnych rozmiarów, równiutko poustawianych. Minęli szerokie schody prowadzące na pierwsze piętro i długi korytarz, na końcu którego rozciągały się półki z książkami i puste stoły. Kobieta przyjęła go w małym gabinecie z biurkiem, regałem i zdjęciami na ścianach, zupełnie przypominającym pokój studencki z lat osiemdziesiątych. Jedyнным niepasującym elementem był wypasiony model Maca. Kobieta wskazała mu krzesło naprzeciw siebie i usiadła za biurkiem, składając dłonie jak do modlitwy. Nastąpiła wyczekująca cisza.

I znów siedział naprzeciw dyrektora Państwowej Szkoły Baletowej w oczekiwaniu na reprimendę. Miał kolejny raz usłyszeć od kościstego i sinobladego pryncypała, u którego tylko on był w stanie wywołać palący rumieniec na twarzy, jak to jeden z najbardziej utalentowanych uczniów z szansą na stypendium w Paryżu właśnie rujnuje życie swoje, szkoły i zawsze kogoś jeszcze. „Jak mi nie wstyd? Jak tak mogę? Kiedy cała rada pedagogiczna pokłada nadzieję w mojej promocji? A ja? Wyglupiam się! Małpuję! Jedyнным słowem, robię wszystko, żeby zostać zawieszonym! Czy tego właśnie chcę?!” Panie Sadowski? A więc?

Jak paraliż wzięty go w posiadanie odczucia tamtej chwili. Betonowe spojrzenie dyrektora.

Skraplanie się czasu. Godziny jednej minuty. Każda wypełniona terrorem. Poirytowane jelita.

— Panie Sadowski? Panie Sadowski!

„Zapomniałem się z pańską wnuczką tylko raz, panie dyrektorze!”

I oto chorobliwą biel zalał krwisty rumieniec.

„Ale skutecznie, sukinyń!”

— Panie Sadowski. Panie Sadowski! Dobrze się pan czuje?

Kolory powróciły na swoje miejsca, przedzierając się przez patynę przeszłości. Kacper otarł drobnutkie kropelki z górnej wargi, dostrzegając zza dłoni zaniepokojoną twarz kobiety.

— Przepraszam — chrząknął. — Czy mógłbym prosić o szklanek wody?

Blondynka sięgnęła po plastikową butelkę, stojącą w towarzystwie dwóch szklanek na półce. Niestety była pusta. Kacper zauważył grymas zniecierpliwienia na twarzy kobiety, gdy wybierała numer wewnętrzny na aparacie telefonicznym pełnym naklejek jak walizka globtrotera.

— To ja, Tadziu. Mógłbyś przynieść mi kilka butelek niegazowanej? Tak, tak. Nie, lepiej kilka półtoralitrowych. Może być. Dzięki.

Rozłączyła się i nie minęła nawet minuta, jak rozległo się monopuknięcie w drzwi i do środka wszedł szpakowaty mężczyzna w białej rozchylonej koszuli, z podwiniętymi nad łokcie rękawami. Obejmował sześć butelek wody i wazonik z różą.

— Chyba ktoś ci podbiera wodę, moja droga, wczoraj zapełniłem twój barek. — Uśmiechnął się. — Czary-mary, a to dla ciebie! — Postawił na biurku kwiatek i puszczając oko

do Kacpra, wyszedł tak szybko, jak się pojawił.

— Efektowne zaopatrzenie — zaryzykował żart Kacper.

— Panie Sadowski. — Nalała mu wody do plastikowego kubka i znów usiadła za biurkiem. — Będę z panem szczerą. — Poprawiła się na krześle, jakby coś ją uwierało. — W najśmielszych oczekiwaniach nie spodziewałam się tutaj pana i zważywszy na okoliczności, nie rozumiem, jaki jest cel pańskiej wizyty.

Kacper ugładził włosy na skroniach, odchrząkując niecierpliwie.

— O czym pani mówi? — westchnął teatralnie. — Jakie znowu okoliczności? Jestem tu w sprawie Kasi i chciałbym się wreszcie czegoś dowiedzieć — wypowiedział poprzez zaciśnięte zęby.

— Proszę pana — zaczęła, jakby robiąc wstęp do dłuższej wypowiedzi. — Jesteśmy placówką prywatną i wszelkie informacje dotyczące naszych pacjentów i klientów są objęte tajemnicą. I nawet fakt, że jest pan ojcem Kasi, nie ma wpływu na tę regułę, ponieważ rodzice adopcyjni wraz z panią Izą zabronili nam podawania panu jakichkolwiek szczegółów.

Cofnął twarz, jak gdyby robił unik przed ciosem, i szeroko otworzył oczy.

— Jestem kim? Ojcem? A to ciekawe!

Kobieta cmoknęła, potrząsając głową.

— Panie Sadowski, proszę sobie nie robić żartów. To nie jest odpowiedni moment. — Pochyliła się w jego stronę. — O co właściwie panu chodzi? Nie wystarczy, że doprowadził pan do poważnych problemów własnej córki?

Coś gwałtownie odebrało mu stery. Nie był pewien, czy to emocje wytrąciły go z torów, czy długo ugniatana złość i nienawiść. Po prostu posiadała go niewyobrażalna furia i pragnął, aby na miejscu tej kobiety siedziała Iza.

Poderwał się, jakby nagle krzesło objęły płomienie.

— To ona naopowiadała pani tych głupot?! Tak?! Proszę nie kłamać! Ależ oczywiście! Kto inny jak nie ta manipulanka! Chce pani znać prawdę? Oto ona! Dwadzieścia lat temu byłem ojcem. Potem straciłem dziecko, zanim się urodziło. Wczoraj je odzyskałem i jeszcze dziś rano się okazało, że nigdy go nie miałem. Na sam koniec jestem szczęściarzem, bo to najwspanialsza wiadomość pod słońcem! — roześmiał się pełną piersią, biegnąc po pokoju jak opętany. — Bo ja kocham Kasię! Rozumie pani? I ona kocha mnie! A wy nie możecie tego znieść! Iza nie może tego znieść!

Kobieta uniosła na chwilę słuchawkę do ucha i coś powiedziała. Po chwili do gabinetu wpadli trzej mężczyźni i otoczyli Kacpra jak dzikiego zwierza. Jednym z nich był dostawca wody, dwaj pozostali wyglądali na same mięśnie i zero mózgu. Szpakowaty mężczyzna zrobił krok w stronę Kacpra.

— Chodźmy na zewnątrz. Tu nic dobrego pana nie czeka — mówił łagodnie. — Ci dwaj mają raczej grubiańskie metody, chodźmy. — Ujął Kacpra pod ramię, uśmiechając się ledwo widocznie, i wskazał mu wyjście ruchem głowy.

Kacper zmierzył wzrokiem osobników stojących po obu stronach drzwi, którzy zapewne wyprowadziliby go siłą, w razie gdyby nie wyszedł sam po dobroci. Później przyjrzał się uważnie negocjatorowi, jakby rozpoznał w nim dręczyciela z młodości. Zawahał się, ale gdy tamten uniosł ręce na wysokość głowy, ciało Kacpra opadło niczym ciasto w piekarniku. Zrezygnowany ruszył we wskazanym mu kierunku.

Drzwi zatrzasnęły się za ich plecami. Przed nimi rozciągał się bezmiar pól.

Kacper usiadł na schodkach.

— Dobrze się czujesz, kolego? — zapytał mężczyzna. — Ale wybuchowy jesteś. — Usiadł obok Kacpra i wyjął z kieszeni spodni okrągłe pudełeczko. Otworzył je i przysunął w jego

stronę. — W normalnym życiu zaproponowałbym ci jednego na rozluźnienie — Poklepał choreografa po plecach. — Niestety to niemożliwe. Nie tylko dlatego, że moje życie nie jest normalne, ale rozumiesz, jestem trzeźwy od ponad dwóch lat.

Kacper przeniósł wzrok na metalowy pojemnik. Bursztynowe kulki odbijały światło słońca niczym paciorki z rewiowych kostiumów.

— Weź jednego — ponaglił tamten. — Robi je mój znajomy Peruwiańczyk. Czysta passiflora, kozłek i jakieś ichniejsze zioła — wyjaśnił. — Poczujesz się lepiej.

Posłusznie wziął cukierek. Poczul na podniebieniu słodki i lekko kwaskowaty smak. Westchnął. Powoli, acz skutecznie, pozbierał porozrzucane myśli.

— Słuchaj, może ty mógłbyś mi pomóc — zwrócił się do mężczyzny, ścisząc głos. — Widziałeś tu Kasię? Katarzyna Wronka. Szczupła, wysoka brunetka. Wielkie oczy, szeroki uśmiech. Z dołeczkami i drobnymi zębami. Trochę blada ostatnio, bidulka, ale piękna dziewczyna. Trudno nie zwrócić na nią uwagi.

— Nie ma jej tutaj.

— Czyli znasz ją? Tak? Wiesz, o kim mówię? Była tu? — Kacper ożywił się.

— Tak, poznałem Kaśkę. — Mężczyzna podrapał się po głowie. — Wypisała się na własne życzenie już dawno temu. Dyrektorka pisała w jej sprawie do rodziców i chyba do twojej żony. Sadowska, tak? — Zwiesił głowę, jego pogodna do tej pory twarz posępniała. — Ach, dzieciaki. Starzeją się razem z nami, ale nie dorastają. Tak jak my. Mam nadzieję, że odnajdziesz swoją córkę — dodał.

— Problem w tym, że nie wiem, czy ona jest moją córką — powiedział Kacper.

— Ale kochasz ją, tak?

Kacper spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami, jakby ktoś właśnie odkrył jego największą tajemnicę. Mężczyzna wzruszył ramionami, robiąc niewinną minę.

— Przed chwilą wykrzyczałeś to na cały ośrodek. Pewnie już we wsi gadają.

Chwilę milczeli, po czym roześmiali się jak starzy, dobrzy znajomi.

— Słuchaj — nowy kumpel Kacpra spowaźniał nagle — osobiście nie wierzę w tę całą historię z molestowaniem. Sporo rozmawiałem z Kasią, poznałem ją, ale ci tutaj nie żartują z tymi sprawami. Odpuść — poradził.

— O czym ty mówisz? Kto ją molestował? — Kacper zerwał się na równe nogi. Spojrzał na mężczyznę, oczekując wyjaśnień. — Chwileczkę. Chwileczkę. — Potarł nerwowo czoło. — Myśla, że to ja ją molestowałem?!

Mężczyzna nie odpowiedział.

— Nie panikuj, kolego — poradził. — Dzieciaki często zmyślają podobne historie, żeby zwrócić na siebie uwagę.

— Co chcesz przez to powiedzieć?! Że to Kasia naopowiadała tych bzdur?

— Nigdy nie słyszałem, żeby coś podobnego wyszło z jej ust, ale podobno rodzice dowiedzieli się o tym od twojej żony.

Kacper ukrył twarz w dłoniach, szlochał głośno, ale krótko. Wytarł twarz wielokrotnie, aż do czerwoności, a jego rysy wyostrzyły się. Spojrzał na zdezorientowanego mężczyznę. Jeszcze czterdzieści osiem godzin temu wstydziłby się, ale teraz był już kimś zupełnie innym.

— Dziękuję — kiwnął głową.

Milczeli przez dłuższą chwilę, gubiąc spojrzenia w falującym horyzoncie traw. W końcu mężczyzna westchnął głośno.

— Będę się zbierał. Mam zajęcia za pół godziny.

Kacper pokiwał głową, ale nie ruszył się.

— Chciałbym, żeby była moją córką — rzekł, patrząc w dal. — Masz dzieci? — spytał.

— Tak, dwoje — odparł tamten po dłuższej chwili.

— I co, odwiedzają cię tutaj czy jak?

Mężczyzna wstał i otrzepał spodnie.

— Straciłem oboje. — Zmarszczki na jego twarzy jakby nabrały intensywności albo staczające się po niebie słońce ukazało je w innym świetle. — Miło mi było cię poznać. — Wyciągnął rękę do Kacpra. Choreograf uściśnął mu dłoń.

— Mam nadzieję, że się jeszcze kiedyś spotkamy. Może nie na piwie, ale chociaż pogadamy przy kawie — odparł życzliwie.

— Będzie mi miło — uśmiechnął się mężczyzna i skierował się w stronę drzwi.

— Gdzie moje maniery — zawołał za nim. — Jestem Kacper. Kacper Sadowski.

Mężczyzna odwrócił się z progu.

— Wiem — odpowiedział, po czym dodał: — A ja Tadeusz Bajski. — I zniknął za drzwiami.

Mateusz załatwił wszystko. Poprosił Witolda o spotkanie w biurze wcześniej rano przed próbą w celach organizacyjnych. O tej samej godzinie zaprosił Izę na śniadanie pod pretekstem ciekawych propozycji reklamowych dla zespołu. Rozpuścił wśród tancerzy fałszywe informacje o przesuniętej próbie i tak oto Alicja weszła do teatru przez zaplecze, wymieniając szczerzy uśmiech z przemiłym portierem, któremu kilkakrotnie przynosiła kawę z automatu w przerwach między próbami. Zdecydowanym krokiem ruszyła do zascenia, wciągając nosem zapach kurzu i uśmiechając się sama do siebie z dziwaczności tego przyzwyczajenia. Zapukała ze zwykłej grzeczności, ale nie czekała na zaproszenie. Pchnęła drzwi i weszła do pomieszczenia, które nie tak dawno temu napawało ją strachem i obrzydzeniem.

Witold, chyba jeszcze grubszy, niż go zapamiętała, siedział w absurdalnie dużym podrasowanym fotelu ze skóry, zastawiony drogim i kompletnie niepasującym do wnętrza meblem niczym murem obronnym. Teraz, już bez żadnej władzy nad jej przyszłością, wydawał się maluśki i groteskowy: rozpostarty ponad stertą rachunków, opierając brodę na pierwszym podbródku, trzęsącym się nad wydatkami Izy.

— Witaj, Witoldzie — zaświergotała Alicja. Miała niewiele czasu. Nawet Mateusz ze swoim wrodzonym wdziękiem i zdolnościami wypełniania czasu i przestrzeni nie był w stanie zająć Izy dłużej niż dwadzieścia minut. Odkąd autonominowała się solistką rewii, pojawiała się w teatrze dużo wcześniej przed zespołem, aby przećwiczyć swoje partie. Sponsor przelał twarz na właściwe miejsce i dwukrotnie zmierzył Alicję wzrokiem, zatrzymując go na jej krągłych częściach, których walory podkreślała czerwona obcisła bluzka z dekoltem.

— No proszę, proszę... — Wykrzywił usta na podobieństwo uśmiechu, a jego oczy zniknęły za horyzontem policzków. — Rozsądna z ciebie dziewczynka. — Wskazał jej krzesło, a ona usiadła. — Przyniosłaś wszystko?

— Właściwie nie przyszedłam po to, żeby ci oddać pieniądze, których nigdy na oczy nie widziałam, ale żeby odebrać to, co jesteście mi winni za płatne próby. Plus zaległe wynagrodzenie dla zespołu.

„Cholera, powiedziałam to” — pomyślała, pocąc się między piersiami.

Sponsor uwolnił twarz od uśmiechu. Rozluźnione policzki opadły. Sapnął, głośno wydmuchując powietrze przez szeroko rozwarte dziurki w nosie, niczym byk ugodzony banderillą przez matadora.

— Posłuchaj, kotku, chyba się nie zrozumieliśmy — sęczył słowa przez mięsiste wargi. — Potraktowałem cię ulgowo, zamiast dzwonić na policję...

— Proszę bardzo — przerwała mu. — Miałabym im sporo do opowiedzenia.

Witold oparł się plecami o fotel.

— Ach tak? I co takiego miałyby ich zainteresować poza kradzieżą pieniędzy i podrobionymi certyfikatami? Hmm, jeśli się nie mylę, to też jest karalne. — Drwina zagościła na jego twarzy. Alicja przełknęła ślinę. Chyba kompletnie odebrało jej rozum, kiedy obmyślała ten plan. Nie dość, że ryzykuje sama, to jeszcze może pociągnąć za sobą Mateusza i jego ojca! Poczula wypieki na twarzy jak ciepły okład z dodatkiem kamfory. Nie była w stanie stwierdzić, czy sponsor jest tak pewny siebie, czy tylko tak świetnie odgrywa rolę. Nie miała wyboru. Musiała doprowadzić farsę do końca.

— Kiedy policja będzie w drodze, najpierw ujawnię przed zespołem i Kacprem oczywiście twój romans z Izą. Myślę, że po półgodzinie od tego momentu policja będzie miała pełne ręce roboty. — Mówiąc to, zastanawiała się, czy mężczyzna słyszy bicie jej serca i czy



wyraz jej twarzy jest wystarczająco wiarygodny.

Witold poprawił się w fotelu, po czym nieoczekiwanie wybuchnął śmiechem, co kompletnie zdezorientowało Alicję.

— Widziałam was — dodała pospiesznie, starając się mówić z jak największą swobodą i spokojem. Mężczyzna kilkakrotnie potarł liczne fałdy szyjne. Uśmiechał się, ale jego wzrok nie podzielał tej radości.

— I co takiego widziałas? Ja i Iza! Też mi pomysły! — Klasnął w pulchne dłonie.

— Dokładnie tak — brnęła Alicja. — Na biurku w tym gabinecie. Nie ma nikogo innego w tym zespole, kto nosi czerwone szpilki.

— Ale jest ktoś, kto ma na tyle tupetu, żeby sobie je pożyczać! — podsumował triumfalnie.

„Jezu, o czym on mówi? To nie była ona!? A więc kto? To niemożliwe... Cholera jasna, i co teraz...” Myśl goniła myśl jak sekunda sekundą, a ponieważ plan B nigdy nie powstał, miała tylko jedną możliwość: improwizować. Poza oczywiście natychmiastowym oddaleniem się z podwiniętym ogonem. Ukryła twarz w dłoniach i wypełniła pomieszczenie suchym płaczem. Skonfundowany Witold przyglądał jej się w ciszy. Najwyraźniej kobiecie łzy nie robiły na nim wrażenia. Siedział nieruchomo, co jakiś czas przewracając oczami. Alicja, zanim uniosła głowę, potarła mocno powieki, aby zostawić rozmazany tusz na policzkach.

— Wybacz mi, Witoldzie, jestem zdesperowana — wyszeptała. Mężczyzna uniósł brwi. — Nie wiem, co we mnie wstąpiło. — Pochyliła się w jego stronę, przygniatając piersi do opartych rąk. Dekolt uniósł się ku górze. Wyciągnęła niepewnie rękę, kładąc ją na nadgarstku sponsora. — Jestem kompletnie zrujnowana. Potrzebuję twojej pomocy.

— Szantażowanie mnie to nie jest najlepszy sposób — burknął.

— Masz rację, przepraszam. — Wyprostowała się. — Chyba jest jakiś sposób, żeby o tym zapomnieć. — Uśmiechnęła się niewinnie. Sekundy oczekiwania na najdrobniejszą reakcję Witolda stawiały powodzenie planu pod znakiem zapytania, a nerwy Alicji puszczały nitka po nitce, tym bardziej że rola, w jaką zmuszona była się wcielić, napawała ją obrzydzeniem, tak jak i Witold, i to nie z powodu wyglądu, ale przez prymitywizm, z którego był ulany. Łaszenie się do niego w przekonujący sposób uważała za zachowanie ponad własne siły.

— Możesz odrobić dług w jednym z moich klubów — odparł oschle po dłuższym namyśle. — Powiedzmy, że stara propozycja jest nadal aktualna — dodał.

— Naprawdę? — Przełknęła ślinę. — A co konkretnie miałabym tam robić? — spytała.

— No jak to co? — Spojrzał na nią z politowaniem. — Wykorzystać swój naturalny talent.

— To znaczy tańczyć?

Sponsor sapnął ciężko, następnie syntetycznie i bez dwuznaczności przybliżył Alicji obowiązki pracownic jego klubów.

— A jak będziesz miła — przeciągnął słowo „miła” — to dam ci jeszcze dobrze zarobić. To jak? Kiedy zaczniesz? — Sięgnął po telefon i spojrzał na nią w oczekiwaniu.

Alicja wyprężyła się, zmuszając mięśnie twarzy do skurczu przypominającego uśmiech.

— A co z umową, ubezpieczeniem i w ogóle o jakich zarobkach mówimy? — spytała.

— Jaka znowu umowa?! Dziewczyno! — Rozgorączkował się. — Jeśli po pierwszym wieczorze podliczysz banknoty wsunięte za majteczki albo stanik, to więcej mnie nie zapytasz o te bzdury! A uwierz mi, mała, twój będzie wypchany bardziej, niż jest teraz.

Starala się nie patrzeć na niego, gdy opisywał ją w nowej roli, aby nie zdradzić obrzydzenia, które z każdą chwilą coraz widoczniej wykrzywiało jej twarz.

— Zmieniłam zdanie. Jednak nie jestem zainteresowana. — Jej ton wystygł, a miód ze

strun głosowych spłynął gdzieś na dno gardła. — Wolę te marne, ale uczciwie wypocone grosze za próby — oznajmiła twardo.

Witold skrzywił się, jakby właśnie przełknął świeżo wyciskany sok z cytryny.

— Chyba idiotę ze mnie robisz — warknął. — Grosza nie zobaczysz!

Alicja sięgnęła do tylnej kieszeni spodni i wyciągnęła coś na kształt pudełka zapalek.

— W takim razie to nagranie jeszcze dziś trafi do prokuratury razem z moim donosem. — Uniosła dyktafon na wysokość oczu sponsora.

Witold poczerwieniał.

— Ty suko! — Wyskoczył zza biurka, strącając na ziemię kryształową baletnicę. Kawalki rozprysły się po pokoju.

Dziewczyna odskoczyła w ostatniej chwili, chowając urządzenie za plecami.

— Nawet się nie waż! — Powstrzymała go ruchem ręki. Zatrzymał się na chwilę, a ona skorzystała z tych kilku sekund, aby znaleźć się jak najbliżej drzwi. — Przed teatrem czeka mój facet — rzuciła. — Jeśli nie pojawię się w ciągu pięciu minut, zadzwoni na policję. Kasetę za wynagrodzenie — zażądała, potrząsając pudełeczkiem.

Witold uśmiechnął się ponuro i ruszył przed siebie.

Samolot wylądował piętnaście minut wcześniej, jak gdyby popychany myślami muzyka. Podjechał pod rękaw w rytm *When Doves Cry* Prince'a i zaparkował prawie dwustutonowy kadłub z gracją miejskiego auta ze wspomaganiami. Simon wyłączył muzykę i natychmiast do jego uszu wsączyły się nieproszone odgłosy. Cenił ciszę i kochał piękne dźwięki. Wyłapywał interesujące odgłosy z życia, ale hałasy ignorancji, superpotencji i zaśmieconej fonii raniły jego słuch. Wyrzwał przez warstwowe okienko niczym przez okular z podwójnymi szklami. Nad gęstymi lasami wisiało szare płótno nieba. Ani jednej kropli poza tymi na spoconych skroniach pasażerów szykujących się do wyjścia. Lubił wracać do Polski. Choć to Australia była jego domem, tylko tutaj emocjonował się i wzruszał, gdy koła samolotu dotykały ziemi. Korzeni. Mógł pozostać w Paryżu jeszcze przez kilka dni, w eleganckim hotelu przy Montmartre, opłaconym przez rodzinę wuja. I cieszyłby się tym niezwykłym miejscem, przesączonym duchem artystycznego geniuszu, gdyby ona była tam razem z nim. Ruszył w kierunku wyjścia za truchtającym ogonkiem, wskakując w wolne miejsce w rzędzie jak brakujące ogniwo.

— *Merci. Au revoir* — odpowiedział zegnającej pasażerów stewardesie i pochylając głowę, wyszedł z samolotu wprost w paszczę gąsieniczego tunelu.

„Dlaczego nie odbiera?”

Dzwonił przez cały wieczór, wiele razy, zły na siebie za każdy kolejny raz. Między nimi pozostały niezamknięte rozdziały. Niedokończone rozmowy, niezdeklarowane pragnienia, zawieszona w nicości autystyczne uczucia, które nie istniały jako wspomnienie ani jako filar ich rzeczywistości.

Raczej jako pragnienie. Czy mógł zostawić sprawy opatrności, czekając, aż życie poniesie w dal to, co dzieje się między nimi, jak odpływ ziarenka piasku z plaży?

Nie. Chciał wiedzieć, co Alicja myśli, co czuje, czego chce. I chciał powiedzieć jej o sobie. Wyjaśnić, dlaczego po tamtej nocy nie zaczął jej unikać albo po prostu się nie wyprowadził. Tak jak najprawdopodobniej ona by wolała. Włączył telefon, poczekał, aż pojawi się zasięg, i wybrał numer. Natychmiast odezwała się automatyczna sekretarka. Dla pewności spróbował jeszcze raz.

I kolejny. Zaklął pod nosem, po czym ruszył w stronę wyjścia, slalomem wymijając rzeszę pasażerów. Wsiadł do jednej z zaparkowanych pod terminalem taksówek, wciągając walizkę na tylne siedzenie. Taksówkarz obrzucił go pogardliwym spojrzeniem, ale widząc wyraz twarzy pasażera, powstrzymał się od komentarzy.

— Dokąd?

— Do Teatru Rue de Paris — rzucił muzyk.

— Zna pan adres? — spytał zmieszany taksówkarz.

— Wcześniejszy Teatr Arena — wyjaśnił.

— Ach, stara poczciwa Arena przy Jaśminowej. — Mężczyzna westchnął, odpalając silnik. — To mówi pan, że jak się teraz nazywa?

— Wie pan co? Zmieniłem zdanie — powiedział Simon, nie zwracając uwagi na taksówkarza. — Jedziemy do centrum.

\*

Po długich rozważaniach filigranowe okrucieństwa baletnicy spoczęły w koszu na śmieci, a żal nad jej utratą wygenerował pokłady złości wystarczające do popełnienia nieobliczalnych czynów. Iza użyła wszystkich istniejących niecenzuralnych słów, aby określić sprawcę i opisać jak

najdosadniej, co by mu zrobiła, gdyby żyli w państwie anarchistycznym. Urządziła z gabinetu Witolda komorę gazową z domieszką mentolu i przez całą próbę nie zdołała przeciwżyć żadnej choreografii do końca. Wieść, że Alicja po odrzuconych przez Witolda jej niemoralnych propozycjach zaszantażowała go w jego własnym gabinecie, i to podczas nieobecności Izy, po prostu wchodząc do teatru, jakby należała do zespołu, stała się iskrą wrzuconą w siennik. Nie przez przypadek.

Tancerze, moralnie podeptani, zdezorientowani, pozbawieni motywacji i ręki mentora, drgali w rytm powtarzającej się piosenki niczym auto bez kierowcy staczające się z drogi na ostatnich oparach paliwa. Witold, dziwnie opanowany po tak traumatycznych przejściach, odmówił drażenia tematu, kategorycznie żądając „ciszy na pokładzie” aż do wypłynięcia rewii na szerokie wody, mocno zaniepokojony antyreklamą dla przedstawienia i moraliami zespołu. Zanim opuścił biuro, biorąc wolne na resztę dnia, zdołał przypomnieć Izie, że nie zapłacił jej mężowi za pracę w terenie i gdziekolwiek jest, i cokolwiek robi, ma pojawić się w pracy jak wszyscy inni. O nieobecności Kaśki żalił się niższym tonem, oznajmiając, że trzeci dzień nieusprawiedliwionej obecności będzie ją słono kosztować. Iza zostawiła zespół samemu sobie z surowym nakazem ćwiczenia kroków aż do upadłego i zamknęła się w biurze z zamiarem rozwiązania swoich kłopotów raz na zawsze.

Telefon Kacpra milczał, komórka Kaśki nie odpowiadała, tak więc swoją uwagę przeniosła na bardziej palący problem. Nie było takiej siły, która by ją powstrzymała przed daniem nauczki bezczelnej dziewczynie, mającej tupet i odwagę, aby ją okraść i znieważać. Otworzyła notesik z farbowanej na czerwono wężowej skórki i odnalazła na ostatnich stronach, zanotowany drobnym pismem, numer. Kącik jej ust drgnął, a oczy pojaśniały. Wyciągnęła się w fotelu, opierając nogi na biurku. Po kilku sekundach bardzo oficjalny głos poinformował, że rozmowa może być nagrywana, a zaraz po nim odezwał się stanowczy kobiecy głos.

— Komenda Główna Policji.

— Dzień dobry. Chciałabym rozmawiać z inspektorem Nasalskim — odezwała się równie formalnie.

— A pani w jakiej sprawie?

— To sprawa osobista — ściszyła głos Iza. — Proszę mu przekazać, że dzwoni Iza Sadowska, dobrze?

— Proszę pani, to nie jest prywatne biuro, tylko komenda — pouczyła kobieta. — Proszę poczekać, zobaczę, czy może podejść.

Nastąpiła cisza. Iza przygryzła wargę. Po dłuższej chwili usłyszała niewyraźne szmery.

— Iza Sadowska, a niech mnie! Tyle lat! — Niski i głęboki głos wypełnił jej ucho, biegnąc wzdłuż pleców aż do łędźwi. Zacisnęła odruchowo uda.

— Witaj, inspektorze — powiedziała przeciągle. — Zastanawiałam się, czy ten numer jest nadal aktualny.

— Zmieniłem biurko i fotel na większe, ale nadal ten sam oddział — roześmiał się gromko. — Co mogę dla ciebie zrobić? — spytał już poważnie.

— Chciałam cię prosić o przysługę, ale nie wiem, czy mogę przez telefon — zawahała się.

— Mów, co możesz, a resztę opowiesz mi przy kawie — postanowił Nasalski.

Iza odgarnęła kosmyk włosów za ucho.

— Chodzi o jedną z moich byłych tancerek.

— Rozumiem, coś nabroila?

— Kradzież, podrobienie dokumentu, szantaż. Mam kontynuować? — spytała zmartwionym tonem.

— To poważne zarzuty, skarbie — odparł. — Chcesz złożyć doniesienie? Będę w biurze jutro od rana.

Usłyszała szelest przierzucanych kartek.

— Wolałabym inne rozwiązanie — wyszeptła.

— W takim razie spotkajmy się w tym barze co kiedyś. Kończę za godzinę.

— Nasal, będziesz w mundurze? Nie wiem, czy cię rozpoznam. Bardzo się zmieniłeś? — spytała zaczepnie.

— Nie martw się. Ja na pewno cię rozpoznam — powiedział. — Takich jak ty się nie zapomina.

Pomyślała sobie, że jeśli zacznie pozytywnie dzień, to zakończy go jeszcze lepiej. Zaczęła od ulubionego jajka w koszulce, obrała awokado i zaparzyła zieloną herbatę. Nastawiła uwerturę do *Wesela Figara* Mozarta i wyjęła białą leciutką sukienkę z szafy. Nie mogła uwierzyć w to, co zrobiła dzień wcześniej, ale kwitek od właściciela mieszkania za opłacony wynajem na kolejne dwa miesiące przypominał jej, że było warto ryzykować. Przespała ciągiem siedem godzin. Nie pociła się. Nie śniła. Wstała wypoczęta i zadowolona. I byłby to jeden z najbardziej pozytywnych dni od dłuższego czasu, gdyby nie... obiad z mamą. Ale w końcu zaczęła ten dzień pozytywnie i tak zamierzała go spędzić. Nawet w towarzystwie matki. „Dzisiaj nie dam się wyprowadzić z równowagi” — postanowiła.

Dwupokojowe mieszkanie mieściło się na pierwszym piętrze w starej kamienicy, do której kobieta wprowadziła się, kiedy Alicja podczas studiów zamieszkała z Wojtkiem. Sentyment do architektury i okolicy najwyraźniej pozostał, bo od ich rodzinnego domu ze strzelistymi wieżyczkami dzieliło ją zaledwie kilka przecznic. Alicja tak rzadko odwiedzała matkę, że nawet po najdrobniejszym przemeblowaniu miała trudności z natychmiastowym trafieniem do łazienki. Jednak nie to było największym problemem. Kolizyjność w ich kontaktach i biegunowość w postrzeganiu najdrobniejszych rzeczy, od koloru mleka aż do kwestii aboreji, sprawiały, że czuła się w domu własnej matki kimś, kim właściwie była.

Gościem. Nie znosiła pamiątek po Szymonie ozdabiających komody i przedmiotów pełnych wspomnień, których próbowała wyzbyć się przez wiele lat. Nie znosiła czuć się obserwowana przez kobietę, która powinna znać ją lepiej niż ktokolwiek inny. A nie znała wcale. Pragnęła chociaż raz usłyszeć od niej pochwałę, że zrobiła coś dobrze, że ma rację. Jak od matki, a nie jak od obcej kobiety, która poucza inną.

Mama była nadal piękną kobietą, choć jej skóra nie zdołała uchronić się od drobnych i dość głębokich zmarszczek, gdyż miała cerę jasną i nakropioną piegami, jedną z tych, które starzeją się szybciej. Rude włosy, kiedyś pełne kasztanowych falujących refleksów, teraz nieco zmatowiały od pokrywającej siwizną marchwiowej farby. Ale oczy — piwne? — czyżby zjaśniały tak bardzo, że Alicja zobaczyła w nich pewne podobieństwo? Tak... Dawno nie siedziały przy wspólnym stole. Ryba po grecku smakowała wyśmienicie jak kiedyś. Rozmawiały mało, ważąc słowa, ale żadna nie odważyła się zaprzeczać, kwestionować, komentować. Spoglądały na siebie co drugi widelec, potakując czy uśmiechając się bez ukazywania zębów. Po cieście z rabarbarem i truskawkami nie miały już nic do odegrania. Matka wstała i zebrała talerze. Alicja uniosła się, aby jej pomóc. Zauważyła, jak kobieta otwiera usta, żeby coś powiedzieć, i po chwili rezygnuje, uśmiechając się nieśmiało. Pierwszy raz, odkąd Alicja pamiętała, pozwoliła jej zrobić coś z własnej inicjatywy, nie komentując. Zamiast kubków z herbatą lub dzbanka z kawą na stole stanęły dwa pękate kieliszki do wina i butelka Cavallotto Barolo rocznik 2007. Alicja spojrzała na matkę zdumiona. Kobieta nie zareagowała, zapamiętała oddając się odkorkowywaniu wina, a Alicja nie śmiała przerwać tej niezwykłej sceny. Gdy rubinowoczerwony płyn odebrał szkłu przezroczystość, Alicja w końcu przemówiła:

— Mamo, ty pijesz?

Kobieta uniosła kieliszek, zbliżając go w stronę córki na zachętę, aby zrobiła to samo, i po raz pierwszy w życiu Alicja wzniosła toast ze swoją rodzicielką.

— Za nas — szepnęła kobieta. Wino musiało kosztować majątek albo matka miała dobry gust, o którym Alicja nie miała najmniejszego pojęcia. Smakowało jak konfitura z leśnych owoców, która spadła obok patelni i ogień zredukował ją do plamy syropu, z ledwo

wyczuwalnym posmakiem lukrecji i palonego drewna. Z pewnością nigdy nie piła czegoś podobnego. Znad szklanej kopuły spoglądała na matkę, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że na jej twarzy maluje się ulga.

— Moja Alicjo. — Kobieta odezwała się wreszcie po dłuższej chwili milczenia, a sam wstęp spowodował u Alicji usztywnienie pleców. — Nie piłam wina od niepamiętnych lat, choć za nim przepadam. — Zamyśliła się na chwilę, po czym spojrzała córce w oczy. — Mam nadzieję, że kiedyś mi wybaczysz mój specyficzny sposób kochania ciebie. — Upiła łyk, przymykając oczy.

Alicja poczuła pieczenie pod powiekami.

Matka mówiła dalej:

— Że kiedyś twój gniew osłabnie i spojrzysz mniej krytycznie na swoich rodziców, którym los postanowił dokuczać. — Doląła wina do kieliszków i podeszła do kredensu. Wzięła leżącą na nim kopertę, usiadła naprzeciw Alicji i uniosła zmęczony wzrok. Położyła kopertę na obrusie i przykryła dłonią. Jej twarz zmieniała się z każdą sekundą, jak oblicze wieszczki odkrywającej czyjaś przyszłość, a Alicja miała wrażenie, że matka się boi.

— To jest dla ciebie. — Przesunęła kopertę w stronę Alicji. — Będę na balkonie — dodała i wyszła z kuchni. Alicja siedziała nieruchomo, wpatrując się w kawałek papieru jak w odrażającego pajaka, który tylko czeka na jej najmniejszy ruch, aby zaatakować. „Mama pije wino, nie naprawia mnie dzisiaj i ma podobne do mnie oczy” — pomyślała. „Czym jeszcze może mnie dziś zaskoczyć?”. Zdecydowanym ruchem chwyciła kopertę, jakby się obawiała, że za chwilę zabraknie jej odwagi. Rozerwała jeden z boków i wyjęła zawartość.

Jej oczom ukazał się odręcznie napisany list. Na widok kaligrafii, skóra ścierpła jej na karku.

*Kochana Alicjo,*

*nawet nie wiesz, jak długo czekałem na tę chwilę. Proszę Cię, nie niszczyć tego listu, zanim go nie przeczytasz. Później zdecydujesz, co z nim zrobić, i postaraj się nie winić Twojej Matki; ona zrobiła to, co było w jej mocy. Chcę, żebyś wiedziała, że zabroniłem jej przez te wszystkie lata powiedzieć ci prawdę i biorę za to całą odpowiedzialność. Chcę też, żebyś pamiętała, że zawsze Cię kochałem. Nawet wtedy, gdy nie było mnie przy Tobie.*

*Byłaś i jesteś moim promieniem, tęczą w deszczowe dni i choć teraz w to nie uwierzysz, wszystko, co zrobiłem, robiłem z miłością i poświęceniem, chociaż dzisiaj, pisząc ten list, nie jestem już z tego taki dumny. Przychodzi w życiu taki moment, że dorastasz, pojawiają się dzieci i zaczynasz być za kogoś odpowiedzialny, choć zdajesz sobie sprawę, że ty sam jeszcze nie dorosłeś. Potrzebujesz wskazówek, rad. Kogoś, kto wskaże ci drogę. Czasem trudno nam samym pojąć wagę decyzji, które musimy podjąć, i ich bezpośredni wpływ na delikatny los podążających za nami istot: żywej modeliny w naszych niedoświadczonych rękach. I nie mówię tu o zakupie domu, zmianie pracy, inwestowaniu oszczędności życia czy nawet planowaniu rodziny. Chodzi o coś znacznie ważniejszego, większego.*

*To tak, jakby hodować unikatową różę i z premedytacją zraszać jej liście chlorowaną, twardą wodą, a potem się dziwić, że rośnie na nich grzyb. Rozumiesz, kochanie?*

*Ja byłem złym ogrodnikiem, Alicjo.*

*Wszystko zaczęło się od śmierci Szymonka. Przepraszam, że rozdrapuję stare rany, ale musisz to wiedzieć. Zwłaszcza że okazałaś się najsilniejsza z nas wszystkich. Jedyne dorosła w naszej rodzinie.*

*Matka załamała się i zamknęła w sobie, a ja, jak wiesz, zniknąłem. I przez te wszystkie lata rozmyślając, dziś nie jestem już pewien, że postąpiłem słusznie.*

*Usunąłem się z Twojego życia, aby Cię chronić. Był to jedyny sposób, żebyś mogła zbliżyć*

*się z Matką i powoli odnaleźć siebie, nieskażona moim negatywnym wpływem. Zaakceptować swoją niezwykłość, pokochać kogoś całym sercem, czerpać radość, a nie ból z Twojej pasji, przebaczyć i być naprawdę szczęśliwą. Alicjo, jesteś szczęśliwa?*

*To jedyna rzecz, której zawsze dla Ciebie pragnąłem, odkąd przyszałaś na świat, niosąc nam światło Twoich oczu i niezwykłość talentu, którym obdarzyło Cię życie.*

*Nie wiem, czy pamiętasz, ale sam wyrosłem w konflikcie. Bez zrozumienia. Bez akceptacji. Próbowano odebrać mi moją magię, nie rozumiejąc, że jest ona częścią mnie i potrzebuję jej jak tlenu. Jak Ty tańca, który masz w sobie i nic ani nikt tego nie zmieni. Nawet Mama.*

*Musiałem Cię opuścić...*

*Wstała od stołu, krzesło upadło z hukiem na podłogę. Zdążyła dojść do okna i otworzyć je na oścież. Wychyliła się na zewnątrz i zaczęła łapać powietrze, szeroko otwierając usta. Czowała pękające kąciki ust. Tętent serca galopował na fali krzyku. I nawet gdy zabrakło jej głosu, nadal krzyczała, pozwalając, by konwulsje posiadały ją całkowicie. Oparła się o szybę i powoli zsunęła na podłogę. Matka wbiegła do kuchni z przerażeniem w oczach. Rzuciła się w stronę Alicji i nie mogąc jej unieść, usiadła tuż za nią, obejmując głowę córki. Położyła dłoń na czole Alicji i wyszeptała:*

*— Ciiii...*

*Wiem, że brzmi to okrutnie, ale trzymając Cię kurczowo w ramionach, tam gdzie chciałaś wtedy być, wyrządziłbym ci więcej krzywdy. Wiem, że nie zgadzasz się ze mną. Ale uwierz, nie byłem w stanie zadbać o Ciebie ani o Mamę. Nie byłem w stanie zadbać nawet sam o siebie. Prawda jest taka, że byłem zbyt słaby, żeby mieć taką rodzinę, jaką miałem. Konflikt z moim ojcem zasadził we mnie ziarno niekompatybilności ze światem, śmierć Twojego brata tylko podlała to monstrualne drzewo. Już na początku choroby Szymona nie potrafiłem rozpocząć dnia bez lampki wina i skończyć bez kieliszka wódki. Kiedy umarł, było o wiele gorzej, ale dzięki Twojej Matce nie musiałaś być tego świadkiem. Dlatego wyjechałem. Odszedłem z resztką godności, próbując ocalić ostatni skarb, jaki nam został.*

*Ciebie, Alicjo.*

*Ale nigdy Cię nie opuściłem.*

*Byłem obecny przy każdym Twoim potknięciu, przy każdym zwycięstwie. Choć dla Twojego dobra musiałem patrzeć na nie z ukrycia. Żebyś mogła rozkwitnąć, moja różo, z dala od zaraźliwego grzyba.*

*Po tych wszystkich latach jestem nadal marnym magikiem, ale jedno zrozumiałem: że kluczem do własnego życia jest świadomość, nie tylko wyobraźnia. Ty odnalazłaś ten klucz, Córeczko, i teraz będziesz mogła wreszcie otworzyć drzwi do swojego szczęścia. Życie nabierze rumieńców.*

*Wiem, że umysł każe Ci zniechęcić mnie i okładać pięściami, ale Twoje wielkie serce zrozumie. Prawda? Bo jedyna prawdziwa wolność, jaka istnieje, to ta w Twojej głowie, i póki co nikt nie ma tam dostępu. Do serca tak. Piszę więc do Twojego serca te słowa i proszę o wybaczenie. Ja sam nigdy sobie nie wybaczę twoich łez i nieprzespanych nocy. Mojej słabości. Egoizmu. Myśląc, że jedyną dorosłą decyzją, jaką podjąłem w swoim życiu, było wyeliminowanie trucizny z Twojego życia. Napisanie tego listu było drugą. Zapewne minie sporo czasu, zanim zechcesz mnie zobaczyć, o ile w ogóle. I jeśli tak zdecydujesz, uczynisz mnie znów ojcem godnym swojej córki.*

*Tata*

*PS Wiedz, że nie piję od dnia Twojego wypadku i jest to najlepsze, co zdołałem osiągnąć, odkąd widziałas mnie po raz ostatni...*



Wpadła do łazienki. Zamknęła za sobą drzwi i z obrzydzeniem dotknęła zasuwki. Rygielek przesuwiał się topornie i musiała użyć obu rąk, aby wskoczył w szczelinę we framudze. W końcu zaskoczył, zarysowując lustrzaną powierzchnię jej paznokcia.

Zakłęła.

Puściła wodę do umywalki i umyła ręce trzy razy. Mydło w płynie śmierdziało lasem. Poprawiła rozwichrzone włosy, przeczesując je wielokrotnie palcami i do skutku porządkując za uchem. Spocony kosmyk uparcie przybierał niepożądane formy.

Uzpełniła szminkę na zaróżowionych wargach o niewyraźnym konturze i spryskała dekolt resztką perfum. Skontrolowała prawy profil, a potem lewy i jeszcze raz zerknęła na włosy za lewym uchem, przyglądając się pięknej twarzy, właściwie bez zmarszczek. Ktoś szarpnął za kłamkę. Widocznie w nagłej potrzebie, bo drzwi zatrzeszczały we framugach jeszcze dwa razy.

— Zajęte! — krzyknęła. Kroki oddaliły się szybko i znów nastała cisza. Opuściła koronkowe majtki spod eleganckiej sukienki i wypięła pośladki nad zmatowiały sedes pozbawiony deski. Pochylając się w przód jak narciarz gotowy do skoku, spoglądała na wilgotną wyściółkę bielizny. „Cholera. On zawsze pojawia się w nieodpowiednim momencie” — zawrzało jej w myślach. „Na szczęście dzisiaj są tabletki »po«, nie to, co kiedyś...”

Zanim opuściła bar, włożyła czarne okulary i bez słowa wyszła na duszną ulicę. Stukot obcasów ciągnął się za nią przez dwie przecznice, gdzie zaparkowała auto. Widząc je, westchnęła z ulgą. Otworzyła z impetem drzwi i przysiadła na fotelu, trzymając nogi nadal poza autem. Przejeżdżający rowerzysta zagwizdał na jej widok. Włożyła kluczyk do stacyjki, aby jak najszybciej poczuć zimny powiew na twarzy, gdy rozległy się rytmiczne fanfary z jej torebki.

— Halo!

— Pani Sadowska? — upewnił się kobiecy głos.

— Kto mówi? — zniecierpliwiała się Iza, marząc o natychmiastowym chłodnym prysznicu.

— Krystyna Lupo z Fundacji Dom. Miałśmy przyjemność się spotkać. Wielokrotnie. — Zabrzmiało surowo.

— Być może. Nie przypominam sobie. O co chodzi?

— O pani córkę.

— No tak — westchnęła Iza. — Co z nią znowu? Nie pojawia się na próbach, a premiera za niecałe dwa tygodnie. Proszę dać mi ją do telefonu — zażądała.

— Nie. Ona teraz nie chce z nikim rozmawiać — oznajmiła stanowczo kobieta — i nie jest też specjalnie w stanie. Obawiam się, że musi się pani natychmiast do nas pofatygować.

Iza wydeła wargi, opierając się o fotel.

— Jestem teraz na spotkaniu. Czy nie może pani zadzwonić po jej rodziców?

Zapadła cisza. Iza odsunęła telefon, aby zerknąć na ekran, czy jest połączenie. Na cyferblacie widniała słuchawka i napis „Fundacja Dom”.

— Halo! — krzyknęła do telefonu.

— Rodzice adopcyjni już tu jadą. Policja kazała mi zawiadomić także panią.

— Jak to policja? — Iza wyprostowała się.

— Tak więc radzę urwać się ze spotkania, zważywszy na fakt, że to pani wzięła odpowiedzialność za Kasię, a z tego, co się właśnie dowiedziałam, była bez najmniejszego nadzoru przynajmniej od dwóch dni.

„Wredna baba” — pomyślała Iza, gdy tylko się rozłączyły. Zamknęła się w aucie,

włączyła silnik i podkręciła klimatyzację do oporu. Przez chwilę zastanawiała się nad tym, co właśnie usłyszała. Cóż, w razie potrzeby będzie musiała improwizować. Jej istotnym atutem było to, że zawsze wiedziała, co powiedzieć. Znieczulające powietrze ściągnęło pory jej skóry, a orzeźwienie dodało energii. Mokrymi chusteczkami do demakijażu przetarła pachy i stopy. Wzięła marynarkę z tylnego siedzenia i położyła na torbie. Przypaliła papierosa i trąbiąc na wracającego właśnie rowerzystę, ruszyła na spotkanie.

Krystyna Lupo w dżinsach i podkoszulku na pierwszy rzut oka mogła być skromną studentką nudnego wydziału lub bezrobotną młodą matką, gdyby nie przeszywające spojrzenie wprawionego psychoterapeuty i cięty język, którego umiała używać bez czynienia szkód. Czekala na Izę w swoim gabinecie w towarzystwie dwóch mundurowych, niecierpliwie przestępujących z nogi na nogę. Gdy tylko kobieta weszła do środka, mężczyźni zmierzli ją wzrokiem. Producentka zapięła na wszelki wypadek marynarkę i splotła ręce na piersi.

— Gdzie ona jest? — rzuciła od razu.

— To pani jest tymczasowym opiekunem zatrzymanej? — spytał jeden z policjantów.

Ten starszy.

— Jestem jej matką! — oburzyła się Iza.

— Biologiczną — uściśliła Lupo.

Iza posłała jej wrogie spojrzenie, po czym uśmiechnęła się nieśmiało do policjantów.

— Jak to zatrzymanej?

— Katarzyna Wronka została zatrzymana w stanie nietrzeźwym podczas stwarzania zagrożenia w ruchu drogowym, zatrzymując pojazdy na drodze dwupasmowej szybkiego ruchu w celu proponowania usług seksualnych za opłatą. Zatrzymana miała prawie dwa promile alkoholu we krwi — zrelacjonował na jednym wdechu i z szybkością karabinu maszynowego policjant. Ten młodszy.

Iza zacisnęła zęby.

— Och, bidulka. Mogę ją zobaczyć? — zwróciła się do dyrektorki.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł szpakowaty mężczyzna powyżej pięćdziesiątki, w białej koszuli, na której widniały różowobrunatne mokre plamy.

— Kasia już czuje się lepiej — poinformował. — Jest z rodzicami. Mam ją przyprowadzić? — spytał, zwracając się do pani Krystyny.

Dyrektorka potarła bruzdy między brwiami. Spojrzała na Izę, a potem na niego.

— Nie chciałabym pogłębiać jej stanu, ale musimy z nią chwilę porozmawiać. Niech przyjdą — poradziła. Drzwi zatrzasnęły się i kobieta spytała wprost: — Co się między wami wydarzyło?

Iza zrobiła okrągłe oczy, prawdopodobnie zdziwiona pytaniem. Potrząsnęła tylko głową.

— To nie moja wina! — podkreśliła stanowczo. — Kaśka przez przypadek odkryła, że jestem jej prawdziwą matką, i uciekła. To wina tej jej nowej przyjaciółki! — ożywiła się. — Ma na Kasię zły wpływ. Ciąga ją po barach, namawia do picia. To pewnie ona podsłuchiwała moje prywatne rozmowy i wypaplała wszystko Kaśce!

— Co to za przyjaciółka? Nazwisko? — Starszy policjant wyciągnął z kieszeni notes z doczepionym srebrnym długo-pisem.

— Jedna z moich byłych tancerek. Dopiero co ją zwolniłam, bo podkradała pieniądze z biura — zeznała Iza z euforią. Policjant polecił skinieniem głowy, by kontynuowała. — Alicja Bajaska — podyktowała. — Niech pan pisze. Nazywa się Alicja Bajaska.

Drzwi znów otworzyły się gwałtownie i szpakowaty mężczyzna w obrzyganej koszuli wprowadził rodziców Kasi i kołyszając się pomiędzy nimi dziewczynę. Zaśmierdziało moczem

i kwasem. Państwo Wronkowie na widok Izy zeszytnieli i wyglądali tak, jakby chcieli coś wyrzyczyć, powstrzymali się jednak ze względu na stan córki.

Solistka zauważyła Izę i zawyła:

— Mamusiu!

Ale gdy Iza wyciągnęła rękę w jej stronę, roześmiała się szaleńczo.

— Dziękuję. Czy mogą nas państwo na chwilę zostawić? — poprosiła nieśmiało Lupo.

Niechętnie i posyłając Izie wściekłe spojrzenia, cała trójka opuściła gabinet.

Młodszy z policjantów wziął Kaškę pod rękę, aby doprowadzić ją do krzesła, ale odwinęła się zamasyście, podrzucając daszek jego czapki.

— Zabieraj łapy, chamie! Tancerka też człowiek!

Iza, przykrywając nos dłonią, patrzyła na solistkę z niedowierzaniem. Krótka czerwona sukienka, wciskająca się pomiędzy zębra i drobne piersi. Okolice brzucha i pachwin upstrzone w brązowe i białe drobinki wymiocin. Włosy posklejane i sterzące na boki, a rozpuszczony makijaż upodabniał twarz dziewczyny do maski klauna. Ciało Kasi zwiślało posłuszenie na krześle, podrzucane co chwilę skurczami czkawki niczym przyrządem do elektrostymulacji mięśni.

— Czemu nie zabraliście jej na izbę wytrzeźwień? — spytała Iza.

Starszy policjant zmarszczył czoło.

— A jak pani myśli? — spytał retorycznie. — Oczywiście, że zabraliśmy, ale została znaleziona przy zatrzymanej wizytówka tej placówki.

— A tatuś gdzie? — zajęczała Kaška. — Ja chcę do taty!

— Kasiu, to ja, Krystyna. — Dyrektorka pochyliła się w stronę dziewczyny. — Jesteś w stanie rozmawiać? Możesz nam powiedzieć, co się stało? — spytała delikatnie.

— Mogę nawet tańczyć i śpiewać! — zapewniła poważnie. — Mam talent po mamusi! — Próbowała unieść się, ale jej ciało, choć w rzeczywistości chude i lekkie, nie zdołało opuścić krzesła nawet na milimetr. Przelewała się na nim, bełkocąc pod nosem i pokładając się na biurku: — To przez nią, wszystko przez nią...

— Przez kogo, Kasiu? — Lupo odgarnęła dziewczynie włosy z twarzy.

Kaška dźwignęła się raptownie jak marionetka podciągnięta za sznurki.

— Ta suka... To ona mi to robi. Udaje, że jej na mnie zależy, udaje moją przyjaciółkę, udaje... Picza! — Czkawka wzięła w posiadanie zwiędnięte ciało.

Dyrektorka wróciła na swoje miejsce, posyłając jednoznaczne spojrzenie mundurowym, i sięgnęła po słuchawkę telefonu. Iza od razu odwróciła się w stronę funkcjonariuszy.

— Widzi pan! A nie mówiłam? To wszystko wina tej jej przyjaciółeczki. Sam pan słyszał!

Krystyna Lupo uważnie obserwowała Izę.

— Zapisał pan nazwisko? — upewniała się producentka.

Policjant z mnisim spokojem skinął jeden raz głową.

Dyrektorka odłożyła słuchawkę i sekundę później do pokoju wszedł pomocnik.

— Przygotowałem łóżko — oznajmił, wchodząc zamaszystym krokiem. — Chodź, kochanie, to ja, Tadek. Chodź. — Wziął Kaškę pod boki i praktycznie niósł ją w kierunku drzwi. Dziewczyna lekko uniosła głowę i widząc stojącą obok Izę, wymamrotała ze zdrtwiałym językiem:

— Suka.

— Tak, kochanie, już się jej pozbyłam — odpowiedziała pospiesznie Iza.

Policjanci spojrzeli po sobie skonsternowani. W końcu ruszyli z miejsca, żegnając dyrektorkę.

— Przyjedziemy, jak będzie w stanie złożyć zeznanie. Proszę zadzwonić. — Wymienili uścisk dłoni z Lupo i zwrócili się do Izy: — Panią poprosimy o telefon, w razie gdybyśmy mieli pytania. Tymczasem sprawdzimy tę jej przyjaciółkę.

Zapisał numer i coś obok nieczytelnym pismem jak lekarz.

Kiedy wyszli, gabinet wydał się dwukrotnie większy.

— Pani Sadowska — odezwała się dyrektorka — bardzo mi przykro, ale w zaistniałych okolicznościach nie powinna się pani kontaktować z Kasią przez jakiś czas.

Iza podeszła do biurka. Jej twarz posępniała.

— Ale ona ma premierę za dwa tygodnie! Musi być na próbach.

Lupo uniosła brwi.

— Jak wytrzeźwieje, to sama zdecyduje, czy chce i czy czuje się na siłach, żeby wystąpić.

— Jest związana kontraktem — przerwała jej Iza.

— ...i czy w ogóle chce się z panią widzieć — dokończyła oschle dyrektorka.

Iza rozejrzała się za papierosem. Torebka została w aucie.

— Zapomina pani, że to ja płacę za jej pobyt tutaj — nie ustępowała.

— Już nie — odparła bez cienia emocji Lupo, zbierając dokumenty z biurka. — Rodzice postanowili sami zająć się Kasią. — Zawiesiła wzrok na ekranie komputera. — Proszę dzwonić. A teraz żegnam panią.

Iza wyszła z gabinetu, niechcący trzaskając drzwiami. Trzęsła się z gniewu. W końcu korytarza pojawiły się dwie osoby, więc dała susa za filar, udając, że szuka czegoś w kieszeni marynarki. Odczekała chwilę i gdy hol znów opustoszał, podbiegła do wyjścia. Już miała szarpnąć za klamkę drzwi wyjściowych, gdy jej wzrok przykuł intensywny czerwony kolor, dominujący wśród przygaszonych barw otoczenia. Odwróciła głowę w stronę ławki z butami i zobaczyła je. Stały tam. Jak koktajlowa wisienka na torcie: jej czerwone szpilki. Rozejrzała się, czy przypadkiem ktoś jej nie obserwuje, ale o dziwo, zważywszy na rodzaj placówki, budynek spowijała głucha cisza. Nie zastanawiając się długo, podeszła powoli do ławki i ukucnęła obok obuwia. Wzięła lakierkę do ręki i wystarczyło jedno spojrzenie, aby wiedziała, że to jej buty. Bo któż inny miałby limitowaną wersję Martineza z Nowego Jorku? Z pewnością nie jakaś alkoholiczka! Złapała szpilki i wściekła wyszła przed budynek.

— Ach, to pani.

Mężczyzna stał na schodach w rozchełstanej koszuli z podwiniętymi rękawami. Pałac papierosa, patrzył w dal.

— Mogę jednego? — spytała z natężeniem w głosie, jakby mówiła: daj mi to natychmiast!

Podał jej pudełko Pall Malli. Nie lubiła ich, ale w tej chwili była gotowa wypalić nawet wióry zawinięte w gazetę. Zaciąg-nęła się po koniuszki palców u stóp. Z błogą miną odrzuciła głowę w tył, patrząc za smuzką dymu.

— Nie myślała pani, żeby rzucić? — Uśmiechnął się zawadiacko.

— W życiu! — odparła z satysfakcją. — A pan?

— Ja zamieniłem większy nałóg na mniejszy — roześmiał się. — W końcu trzeba zawsze wybierać mniejsze zło.

— Tak mówią... — ucięła.

Mężczyzna kiwnął głową w stronę butów.

— Po co pani buty Kasi? — spytał.

„Tak naprawdę to są moje buty! Moje!” — odpowiedziała w myślach.

— Zdarła nieco obcasy. Oddam je do szewca i przyniosę coś wygodniejszego — wyjaśniła.

Przytaknął.

— Ach te córki.

Spojrzała na niego. Czują, jak nikotyna wycisza jej cholerę.

— No właśnie — sapnęła. — Same z nimi kłopoty!

— Miałem raczej na myśli, że są niesamowite — sprostował.

— Ma pan dzieci? — spytała z wyższością, jakby była pewna, że on nie ma pojęcia, o czym mówi.

— Tak, mam córkę. Trochę starsza od Kasi — odparł, zgniatając pomarańczowy koniuszek papierosa o oprószony popiołem kamień przy schodach.

Iza ucichła. Zaczęła się zastanawiać, skąd weźmie tancerkę na miejsce Kaśki.

— Też tańczy — dodał. W jego głosie pojawiła się duma i jakby ostatnia nutka wybrzmiewającej nostalgii.

Iza uśmiechnęła się, że jej nie dosłyszała. W tej chwili oboje zadawali sobie w duchu to samo pytanie: „I co teraz?”.

— Cześć, synek!

— Cześć, wujcio.

— Dostarczyłeś? Były jakieś problemy?

— Spoko. Poszło gładko. I dokumenty, i telefon. To kwestia czasu.

Nastąpiła wyczekująca cisza.

— Powiedziałeś jej?

— Sylwek, nie martw się. Na twoje szczęście nie o tym zamierzam z nią rozmawiać.

— Ach, Alicja. Gdyby chociaż zrozumiała, jaką posiada władzę — zaczął mężczyzna.

— No to widzimy się za kilka dni? — Simon zmienił temat.

— Potwierdzą ci najpóźniej do pojutra — odparł mężczyzna. — Bądź ostrożny, dobra?

— „No właśnie, ostrożny. Jak coś w tym cudownym planie jebnie...” — muzyk skomentował w myślach, gdy już się rozłączyli, i nucąc *Mystery* Milesa Davisa, wyszedł z klatki w podwórkowy żar. W tym momencie pożałował, że oddał klucze Alicji. Mógł je sobie zostawić. Tak na wszelki wypadek. Na przykład na ten wypadek. Ale gdyby nawet je miał, to czy wszedłby do środka? No właśnie. Pokręcił głową. To w końcu nie było już jego lokum. Stał między budynkiem, w którym mieszkała Alicja, a była pracą. Dzieliła ich tylko ulica. Szeroka i denerwująco ruchliwa, ale tylko ona. Dwa budynki patrzyły na siebie z pogardą. „Kiedyś musi wrócić do domu albo odebrać telefon” — pomyślał. Miał czas. Nic go nie nagliło. Nic go nie gnało przed siebie tak, jak przez ostatnie lata, kiedy nie był w stanie usiedzieć w jednym miejscu, w jednym mieście, w jednym kraju. Pracę też zmieniał często. Brał krótkie zamówienia, wywiązywał się z nich i odchodził po wypłacie. Jedynie muzyka trwała przy nim niezmiennie i gdziekolwiek niósł go wiatr, niósł go razem z nią. Tak, nie spieszył się. Tym razem wpadł. Znalazł się magnes na jego uczucia i myśli, choć kiedyś był pewien, że taki nie istnieje. Teraz, zamiast uciekać, chciał zostać, choć razem z tym cudownym objawieniem pojawił się niepokój, którego wcześniej nie znał. Odczekał, aż ulica się przerzedzi, i przebiegł dwupasmówkę, zatrzymując się dopiero pod lustrzanym wejściem do Spring Music Sound. Był jednym z nielicznych przechodniów świadomych, że w budynku znajduje się jeden z najlepszych barów kanapkowo-sałatkowych na świecie. On hołdował tajskiemu kurczakowi w ciemnym chlebie, który przynosił Alicji, kiedy się do niej wprowadził. Trochę dla szpanu, trochę z wygody, a trochę dlatego, że już wtedy chciał się dzielić z nią tym, co miał w życiu najlepszego. Zaczynając od kanapek. Wrócił przed blok z cegieł, kryjąc się za papierową torbą, pełną zapasów na najbliższe godziny. Zasiadł na ławce, tuż naprzeciw wejścia do klatki, i kiedy wgrzył się w soczystą kanapkę, zamiast satysfakcji dopadła go melancholia.

— Kurwa mać! — odłożył ociekającego sosem sandwicza na pomalowane w penisy deski ławki i wstał, krążąc wokół niej jak pies wokół kości. W końcu wyjął telefon z kieszeni i jeszcze raz wybrał numer. Czuł, że to profanacja jeść taki posiłek z podobnym nastawieniem, wmawiał to sobie, kamuflując brak głodu. Zanosilo się na to, że dopóki nie odbędzie rozmowy z Alicją, bez względu na jej rezultat, nie będzie mógł nawet jeść.

Cud się nie stał. Nie odebrała. Sekretarka po raz kolejny przypominała mu o możliwości nagrania swoich bóleczek, a on po raz kolejny wysłał ją do cholery. Pozwolił nogom nosić się wzdłuż trawnika, gdyż siedzenie było zbyt męczące. Jak wyczekiwanie w szpitalnej poczekalni na wynik operacji kogoś bliskiego.

„A może coś się jej stało? Może wpakowała się w kłopoty? Ona przecież jest taka nieobliczalna” — pomyślał. Nie znał przyjaciół Alicji, ale chyba zbyt wielu nie miała, poza tym

wylizanym gejem, który krążył wkoło niej jak po orbicie Słońca. Nie miał telefonu do jej matki, nie wiedział, gdzie o nią pytać. Jedyne miejsce, w którym mógłby czegokolwiek się dowiedzieć, był teatr, ale od niego ze względu na okoliczności wolał trzymać się z daleka. Czekanie w nieświadomości, pomimo królewskiego lunchu i karaibskiej pogody, doprowadzało go do szału. Czas może być sprzymierzeńcem albo wrogiem, wiedział o tym dobrze, ale dopiero w takich chwilach jak ta uświadamiał sobie kolosalną różnicę między teorią a praktyką. Pozbierał swoje rzeczy i wrócił na klatkę. Będąc pod drzwiami, zapukał tak na wszelki wypadek, pamiętając, że w środku lepiej słyszeć pukanie niż dzwonek. Położył szarą papierową torbę pod drzwiami i usiadł na schodach. Wyciągnął kawałek pustej kartki z portfela z zamiarem zostawienia wiadomości, że jedzie szukać jej do teatru, ale się zorientował, że nie ma nic do pisania. Zaklął. Zawsze może pożyczyć od sąsiada, pocieszył się.

— Co ty tu robisz? — usłyszał nad sobą.

Uniósł głowę. Alicja stała tuż przed nim z rękami w kieszeniach. Włosy miała w artystycznym nieładzie spięte na czubku głowy i spoconą szyję. Na twarzy czerwone plamy i lekko rozmazany makijaż. Wyglądała cudownie.

— Jak to co?! — poczuł złość. — No chyba jaja sobie ze mnie robisz! — wrzasnął.

Odwróciła głowę, podeszła do drzwi i włożyła klucz w zamek. Zanim otworzyła, podniosła papierową torbę z wycieraczki. Weszła do środka i zostawiła drzwi otwarte. Zsunęła baleriny, pocierając stopą o stopę, położyła torbę na stole i nic nie mówiąc, usiadła na kanapie.

— Czy ty masz w ogóle telefon? — spytał, zamykając za sobą drzwi.

— Rozładował się.

— Mogłaś go naładować. Martwiłem się — ściszył głos i usiadł obok niej. — Co się stało?

Pokręciła głową.

— Babcia mi mówiła, żeby słuchać, bo odpowiedzi przychodzą same w najmniej odpowiednim momencie, zwłaszcza kiedy wrzeszczymy i nie jesteśmy w stanie ich usłyszeć.

— Dawno jej nie cytowałaś — uśmiechnął się, ale uśmiech prawie natychmiast zniknął z jego ust. — Słuchaj, Alicjo — zaczął — chyba nigdy nie nadejdzie ten odpowiedni moment, więc powinniśmy w końcu porozmawiać.

Chciała mu powiedzieć. Komukolwiek powiedzieć, co czuje, choć nie znalazłaby właściwych słów. Powtarzała w myślach fragmenty listu jak niezrozumiały tekst do wykucia na pamięć przed egzaminem. Czy ta prawdziwa, rodzicielska miłość może popchnąć do czegoś takiego? Czy raczej egoizm? A może strach? A może jedno i drugie?

Muzyk wstał i rozmasował kark. Patrzył na nią.

— Dobra, będę się streszczał. — Posłał Alicji wnikliwe spojrzenie, ale jej niespotykany brak zainteresowania nie pomógł mu stawić czoła argumentom. Podniosła się z kanapy i podeszła do lodówki. Otworzyła ją i wyjęła butelkę z wodą sodową. Nie mogła pozbyć się z głowy wydzwiku jednego zdania.

„Nie piłem od dnia twojego wypadku”.

Ile wszystkiego mieściło się w tym krótkim wersie. Ile informacji. Ile życia. Uczuć.

Muzyk zwiesił ręce, które opadając na uda, narobiły hałasu.

— Jezu Chryste, mogłabyś coś powiedzieć!

Czasem obecność drugiej osoby pomaga. Czasem przeszkadza. Z Simonem było inaczej. Stymulował.

— Chcesz wody? — spytała.

— Możemy choć raz być zupełnie szczerzy? — Ujął ją za ramiona. Szczupłe i silne zarazem. — Wiem, że jest coś między nami — szepnął.

— Nie mogę przestać myśleć o Pierze — wyznała.

Cofnął się o krok.

— Nie ma już -Pierre'a.

— A ja nadal o nim myślę. — Czowała, że musi się wyzwolić. Powiedziała to. Już nie musi udawać. Trzymać uczuć w tajemnicy. Poczwała ulgę, ale jedno wyznanie na delikatnym gruncie spowodowało lawinę. Spojrzała muzykowi w oczy. — Zdarzało mi się masturbować, kiedy wspominałam wspólne z nim próby.

Wytrzymał jej wzrok. Nie robiła tego specjalnie, choć wolałby, żeby tak było. Odwrócił się i podszedł do okna. Niebo nadaśało się groźnie. Policzki miało sine ze złości. Chciał, żeby lunęło. I grzmiało. Tak mocno, że musiałyby zostać.

— Simon. — Podeszła do niego. — Masz rację, to nie jest najlepszy moment, ja...

— Mów. Tym razem dokończymy tę rozmowę — ostro powiedział.

— Świetnie! — Przyklasnęła mu, siadając na stoliku koło kanapy. — Chcesz szczerości? Proszę bardzo. Przespaliśmy się, Simon. Ot, co się stało! Dwoje dorosłych, napalonych ludzi. Wino, muzyka, świece. Seks. — Rozłożyła ręce. — No przecież dla ciebie to nie nowość! Dlaczego wciąż do tego wracać?

Skrzywił się.

— Och, przepraszam, że po spędzeniu nocy z tobą coś mi się w mózgu popierdoliło!

— No właśnie — przytaknęła.

— No właśnie?!

Nie chciała go ranić, ale żądał szczerości, a często te dwie rzeczy nie idą w parze. Subtelność nie wchodziła w rachubę. Zależało jej na nim, tylko że jej relacje jak do tej pory były zbyt skomplikowane. Jej świat się przeistaczał. Jej życie było niczym pędzący po wybojach wóz, ciągnięty przez spłoszone konie. Wypadła z niego, potłukła się i zablądziła, ale odzyskała chęć, żeby znaleźć sposób, aby przejść wodze.

— Niezła jesteś. Bawiłaś się mną czy zrobiłaś to, co było ci na rękę?

— Weź przestań — wypuściła głośno powietrze ustami. — Uważasz, że jestem manipulanką, wyzyskiwaczką, dziwką?

Jej bezpośredniość i niewybredne słowa rozbawiły go.

— Każda kobieta jest po trochu dziwką — stwierdził. — Oczywiście w pozytywnym znaczeniu — sprostował natychmiast.

— Nie wiedziałam, że słowo „dziwka” może być pozytywne — odparła chłodno.

— Jeśli kobieta jest nią we własnej sypialni, w fantazjach, które dzieli z kimś, kogo kocha, to dla mnie jest to megapoztywne — wyjaśnił.

Nie odpowiedziała. Siedziała na niskim stoliku, opierając się na dłoniach. Patrzyła na czubki palców u nóg z odciskami od charakterek.

Ukucnął przed nią i delikatnie ujął jej kolana. Odnalazł spojrzenie. Sposób, w jaki patrzył, był intymny i zarazem nachalny, jakby chciał wejrzeć głębiej.

— Nigdy nie sądziłem, że to kiedykolwiek powiem, ale, cholera, zakochałem się. W tobie, Alicjo.

Był przystojny. Atrakcyjny. Inteligentny, zdolny i zdecydowany.

I gdzieś w nim odnalazła część samej siebie, której nie akceptowała. Ale nie tylko. Widziała w nim także -Pierre'a, Wojtka i własnego ojca.

Mężczyzn, którzy ją zawiedli.



Inspektor Nasalski lubił dochodzić powoli, ale z pełną satysfakcją. Miał mnóstwo roboty w terenie i tak do wieczora za kimś ganiał, więc przerwa na hot doga i papierosa na słońcu oraz śledzenie zawilości domowych afer dla rozrywki było tym, co rozluźniało jego zwoje nerwowe i mięśnie. Pofatygował się zatem pod wskazany przez Izę adres, w końcu ona też była miła, jak obiecała, aczkolwiek już nie tak zwinna jak za dawnych lat. Nasalski wtapiał się w otoczenie po mistrzowsku. Nigdy nie był wężącym gliną w cywilu, co kręci się po okolicy i wypytuje. Przez lata wypracował sobie własne, kreatywniejsze metody. I tak pojawiał się pod przebraniem lekkoatlety z lat siedemdziesiątych, okularnika zaczytanego w drobnym druku gazety, pracownika geodezji z kieszeniami u spodni zwisającymi do ziemi od ciężaru przyrządów pomiarowych. Czasem doklejał wąsik i pożyczzał od sąsiadki jamnika pod pretekstem wielkiego zamiłowania do czworonogów, ale ponieważ kup nigdy nie zbierał, tak więc poganiany przez porządných przechodniów lub dozorców zrezygnował z tego doskonałego przebrania. Tym razem jednak wyglądał jak inspektor Nasalski we własnej osobie. Dżinsowa koszula i dżinsowe spodnie. Jego ulubiony, niezawodny zestaw. A gdy było chłodno, nakładał dodatkowo dżinsową marynarkę. Chłopaki z wydziału mówili mu, że tak się nie nosi. Za dużo dżinsu. Ale mało go interesowały opinie innych. Już na balach karnawałowych w szkole podstawowej upierał się co rok przy tym samym przebraniu szeryfa lub kowboja. Lubiał filmy o Dzikim Zachodzie, Johna Wayne'a i reklamy Marlboro. To był jego styl.

Dziś nie musiał się ukrywać. Wręcz przeciwnie. Rozejrzał się po podwórku z jedną piaskownicą, pięcioma podrapanymi ławkami i trzepakiem. Zmierzył i zważył każdego z przesiadujących w krzakach młodzieniaszków, opierając się pokusie, aby zrobić im mały nalot. Dokończył hot doga z musztardą, wytarł twardy zarost równie twardą serwetką, chrząknął i zapalił marlboro. Obszedł budynek dwa razy i kiedy wiedział już wszystko o okolicy, zdeptał niedopałek i wszedł na klatkę. Chłód ceglanych ścian, intensywniejszy w lecie, przyprowadził go o odświeżający dreszczyk. Mruknął z zadowolenia, po czym przeczytał wszystkie nazwiska z powyginanej skrzynki na listy. Ruszył w górę po schodach, bo dbał o formę, lecz nie tylko. Był zdania, że trzeba dobrze znać teren, na którym się pracuje. Zbliżał się właśnie do drugiego piętra, gdy usłyszał trzaśnięcie drzwi i odgłos szybkich kroków po schodach. Na zakręcie zatrzymał się i spojrzał w górę. Ujrzał mężczyznę z posępną miną, który mijając go, potrącił ramieniem. Nie spojrzał za siebie, biegł dalej. Rzucił jedynie w eter:

— *Sorry!*

Nasalski spał się.

— Jakie *sorry!* Czy my, do cholery, w Anglii jesteście?! — krzyknął za znikającym w dole osobnikiem, ale odpowiedziało mu tylko echo jego własnego głosu i klapnięcie samoczynnie zamykających się drzwi od klatki. Zrędcząc jeszcze chwilę pod nosem, dotarł wreszcie pod właściwy numer. Zanim zadzwonił, zbliżył ucho do drzwi i nasłuchiwał, próbując określić liczbę potencjalnych podejrzanych znajdujących się w środku. Nie słysząc najmniejszego szmeru, wyprostował się, obejrzał jeszcze raz dookoła i nacisnął dzwonek. Drzwi otworzyły się natychmiast. Dziewczyna stała z szeroko otwartymi oczami i rozchylonymi wargami, jakby zamierzała coś powiedzieć. Raczej nie jemu.

Nasalski podskoczył.

— O w mordę, dziewczyno. Halloween jest za sześć miesięcy! Ależ mnie wystraszyłaś!

— Pan w jakiej sprawie? — Alicja cofnęła się o krok, przymykając lekko drzwi.

— Inspektor Nasalski. — Wyjął legitymację z kieszeni i zwinnym ruchem dłoni otworzył

ją i zamknął. — Alicja Bajaska?

— Cudownie — szepnęła. — Jeszcze tylko policji mi brakowało do kompletu. Proszę. — Uchyliła drzwi i wpuściła Nasalskiego do środka. — Mogę wiedzieć, o co chodzi? — spytała.

Inspektor przeszedł się po salonie, zaglądając w każdy kąt. Bez dotykania czegokolwiek oczywiście.

— Słyszałem, że nieźle rozrabiasz.

— Słucham? — zaciekała się. — A od kogo ma pan takie rewelacyjne wieści, jeśli mogę spytać? Przemówiły Bocca della Verità?

— Kto? — Spojrzał na nią poirytowany. — Na litość boską, czy ktoś jeszcze w tym kraju mówi po polsku?!

Alicja umilkła. Nasalski węszył. Zatrzymał się przy blacie kuchennym. Mrużąc oczy, obserwował z odległości jednego centymetra zioła i sadzonki w doniczkach.

— Mamy długą listę twoich zdolności i zdziwisz się, tańca na niej nie ma. Natomiast kradzież, fałszerstwo, manipulacja... — urwał, aby powąchać krzaczek o kształcie liści jakby mu znanym. — Kto wie, może jeszcze hodujesz i palisz jakieś nielegalne zioła.

— To *artemisia* — wyjaśniła, podchodząc bliżej. — A ma pan na to wszystkie dowody? Nasalski spojrzał groźnie.

— Lepiej opowiadaj prawdę, co nakombinowałaś w teatrze, bo inaczej na posterunek cię będę musiał zaprosić — ostrzegł.

Alicja przymknęła oczy. Przypomniało jej się, że jak była mała i czegoś się bała, to biegła natychmiast do taty. Wystarczyło wtulić się w jego bok i wskazać palcem źródło udręk i niepokoju, a on zawsze wiedział, co zrobić. Właściwie wystarczyła jego noga, żeby wszystko wydało się niegroźne i błahe. Pomyślała o liście. Nie miała zamiaru się rozklejać. O nie. Po prostu brakowało jej sił, aby się bronić. Ostatnie miesiące były dewastujące — co ona mówi, lata. Ale przecież nie jest już małą Alicją. Jest sama. Owszem, ale nie samotna. Znajdzie siłę. Przejdzie i to.

— Napije się pan herbaty? — Podeszła do kuchni.

— Wolałbym kawy. Czarna. Bez cukru. — odparł Nasalski, sadowiac się na kanapie.

Zaparzyła dzbanek kawy, a jej zapach wzmógł skurcze żołądka. Nie mogłaby w tej chwili niczego przelknąć poza własną śliną, ale przygotowała sobie ziółka uspokajające według receptury babci, po to tylko, żeby zająć czymś ręce. Nigdy nie była przesłuchiwana. I chociaż niespodziewane najście Nasalskiego wyglądało bardziej na wizytę funkcjonariusza zawiadomionego przez narzekającego sąsiada aniżeli na oficjalne śledztwo, to skąd mogła wiedzieć, jak jest naprawdę. Ta myśl ją terroryzowała. „Czego on właściwie chce?” Przecież niczego nie ukradła, nikomu nic nie zrobiła, na dobrą sprawę to nawet nie sfalszowała certyfikatu własnoręcznie. Jednak sprawiedliwość, jak każdy doświadczył choć raz w życiu, nigdy nie jest pewnikiem. Przypomina bardziej łut szczęścia, los na loterii. Zalewając zioła wrzątkiem, zastanawiała się, co i ile mówić, a może w ogóle nie mówić, tylko od razu poprosić o adwokata. Sfalszowanie dokumentu z pewnością było wykroczeniem i nie mogła wskazać Mateusza, bo zrujnowałoby to jego rozkwitającą karierę, więc jeśli sprawa wyjdzie na jaw, będzie musiała go chronić.

Pójdzie za kratki.

Pięknie.

Przynajmniej tam nie będzie musiała martwić się o pieniądze na czynsz i może dadzą jej prowadzić zajęcia z tańca. Słyszała podobne historie. A co, jeśli trafi na bandę wygłodniałych lesbijek? O Boże, będzie musiała się bronić. Tu jest sama, tam będzie kompletnie samotna i zdana tylko na siebie. „Chwileczkę... Ale kto go tutaj przysłał? Chyba nie Wojtek? No jak to

kto?! Kto dysponuje tymi wszystkimi informacjami, zna jej adres? Kto mógłby posunąć się do czegoś takiego? No to ładnie” — pomyślała. „Teraz dopiero się zacznie...”

— Odleciałaś nad tymi oparami? — zażartował Nasalski, siorbiąc gorącą kawę.

Usiadła na krześle przy kuchennym blacie jak najdalej od inspektora. Ścisnęła w dłoniach kubek.

— To jak? Opowiadasz czy przejeździemy się? — ponaglił.

— To jest oficjalna wizyta? — spytała nieśmiało. — To znaczy jestem o coś oskarżona?

— Jeszcze nie, ale jak nie przestaniesz marnować mojego czasu, to się o to postaram.

Alicja upiła duży łyk herbaty, parząc sobie usta. Zacisnęła odruchowo wargi. Czuła, jak puchnąca skóra zamienia się w bąbel. Ogarnęła ją wściekłość.

— No to niech pan słucha, bo zabawia się pan z płótką, gdy grube ryby spokojnie nurkują.

Nasalski wrócił do wydziału, ku zdziwieniu kolegów zasiadł za biurkiem i zamiast pracować jak zwykle w terenie, przerzucił wszystkie papiery i zgłoszenia na swoim biurku. Zajrzał do bazy danych i przekartkował archiwa. Nikt nie miał odwagi spytać dlaczego. W jego pracy pewnych rzeczy się nie zapomina. Na przykład nazwisk. On był w tym dobry.

W zapamiętywaniu twarzy, dat i nazwisk, w kojarzeniu faktów. Jego popołudniowe hobby tym razem okazało się utajonym tropem, który zamierzał odświeżyć, był bowiem pewien, że gdzieś już słyszał nazwisko, które wymieniła dziewczyna. Musiał znaleźć wszystkie dotychczasowe poszlaki na ten temat, zarzucone z braku dowodów. Ale najpierw chciał ponownie zerknąć na anonimową kopertę, pełną niesprawdzonych jeszcze materiałów dowodowych, którą otrzymali wczoraj.

Był pewien, że chodziło o tego samego podejrzanego. Witolda Guza.

Dzień urodzin wraz z biegiem lat przestaje być intensywnie oczekiwany. To oczywiste. Zostaje nam coraz mniej czasu, a zaliczając kolejne lata, zaczynamy zdawać sobie z tego sprawę. Gdy nasi znajomi ze szkolnych lat dochowują się dzieci, a potem te dzieci nagle są pełne własnych spraw i pomysłów; gdy zaczynają umierać nasi dziadkowie, a potem rodzice. Starzejemy się. Alicja zetknęła się ze śmiercią bardzo wcześnie i może właśnie dlatego w dniu jej trzydziestych trzech urodzin to przypadek zdecydował, żeby sobie o swoim jubileuszu przypomniała. Wychodząc z domu kultury, gdzie miała zacząć niebawem pracę jako instruktorka tańca nowoczesnego, czuła, że zatoczyła pewnego rodzaju koło i choć wróciła do punktu wyjścia, nie była już tą samą Alicją. Niełatwo jest zaczynać od początku, mając trzydzieści trzy lata. Nigdy nie jest łatwo zaczynać.

Ale zawsze jest to nowa szansa. Inna droga. Kupiła zatem mały torcik z wiśniami i, choć nie powinna wydawać pieniędzy, butelkę wina z wyższej półki i wprosiła się do Mateusza tuż po jego próbie, żeby świętować nie swoje urodziny, tylko nowy początek. Jednak to świętowanie już od pierwszych relacji ze świata rewii przeistoczyło się w żywą spekulację na temat najbliższej przyszłości przedstawienia, gdyż Mateusz, widząc ją w ciemnych barwach, szukał u przyjaciółki jednocześnie wsparcia i rozwiązania. Alicja słuchała opowieści chłopaka niczym streszczenia powieści o nader intensywnej i skomplikowanej fabule, trochę z nostalgią za tym, co ją ominęło, a trochę z ulgą wyzwolenia się spod tyranii nieobliczalnej Izy.

— Wszystko wisi na jednym włosku, chociaż do premiery zostało mniej niż dwa tygodnie! — gorączkował się Mateusz. — Podobno bilety zostały wyprzedane co do jednego. Jasna sprawa, po tym, jak Iza rozdała zaproszenia swoim znajomym i rzekomym fanom, niewiele biletów trafiło do sprzedaży — żalił się.

W rezultacie poza Alicją brakowało też Kaśki i choreografia kulała, a producentka zajęta swoimi wystąpieniami przesuwała tancerzy bezmyślnie z miejsca na miejsce jak dyletant pionki po szachownicy. Kacpra nikt nie widział od dłuższego czasu, a Witold bez przerwy przyjmował kogoś w biurze, niejednokrotnie wydzierając się tak, że zagłuszał muzykę na scenie. Iza zmieniała kostiumy do każdego wyjścia, angażując do pomocy tancerki, które potem same prezentowały się do numeru to bez rajstop, to z niedopiętymi butami, a kiedy indziej nawet z dwoma różnego koloru. Producentka, pochłonięta soczystymi pozami miłosnego duetu z Oskarem, niczego nie zauważała, a gdy tak się, nie daj Boże, stało, tancerka kończyła w garderobie, połykając słone łzy poniżenia. Mało tego, żeby nie było nudno, na jedną z prób przyniesiono ostatnie gazety z zapowiedziami premiery, wszystkie ze zdjęciem wypacykowanej i upozowanej Izy, która według artykułu była boginią rewii (poza bogiem Witoldem oczywiście), autorką, reżyserem, pomysłodawczynią, projektantką, choreografem, piosenkarką i tancerką; jednym słowem kręgosłupem, mózgiem i sercem przedstawienia. Sytuacji Kaśki nikt nie znał. Na nieśmiałe pytania Iza raz odpowiadała, że dziewczyna jest chora, a kiedy indziej, że nie chce już tańczyć. Innym razem, że ma osobiste problemy, a ostatnio, że nigdy nie była zbyt dobra jako solistka. Na kolejne pytania, tym razem o pieniądze za próby, które powinny być wypłacone do premiery, posyłała te swoje tnące spojrzenia, odsyłając zespół do Witolda albo do Alicji, tej małej złodziejki z cyrku.

— I tak oto brniemy do dnia naszej klęski, Ali, bo to nie może się udać!

— Mati, świat nie kończy się na rewii — pocieszała chłopaka z pełnym przekonaniem. — Daj z siebie wszystko, a zobaczysz, nawet jeśli spektakl zrobi klapę, ciebie z pewnością zapamiętają.

— Gdybyś tylko mogła wrócić — jęczał Mateusz — i Kaśka. Gdyby Pierrasek żył... To zagralibyśmy przedstawienie roku.

— Tamten skład to już jest przeszłość, nie oglądaj się wstecz, Mati. Rób jak ja — brzdęknięła kieliszkiem o jego — patrz do przodu! — Wzniosła toast z uśmiechem, ale na samo wspomnienie choreografa jej żołądek ścisnął skurcz.

Mateusz wyjął usta, po czym westchnął całą piersią.

— Ali, wybacz, kochana, ale ja cię nie widzę w tym domu kultury...

Wracając do domu, wysłała matce SMS, żeby się nie martwiła. Kiedy podejmie decyzję, co zamierza zrobić, ona dowie się o tym pierwsza. Przekreśliła klucz. Zamek zaskoczył dwa razy i gdy otworzyła drzwi, coś wypadło pod jej nogi. Podniosła podłużną ulotkę z kredowego papieru, podobnego do tych na kosztowne zaproszenia ślubne. Z jednej strony powierzchnię pokrywały luźno rozrzucone rysunki tancerek rewiowych w wielobarwnych pióropuszcach lub unoszących gęste falbany spódnic do kankana. Krótko mówiąc, rysownik kilkoma pociągnięciami pędzla oddał esencję rewii; magię, elegancję i przepych. Po drugiej stronie, na tle wielkich kocich oczu tekst w dość starodawnym, ale inspirującym stylu, reklamował największy i niepowtarzalny spektakl rewiowy w kraju i zapraszał Alicję na jego premierę. Z brzegu ktoś dopisał czarnym cienkopisem „Wszystkiego najlepszego!”. Porwała ulotkę na strzępy i upchała w kieszeni. Nie potrafiła zrozumieć, jak można być tak podłym i zawistnym, i że też Izy nie zmęczyło jeszcze gnębienie Alicji. Ma swoją rewię bez niej. Jak chciała.

Wygrała.

Zamknęła za sobą drzwi. Dom zionął niepokojem. Czowała to. Nienawidziła przesiąkniętego nim powietrza. Starła się, ale jej myśli wciąż ciągnęły ją w dół. Mogłaby mieszkać w tym smutku miesiącami, latami, bo zdawał się nie mieć końca.

Bo strata nie ma końca. Ona trwa, aż przestaniemy istnieć, a może zabieramy ją ze sobą nawet tam, gdzie idziemy, kiedy nasze dni na ziemi dobiegną końca.

Zdjęła ubranie i została w samej bieliźnie. Włączyła stereo. Palce Briana Craina pieściły klawisze fortepianu. Rozpuściła włosy i wspięła się na palce. Musiała zatańczyć, żeby nie oszaleć. Żeby rozproszyc fatalne myśli. Żeby mieć po co żyć. Żeby czuć, żeby kochać. Żeby zapalić iskierkę radości w sercu, której tak bardzo potrzebowała. Gdy palce dotknęły strun, powietrze wyslizgujące się spod nich porwało Alicję w lepszy świat. Tańczyła. Bez publiczności, bez poklasku i bez ramp. Bez butów i ubrań, bez makijażu. Sama ze sobą. I póki ruch wypływał z jej serca, nadając ciału kształt, wiedziała, że jest dla niej szansa. Że jeszcze będzie szczęśliwa. Bo tańca nikt jej nie odbierze.

Taniec nigdy jej nie opuści.

Telefon Izy nie przestawał dzwonić. Utrudniał próby do tego stopnia, że była zmuszona kazać jednej z tancerek z ostatniego szeregu wcielić się w rolę sekretarki i notować wszystkie spotkania z prasą i mediami.

Jej grafik pękał w szwach. Sesje zdjęciowe do magazynów rozrywkowo-kulturalnych wymagały godzinnych przygotowań. Musiała zadbać o wygląd, odpowiednią opaleniznę i dietę. Wywiady do gazet i radia dawały jej możliwość opowiedzenia o swoich dotychczasowych osiągnięciach i reklamowaniu premiery. Jednym słowem jej kariera wreszcie odbiła się od trampoliny, a Iza, zdając sobie sprawę ze swoich czterdziestu dwóch lat, łapała każdą, nawet najdrobniejszą okazję.

Tym razem nie zamierzała oglądać się na nikogo. Właściwie wszystko ułożyło się po jej myśli. Pozbyła się wszelkich przeszkód, choć musiała przyznać, że miała szczęście. Nieoczekiwana śmierć francuskiego choreografa to był znak. Jak mawiała jej nauczycielka baletu, Marina Sobakina, trzeba łapać każdą okazję, kiedy życie jest łaskawe. Tak więc Iza pozytywnie podeszła do śmierci -Pierre'a, traktując zajście jak dar od losu. Zresztą nie dość, że Francuz nie popierał jej pomysłów, to na dodatek, choć bez kontraktu, kosztował ich zbyt dużo. Ponadto usunęła tę pyską i lansującą się lalę. Alicja praktycznie była skończona w świecie tańca, ponieważ Iza nie zamierzała poprzestać na postraszeniu jej Nasalem. Zamierzała obmalować ją przy najbliższej okazji w jaskrawych kolorach, za którymi ta przeciętna szara mysz się chowała. Wszyscy powinni się dowiedzieć, jaka z niej krętaczka. Nawet niedyspozycja Kaśki, choć haniebna dla jej nazwiska, ostatecznie stała się wybawieniem. Pozwalała Izie skupić się na tym, co konkretne, bez ciągłego przerywania prób ze względu na samopoczucie, stan zdrowia czy inne fanaberie solistki. Kacper, co stwierdzała z ulgą, nie pałętał się pod nogami, racząc ją swoimi przestarzałymi radami, a Witold tylko podliczał i negocjował, paląc cygara i nie wystawiając nosa za drzwi swojego biura.

Teatr był jej! Dagmara zaraz po rozgrzewce i zamarkowaniu swoich najważniejszych wyjść w przedstawieniu siadała pod sceną z notesem na kolanach i telefonem Izy przy uchu, zbyt naiwna i niedoświadczona, aby żalić się lub czegokolwiek domagać. W sumie spotkało ją szczęście, że to właśnie ona rozmawiała w imieniu producentki z dziennikarzami i redaktorami. Nad jej głową, przyklejona do Oskara, Iza próbowała kolejny układ w nowym kostiumie, który dopiero co przybył z Paryża. W szeregach tancerzy za jej plecami świeciły dziury, ale ona na wszystko miała kreatywne rozwiązanie.

— Chłopcy, przestawcie te kolumny — poleciła tancerzom.

I oto w lukach po brakujących tancerkach stanęły biało-złote pilastry, uniemożliwiając zespołowi swobodne przemieszczanie się podczas tańca.

Dagmara notowała każdą wiadomość i numer telefonu, pilne sprawy zaś przekazywała od razu, nieśmiało machając ręką w kierunku roztańczonej producentki, po czym grzecznie prosiła rozmówcę o cierpliwość, mówiąc, że zaraz pani Iza podejdzie. Jeśli będzie mogła, naturalnie. Gdy muzyka cichła, Iza, popijając wodę Perrier ze szklanej butelki, ponagliła Dągmare.

Jak i tym razem.

— Kto to? — spytała bezgłośnie, każąc Dągmarze czytać z ruchu jej karminowych warg. Dagmara przykryła telefon dłonią i szepnęła:

— To księgowy, pani Izo. Mówi, że bardzo pilne.

— Niech zadzwoni do Kacpra albo do Witolda. Przecież ja nie mogę się wszystkim zajmować.

Pod koniec próby na scenę wjechały na wózkach towarowych ostatnie pudła z piórami i dodatkami do kostiumów, które Iza sprowadziła z zagranicy. Zbyt zmęczona po próbie, zagoniła kilka tancerek do posegregowania drobnych elementów i rozwieszenia ciężkich stelaży, sama zaś udała się taksówką do domu. Kacpra jak zwykle nie było, co właściwie ją cieszyło, bo jedyne, czego teraz potrzebowała, to gorąca kąpiel i sen. Mieszkanie zapełniał nieład, gęsty kurz i kosze pełne ubrań do prania, na widok których Iza wzdychała, wspominając czasy, kiedy Kaśka w podzięcie za nowe życie przychodziła kilka razy w tygodniu, zajmując się tymi wszystkimi przyziemnymi sprawami.

W końcu wtopiła się w jedwabną pościel, studiując spotkania umówione przez jej nową sekretarkę, i zasypiała z poczuciem dobrze przeżytego dnia.

\*

Kacper dojadł chleb i śledzia i zrobił sobie herbaty. Telewizor chodził głośno, bo tak go nastawił. Nie oglądał niczego konkretnego. Zagłuszał myśli. Kawalerka była malutka i ciasnawa, ale niczego w niej nie brakowało. Mała kuchenka, łazienka z prysznicem i pokój z kanapą. Kupił to mieszkanko, aby wynajmować tancerzom z innych miast, kiedy pracowali dla nich przy licznych chałturach, którymi były wypełnione jego ostatnie lata. Miał jeszcze drugą kawalerkę, ciut większą, zajmowaną przez Kasię i Oskara. „Co za pomysł kazać jej mieszkać z tym aroganckim gogusiem!” — wzdygał się na samą myśl o solistce spacerującej po mieszkaniu w majtkach i przezroczystym podkoszulku. Cały dzień spędził na wybieraniu dwóch numerów. Komórka Kasi milczała w odróżnieniu od telefonu fundacji. Tam zdołał połączyć się za każdym razem, aby usłyszeć nową wymówkę. A to Kasia jest badana przez lekarza, a to Kasia śpi, a to Kasia jest w ogrodzie i nie mogą jej znaleźć. Na sam koniec dyrektorka straciła cierpliwość i przyznała, że dziewczyna nie chce z nim rozmawiać. Chciał tam pojechać, zobaczyć ją chociaż przez ogrodzenie, jak siedzi na ławce, spaceruje albo buja się na huśtawce, nawet jeśli w fundacji nie było żadnych huśtawek. Ale nie mógł.

Szanował ją. Jeśli nie chciała z nim rozmawiać, to musiał czekać. A umiał. Całe życie czekał, aż Iza go pokocha.

No tak, ale nie doczekał się.

Dlatego jutro jej powie o swojej decyzji.

O tym, co myśli, co czuje... Nie chciał stracić Kasi — swojej niedoszłej córki, niedoszłej kochanki, kobiety, w której się zakochał. Jeden fałszywy krok i mógł stracić wszystko. Czekał więc. Jadł śledzie z cebulą w oleju, czego nigdy nie mógł robić, bo Iza nie znosiła ich zapachu, pił litrami czarny Earl Grey, który zdaniem żony zostawia trudny do usunięcia osad na zębach, i jedynie w tych przyjemnościach znajdował odrobinę pocieszenia. Telefon zadzwonił, gdy wpatrywał się bezmyślnie w migający ekran telewizora. Nawet nie zerknął, kto dzwoni, gdyż dwa niepożądane numery wprowadził na listę automatycznych odrzuceń i teraz ani Iza, ani Witold nie mogli już go dołować swoimi roszczeniami.

— Halo... Kacper, to ty? Obudziłem cię? Ach, przepraszam, że dzwonię o tej porze, ale cały dzień było zajęte — tłumaczył się głośno w telefonie.

— Tak, Henryku. Byłem zajęty. To nic. Nie spałem.

— Dzwoniłem też do Izy, ale nie udało mi się z nią porozmawiać, a to niezmiernie pilne — sapał księgowy.

— To zadzwoń do Witka — poradził.

— No właśnie o to chodzi. Pan Guz stwierdził, że to nie jego sprawa, i odesłał mnie do ciebie. I do Izy — poprawił się.

Kacper stęknął i podłożył sobie poduszkę pod plecy. Śledząc mętym wzrokiem

biegające po torze konie, podtrzymywał konwersację.

— Co takiego jest moją sprawą, a nie jest sprawą Witka? — spytał bez cienia ciekawości.

— Kacprze, wiedz, że wasze konto firmowe jest nie tylko puste, ale krańcowo zadłużone. Dziś rano wpłynęły niezliczone zagraniczne faktury z zaległymi płatnościami. Bank odmówił pokrycia. Podobno za sprawą pana Guza. Rozmawiałem z nim, ale wysłał mnie nie powiem gdzie — zapiszczał mężczyzna.

— Jak to puste?

— Proszę cię, Kacprze, porozmawiaj z żoną i daj mi jutro znać, co mam robić, bo każdy dzień zwłoki kosztuje was wynajem teatru, gaże i masę innych wydatków, które będą rosły w zatrzważającym tempie — ostrzegł. — I przede wszystkim — zaznaczył — jeśli nie znajdą się na to wszystko pieniądze, nie odbędzie się żadna premiera.



Pchnął drzwi gotów na wszystko. Każdy ma próg tolerancji i jego właśnie został przekroczony. Jeszcze wczoraj myślał, hodując w sobie być może absurdalną ideę, żeby poczekać, ale telefon od księgowego sprowadził go do parteru. Tak, jego małżeństwo nigdy nie wzleciało. Zaczęło się w parterze i tam też się skończy. Wszedł na salę teatralną i natychmiast zmienił nastawienie. Nie do niej, nie do problemu, ale do całokształtu tego, nad czym pracował całe życie. Postawił pierwszy krok, jakby wchodził do świątyni; po cichu, w zadumie, z respektem unosząc oczy ku scenie — ołtarzowi każdego tancerza. Został wychowany w poczuciu szacunku do sztuki i miejsc, w których mieszkała. Czy było to muzeum, galeria czy teatr, zwłaszcza teatr. W nim spędził dzieciństwo, potem młodość. Najpierw towarzysząc rodzicom. Gdy ojciec dyrygował orkiestrą, a matka tańczyła solowe partie w *Dziadku do orzechów* lub w *Giselle*, on bawił się w garderobie. Później oni czekali na niego po długich próbach i przedstawieniach. W teatrze się wychował. W teatrze miał pierwszy wytrysk i pierwszy raz naprawdę się modlił. W teatrze upił się do nieprzytomności i przespał całą noc w rekwizytorni. W teatrze płakał, gdy umarł jego ojciec, i tam też prawdziwie się zakochał. Darł się jak oszalały ze szczęścia, kiedy powiedziała „tak”, i czuł strach na przemian z radością, kiedy zaszła w ciążę. Wszystko, co miało sens w jego życiu, co było nasiąknięte emocjami, bólem, szczęściem, euforią, satysfakcją, niemocą... Wszystko przeżył tutaj. W teatrze. Teraz stała tam, na scenie, niczym królowa w sukni z lodu. Piękna jak nigdy, niedostępna jak zawsze. Wreszcie na czele swojego królestwa, królestwa, które chyliło się ku upadkowi.

— Izo, zrób przerwę, muszę ci coś powiedzieć — podszedł pod scenę i zapukał w parkiet, bo wiedział, że to zauważy. Drażniło ją to.

Iza spuściła wzrok i wydeła policzki z niesmakiem.

— Poczekaj chwilę, kończymy za pół godziny — odparła, obracając się pod ramieniem Oskara i przeginając w tył.

— Natychmiast! — Jego donośny głos rozniósł się po auli z tenorową siłą. — Izo, bardzo cię proszę, zejdź na chwilę. Czekam tam — dodał ściszym głosem, wskazując łoże w zaciemnionym rogu sali.

Producentka poczerwieniała z oburzenia. Odepchnęła Oskara ściśle przylegającego do niej biodrami, zważym krokiem zeszła po schodach i zniknęła tancerzom z oczu. Szepty się wzmożyły.

— Co ty sobie, do cholery, wyobrażasz! Tak się do mnie odzywać przy zespole! — wybuchła.

— Henryk do mnie dzwonił. — Kacper przeszedł do -sedna.

— No i co z tego! Do mnie też dzwonił.

— To zapewne wiesz, że jesteśmy totalnie splukani?

Ciało Izy, przechylone w stronę Kacpra i napięte jak struna, nagle ustąpiło. Wyprostowała się i zmniejszyła.

— O czym ty mówisz?

— O czym ja mówię?! — Zawrzało w nim. — O przepraszam! Nie tylko splukani, ale po uszy zadłużeni! Co ty sobie myślałaś, że konto w banku jest bez dna, na litość boską?

Splotła ręce na wysadzanych kryształkami biustonoszu.

— Ale jakie konto? — Potrząsnęła głową. — Zakupiłam nowe kostiumy, korzystając z budżetu rewii. Z konta firmowego — wyjaśniła.

— To wiesz, że konto rewii jest puste, nasze konto jest puste i jedyne, co posiadamy, to

długi!

— Gdzie jest Witold?! Widziałeś go? Chcę z nim w tej chwili rozmawiać! — Iza gestykulowała zamaszycie, rozglądając się wkoło. W końcu dała znak ręką. — Oskar! Przynieś mi natychmiast papierosy! Są w torebce...

— To koniec, Izo — powiedział spokojnie Kacper.

Nawet nie spojrzała w jego stronę. Odwróciła się i spinając plecy, ruszyła w stronę biura. Gdy przechodziła obok sceny, doskoczył do niej solista z dymiącym już papierosem. Złapała łapczywie.

— Nie powiedziałam, że macie przerwę! — krzyknęła w stronę siedzących na scenie tancerzek.

Kacper dogonił ją.

— Muszę ci coś jeszcze powiedzieć. — Ledwo dotrzymywał jej kroku.

Zignorowała go.

— Cholera, czy ty mnie w ogóle słuchasz?!

Wtem drzwi do teatru otworzyły się z impetem, uderzając o inkrustowane sztucznym złotem ściany. Pył z tynku przyprószył dywan. Do wnętrza wsypali się umundurowani mężczyźni, po chwili znajdując się dosłownie wszędzie. Z głębi korytarza, prowadzącego do biur, dochodziły krzyki, awantury, groźby i przepychanki. Iza i Kacper zostali przyparci do ściany, co i tak było niekonieczne, gdyż zaistniała sytuacja sparaliżowała ich kompletnie. Z ziejącej paszczy korytarza wyłonił się ścisły tłumek. Na jego czele szedł inspektor Nasalski. Widząc Izę, dał znak do policjantów prowadzących Witolda.

— Wyprowadźcie go.

Podszedł, poprawiając kamizelkę z napisem „Policja” na dzinsowej koszuli.

— Wybacz najście, Kicia — puścił oko w stronę Izy — ale znalazłem prawdziwy problem w twoim zespole.

Iza stała nieruchomo. Jej twarz zlewała się z kolorem ściany, a ozdoby kostiumu z ornamentami.

— Kicia?! — Kacper spojrzał na Izę, potem na Nasalskiego i znów na Izę. Inspektor posępniał.

— Będziemy musieli przesłuchać tancerzy — oznajmił. — I was, jasna sprawa. Zajmą się tym moi ludzie. Liczę na współpracę — dodał.

— Kto to jest, Izo? — Kacper drżał.

— Ale... a co z nim? — Producentka skinęła głową w stronę wyjścia.

— Przez dłuższy czas będziecie sobie musieli poradzić bez niego — rzucił Nasalski, po czym zerknął na Kacpra. — Zostawię was. Miło było znów cię widzieć, mała. — Dygnął na pożegnanie i zniknął w holu.

Kacper patrzył na Izę. Ona patrzyła za Nasalskim.

Gdyby chociaż próbowała. Zaprzeczyć. Wyjaśnić. Zawstydzić się.

Spaliła ostatni most między nimi. Nie ma już odwrotu.

— Tym razem to już koniec — powtórzył Kacper i ruszył do wyjścia.

Gdy odchodził, światła teatru błyszcząły w jej oczach.

— Jak on mógł zrobić mi coś takiego! — Iza przerzucała nerwowo rachunki i faktury, drżąc na całym ciele.

Księgowy zerkał na nią zza komputera, nie wiedząc, czy pocieszać, czy siedzieć cicho. Niczym deszcz o parapet, jego palce uderzyły w klawiaturę i nie zmieniając położenia dłoni ani nie odrywając wzroku od ekranu, szukał wyjścia z sytuacji, wiedząc, że istnieje tylko jedno. Zapłacić.

— Ile tego jest? — spytała z niecierpliwością w głosie Iza, jakby chciała mieć to już za sobą.

Szczupły i nienagannie ubrany mężczyzna bez słowa obrócił ekran komputera w jej stronę. Nachyliła się nad drobnymi kratkami Excela i bez zagłębiania w treść tabelk rzuciła spojrzenie na wytłuszczone cyfry w dolnym rogu.

— Chryste Panie! — jęknęła, opadając na krzesło. Odkopała paczkę papierosów spod dokumentów. Zapaliła.

Księgowy zaczął kasłać.

— Myślisz, Henryku, że mogłabym go pozwać? — spytała.

Mężczyzna wyjął chusteczkę z kieszeni, uniósł okulary i przetarł twarz.

— Z technicznego punktu widzenia i owszem, pani Izo, choć pan Guz i tak szybko nie wyjdzie z więzienia nawet bez pani oskarżenia, ale z praktycznego, hmm... — Uniósł brwi, poprawiając okulary palcem wskazującym. — Pozwolę sobie na osobistą ocenę sytuacji: nie stać pani na adwokata.

— Już ja wiem lepiej, na co mnie stać! — parsknęła Iza. — I nie płacę ci za raczenie mnie twoimi osobistymi przemyśleniami!

Księgowy skurczył się w fotelu. Jego szyja zniknęła w tułowi. Milczeli.

— Prawdę mówiąc, to nie płaci mi pani w ogóle... — odezwał się w końcu. — Już trzy miesiące zalegacie z przelewem.

Iza trzymała dymiącego papierosa obok ust niczym chory na niewydolność płuc butlę z tlenem przy łóżku. W końcu przechyliła się przez biurko, zaglądając księgowemu w denka okularów.

— Henryku, co ja mam teraz zrobić? — jęknęła. — Poradź coś, ty znasz się na tym wszystkim jak nikt inny!

Mężczyzna poluzował krawat. Dłonie miał blade i spocone. Zerknął ponownie na drobne ciągi cyfr i liter, obejmując je jednym spojrzeniem

— Sprzedać — oznajmił.

— Słucham?

— Zadłużenie trzeba pokryć w ciągu tygodnia, w przeciwnym razie dług będzie rósł z każdym dniem — powtórzył. — I jest tylko jedno wyjście, aby pozbyć się długów, odzyskać pieniądze i mimo wszystko wystawić przedstawienie. Sprzedać.

Iza wyprostowała się jak struna. Jej rysy nabrały ostrości. Zgasiła końcówkę papierosa w doniczce na parapecie i zebrała swoje rzeczy.

— Po moim trupie — rzuciła w stronę księgowego i wyszła.

\*

Kacper nie odpowiadał na jej telefony i w domu też go nie zastała. W końcu zostawiła na automatycznej sekretarce serię słodkich i wyrażonych prośącym tonem wiadomości. Przez

dwadzieścia lat miał słabość do oddanej i uczuciowej żonki, którą od czasu do czasu musiała odgrywać. Nie miała wątpliwości, że stanie się tak i tym razem. Wertując notes w poszukiwaniu koła ratunkowego, zastanawiała się, jak przekonać męża do sprzedaży kawalerek. To był pierwszy pomysł, jaki przyszedł jej do głowy. Co prawda to on kupił oba mieszkania, ale w świetle prawa była jego żoną, a więc należały także do niej. Po aresztowaniu Witolda nie zmrużyła oka. Tamtej nocy, leżąc już w łóżku i wsłuchując się w pustkę domu, przypomniała sobie, co powiedział Kacper. Nie sądziła, że był do tego zdolny. Zdolny do wyobrażenia sobie życia bez niej, a co dopiero urzeczywistnienia tego absurdu. „A może tylko go poniosło? — pomyślała. „To trudny okres dla całego zespołu”. Musiała jakoś przekonać, udobruchać męża, sprawić, żeby zmienił zdanie i spieniężył kawalerki na ratowanie rewii, na ocalenie ich marzenia.

Po południu wreszcie odpisał. Tak jak sądziła. Umówili się w bistro, tam gdzie kiedyś jadali razem śniadania. Była pewna, że miejsce odegra nie małą rolę w zmiękczeniu męża. Jeśli Kacper był kiedyś szczęśliwy, to na pewno w tamte poranki. Ona z pewnością była. Dopiero co kupili dom, zmieniła auto, którym jeździła trzy razy w tygodniu na siłownię, gdzie Nasal trenował judo. I tak trzy razy w tygodniu miała ogromny apetyt na jajka w koszulkach, których sama nie umiała przygotować, i na tyle doskonały humor, by spędzać długie poranki sam na sam ze swoim mężem.

Wystarczyło odtworzyć tamtą atmosferę. Kacper miał trzy słabości, które raz odkryte pozwoliły Izie ciągnąć małżeństwo przez te wszystkie lata. Kochał balet, sztukę i ją. No właśnie. Zamierzała mu przypomnieć o jego największej słabości. Przerzuciła dom do góry nogami w poszukiwaniu sukienki, którą podarował jej kiedyś. Nie znosiła niebieskiego koloru ani deseni w kwiatki. Teraz nawet bardziej niż wtedy, gdy włożyła tę sukienkę jeden jedyny raz w pewne upalne lato, kiedy robili przemeblowanie i porządki w domu. Kacper nie potrafił walnąć pięścią w stół, przekląć, zażądać, tak więc Iza nic sobie nie robiła z jego zawiedzionej miny czy urażonych uczuć. Znała go dobrze. Prędzej czy później ustępował i na to liczyła również tym razem. Spóźniła się na spotkanie dziesięć minut, co było nie tylko nawykiem, ale też posunięciem iście taktycznym. Musiała kazać mu czekać, niepokoić się. Tak wznieca się pożądanie.

Kacper należał do tych, co na umówione spotkanie pojawiają się o wyznaczonej godzinie bez względu na kataklizmy i siły wyższe. Ona natomiast spóźniła się celowo, aby wzmocnić efekt swojego przybycia, zmusić nawet niezainteresowanych do odwrócenia wzroku w jej stronę. Pojawiła się w drzwiach bistro właśnie wtedy, gdy Kacper zaczynał wypatrywać jej z niecierpliwością. Nigdy nie zdołał się przyzwyczać do braku poszanowania czyjegoś czasu przez żonę. Jasne i kolorowe wnętrze lokalu falowało w promieniach nagrzanego przedpołudnia jak kwiaty na letniej łące. Ogromne witryny gościły słońce przez cały dzień, tak więc okulary przeciwsłoneczne przydawały się również w środku. Zauważyła go od razu. Siedział wyprostowany przy małej oranżerii, obserwując ruch w głównym wejściu. Ruszyła w jego stronę, lekko się uśmiechając, bo wiedziała, że wzrok męża śledzi każdy jej krok.

— Cześć, kochanie. — Pochyliła się nad nim i cmoknęła chropowaty policzek. Uniósł oczy, ale nie odpowiedział. — Ile to już lat! — westchnęła. — A wydaje się, jakby to było -wczoraj...

Przesunęła trzy filiżanki po kawie, robiąc miejsce na torebkę, i dopiero wtedy zauważyła niechlujny wygląd męża.

— Ładnie wyglądasz — odezwał się w końcu. — Tak -inaczej.

Iza przyglądała sukienkę, przyglądając się okropnemu wzorkowi z wymuszonym zadowoleniem. Przechyliła się lekko w jego stronę i położyła rękę na kolanie Kacpra.

— Jadłeś już? — spytała. — Zamówimy coś jak za dawnych lat?

Patrzył na nią w sposób charakterystyczny dla osób, które dopiero co się poznały.

Z uwagą zainteresowanego bliższą znajomością mężczyzny, pragnącego odkrywać, zaglądając pod każde słowo, każdy gest i uśmiech jak pod warstwy ubrania. I choć jego oczy przypominały dwa mętne stawy, odbierał zgodnie z planem wszystkie sygnały wysyłane przez Izę.

— Zamów, co chcesz, ja stawiam — odparł.

Iza złożyła zamówienie i przeszła do konkretów.

— Rozmawiałam z Henrykiem — konsekwentnie zmieniała temat, nie zmieniając zupełnie zachowania. Siedziała coraz bliżej Kacpra, zaglądając mu w twarz, gdy skrupulatnie streszczała ciemne prognozy dla ich przyszłości i mocne punkty jej zbawiennego planu, do którego Kacper musiał niezwłocznie się ustosunkować dla dobra ich przyszłości.

Kelner postawił przed nimi talerze. Oplecione pierzynką z białka, jajka niemal unosiły się nad sałatą. Kacper odepchnął talerz łokciem. Chwycił Izę za szyję i przyciągnął ku sobie. Wpił się w czerwone wargi żony, językiem rozpychając zęby. Jej ciało zwiędło. Poddała się. Nie przewidziała niczego podobnego, bo nic podobnego nie mogło się wydarzyć. Nie między nimi. Nie z jej mężem. O Boże! Miała prawie ochotę odwzajemnić tę nieoczekiwaną dzikość, zareagować, ale gdy się zdecydowała, on zagryzł delikatnie jej dolną wargę i przesuwał ją po niej zębami, wycofał się, zostawiając jedynie posmak kawy w ustach. W pierwszym odruchu zapragnęła przylgnąć do Kacpra i kontynuować, jednak po kilku sekundach umysł powrócił do normalnej czynności i nie zdołała już wydusić żadnego słowa, zawstydzając się sama przed sobą.

Kacper przymknął oczy i serwetką oczyścił usta ze szminki i śliny. Jak gdyby nic się nie wydarzyło, oznajmił:

— Ja też rozmawiałem z Henrykiem. — Patrzył, jak Iza gubi się w kalkulacjach. — Masz rację, kochanie, jesteśmy skończeni. I żeby temu zapobiec, jak już wspomniałaś, jest tylko jedno wyjście. — Sprzedać — dodał.

Iza wyprostowała się, oblizując jeszcze usta. Tak jak przewidziała, niewiele potrzebowała, żeby przekonać Kacpra. Pocałunek był wyłącznie dowodem na to, że miała sytuację w garści. Z zadowoleniem przysunęła stojak z przyprawami i doprawiła sałatę.

— Henryk je sprzedaje czy ty się tym zajmiesz? — spytała, zatapiając nóż w jajku. Gęsty, pomarańczowy krem leniwie wypłynął na talerz niczym lawa.

— Ponieważ według naszych umów to ja jestem producentem, a ty choreografem, bo Pierre niczego nie podpisał, jako producent upoważniłem Henryka do wystawienia spektaklu na sprzedaż — oświadczył. — I chociaż nie wyłożyłaś ani grosza na jego realizację, to bądź spokojna, po spłaceniu długów dostaniesz połowę.

Zastygła z widelcem w ręku, wpatrując się w niego, jakby nie pamiętała, do czego służy. W końcu uśmiechnęła się niepewnie i podniosła głowę znad talerza.

— O czym ty mówisz, kochanie?

— Myślałaś, że nie wiedziałem o tym mięśniaku z policji? — spytał nagle. Jego twarz pociemniała. — Raz mogłem ci przebaczyć. Zrozumieć. Młoda, piękna tancerka u progu kariery, pasja, którą nie zawsze udaje się rozładować do końca. Na litość boską, Izo, ja też byłem młody! — Zaciśnięta pięść opadła między nimi. Talerz podskoczył. — Ale czterdziestoletnia mężatka, która pozbyła się własnej córki dla kariery... — Wstał od stolika, odsuwając krzesło.

Iza nawet nie drgnęła. Wyglądała niczym z perfekcją oddany portret kobiety z widelcem, zapatrzonej w dal.

— Ach, i jeszcze jedno. — Kacper włożył rękę do kieszeni i wyciągnął kartkę złożoną na cztery. — To dla ciebie.

Kobieta ostrożnie rozłożyła świstek i przeczytała nagłówek. Jej górna powieka drgnęła.

— Kacper — wypowiedziała zachrypłym głosem za oddalającym się mężczyzną. Przystanął. — Ale ja cię... Kocham.

— Myślę, że nie jesteś zdolna, a jeśli się mylę, udowodnij to — rzucił spojrzenie na kartkę — i choć raz zrób coś dla mnie. Podpisz papiery.

Nie obejrzał się więcej. Iza zwiesiła głowę nad drobnym teks-tem. Dopiero teraz zauważyła podpis Kacpra w dolnym rogu.

Tego jednak nie przewidziała.

Że w niebieskiej sukience w kwiatki, nad zimnym jajkiem w koszulce przyjdzie jej czytać podpisany przez jej męża pozew o rozwód.

Pierwsze lekcje po prezentacji kursu tańca nowoczesnego w domu kultury odniosły nieoczekiwany sukces. Zapisać się chciało więcej dzieciaków, niż mogła pomieścić sala. Dyrektorka zaproponowała Alicji dodatkowe godziny. Choć płaca była niewysoka, a nauczanie wymagało konkretnych pokładów cierpliwości, które Alicja wyluszczała z trudem, to stabilizacja i spokój, jakie zapewniała posada, były niezwykle miłą odmianą po ostatnich miesiącach balansowania na krawędzi przepaści. Nostalgia za sceną nie minęła. Opadła na dno serca jak jesienny liść, podrywany ustawicznie przez generowany ciałem w ruchu powiew powietrza. Zbyt słaby, by liść wzbił się wysoko, lecz wystarczająco intensywny, by namolnie wirował. Podczas zajęć telefon Alicji rozdzwonił się na dobre, aż w końcu musiała wyjąć go z torby i wyciszyć. Odebrałaby, przecież była nauczycielką, nie uczniem, i w razie nagłej sprawy miała do tego prawo, a najwyraźniej sprawa nie cierpiała zwłoki, skoro sygnał nie ustępował nawet na chwilę. Niestety na sali siedziały trzy ciekawskie mamy, które uparły się, aby uczestniczyć w zajęciach. Być może chciały zobaczyć, jak ich pociechy potykają się o własne nogi, a instruktorka nie potrafi wykręcić dwunastu piruetów jak Barysznikow w *Białych nocach*, i będą wtedy mogły przepisać dziecko do kółka brydżowego.

Mateusz nie ustępował. Dzwonił raz za razem, aż Alicja zaczęła się niepokoić. Stojąc plecami do sali, udawała, że zmienia muzykę, tymczasem napisała szybko SMS. Odpisał natychmiast: „Jestem załamany! Jak skończysz, zadzwoń!”.

Zarządziła wcześniejszą przerwę i wyszła przed dom kultury, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Mamuśki podążyły za nią, zapaliły papierosy, wymieniając spostrzeżenia i posyłając Alicji wymuszone uśmiechy. Usiadła plecami do nich na murku pełnym graffiti i zadzwoniła:

— Mati! Co się stało? — spytała, gdy tylko jęczący głos pojawił się na linii.

— Och, Ali — stękał Mateusz — co za katastrofa, niedobrze, niedobrze...

Alicja poczuła, jak jej serce przyspiesza.

— O czym ty mówisz? Jaka katastrofa? Powiesz mi wreszcie, co się stało? — Starła się utrzymać opanowany ton głosu.

— Rewię szlag trafił! Oto, co się stało! — zawył. — Wszystko na nic! Wszystko na marne!

— Jak to szlag trafił?

— No po prostu, kochanie, trafił — wyjaśnił. — Miałem śpiewać w przedstawieniu na wielką skalę, karierę robić, a w jakimś pindolonym kryminale skończyłem — rozżalił się.

Alicja przełknęła ślinę.

— Był może u ciebie umięśniony policjant w cywilu, na dzinsowo, z byстрыm spojrzeniem i niewyparzonym językiem? — Od razu pomyślała, że inspektor Nasalski złożył wizytę Mateuszowi.

— A gdzie tam! — odparł, przeciągając słowo „gdzie”, jakby ziewał. — Choć przydałby się teraz taki jeden, co by mi pomógł zapomnieć o tym koszmarze — westchnął.

— Mati, ja nic z tego nie rozumiem. — Poddała się.

— No przecież ci mówię, że nie będzie żadnej rewii! Żadnych oślepiających reflektorów, żadnych oklasków, żadnych autografów. Nic! Wpadli do nas jak na tych filmach sensacyjnych, Witolda aresztowali, mnie przesłuchiwali jak jakiegoś przestępcę! Chociaż, muszę przyznać, policjant był całkiem w moim guście, wiesz, jak ten nowy szatyn ze *Słonecznego patrolu*, tyle że nie taki miły! Wypytywał mnie o prostytutki, narkotyki, brudne pieniądze... — oburzył się Mateusz. — A ja mu na to, że nawet tych czystych nie widziałem, bo do tej pory nie wypłacili

nam ani grosza.

Alicja złapała się za głowę. Przypomniała sobie propozycje składane jej przez Witolda. Kto wie, gdzie mogła skończyć i ile tancerek spotkał ten los.

— A co na to Iza? — spytała.

— Jak ją złapię, to ci powiem. — Rozpoznała niechęć w głosie przyjaciela. — Nie odpowiada na telefony. Kacper ma wyłączoną komórkę. Teatr jest zamknięty, a zostały w środku moje garnitury i nuty. Oskar jest bardzo nerwowy, moim zdaniem coś wiedział. Kaśka zapadła się pod ziemię, a jak ta czarna komedia ujrzy światło dzienne, to mój ojciec zmieni zamki, nazwisko i wyjedzie leczyć na Jawę!

— Mati!

— Mogę do ciebie przyjechać? — poprosił dziecinnym tonem. — Kupię po drodze coś na uspokojenie, bo jak misia kocham, trzęsę się cały.

Spotkali się zaraz po jej zajęciach. Czekał już pod blokiem, obładowany reklamówkami z jaskrawym napisem „Market”, przestępując z nogi na nogę jak niezdecydowany przyszły narzeczony z pierścionkiem ukrytym w kieszeni. Nie знаła Mateusza od tej strony. Właściwie w ogóle go nie znała. Chociaż przez ostatnie miesiące nie miało to żadnego znaczenia. Pojawił się i był, kiedy go potrzebowała. Rozmawianie z nim okazało się najprostszą i najbardziej zabawną rzeczą od wielu lat. Wypełnił lukę, zajmując miejsce tych, których w życiu Alicji nie było. Żywych czy umarłych, po prostu nieobecnych, nieświadomie odgrywając rolę nie tylko przyjaciela, ale także uosobienia intymności i konfidencji, której nie potrafiła wskrzesić w stosunkach z najbliższymi. Jakby utożsamiał brakujące elementy emocjonalnej układanki jej korelacji z otoczeniem. Uściskali się bez słowa jak daleka rodzina ponownie zjednoczona na pogrzebie, i wtaszczyli po schodach zapasy wszelkiego rodzaju polepszaczy humoru, które pobrękiwały w siatkach niczym cymbalki. Alicja przygotowała wzmocnioną dawkę anestetyku i jeszcze kilka razy z rzędu wysłuchała sprawozdania z nalotu na teatr i inwigilacji Mateusza. Podzielała gorycz i rozczarowanie chłopaka, ale najbardziej martwił ją ukrywany przez przyjaciela pod osłoną żartów i wymuszonych śmiechów lęk przed osądem ojca. Mati niechętnie o nim mówił, a jak już coś opowiadał, to z podenerwowaniem i irytacją. Widziała, jak lekka rosa występuje na jego skroniach, a gdy obejmowała przyjaciela ramieniem, uwierała ją jego sztywność pleców. Pomyślała, że Simon miał rację w swoich śmiałych osądach. Wtedy jego wywody wydały jej się nieco przemalowane, ale co do jednego miał rację. Otoczenie wyrzucało na margines takich jak oni. Nawet to najbliższe.

I wtedy poczuła, jak bardzo jej go brak.



Tydzień minął. Pracowity. Nudny. Pożyteczny. Rutyna codziennych zajęć miała w sobie coś banalnego i genialnego zarazem. Wszystko zależało od wykorzystania jej potencjału. Alicja uznała, że pozwoli nieść się monotonii, dopóki będzie tego potrzebowała, a teraz właśnie tak było. Potem przeistoczy rytuał swojej nowej pracy w sztukę, dając upust gromadzącej się twórczej energii. Teraz jednak musiała myśleć o czynszu, rachunkach i o swojej przyszłości. Pozostawiła także w zawieszeniu kilka decyzji do podjęcia, którym prędzej czy później będzie musiała stawić czoło. Tymczasem codziennie widywała się z Mateuszem, namawiając go, aby zaczął wreszcie ucześćcać na castingi i przesłuchania. Niestety od dnia, kiedy przeczytali na pierwszych stronach gazet o procesie Witolda Guza, oskarżonego o pranie brudnych pieniędzy, czerpanie korzyści z prostytucji, właściciela nocnych klubów podejrzanych o powiązania z półświatkiem, a ostatnio, jak podkreślały gazety, sponsora pierwszej w kraju rewii, chłopak wmówił sobie, że jego kariera jest skończona, że nikt nie zatrudni piosenkarza geja zamieszanego w kryminał, a w ogóle to lepiej, żeby siedział w domu i nie przysparzał więcej wstydu rodzinie.

Na nic się zdały przekonujące argumenty Alicji, że nie są współwinni, tylko poszkodowani i padli ofiarą najzwyczajszego oszustwa, czegoś, co mogło przytrafić się komukolwiek.

Mateusz był innego zdania. Zaniepokojona samopoczuciem przyjaciela, postanowiła skontaktować się z Simonem i poprosić go o pomoc, ukrywając sama przed sobą, że to jedyny powód, dla którego chce go zobaczyć. Gdy komórka muzyka po dwóch dniach nadal milczała, zaryzykowała odwiedzin w szklanym biurówcu po przeciwnej stronie ulicy, dowiadując się od portiera, że firma Spring Music Sound zamknęła filię, a większość sprzętu odesłano do siedziby w Sydney. Również Mateusz, po obgryzieniu ostatniego paznokcia, spakował torbę i pojechał do Malborka odwiedzić matkę i pierwszy raz od dłuższego czasu Alicja została całkiem sama.

Samotność okazała się potworem z szafy, który dodatkowo daje cenne rady, i dopiero gdy to, co ważne i wartościowe, znalazło się daleko od niej, zaczęło nabierać ostrości w rozmytej dotąd perspektywie. Wieczorem podjęła pewne decyzje i pierwszy raz od długiego czasu przespala spokojnie i bez zakłóceń całą noc. Wstała wypoczęta, pełna zapału i gotowa rozpocząć nowy rozdział, gdy tuż przed jej wyjściem do pracy zadzwonił telefon.

— Pani Alicja Bajaska? — spytał uprzejmy kobiecy głos.

— Tak, to ja, słucham.

— Witam serdecznie. — Kobieta przedstawiła się szczegółowo, opowiadając pokrótce, czym się zajmuje. — Pani Alicjo, dzwonię do pani w konkretnej sprawie.

Alicja słuchała bez zmrużenia oka, a gdy się rozłączyły, zrzuciła torbę na podłogę, padła z otwartymi ustami obok niej i gdy doszła do siebie, natychmiast zadzwoniła do Mateusza.

— Wracaj natychmiast! — poleciła, nie dając przyjacielowi dojść do słowa. — Musimy skończyć to, co zaczęliśmy!

W garderobie panował niespotykany gwar. Śmiechy i luźna atmosfera sprawiały, że przebiegalnia przypominała bardziej młodzieżową klubokawiarnię niż pomieszczenie służbowe w teatrze, zwłaszcza w tym teatrze.

Już w wejściu rozpoznała twarze kolegów z zespołu i przywitaniom, pozdrowieniom, a także, ku jej zdziwieniu, przeprosinom nie było końca. Wszyscy już znali historię Witolda i skradzione pieniądze uznali za jego sprawkę. Alicja nie chciała wdawać się w szczegóły sprawy sponsora, miał to, na co zasłużył, i nie zamierzała go bronić, jednak pragnęła, aby prawdziwy złodziej został zdemaskowany. Mateusz pełen energii, jak w dzień, kiedy się poznali, tym razem dokazywał podwójnie. Patrząc na niego teraz i pamiętając jego stan dzień wcześniej, w pełni rozumiała znaczenie powiedzenia „czuć się jak ryba w wodzie”. Alicja obeszała salę teatralną, ale nigdzie nie spotkała Kaśki. Nawet Dagmara i Celina nie miały od niej żadnych wieści. Oskar, jak mówiły, zrezygnował i wyjechał, a na jego miejsce wzięli kolejne ciacho. W końcu tancerze zebrali się pod sceną i było to dla Alicji niezwykle uczucie — strachu, podniecenia, niepewności, czegoś w rodzaju *déjà vu*, gdyż nawet w najśmielszych scenariuszach, snutych przez jej umysł, nie postawiłaby nigdy więcej nogi na tej wydeptanej, welurowej wykładzinie, spoglądając w górę ku scenie, skąpanej w zbyt ostrych światłach ramp.

Uniosła wzrok, osłaniając oczy dłonią, i zamiast Izy ujrzała chudą i piegowatą blondynkę o najszerszym z możliwych uśmiechów, i kiedy zapadła wreszcie cisza, kobieta przemówiła:

— Wicam was ponownie i dzenkuje za psibicie. Naziwam sze Rebecca Collins i jak jusz wiecze, moim zadaniem bendzie psigotować was do premiery. Wprowace pewne zmiany, aby ułatwicz wam prace, i licze na wasz zapal i zaangażowanie. Mamy tylko szedem dni! *But we can make it!* — wykrzyknęła, klaszcząc entuzjastycznie w dłonie. — Witajcze w *Pays des Merveilles!*

Francuską wymowę miała znakomitą, polską nieco gorszą, ale była niezastąpionym strategiem scenicznym. Jej błyskotliwe uwagi zmieniały niemożliwe w możliwe, a nawet dziwnie łatwe. Próba okazała się jedną z najprzyjemniejszych i najbardziej profesjonalnych, w jakich Alicja kiedykolwiek uczestniczyła. Po rozgrzewce czuła ciało młodsze o kilka lat, elastyczny kręgosłup i rozgrzane mięśnie. Na prośbę Rebekki zespół zajął dotychczasowe miejsca na scenie i odtańczył główne numery rewii. Kobieta obserwowała z przenikliwością każde zajście w choreografii, notując coś w maleńkim notesiku. Na koniec pozmieniała tancerzom miejsca, wprowadzając czystość linii i płynność niechlujnych do tej pory rosad. Alicja wylądowała w pierwszym szeregu razem z Dagmarą. Celina zaraz za nimi. Co więcej, po każdej kolejnej próbie wyjścia dostawała coraz więcej solowych numerów. Miejsce Oskara zajął Josh, niezwykle uprzejmy, angielskojęzyczny Mulat, znający choreografię lepiej niż ten, kto ją wymyślił. Na drugą część próby razem z muzykami przybyła niezwykle postać, której codzienny ubiór i makijaż nie wymagał już ręki charakteryzatora. Sześćdziesięcioletnia Francuzka o zapachu perfumerii i powłóczyстым spojrzeniu okazała się gwiazdą paryskich kabaretów, a także gościem w ich przedstawieniu.

— O matko, matko! Ali, weź mnie uszczypnij! — Podskakiwał Mateusz. — Będę śpiewał w duecie z Gildą Diven!

W ciągu jednego dnia próby rozstrzygnięto większość problemów z ostatnich trzech miesięcy. Kulejące, niedokończone przedstawienie nabrało sensu, wigoru i dynamizmu. Rebecca udzielała stuprocentowo trafnych wskazówek, znała się bowiem na swojej pracy jak nikt inny. Do wieczora przedstawienie zostało wyreżyserowane niczym broadwayowski musical, tancerzom

zostały przydzielone kostiumy i nowe buty, wydrukowane grafiki prób, vouchery na obiady, dwie bezpłatne wejściówki na premierę oraz krótkie i zwięzłe kontrakty sezonowe. Nagle siedem dni prób na przygotowanie spektaklu wydało się nadmiarem czasu.

Gdy wychodzili z teatru, witał ich dojrzały zmrok, jeszcze ciężki i lepki od lata, ale już nie tak gorący. Najwyraźniej, gdy oni pocili się w środku, ktoś pocił się na zewnątrz, ponieważ fasada teatru zmieniła się nie do poznania. Oświetlona od dołu drobnymi lampkami, nabrała ważności podobnej do tej, którą miały zabytki i luksusowe budynki w okolicy. Gabloty po obu stronach wejścia raziły w oczy szeregiem kolorowych żarówek, otaczających plakaty reklamowe. Gdy wzrok Alicji przyzwyczaił się do blasku w ciemności, przyjrzała się plakatowi zwiastującemu nadchodzące wydarzenie sceniczne.

„Pierwsze przedstawienie rewiewe w kraju z gwiazdami międzynarodowego formatu! Gilda Diven i Joshua Queen wraz z zespołem tancerzy i muzyków mają zaszczyt zaprosić Państwa na *Pays des Merveilles!*” Na dole dokleiono ukośny napis „Już wkrótce”, a obok na czerwono „Bilety wyprzedane”. Nad nazwą przedstawienia rozpościerały się żółte kocie oczy o długich czarnych rzęsach, a zawartość plakatu była artystyczną wizją szalonego malarza. Niby luźno rzucone pędzlem plamy farby układały się w smukłe tancerki w tęczy wachlarzach z piór, falbany spódnic do kankana i akrobatyczne wyczyny tancerzy. Alicja złapała torbę i utopiła w niej ręce. Przegrzebała zawartość. Była pewna, że już widziała gdzieś te rysunki.

— No, weź mnie uszczypnij, Ali, bo normalnie nie wierzę! — popiskiwał Mateusz, fotografując telefonem wejście ze wszystkich stron.

Przed snem obłożyła kolano lodem, tak na wszelki wypadek, i puściła jedną ze składanek, którą utworzył dla niej Simon. Zastanawiała się, gdzie on teraz jest, i wyobrażała go sobie, jak spaceruje po plaży w długich białych szortach, z rękami w kieszeniach i ze słuchawkami na uszach, a za nim biegnie rozbawiony pies. Potem pomyślała o Pierze i natychmiast musiała zacisnąć mocno powieki. Rewia. To w końcu było jego dzieło. Ulepszone, dociągnięte przez innych, ale urodzone z jego pasji. Sukces jej i każdego, kto wystąpi w tym przedstawieniu, będzie należał także do niego. Pomyślała też o Kaście i o zmarnowanym talencie, który powinien zabłysnąć na tej scenie. Pomyślała o babci, jak wiele miała racji i ile było prawdy w jej radach. W końcu pomyślała o matce i ojcu. Przecież to wszystko nie była ich wina. Wyjęła z szuflady kopertę i dwa bilety z torby. Rozłożyła je na kołdrze. Zastanowiła się, dla kogo chciałaby zatańczyć premierę, komu dedykować swój sukces. Lista okazała się dość długa, ale jedna osoba w szczególności zasługiwała na to, żeby podzielić z nią to szczęście.

Mdłości. Czują je od samego rana, jakby była w ciąży. A przecież nie była. Nie przełknęła śniadania i ledwo sączyła wodę. Jej organy wewnętrzne już nie potrzebowały wsparcia z zewnątrz. Energię czerpały z adrenaliny, budulcem stała się pasja. Spakowała torbę i sprawdziła jej zawartość. Trzy razy. Upchała leki przeciwbólowe, trzy tubki maści i bandaż. Patrząc z boku, ktoś mógłby pomyśleć, że szykuje się do podróży. I po części tak było, choć w rękę ścisnęła bilet tylko w jedną stronę. Pojechali taksówką, bo Mateusz sam się umalował w domu. W środkach komunikacji miejskiej ryzykowałby niepotrzebne komentarze, które mogłyby rozproszyć jego skupienie. Naciskał też, aby dzisiaj traktowali się jak należy, to znaczy jak artyści, a nawet gwiazdy, zwłaszcza że przez ostatnie trzy miesiące żyli jak nędzni debiutanci. Teatr tętnił energią. Zapalono wszystkie światła. Oślepiały, jakby wczesniej pokrywał je gęsty kurz. Na bocznych schodach kręcili się technicy, rzucając szybkie spojrzenia na zgrabne i skąpo odziane tancerki. Nowe kremowe obrusy przykrywały stoliki w pierwszych rzędach, a pozostałe rzędy ozdabiałały girlandy i kosze z kwiatami. Jak na ślubie.

Garderoba wyglądała inaczej. Toaletki zastąpiono nowymi, nieco mniejszymi, z dobrym oświetleniem, dzięki czemu zagracone i ciasne pomieszczenie powiększyło się nie tylko wizualnie. Stanowisko Alicji, jako jednej z solistek, znajdowało się we wgłębieniu tuż obok drzwi. Taki rodzaj separacji oczywiście był wyróżnieniem, bez którego jednak spokojnie mogła się obywać, a nawet chętnie by się obyla. Rozpakowała torbę i poukładała kostiumy, buty, dodatki do kostiumów zgodnie z kolejnością numerów. Wysypała zawartość kosmetyczki na blat toaletki i zasiadła przed lustrem gotowa do transformacji w diwę z paryskiego Wonderlandu. Zaczęła rozcierać na czole gąbeczką kremowy podkład, gdy usłyszała piski i pokrzykiwania. Odwróciła się, aby zobaczyć, co tak zbulwersowało tancerki, i ujrzała Mateusza w eleganckim fraku, z pełnym makijażem i nieskazitelnie ułożonymi włosami, paradującego pomiędzy pónagami dziewczynami.

— To ja! No przecież to ja! — uspokajał je zdziwiony. — Nie interesuje mnie to, co zakrywacie, więc przestańcie tak histeryzować! — Wzruszył ramionami i zaczął rozglądać się wkoło pomimo protestów. W końcu zauważył drugą część garderoby.

— O, w mordeczkę! Ale masz tu luksusy, gwiazdo! Nie potrzebujesz przypadkiem garderobianego? — roześmiał się w głos. Oparł dłoń na biodrze i krokiem godnym stroju podszedł do siedzącej przyjaciółki. Stał za jej plecami i pogładził wiśniowe fale włosów jak fryzjer przed przystąpieniem do cięcia. — Daj wsuwki, pomogę ci z koczkiem — zaproponował.

Spojrzała na niego z zadowoleniem. Zrozumiał. Pochylił się i zbliżył twarz do jej głowy. Przez chwilę patrzyli na własne uśmiechnięte odbicia w lustrze.

— Udało nam się, Mati — szepnęła i cmoknęła chłopaka w policzek. — Wyglądasz nieziemsko.

Godzinę przed występem Rebecca poprowadziła krótką, techniczną rozgrzewkę i życzyła wszystkim powodzenia. Poradziła przygotować swoje stanowiska i utrzymać mięśnie w gotowości.

Odgradzona od widowni ciężką welurową kurtyną scena miała w sobie coś magicznego. Była jakby wnętrzem prezentu, rozpakowywanego z dziecięcą euforią przez publiczność, gdzie pod warstwami kolorowego papieru ukryto liczne niespodzianki. Teraz Alicja znajdowała się wewnątrz i czuła, jak z każdą chwilą przybliżającą do występu charakterystyka, kostium i ta wyjątkowa atmosfera biorą w posiadanie jej zmysły, emocje i ciało. Bała się i nie mogła zarazem doczekać, aż wyjdzie na scenę w przebraniu diwy, egzotycznego ptaka, pięknej bogini, gwiazdy

i wraz z pierwszymi krokami stanie się sobą. W objęciach tańca wyzwoli się Alicja. Prawdziwa i szczęśliwa. Wróciła do garderoby i zgodnie z zaleceniami choreografki skontrolowała kostiumy i swoje stanowisko. Czas na zmianę stroju między kolejnymi wyjściami często nie przekraczał kilku minut. Organizacja i porządek były niezbędne. Naciągnęła gumowane kabaretki, a na nie cieliste stringi. Na wierzch pokryte cekinami i błyszczącymi kamyczkami kolejne majtki. Jej uda mocno objęte siateczką rajstop natychmiast zmniejszyły objętość. Choć nie należało to do najprzyjemniejszego odczucia, przynajmniej z początku mięśnie nóg i pośladków nabierały jednolitego koloru i foremnego kształtu. Nawet przy szybkich podskokach nie drgały, nie trzęsły się i nie spłaszczały. Nie pozwalały cellulitowi, jeśli był, na ujawnienie się. Zdjęła stanik i włożyła bardotkę z białego atłasu, tkanego diamencikami. Piersi idealnie wypełniły miseczki, uwypuklając się nad nimi jak wyrośnięte ciasto w formie. Naciągnęła podkoszulek i wróciła do wcześniejszej rozgrzewki. Zaczęła od delikatnego krążenia biodrami, rozgrzała stawy i skupiła się na kolanach. Usiadła w szpagacie, przenosząc ciężar tułowia raz na prawą, a raz na lewą stronę. Położyła się na przedniej nodze, a później wygięła w tył, prawie dotykając koczkiem kolana tylnej nogi. Jej ciało było rozgrzane, gotowe, zdyscyplinowane i nawet narastająca trema nie zdołała go usztywnić. Pozostałe dwie tancerki dzielące garderobę z Alicją nadal dopracowywały makijaż, męcząc się ze sztucznymi rzęsami. Pamiętała te dziewczyny, choć nigdy nie zamieniły ze sobą słowa. Nawet teraz, gdy nie było Izy, pozostał między nimi niemający nic wspólnego z różnicą wieku dystans. Wciągnęła charakterki na stopy, przygotowała pióropusz wykończony gumką i wsuwki, aby go porządnie unieruchomić na głowie. Wykonywanie piruetów z obciążeniem i oporem powietrza, spowodowanym przez półmetrowe strusie pióra sterczące z czubka głowy, jeszcze trzy miesiące temu wydawało jej się niemożliwe. Z czasem stało się możliwe, ale nadal pozostało dość trudnym zadaniem, tym bardziej że nie była to jedyna przeszkoda. Plecaki z różnymi kompozycjami wysokich piór lub opadających kaskad puszystych boa stanowiły nie lada balast podczas tańca. Pod ścianą stały cztery, o różnych kolorach i kształtach, i cieszyła się, że nie potrzebuje ich do wszystkich choreografii. Przez głośniki w garderobie wysączył się stanowczy głos inspicjentki, informujący zespół, że pozostało piętnaście minut do startu. Zapanowało ogólne poruszenie.

Poczuła, jak jej serce przyspiesza. Nałożyła pióra na głowę, przeciągnęła gumkę pod brodę i chwyciła wsuwki, gdy usłyszała za plecami:

— Ty jesteś Alicja, prawda? — Inspicjentka trzymała przed sobą kosz pełen czerwonych róż, który niemalże ją zakrywał. Postawiła go obok toaletki i życząc powodzenia, wyszła.

Alicja spojrzała niepewnie na bukiet. W końcu wyciągnęła liścik spomiędzy kolczastych łodyżek. Nie miała już czasu na podziwianie kosza, chciała się tylko upewnić, że to kwiaty od niego. Przeskakiwała słowa, aby jak najszybciej odkryć nadawcę.

„Powodzenia... to twój dzień... będziesz wspaniała... wybacz mi... Zawsze twój... Wojtek”

Wojtek?!

„Dlaczego wysłał mi kwiaty? Skąd wie, gdzie jestem i co robię?” Pytania cisnęły się jej do głowy i choć zostało tylko pięć minut do rozpoczęcia widowiska, a głośnik zapraszał wszystkich artystów na scenę, Alicja nie była w stanie wykonać jednego kroku. Gęsia skórka pokryła jej ramiona i czuła, jak żołądek kurczy się i kurczy, a serce wali i wali coraz mocniej. Zimny pot przebił się przez tłusty i gęsty podkład, pokrywając czoło.

„Czego on ode mnie chce? A może znów będzie próbował... O Boże! A jeśli on znów to zrobi?!” Usiadła. Czuła, jak słabną jej nogi, mięśnie drgają. Poczuła zimno na wargach i mdłości. Pod ciężarem piór spuściła głowę. Nie mogła się poruszyć.

Garderoba opustoszała. Usłyszała ostatnie trzaśnięcie drzwiami i ciszę. Głos inspicjentki

w pustej garderobie brzmiał, jakby kobieta stała tuż obok. „Wszyscy na scenę! Zaczynamy!”

Ostatni pociąg odjeżdżał, a ona patrzyła... Patrzyła na białe skórzane charakterki i nagle, jakby się przebudziła. Ściągnęła je i zaczęła obmacywać, wyginać, sprawdzać paski. Nic. Rozciągała boczne gumki majtek, jakby chciała je z siebie zedrzeć. Pociągała uporczywie za ramiączka stanika. Wtem bardotka odskoczyła od ciała i upadła dwa metry przed nią. Alicja otworzyła szeroko usta i złapała się za biust. Podskoczyła do stanika i przyjrzała mu się z bliska. Jedno ramiączko poszło, drugie trzymało się na kilku poluzowanych nitkach. Podbiegła do stojaka z kostiumami. Zaczęła nerwowo oglądać zapięcia i paski. Szarpać za ramiączka plecaków z piórami. Bez używania przesadnej siły oderwała niemal każdy z nich. Obejrzała czarne charakterki. Paski były całe, ale wyginając lewy but, usłyszała trzask. Odwróciła go i zobaczyła odchodzący od podstawy obcas.

Zakryła twarz dłońmi.

„Wszyscy gotowi?! Zaczynamy!” W pustej garderobie słychać było jedynie jej serce. Rozejrzała się po stanowiskach. Nie było nigdzie zapasowych, niepotrzebnych na ten wieczór kostiumów. Niczego na zmianę.

Składzik garderobianych! Tak jak stała, w jednym bucie i bez stanika rzuciła się biegiem w stronę korytarza. Skręciła za rogiem i wpadła do zagraconego pudłami i wieszakami, zaciemnionego pomieszczenia.

Mury teatru zdrząły. Orkiestra rozpoczęła uverturę. Chwyliła pudła i zaczęła je wybebeszać, jedno po drugim, rzucając zawartość na podłogę.

Znalazła parę kremowych charakterek.

Szarpnęła wieszak z kostiumami. Chwyliła biały. Niestety męski. Rozejrzała się w panice dookoła, sapiąc. Wtem ujrzała wysoko na półce karton z napisem „Izabela Sadomska”.

Wspięła się i zrzuciła pudło na dół. Zawartość wysypała się na podłogę. Błyszczące jak diamenty szpilki, nowiusieńkie charakterki z jagnięcej skórki, diamentowe staniki, boa.

Chwyliła czarny zestaw.

Na niższej półce stał czarny, niezwykle bogaty hełm z błyskotek i piór, obok ogon z boa i pióropusz na plecach. Rozebrała się.

— Z dedykacją dla ciebie, więdźmo!

Na zaciemnionej nadal scenie tancerze stali nieruchomo w swoich pozach, strzeliści niczym topole. Ozdoby kostiumów migotały w ciemności. Podłoga drżała od basów.

Uwertura zwiastowała początek. Kurtyna zaskrzypiała i niczym ognista poświata poranka wspięła się leniwie pod sufit. Tancerze rozciągnęli usta w szerokim uśmiechu i zastygli. Blask reflektorów przedzierał się spod kurtyny.

— Kurwa, gdzie ona jest?! — wycedziła Dagmara przez zaciśnięte zęby w pełnym uśmiechu. Nawet nie drgnęła.

— Jak nie zdąży, przesuwamy się. Jasne? — syknęła Cecylia.

Fala oklasków wdarła się na scenę. Bębny wybrzmiały swoje echa, cichnąc wśród sopranów skrzypiec. Tancerki okręciły się i ruszyły przed siebie, śpiewając energiczną francuską piosenkę i mijając się w fantazyjnych przegrupowaniach z tancerzami. Pióra falowały przy każdym obrocie jak czułki meduzy w oceanie. Rampy świeciły niczym tropikalne słońce. Luka w miejscu, gdzie powinna tańczyć Alicja, zacieśniała się z każdym ruchem zespołu. Dagmara, będąc z lewej strony, robiła większe kroki i bardziej zamaszyste obroty, natomiast Celina cały czas obracała się w miejscu, rozdrabniając kroki choreografii, aż w końcu wypełniły pustą przestrzeń. Przed nimi pojawiły się dwie pary solistów w krótkim partnerowaniu. Josh, niespodziewanie pozbawiony partnerki, improwizował do tego stopnia, że otrzymał aplauz publiczności. Nikt oprócz zespołu i nielicznych widzów nie zorientował się, że na scenie kogoś brakuje.

Stanik nieco za mały uciskał piersi, wypychając je we wszystkich możliwych kierunkach. Stringi wrzynały się w ciało, ale nigdy nie miała na stopach tak wygodnych butów. Czarne pióra i złote, lśniące elementy kostiumu uwydatniały jasną karnację Alicji i podkreślały odmienność jej urody: mocno obrysowane żółte oczy o kocich rzęsach i płomień we włosach. Drżała jeszcze i była kompletnie spocona, gdy dobiegła w zascenie, zupełnie nie mając pojęcia, w jakim punkcie choreo-grafii znajduje się zespół. Wsłuchiwała się w muzykę. Preludium powoli dobiegało końca. Delikatnie rozchyliła boczną kotarę i zbliżyła oko do wąskiej, lśniącej szczeliny. Dwa przeciwległe rzędy tancerek krzyżowały się na przodzie sceny i rozchodziły, aby zrobić miejsce dla par solistów. Wiedziała, że jeśli natychmiast nie uda jej się jakoś zgrabnie dołączyć do zespołu, to nie będzie miała więcej szansy na zatańczenie uwertury. Tancerki oddalały się od środka sceny, jedna na prawo, druga na lewo, a za nimi na samym końcu czekał już gotowy do duetu Josh. Ostatnie dziewczyny w białych piórach mijały się i rozchodziły, gdy na moment odwróciła głowę w stronę wyjścia z zascenia. I zobaczyła ją.

W pierwszym odruchu chciała dogonić kobietę, zatrzymać, krzyknąć coś, ale sekundy dzieliły Alicję od ostatecznej decyzji. Wyjść i tańczyć czy biec za Izą? Wszystko stało się jasne. To nie Wojtek popruł jej kostiumy. Zresztą jak wszedłby do teatru? Nie znał tu nikogo. Iza zrobiła wszystko, żeby zniszczyć Alicję, upokorzyć, odebrać rolę, i udało się jej. Ale za pierwszym razem.

Drugiego razu nie będzie. Szarpnęła zasłonę i tym samym krokiem, którym tańczył zespół, weszła na scenę. Chociaż znajdowała się na tyłach estrady, trudno było jej nie zauważyć. Czerń lśniących piór zroszona złotem, wśród białych kostiumów zespołu, przyciągała oko jak magnes. W tym momencie ostatnie tancerki rozstały się i Alicja wraz z Joshem wyszli na środek.

Rozbrzmiały gromkie brawa. Alicja wyprężyła ciało, rozpościerając ręce ku górze. Poczula zimny i jednocześnie gorący dreszcz. Uczucie nieporównywalne z żadnym innym. Gdy

partner podał jej rękę, zrobiła krok, odbierając oddech publiczności. Kilkom figurami para solistów dała popis, którego nikt się nie spodziewał. Technika Josha nadawała kunsztu talentowi i brawurze Alicji. I był to dopiero początek przedstawienia. Ostatnie nuty umilkły wraz ze światłami i tancerze, gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem wzroku publiczności, rzucili się biegiem do garderoby. Na scenie w księżycowej poświacie pojawił się Mateusz, śpiewając *Paris, Paris!*

— Coś ty założyła!? — krzyknęła Celina, rozpinając kostium.

W garderobie czekała już Rebecca z inspicjentką. Bez zbędnych słów pomagały mniej doświadczonym tancerkom w zmianie kostiumu. Odpinały biustonosze, asystowały przy zdejmowaniu koszy z piór i wkładaniu nowych pierzastych konstelacji.

Trzy minuty minęły jak kilka sekund.

Alicja ledwo łapała oddech. Rozejrzała się niepewnie po swoich rzeczach i po całej garderobie. Czas mijał i powinna skupić się na zmianie kostiumu, ale wizja kolejnego wypadku wyprowadziła ją kompletnie z równowagi. Czowała się osaczona.

Zrzuciła czarne pióra i zanim włożyła nowy strój, oglądała go ze wszystkich stron.

— Co się stało, Alicjo? Czemu nie wyszłaś do prologu? — spytała inspicjentka, podając jej kostium.

— Ktoś poprzecinał mi paski w staniku i wyłamał obcas — wyjaśniła, wbijając się w czerwone body.

— O czym ty mówisz? — Kobieta zmarszczyła czoło.

— Posłuchaj, Lindo — tłumaczyła, dopinając wsuwkami pióropusz. — Nie wychodź z garderoby. Dobrze? Ktoś musi tu być.

Inspicjentka spojrzała na nią podejrzliwie.

— Na litość boską, wiem, co mówię! — Alicja uniosła się. Część dziewczyn spojrzała w ich stronę. — Radzę wam sprawdzić ramiączka staników — odpowiedziała na ich spojrzenia i zanim wybiegła z garderoby, wrzuciła część przebrań do szafy.

Mateusz wyciągnął wibrującym sopranem ostatnie nuty. Muzyka zwolniła, jakby miała zgasnąć niczym słabnący płomień, lecz niespodziewanie przyspieszyła i na scenę z obu bocznych wyjść wybiegły tancerki. Światła przyciemniały i jedynie punktowe reflektory nadawały krwistości ich przebraniom. Cekinowe, błyszczące body i gęste ogony z czerwonych boa nabrały życia. Tancerki poruszały ustami, śpiewając z playbacku nie do końca zrozumiane przez wszystkie dziewczyny słowa francuskiej piosenki. Rytmicznie machały nogami, kręcąc biodrami i pozując niczym modelki. Choreografia różniła się sporo od klasycznych rewiewowych kawałków. Dynamiczniejsza, bardziej porywcza, z nowoczesnymi elementami, przejawiała wpływy amerykańskich musicali, pełnych zwrotów akcji i eksplozji ruchu. W rytm jazzowych wariacji na scenę wjechały podświetlane schody, a na nich inscenizacja imitująca wnętrze kawiarni na Montmartre. Przy okrągłych stolikach siedzieli mężczyźni w czarnych garniturach podobnych do fraków, wykonując synchronicznie dość atletyczną choreografię na krzesłach. Tancerki kokieterijnym krokiem wmieszały się między nich, odtwarzając naturalny tłok, jaki zazwyczaj panował w popularnych klubach Paryża tamtych czasów. Na ten moment scena przestoczyła się w żywą inscenizację bujnego, nocnego życia. Zaloty, te przyjęte i te odrzucone. Rozprawy przy stoliku i lampce szampana. Kłótnie między kochankami i bójka zazdrosnych o siebie rywali, a wszystko w formie plastycznej i widowiskowej choreografii, jakże czujnie chłoniętej przez szeroko otwarte oczy widzów. Po krótkim, acz ekscytującym występie zespołu atmosfera uległa diametralnej zmianie i publiczność z kabaretu lat sześćdziesiątych przeniosła się do paryskich klubów dziewiętnastego wieku. Muzyka zwolniła i rozmarzyła się. Jaśniejące koło, jedyne pozostałe na scenie źródło światła, wzniosło się ku górze niczym wschodzące słońce. Tancerze



zamarli z uniesionymi w jego kierunku głowami i zanim widownia zobaczyła mieniające się szpileczki, nogi w czarnych kabaretkach i migoczącą milionami diamentów suknię, cukrową atmosferę prześwidrował głos madame Diven. Zespół obserwował zawieszoną w próżni tuż nad ich głowami białą ławeczkę z elegancko usadowioną na niej Gildą i tylko Alicja, zamiast na piosenkarkę, nerwowo spoglądała na linki utrzymujące ją w powietrzu.

Nie miała pewności, czy to emocje związane z premierą, zmęczenie, a może po prostu trema, ale jej żołądek miał swoje powody, aby prężyć się bez litości. Była też gotowa przyjąć, że przewidziało jej się i zamiast Izy widziała kogoś bardzo, ale to bardzo do niej podobnego. Niestety nie umiała wymyślić wymówki dla uszkodzonych kostiumów. Jej podejrzania miały solidne podstawy. Ktoś usiłował ją ośmieszyć, doprowadzić do wypadku albo po prostu udaremnić premierę. Poczula kropelki potu prześcigające się między ściśniętymi piersiami. Tancerze wydzielali ciepło, reflektor grzał jak elektryczny piecyk, a silikonowy podkład do profesjonalnego użytku zatykał pory skóry niczym korek butelkę.

Ale ona czuła dreszcze. Ławeczka powoli zbliżała się do sceny, drwiąc sobie z przerażenia w oczach Alicji, i gdy znajdowała się już metr nad ziemią, opadła niczym najłżejszy mebel świata w silne ramiona tancerzy.

Bez zakłóceń.

Tancerki zmieniły sposób poruszania się. Ich ruchy nabrały miękkości. Gładziły dłońmi powietrze, gdy tańczyły tło do występu francuskiej diwy, po czym wtopiły się w ciemność głębi sceny, zostawiając piosenkarkę w towarzystwie męskiej części zespołu.

Alicja wpadła do garderoby, chwyciła butelkę wody i pociągnęła trzy szybkie łyki. Spojrzała zdenerwowana na swoją toaletkę, która została zavalona strojami współlokatorek, przez co nie była w stanie odnaleźć swoich rzeczy.

— Możecie łaskawie to zabrać? — Posłała stanowcze spojrzenie baletnicom, a one bez słowa, acz z niezadowolaniem zgarnęły porozrzucane kostiumy.

— Potrzebujecie pomocy? — Inspecjentka wyrosła w drzwiach, wyciągając ręce w stronę szarpiących się z przebraniami dziewczyn. Baletnica z zadartym noskiem jęknęła, wydymając policzki tak, jak robią to rozpieszczone dziewczynki, kiedy matka po raz dziesiąty o coś je prosi. Obróciła się do Lindy kościstymi plecami, ukazując szereg rozpiętych zaczepki i haczyków. Kobieta bez słowa złapała gorset i przebierając palcami z niezwykłą wprawą, dopięła go na ostatnią zapinkę. — Kto wam zaprojektował te kostiumy? — spytała. — Nie można było bardziej utrudnić? — Pokręciła głową z dezaprobatą i odwróciła się w stronę Alicji. — Dopiąć cię?

Dziewczyna ubierała się właśnie w spódnicę do kankana, walcząc z gęstymi falbanami. Dwa razy sprawdziła stan pasków charakterek, w końcu usiadła w szpagacie, doginając się do przedniej nogi.

— Dzięki. Jestem gotowa — odparła. Oddychała głęboko, aby zwolnić pędzące serce. Czuła, jak adrenalina wiruje po jej ciele, powodując szum w uszach. Nie mogła doczekać się wyjścia na scenę.

Pracowała ciężko nad solówkami w kankanie. Wiedziała, że piętnastominutowy numer z masą różnych akrobatycznych figur, szpagatów, gwiazd, przerzutów w przód, flicków i niezliczonych piruetów w zawrotnym tempie to wysiłek maratończyka. I tak jak biegacz długodystansowy, tak i tancerka kankana chce dotrzeć do mety, tyle że sportowiec jedynie biegnie, a tancerka dodatkowo musi pokrzykiwać, uśmiechać się, śpiewać i wykonywać przeróżne skomplikowane pozycje. Ale w końcu przecież została przygotowana przez najlepszych choreografów, przez znawców francuskiej rewii i była gotowa. Chciała wreszcie krzyknąć, zadzierać spódnicę pod brodę jak paryskie tancerki na plakatach Henriego de Toulouse-Lautreca i wyzwolić tę szaleńczą energię, która wypełniała ją po brzegi.

Tylko dwie rzeczy mogły ją powstrzymać przed doskonałym występem.

Kolano i Iza.

— Trzy minuty! — wrzasnęła inspicjentka na całą garderobę, klaszcząc na zachętę w dłonie i kierując się do wyjścia.

— Lindo — zatrzymała ją Alicja, gdy kobieta stała już w drzwiach — nikt tu nie wchodził, prawda?

Inspicjentka westchnęła, wywracając oczami.

— Siedziałam tu przez cały wasz ostatni numer, zamiast być tam, gdzie powinnam. — Spojrzała na nią z politowaniem. — Dobrze, że spotkałam znajomą, to przynajmniej dotrzymała mi towarzystwa i powspominałyśmy stare czasy.

— Jaką znajomą? — zaniepokoiła się Alicja.

— Kiedyś pracowałyśmy razem. Szalone czasy. — Uśmiechnęła się. — Może znasz, bo pracowała podobno na początku tego projektu. Iza. Iza Sadowska. Mówi ci coś? — Przybrała wyczekujący i zniecierpliwiony wyraz twarzy, gdy z głośników wydobył się stanowczy i donośny głos:

— Wszyscy na scenę! Kankan!

Stała w kulisach w ciemności, wśród przyspieszonych oddechów tancerzy. Sekundy dzieliły ją od rozpoczęcia. Jej serce niczym londyński Big Ben odliczało je swymi uderzeniami. Scena tonęła w magicznym półmroku. W teatrze panowała cisza oczekiwania i nawet ze strony widowni nie dochodziły najmniejsze szmery. Wtem rozległ się dźwięk pojedynczych dzwoneczków, charakterystyczny wstęp do utworu Offenbacha, i tancerki, skradając się na palcach, zaczęły schodzić się ze wszystkich stron na środek sceny. Muzyka rozpędzała się jak koła pociągu, a razem z nią nogi tancerek nabierały tempa, aż w końcu orkiestra eksplodowała i dziewczyny, piszcząc jak polewane szlauchem, rozbiegły się po proscenium, tworząc równiutki rząd. Nogi poszły w górę. Za każdym ich machnięciem tancerki odkręcały głowę w bok jak w oryginalnej choreografii paryskiego kankana i dosięgały nogą do ucha. Za nimi wybiegli na środek sceny tancerze, wykonując salta, przerzuty i szpagaty tureckie w powietrzu z niewiarygodną prędkością. Alicja na przodzie zespołu swą charyzmą porwała publiczność, choć zupełnie ją to nie interesowało. Od widowni oddzielała ją ściana światła i nie byłaby nawet w stanie zobaczyć pierwszych stolików. Jednak świadomość, że jest tam, za zasłoną reflektorów i pary, nadawała tańcu innego wymiaru, a energia, która kumulowała się w obrębie sceny, wprawiała ją w ekstatyczny stan. Zapomniała o wszystkim. O problemach. O strachu. O bólu. O całym świecie. Była tym, czym chciała być i gdzie chciała być. Zupełnie wolna.

Ona i taniec.

Kolano przestało istnieć, jakby adrenalina rozpuściła ścięgna i kości. Ciało stało się jednością. Giętką i elastyczną. Bez limitów. W zapomnienie odeszły niedociągnięcia w klasyce, techniczne niuanse i nie martwiło jej to. Nie miała pytań ani wątpliwości. Nie myślała już, kim jest. Po prostu była. Publiczność poderwała się z krzesel. Wrzało od aplauzu i owacji. A to nic innego jak pokarm dla występującego tancerza. Paliwo. Nagroda.

Kręcąc dynamiczne *pique*, zakończone perfekcyjnymi obrotami *chaînes*, znalazła się pomiędzy dwoma tancerzami. Złapała mocno za ich nadgarstki, zrobiła krok i wysoki wymach nogi. Szarpnięcie wyrzuciło ją wysoko w powietrze, kolorowe falbany zawirowały. I znów była pomiędzy partnerami, przeskakując wraz z nimi z nogi na nogę, uginając żwawo kolana i potrząsając spódnicą.

Gromkie oklaski chwilowo zagłuszyły muzykę. Przy boku Alicji pojawił się Josh, chwycił ją za rękę i okręcił w swoją stronę, dając dziewczynie impet. Sam ugiął kolana pod kątem prostym, jakby siedział na niewidzialnym krześle, i wtedy Alicja zamachnęła się, oparła

ręce na jego udach, robiąc przerzut w powietrzu i opadając z wysokości w szpagacie. Josh odbił się z ugiętych nóg w górę, wykonując podwójny *tour* w powietrzu, i gdy opadł, rozpostarł ramiona gotowy do kolejnej solówki. Baletnica z zadartym noskiem wyskoczyła w *jeté* na środek sceny, piszcząc przenikliwie, i w tym samym momencie jej gorset odskoczył od ciała, ukazując dwie różowe piersi. Znieruchomiała. Josh natychmiast obrócił się w jej stronę, zasłaniając sobą i ani na chwilę nie przestając tańczyć. Złapał dziewczynę pod pachy i obracając się w głąb sceny, wypuścił ją w kulisy. W tym czasie cały zespół tańczył refren kankana, powtarzając linię z wysokimi wyrzutami nóg. Alicja wybiegła przed tancerki, zrobiła gwiazdę i przerzut w przód, po czym spadła w szpagat. Za nią powtórzyły gwiazdę i szpagat pozostałe tancerki. Tancerze akrobacjami zakończyli utwór. Reflektory zgasły i nastąpiła zupełna ciemność. Publiczność aplaudowała. Gdy tancerze po ciemku opuszczali scenę, z drugiej strony kulis wyłonił się Mateusz we fraku i z mikrofonem przy ustach.

„Zakochać się na Montmartre, zakochać się w Mont-martre” — rozeszło się po teatrze.

— Nie, nie wyjdę! — usłyszała Alicja, wbiegając do garderoby. Baletnica z zadartym noskiem i łzami w kolorze makijażu wyszarpywała się Lindzie. W obciskających kabaretkach, z nagim torsem i czarnymi strużkami na policzkach przypominała rozebranego arlekina.

— Basiu, uspokój się! Nikt nawet nie zauważył! Josh tak szybko cię zasłonił, że publiczność nie miała czasu, żeby cokolwiek zobaczyć! — uspokajała ją inspicjentka, próbując włożyć jej kostium do finału.

— Co tu sze dzieje? — W garderobie pojawiła się zaniepokojona Rebecca. Widząc rozmazaną i histeryzującą tancerkę, zmieniła się nie do poznania. Chwyciła kostium i wręczyła go baletnicy. — Ubieraj sze natychmiast! Takie rzeci sze zdarzają. Zachowuj sze jak *professional dancer!* Go!

Dziewczyna szeroko otworzyła oczy. Do tej pory Rebecca wydawała się wszystkim uosobieniem spokoju i cierpliwości, cukierkowego stylu Amerykanów. Najwyraźniej jednak takiego wstrząsu tancerka potrzebowała. Chlipnęła, ocierając nos dłonią, i pozwoliła Lindzie pomóc sobie w ubieraniu. Choreografka spojrzała na Alicję, dopinającą do włosów ozdobę z piór i kamieni.

— O co chodzi z tymi kostiumami? — spytała.

— Mówiłam Lindzie, że ktoś ponacinał ramiączka w moim kostiumie — wyjaśniła pospiesznie, wsuwając srebrne charakterki. Była prawie gotowa.

— No przecież siedziałam tu cały czas — zachnęła się inspicjentka.

— Z Izą Sadowską — wyjaśniła Alicja.

— Z Izą? A co ona roby w teatrze? — Rebecca wydała się zdenerwowana.

— Znasz ją?

Rebecca skrzyżowała ręce na piersi.

— Powiedzmi, że dużo o niej słyzałam z wiarigodnych źródeł — odparła. — Cały czas z nią tu bylasz? — zwróciła się do Lindy.

— No tak. Właściwie cały czas — zająknęła się. — Wysłałam tylko na chwilę do toalety. — Uniosła brwi zaskoczona, wpinając baletnicy piórka we włosy. — Ale po co miałyby zrobić coś takiego? — zdziwiła się.

Rebecca podkręciła radio i mówiąc do mikrofonu, rozbrzmiała w głośnikach we wszystkich pomieszczeniach pracowniczych teatru.

— Proszę o uwagę pracowników i tancerzi. Mówi Rebecca Collins. Mami nieproszonego gościa, który kreuje problemy. Sprawdźcie wasze kostiumy i miejcie oczy otwarte. *Five minutes!*

Alicja, słysząc te słowa, odetchnęła z ulgą. Już nie będzie postrzegana jak wariatka, która uroiła sobie wroga. Teraz wszyscy wiedzą, że Iza czai się gdzieś w teatrze i czeka na odpowiedni

moment, aby udaremnić premierę. Poczwała dłoń na ramieniu. Odwróciła się.

— *Don't worry.* — Rebecca znów uśmiechała się szeroko. — Będziesz wspaniała. *Let them go crazy!*

Podniecenie. Fizyczne podniecenie i mdłości. To właśnie czuła w tym momencie. Nic w sztuce nie ma znaczenia, jeśli jest pozbawione emocji. Tak jak życie bez pasji nie ma smaku.

Czuła. I to jak. Mrowienie na języku i sztorm tłukący o ściany żołądka. Kolana niczym dwie porowate gąbki, kręgosłup sztywny jak stalowy pręt. Próżnia w głowie. Nie potrafiła sobie przypomnieć kroków choreografii, do której właśnie miała wyjść. Ale to tylko trema. Przecież tyle razy to przechodziła. Wiedziała, jak działa. Trema nie znała rutyny. Z każdym występem rodziła się na nowo, na krótki, ale intensywny moment. I wtedy tak naturalnie przypomniało jej się dzieciństwo, gdy byli wszyscy razem, szczęśliwi. Pomyślała o babci i wyrzeczeniach swoich najbliższych. O cierpieniu rodziców, o walce ojca i o własnej niewytłumaczalnej samotności. Wspomniała -Pierre'a, pasję choreografa, jego niezwykły dar nauczania i jak wiele od niego otrzymała. Wreszcie bratnią duszę, którą spotkała i którą przegoniła. Wszyscy mieli udział w jej sukcesie. Tego wieczoru chciała im podziękować w jedyny sposób, w jaki potrafiła. Tańcząc dla nich. Dedykując im każdy gest, każdą kroplę potu, emocję.

— Niech cię szlag, Iza — szepnęła. — Nie masz nade mną żadnej władzy.

Przyjęła wyprostowaną pozę i posuwistym krokiem, idealnie obciążając podbicie, ruszyła w stronę światła. Dźwięk skrzypiec niósł ją lekko, acz sensualnie w centrum sceny. Parkiet bez zespołu wydawał się nieogarniony.

Tylko ona i publiczność. Jak kochanka zmysłowo rozbierająca się w skąpym świetle przed pełnym pożądania, niecierpliwym mężczyzną. Dla niej było to jednak coś o wiele więcej. Zrzucała warstwy obaw, strachu i niepewności. Jej ciało opięte brylantową siateczką migotało przy każdym napięciu mięśni, przy najdrobniejszym ruchu. Wyglądała niczym syrena pozbawiona ogona, bogini podmorskiego królestwa. *Grand battement* w jej wykonaniu, pozbawione reżimu sztywnych zasad, stało się czystym dynamizmem, *jeté* z podwójnym ładunkiem emocji odbiegało daleko od poprawnych wersji baletowych. *Arabesque* nie dość wygięte i zbyt nowoczesne dla klasycznych standardów, ale pełne dramatyzmu i kreatywności. Jej taniec przypominał wariację szalonego kompozytora, którą zrozumieć mogli jedynie ci, co otworzyli serce szerzej niż oczy. Zdawała sobie sprawę, że jej występ może być zarówno ogromnym sukcesem, jak i stuprocentową klapą, zdecydowała jednak podjąć ryzyko i tym razem stać się twórcą solówki, a nie odtwórcą.

Publiczność milczała. Alicja zamachnęła się i wpadła w wir piruetów *chaînes*. Miała ich wykonać dziesięć z rzędu i zakończyć na samej krawędzi przedscenia w ramionach Josha. Wtem coś błysnęło tuż przed nią. W pierwszej sekundzie przemknęło jej przez myśl, że ktoś zrobił zdjęcie, choć było to zabronione podczas spektaklu. Instykt powstrzymał ją jednak od kręcenia się w tamtym kierunku i natychmiast odbiła w bok, kończąc o dwa piruety wcześniej. Musiała zaimprovizować. Uśmiechała się więc zmysłowo do publiczności i gestykulując rękami, kręciła powolne ósemki biodrami, aby zyskać na czasie. Odwróciła wzrok w stronę odbłasku i zalał ją zimny pot. W tej samej chwili z przeciwnej strony pojawił się solista. Miał ująć ją pod biodra, okręcając się, unieść lekko ponad głowę i zakończyć partnerowanie właśnie w tym miejscu, gdzie czaiło się niebezpieczeństwo.

Nie było czasu, aby go ostrzec. Zmieniła kilka kroków choreografii bez pewności, że Josh zrozumie i że nie zawała tym samym występem. Odwróciła się w jego stronę i gdy wyciągał ręce, aby ją podnieść, odepchnęła go teatralnym ruchem. Napierając w widowiskowy sposób na tancerza, spychała go w głąb sceny z nadzieją, że nawet nie znając powodów jej zachowania, będzie grał swoją partię. Josh okazał się profesjonalistą w każdym calu. Tanecznym krokiem

cofał się, a jego twarz nawet na chwilę nie zdradziła zaskoczenia. Tylko w jego oczach Alicja dostrzegła zdezorientowanie. Przyłgnęła do solisty całym ciałem i oplatając go, szepnęła:

— Olej na scenie. Po prawej z przodu. Ktoś wylał *oil*!

Josh, jakby to właśnie przewidywała choreografia, ostentacyjnie odepchnął Alicję niczym niewierną kochankę i zniknął w kulisach. Została sama na scenie. Sam na sam z publicznością. Nie miała wyboru. Musiała improwizować, gdyż tę partię mieli tańczyć razem. Poczula muzykę. Potem swoje ciało. Do szaleństwa skrzypiec dołączyły narastające basy. Dała się ponieść. Po zaledwie czterech taktach Josh ponownie pojawił się przy niej i ostatnie minuty duetu zatańczyli zgodnie z planem. Po wysokim partnerowaniu dołączył do nich cały zespół wraz z piosenkarzami i wszyscy zgodnie trzymali się z dala od tłustej kałuży, błyszczącej teraz od światel reflektorów niczym tafla lustra odbijająca słońce. Śpiewając słowa finałowej piosenki *Pays des Merveilles*, zakończyli przedstawienie wybuchem zimnych ogni. Josh wyniósł Alicję w powietrze, sadzając ją na swoim ramieniu, skąd dziewczyna rozrzuciła mieniący się pył nad głowami widzów.

Magii stało się zadość. Publiczność poderwała się z miejsc i deszcz oklasków zalał teatr. Muzyka na chwilę umilkła. Cały zespół wraz z piosenkarzami i muzykami dołączył do widowni, uderzając rytmicznie w dłonie. Niewidzialna nić pasji połączyła dwa światy. Tancerze, zachęceni owacjami, zatańczyli na bis ostatnią z finałowych roszad. Na scenę wyszła rozpromieniona Rebecca w wieczorowej sukni z zielonego dżerseju. Niekończący się dekolt na plecach podkreślał nienaturalnie prosty kręgosłup szyjny, charakterystyczny dla baletnic. W jednym ręku trzymała mikrofon, a w drugim butelkę Moët & Chandon. Odkorkowała ją, trzymając blisko mikrofonu, tak aby nawet najdalsze rzędy publiczności słyszały syk wystrzelianych bąbelków, a chwilę później pisk spryskiwanych szampanem tancerzy.

— *Merci, merci, merci!* — wykrzyknęła do mikrofonu, uciszając tym samym wciąż aplaudujących widzów. — Dzekuje państwu za gorące przyjęcie! *Thank you very, very much!* — Nieskazitelnie białe zęby choreografki odbijały światła niczym paciorki. — Chciałabim podzenkować tim niezwykłym artystom za ich trud i pasję! — Wskazała stojący za nią zespół. — Ale przede wszystkim chcę podzenkować osobie, bez której to niezwykłe show nie istniałoby. Producent i choreograf... — zrobiła krótką pauzę — Mister Silwester Ojciec!

Na środek sceny wkroczył niewysoki mężczyzna w kwadratowych okularkach i czarnym gangsterskim kapeluszu z wąskim rondem. Doskonale skrojony fioletowy garnitur opinał jego proporcjonalne kształty, a szpakowaty zarost pokrywał opaloną twarz. Gdy szedł w szeroko otwarte ramiona Rebekki, Alicji zeszytywniały mięśnie. Nie znała mężczyzny, ale jego chód nawet za dobrze. Poczula, jak krew odpływa jej z twarzy, a światła bledną. Gorące i spocone ręce Josha podtrzymały ją.

Kurtyna w końcu opadła i nowy producent rewii odwrócił się w stronę zdezorientowanego zespołu. Zdjął kapelusik, ukazując łysą, lśniącą głowę, i uśmiechnął się.

— Jestem z was dumny, ludzie.

Alicja nie była w stanie poruszyć się. Poza chodem miał także głos i kształt głowy -Pierre'a. A przecież to nie mógł być on. Pierre umarł.

Mateusz przykrył usta dłońmi. Oczywiście zrobił wielkie, jakby chciał nastraszyć dzieciaki z podwórka.

— Chrystusieńku! Pierrasek zmartwychwstał!

— Nie, Mati, nie było takiej potrzeby — zaśmiał się mężczyzna. — Przykro mi, że wprowadzono was w błąd. Zmarł mój wuj, Pierre Bourite, i dlatego musiałem natychmiast wyjechać. — Mówiąc to, obracał tułów raz w prawą, raz w lewą stronę, ale jego oczy były zapatrzane tylko w jeden punkt.

— Ale przecież ty jesteś Pierre — wyjąkała Dagmara.

— Widzę, że i o tym detalu nikt was nie poinformował — westchnął. — To jest mój pseudonim artystyczny od wielu, wielu lat — wyjaśnił. — Jak wiecie, albo i nie, większość życia spędziłem w Paryżu. Tam skończyłem konserwatorium, pracowałem i tam też zrobiłem karierę pod tym właśnie nazwiskiem. — Włożył kapelusz, nadal nie odrywając wzroku od Alicji. — Wiem, że jestem wam winien wyjaśnienia, ale będzie na to jeszcze czas. Idźcie się przebrać i schodźcie na bankiet. To wasz dzień!

Mateusz już miał podbiec do Alicji, ale w porę zauważył, że tylko ona i choreograf stoją nieruchomo pośród oddalających się w stronę kulis tancerzy. Choć ciekawość drażniła go niczym łaskotki, zdecydował, że najpierw zmieni garnitur i poprawi makijaż na spotkanie z dziennikarzami.

— Zostawię was... — Także Rebecca taktownie się wycofała i ruszyła za zespołem.

Stali przez dłuższą chwilę, znosząc intensywność swoich spojrzeń, ale nie wiedząc, od czego zacząć.

W końcu podszedł do niej. Miał najpiękniejszy chód, jaki kiedykolwiek widziała. Stał tak blisko, że mogłaby policzyć włoski na jego jasnym zaroście, gdyby tylko potrafiła się skupić. Chwilę wcześniej była gotowa okładać -Pierre'a pięściami, teraz jednak, gdy stał w obrębie jej intymności i tak patrzył, pragnęła przytulić go i dziękować. Że żyje. Sylwester, widząc jej topniejące spojrzenie pod ciężkimi od sztucznych rzęs i makijażu powiekami, nie potrzebował więcej sygnałów. Objął ją, najmocniej jak potrafił, za ten cały skradziony im czas. Rozpląkała się. Łzami radości. Ulgi. Spełnienia. Ale nie chciała, by więził ją w ramionach. Pragnęła wyjaśnień. Odepchnęła go.

— Jak mogłeś pozwolić, żebym uwierzyła w twoją śmierć! — Próbowała mówić uniesionym i zdecydowanym tonem, ale jej głos łamał się i zanikał.

— Wybacz mi, Alicjo — szepnęła, osuszając jej mokre policzki. Odsunęła jego dłoń. — Jest coś, o czym nie wiesz — mówił szeptem i powoli, jakby chciał mieć pewność, że rozumie każde jego słowo. — Nie mogłem ci powiedzieć.

— Ale teraz możesz. — Przełknęła łzy.

— Za dwie godziny wylatuję.

— Co takiego?!

— Posłuchaj. — Wyjął zza poły marynarki list. — Tu jest wszystko, co chciałem ci wyznać, ale nie mogłem. Cała prawda. Chcę, żebyś wiedziała. — Włożył kopertę w jej rękę i położył na niej swoją. — Ale teraz muszę jechać. Mam jeszcze wiele do zrobienia.

Alicja wbiła wzrok w kopertę. Kolejna tajemnica przelana na papier. To jakiś żart?

— Przeczytaj go i wyrzuć, a potem idź na bankiet. Reporterzy czekają na ciebie. I nie tylko oni.

— Pierre... — wyszeptała. — Wiesz, prawda?

Powoli pochylił się ku jej twarzy. Poczowała wilgoć jego przyspieszonego oddechu na wargach. Zastygła. I wtedy wyprostował głowę i pocałował ją. W mieniące się brokatem czoło..

— Od początku. Odkąd cię poznałem... — Spowaźniał i znów przypominał dawnego -Pierre'a. — Dziś byłaś uosobieniem mojej magii. Tym, czym dla mnie jest taniec. I nigdy nie tańczyłaś lepiej. Udało ci się, Alicjo.

*Chcę, żebyś poznała całą prawdę. Nie wiem, komu dziękować, ale dziękuję, że pojawiłaś się w moim życiu, bo ta historia miała skończyć się o wiele gorzej i w przeciwnym razie tak by się stało. Źle by się to wszystko skończyło, gdyby nie Ty.*

*Nazywam się Sylwester Ojciec i moje pojawienie się w rewii było wynikiem wieloletniego planu, podsycanego czystą żądzą zemsty. Tak, pokrzyżowałaś moje plany. Ale czy to nie cudowne? Ocaliłaś nie tylko mnie, ale i ten zespół, przedstawienie, a przede wszystkim Izę i Kacpra. Bo chociaż sprawiedliwości stało się zadość, to gdybym cię nie poznał, nic by mnie nie powstrzymało przed ukojeniem mojego bólu. Iza była moją pierwszą, wielką miłością, a Kacper pierwszym znieprawionym rywalem. Dwadzieścia jeden lat temu zniszczyli mi życie. Odebrali pasję, zniekształcili obraz rzeczywistości, tego, co dobre i złe. Tańczyliśmy razem w -Folies-Bergère. Kacper miał już spory sukces za sobą jako solista, Iza była początkującą, dobrze rokującą tancerką z nieobojętną otoczeniu urodą. Ja debiutowałem jako odkrycie roku. Młody, narwany, ze świeżym talentem. Iza nie narzekała, rzecz jasna, na brak adoratorów, w tym także Kacpra, i chodziły pogłoski w zespole, że są razem, choć nigdy tego nie demonstrowali. Ale ona wybrała mnie, sypiała ze mną i spędzała, jak myślałem, cały swój wolny od prób czas. Stała się celem. Ważniejszym od tańca. Zgłupiałem. Zaniedbywałem próby. Chciałem być tylko dla niej i ona tego wymagała. I potem nie wiadomo dlaczego zaczęła mnie unikać. Gdy nalegałem, oznajmiła, że jest w ciąży. Była zła. Chciała ją usunąć, bo jak twierdziła, dziecko przerwałoby jej karierę. Nie chciałem się zgodzić, nalegałem. Mówiłem, że się nią zajmę. Nimi. Żeby to udowodnić, za wszystkie oszczędności kupiłem małe, ale przytulne mieszkanie przy rue Lepic, która znajduje się blisko Moulin Rouge, i zapisałem je na Izę. Byłem tam tylko raz, razem z agentem nieruchomości. W ciągu tygodnia się wprowadziła i zaczęła mnie unikać. Dyrektor baletu, dotąd przychylny i pobłażający, udzielił mi reprimendy. Kazał zostawić w spokoju dziewczynę Kacpra i zająć się tańcem, w przeciwnym razie groził, że usunie mnie z zespołu.*

*Dziewczynę Kacpra? Wściekłem się. Pojechałem na rue Lepic i tak długo dobijałem się do drzwi, aż otworzyli. Pamiętam tylko, że Kacper kazał mi się wynosić, bo dziecko nigdy nie było moje. Chwyciłem, co miałem pod ręką, i uderzyłem. Nie wiem, co było dalej. Obudziłem się w areszcie. Kacper leżał w szpitalu z poważnymi obrażeniami głowy. Iza wniosła oskarżenie. Nie tylko o napaść na terenie cudzej własności, ale i o molestowanie... Nie miałem pieniędzy na adwokata. Wszystko poszło na mieszkanie. Jej mieszkanie. Zadowolilem się pierwszym lepszym obrońcą z urzędu i tak, nie mając siły ani ochoty walczyć, dostałem sześć lat. Odsiedziałem pięć. Mogłem wyjść już po dwóch, ale tancerze w więzieniu są mile widziani. Żeby ocalić skórę i nie tylko, musiałem iść na całego. Pokazać, że się nie boję. Ale bałem się, Alicjo. Niewyobrażalnie. Sięgnąłem dna.*

*Poznałem zło, smak krwi. Siłę przetrwania znalazłem w planowaniu zemsty. Ona mnie prowadziła. Po wyjściu na wolność popadłem w specyficzne towarzystwo i zawile układy. To łatwe. Zaczęłem zarabiać krocie jako striptizer. Odkladałem każdą sumę na realizację swojego planu. Czasem nie jadłem albo jadłem na koszt klientów. Byłem zupełnie sam. No, niezupełnie. Z szerokiego grona przyjaciół, znajomych pozostał mi tylko wuj Pierre i mój kuzyn — brat, przyjaciel, Simon.*

*Pomogli mi. Nie oceniali. Nie próbowali przeszkodzić.*

*Rozumieli. Tak więc nie przypadkiem w ręce Izy trafiła gazeta z artykułem o doskonałym paryskim choreografie, właśnie wtedy, gdy szukali takiego. Zastanawiasz się pewnie, jak to możliwe, że mnie nie rozpoznała. Po wyjściu z kicia moja twarz była kompletnie oszpecona.*



*Przestawiony nos, blizny, opadająca powieka, zapadnięty policzek. Aby móc pracować, a potem zbliżyć się do zniechęconych wrogów, przeszedłem serię operacji plastycznych. Wuj Pierre pokrył większą część wydatków. Ogolilem głowę, zgolilem zarost, którym stylizowałem się na Bójarta, zacząłem mówić z francuskim akcentem i nieco wyższym głosem. Musiałem się zmienić. Piętnaście lat planowania, przygotowań i trucizny krążącej w żyłach.*

*I wtedy pojawiła się Ty. Ta twoja głupia dobroć, tęsknota za umarłymi i żywymi. Ten rozwalający smutek. Odmienność, której nie potrafiłaś zaakceptować i wykorzystać, a która jest twoją największą bronią. Mnie powaliła. I pasja. Jakby moja. Co boli i uszczęśliwia zarazem, a którą kiedyś miałem i straciłem, by dzięki Tobie rozbudzić ponownie. Poruszyłaś resztki uczuć pod gruzami mojego serca, Alicjo. Widzisz, przez Ciebie staję się zidiociałym poetą! Ale sprawiłaś, że zacząłem czuć, chcieć! I... kochać.*

*Ale przede wszystkim nauczyłaś mnie przebaczać. Nie sądziłem, że jestem jeszcze do tego zdolny. Przez te trzy miesiące wspólnych zmagani i pracy nad przedstawieniem miałem okazję przyjrzeć się bliżej moim wrogom. Z przykrością stwierdzam, że Iza zgorzkniała do reszty, a ciemna strona charakteru kompletnie wzięła w posiadanie jej życie. Poznałem za to lepiej Kacpra. Dzięki kontaktom dotarłem do wielu interesujących informacji. Zrozumiałem, że on także padł ofiarą jej gier. Manipulowała nim przez wszystkie te lata jak mną i każdym, kto stanął na jej drodze, a ponieważ Kacper miał już ugruntowaną pozycję w Paryżu, wybrała jego jako przepustkę do pewnej kariery. Dowiedziałem się też, że zaraz po ich ślubie Iza wyjechała do rodziców do Rosji pod pretekstem złego samopoczucia. Była w szóstym miesiącu ciąży. Wróciła już bez brzucha i bez dziecka. Podobno poroniła, ale ja wiem, że urodziła i oddała dziecko do adopcji znajomym rodzicom, z którymi utrzymywała sporadyczny kontakt przez te wszystkie lata. W tajemnicy. Jej córka w wieku nastu lat zaczęła przejawiać niezwykle zdolności taneczne, ale i pokazywać pazurki jak jej matka. Rodzice adopcyjni przestali sobie radzić z dziewczynką, kiedy pojawiły się problemy z alkoholem i podejrzenie o nimfomanię. Nie wiem, kto wpadł na ten idiotyczny pomysł, żeby pozwolić Izie na ingerencję w życie tej biednej dziewczyny, ale zaoferowała jej pracę, mieszkanie i rozwój zawodowy. Pozostała jednak tą samą zimną i nieczulą suką, którą była przez całe życie. Wpędziła rodzoną córkę w jeszcze większe tarapaty, dając jej niezrównoważonego współlokatora, wyzszykującego pracodawcę stręczyciela i mnóstwo obojętności z własnej strony. Przyczyniła się do jej ciąży i usunięcia dziecka po pijanemu. Pewnie już się domyślasz, o kim mówię. Poznałaś Kaśkę i wiesz, że nie jest zła, tylko niezwykle samotna. Kto wie, może bardziej niż Ty i ja. Po prostu została skrzywdzona, oszukana i potrzebuje pomocy. Wyczułaś to, prawda?*

*Cały się trzęsę, pisząc ci o niej, bo Kaśka jest moją córką. Wyjeżdżam do Paryża, gdzie pracuję obecnie nad nowym spektaklem. Wyciągnąłem Kasję z ośrodka i zaprosiłem Kacpra, żeby nam towarzyszył. Już nie jest popychadłem Izy. Przejrzał na oczy. Wiem, że jest coś między nim a moją córką i chociaż niespecjalnie mi się to podoba, chcę, żeby mi zaufała. Poza tym przyda mi się wybitny tancerz i choreograf. Wiedz, że czekam też na Ciebie, ale najpierw musisz zrobić porządek w Twoim sercu. Są osoby, którym na Tobie bardzo zależy, które Cię kochają.*

*Wyjdź im naprzeciw.*

*Sylwek*

Weszła do foyer z podniesioną głową. Byli tam wszyscy. Pierwszy zauważył ją Mateusz i rzucił się biegiem w jej stronę. Za nim skierowały się potrójne oczy fotoreporterów, którzy oślepiając fleszami, zgromadzili się wokół nich.

— Ali! — wrzasnął Mateusz z nieukrywaną euforią i rzucił się dziewczynie na szyję. — Gwiazdo moja! — Za nim potok pytań zalał Alicję.

Rozejrzała się ponad otaczającymi ją głowami. Rebecca, widząc jej proszące spojrzenie,

swoimi piarowskimi zdolnościami rozproszyła natrętnych dziennikarzy i podała Alicji lampkę szampana.

— Gratuluje, *my dear*. — Ukazała ciąg nieskazitelnie białych i równych zębów. — Silvek miał rację. Nie psiesadzał co do twoich zdolności.

— To ja dziękuję tobie, Rebecca, za pomoc w ich wydobyciu. — Stuknęły się kieliszkami.

Alicja natychmiast spoważniała.

— Nie rozwiązaliśmy jeszcze pewnego problemu — ściszyła głos. — Ktoś wie, gdzie jest Iza?

Kobieta wzruszyła ramionami, upijając musujący alkohol.

— Nie martw się o to. Zawiadomiłam policję. Tim rasem pszegrała. — Uśmiechnęła się, jakby faktycznie nie stanowiło to żadnego problemu. — A swoją drogą, *dear*, nie wiedziałam, że masz takiego psistojnego tata. — Spojrzała na Alicję w nieco inny niż dotąd sposób. Jakby znała ją i jej problemy od wielu lat. — Icz, czekają na ciebie.

Alicja odstawiła kieliszek i niespokojnie rozejrzała się po foyer. Tłum ludzi, których większości nie znała, zalegał cały hol. Napotykając wzrok gości, zbierała oznaki uznania i sympatii. Uśmiechy pełne aprobaty i pozdrowienia skinieniem głowy lub wzniesione kieliszkiem. Nagle otoczenie postrzegało ją w inny sposób. Jakby nikt nie widział jej przeżółkłych oczu, nie wyczuwał wyalienowania.

Zauważyła ich. Stali przy oknie w rogu sali. Spięci. Milczący. Wyczekiwali. Szła powoli, z uwagą stawiając stopy. Kostki miała miękkie i niepewne, a serce obtłuczone.

Szpakowaty mężczyzna o zmęczonej, pooranej zmarszczkami twarzy stał obok matki. Ledwo widocznie przestępował z nogi na nogę. Jego oczy lśniły. Zatrzymała się kilka metrów przed nimi ze zwieszonymi bezwładnie rękami. Mężczyzna zrobił krok do przodu i chciał się uśmiechnąć, ale grymas wykrzywił mu twarz.

— Spójrz tylko na siebie, córeczko... — Usta wyraźnie mu drgały. Spuścił głowę, by ukryć zakłopotanie.

— Tato... — jęknęła przez zaciśnięte gardło i oplótła go mocno rękami.

Ciałem mężczyzny szarpnęła konwulsja, a za nią następna i kolejna. Szlochał po cichu... jakby czekał na ten moment od dawna.

— Al, pospiesz się! Grzebiesz się jak jakaś gwiazda! — Mateusz, chichocząc pod nosem, wysunął język jak podczas wizyty u laryngologa.

Alicja dopięła walizkę.

— Poczekaj, jeszcze jedna rzecz. — Posłała przyjacielowi zadziorne spojrzenie i podeszła do szafki koło łóżka. Otworzyła szufladę. Opakowania z lekami przeciwbólowymi, maściami i chusteczki do nosa wyścielały dno. Odgrzebała pendrive z napisem „Spring Music Sound” i zacisnęła w dłoni. Babcia nadal uśmiechała się z okienka i Alicja pierwszy raz pomyślała, że kobieta musiała być szczęśliwa, gdy pozowała do tego zdjęcia. Zabrała ramkę i wsunęła ją w boczną kieszeń walizki.

— No przecież jedziemy tylko na dwa tygodnie. Nie musisz brać całego dobytku. — Żartobliwy ton nie opuszczał Mateusza. Życie może ulec zmianie w ciągu zaledwie jednej chwili. I na pierwszy rzut oka tak właśnie mogło się wydawać. Jedynie Alicja wiedziała, jak długi był to etap.

W drodze na lotnisko nie była w stanie podążyć za humorem i spostrzeżeniami Mateusza. Myślami była gdzie indziej. Kiedyś jej babcia powiedziała, że człowiekowi jest potrzebne do szczęścia, żeby mu było coś potrzebne do szczęścia. Wtedy Alicja nie chciała zgodzić się z tym stwierdzeniem. Dla niej oznaczałoby to niekończące się dążenie, bezustanne poszukiwanie, niezmiennie utrzymujące się pożądanie czegoś. Jednym słowem brak satysfakcji.

Myliła się. Satysfakcja tkwiła w pokonywaniu etapów drogi, którą podążała. Czy ważne dokąd? Oczywiście, ale nie najważniejsze. Każda jej porażka była skarbem w skorupie z brudnej, zaschłej ziemi. Kolejny problem zbliżał ją do tej chwili i do tego miejsca, gdzie teraz była. Przecież właśnie tu się wybierała. I dotarła. Ale teraz chciała iść dalej. Drogą, którą sama wybrała. Wspominając słowa babci, że najważniejsze są świadome wybory, bo to one popychają nas do przodu. Pasja bowiem jest siłą sprawczą, a wiara katalizatorem. Kto pragnie sukcesu, w końcu go osiągnie. Kto czuje się winny, będzie dręczony. Kto chce kochać, pokocha.

Alicja wstydziła się przyznać, ale choć jej wysiłki się opłaciły, dostała to, czego pragnęła, i właśnie rozpoczynała nowy etap życiowej podróży, czuła niedosyt. Coś uległo zmianie. W niej.

Po odprawie zostało jeszcze mnóstwo czasu do odlotu, poszli więc na kawę. Mateusz żartował bez chwili wytchnienia, przeżywał emocje i dzielił się wszelkimi myślami z otoczeniem. Przejęty propozycją współpracy i podróżą do Paryża, nie był w stanie zauważyć milczenia przyjaciółki. Jednak ona wiedziała, iż powodem euforycznego zachowania chłopaka było pojawienie się jego ojca na przedstawieniu. Co prawda doktor Szymkowski zaraz po opuszczeniu kurtyny wyszedł z teatru bez słowa, jednak samo jego pojawienie się było dla Mateusza plastrem na jątrzącą się ranę. Przejawem zainteresowania i próbą akceptacji, której na dobrą sprawę wszyscy potrzebujemy. Wzięła głęboki oddech i się ocknęła. Ludzie spacerowali po terminalu jak wcześniej, kawa pachniała wspaniale, a Mateusz nie zamykał ust, nawet gdy ją pił. I ona uwielbiała to wszystko. Chciała dzielić się z kimś otaczającym ją światem wraz ze wszystkimi drobiazgami. Tak jak Mateusz teraz, wyjść na zewnątrz. Miłość do tańca nie zmalęła, więc może jej serce urosło, bo czuła, że jest gotowa kochać. Chwyciła przyjaciela za ramiona i lekko nim potrząsnęła.

— Mati, zmiana planów. Zobaczymy się za kilka dni. Jest jeszcze jedna sprawa, której nie mogę tak zostawić.

## Zakończenie

Siedział nieruchomo, wpatrując się w lekko podchmielonego mężczyznę. Układał myśli jak puzzle. Historia Alicji mogłaby być jego historią. Na koniec rozumiał ją lepiej niż samego siebie. Dwa zupełnie różne życia, które zadały podobne rany. Siedział przy stoliku zastawionym opróżnionymi kuflami. Pianka po piwie przyschła i zszarzała. Przed nim leżała biała koperta. W pierwszej chwili chciał przywalić Wojtkowi za krzywdę, jaką wyrządził Alicji, i wepchnąć mu czek w gardło, jednak pozwolił, by odszedł. W końcu także i jemu złamała serce. Teraz wiedział, jak to jest. Kiedy trzeba żyć bez Alicji. Jak bez odbicia w lustrze. Złapał się na tym, że co chwila zerka na telefon i z trudem się powstrzymuje, aby nie dzwonić. Nie mógł. Nie chciał walczyć o coś, co z góry było skazane na przegraną. Podzielić losu Wojtka. Odepchniętego przez niezdolną do miłości kobietę.

Zapłacił rachunek i wyszedł przed bar. Ściemniało się. Wciągnął pełne zapachu powietrze i nasycił nim płuca. Niebo zalewał dojrzały granat, jak syrop ociekający po ściankach wypełnionej lodem szklanki. Chciałby dzielić ten niezwykle moment z kimś, kto doceniłby go tak, jak on.

Znał kogos takiego.

Ruszył przed siebie.

Była jeszcze jedna sprawa, której nie mógł tak zostawić.

Przeznaczenie jest elastycznym kręgosłupem istnienia. Żywą, ekstremalnie wrażliwą na myśli, słowa i czyny antymateria. Czasem to, do czego dążymy przez całe życie, okazuje się jedynie krokiem do czegoś kompletnie innego, większego.

Kiedy więc usłyszysz uwerturę, będziesz wiedział, że nadszedł czas, by rozpocząć spektakl swojego życia.

## Podziękowania

Dziękuję sobie za wytrwałość w dążeniu do spełnienia marzeń wbrew wszelkim przeciwnościom.

Dziękuję Joli Czarkwiani, Kasi Kołczewskiej i Kasi Bulicz-Kasprzak za cenne rady. Dziękuję Kubie Winiarskiemu za wskazówki. Dziękuję Kubie Luberdzie za wsparcie w trudnym okresie i Angelinie Caligo za absolutną dyspozycyjność. Oraz wszystkim z grupy „Jak minął Twój pisarski tydzień”, którzy zadali sobie trud, żeby odpowiadać na moje pytania.

Dziękuję Marco Marchiniemu, że znosił mnie przez cały etap twórczy i dotrwał ze mną do końca. Dziękuję Zeusowi za jego najprawdziwszą przyjaźń. Dziękuję mojej siostrze Violetcie Rozbickiej, mojej mamie Annie Rozbickiej i babci Halinie Siudzińskiej, trzem silnym i niezwykłym kobietom, które naznaczyły mój los.

Dziękuję losowi za wszystkie możliwości, te wykorzystane i te zmarnowane. Dziękuję za pasję.

Książkę tę dedykuję wszystkim tancerzom: zawodowcom i amatorom, tym wszystkim, którzy żyją pasją, i tym, którzy jeszcze jej nie znaleźli.